



PRZEMYSŁAW



PIOTROWSKI

PRAWO MATKI

CZARNA OWCA

PRZEMYSŁAW



PIOTROWSKI

PRAWO MATKI

WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

Redakcja: Anna Płaskoń – Sokołowska
Projekt okładki: Krzysztof Rychter
Zdjęcie na okładce: © Cem Ozgan /Arcangel
Korekta: Bartosz Szpojda, Beata Wójcik, Ewa Skibińska
Redaktor prowadzący: Katarzyna M. Słupska

Copyright © by Przemysław Piotrowski, 2022
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, Warszawa 2022

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.

Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN 978-83-8252-077-4

WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

ul. Wspólna 35/5, 00-519 Warszawa, www.czarnaowca.pl

Dział handlowy tel.: +48 22 616 29 36, e-mail: handel@czarnaowca.pl

Redakcja tel.: +48 22 616 29 20, e-mail: redakcja@czarnaowca.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

Spis treści

Strona tytułowa

Spis treści

Strona redakcyjna

PROLOG

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

ROZDZIAŁ 25

ROZDZIAŁ 26

ROZDZIAŁ 27

ROZDZIAŁ 28

ROZDZIAŁ 29

ROZDZIAŁ 30

ROZDZIAŁ 31

ROZDZIAŁ 32

ROZDZIAŁ 33

ROZDZIAŁ 34

ROZDZIAŁ 35

ROZDZIAŁ 36

ROZDZIAŁ 37

ROZDZIAŁ 38

ROZDZIAŁ 39

ROZDZIAŁ 40

ROZDZIAŁ 41

ROZDZIAŁ 42

ROZDZIAŁ 43

ROZDZIAŁ 44

EPILOG

Od Autora

*Adze – jedynej prawdziwej
wojownicze...*

PROLOG

P o raz ostatni spojrzął w zimne oczy trupa.

Były przekrwione i spowite mgłą, jałowe, jakby nigdy nie tliło się w nich życie. Nagie ciało, które zostało już umyte i zdążyło stężeć, nosiło ślady pobicia, twarz była czerwona i spuchnięta. Żałosny widok. Ot, kupa połamanych kości, zmiażdżonych mięśni i pozrywanych ścięgien obleczone skórą. Nic więcej. Ta myśl jednak nie sprawiła mu spodziewanej przyjemności. Może wcześniej, teraz już nie. Czuł co najwyżej odrazę. I strach przed tym, co nastąpi. W świecie, w którym żył, długi trzeba było płacać.

– Wystarczy tych pożegnań – oznajmił jeden ze stojących obok ludzi. Echo jego słów, wypowiedzianych lekko ochryplym głosem, odbiło się od zimnych ścian przestronnej hali.

– Jeszcze chwila.

– Nie mam na to czasu. I tak zbyt wiele go dla ciebie zmarnowałem. A mój czas jest cenny.

– Wiem o tym i...

– No właśnie nie jestem tego tak do końca pewny – przerwał mu i wytarł dłonie w chusteczkę. – I, kurwa, spójrz na mnie, gdy do ciebie mówię! – warknął.

Mężczyzna pochylający się nad trupem przełknął ślinę i przeniósł wzrok na rozmówcę. Ten mierzył go surowym spojrzeniem. Na co dzień nie wyglądał na tak groźnego, jak w rzeczywistości był. Pomimo sporej nadwagi nosił dobrze skrojone garnitury i często się uśmiechał. Biznesmen, inwestor, filantrop. W mieście znał każdego – i każdy się z nim liczył. Był szanowanym obywatelem, prowadził szereg intratnych interesów i regularnie płacił podatki. Sponsorował nawet place zabaw dla dzieci. Działał w wielu branżach, w tym w sektorze trzody chlewnej, a miejsce, w którym właśnie się znajdowali, było ponurą emanacją tego, o czym większość zjadaczy schabowych nigdy nie chciałyby słyszeć i czego nigdy nie chciałyby oglądać.

– Przepraszam, szefie. Za dużo emocji.

– Emocje to zły doradca. Nigdy nie kieruj się emocjami, bo skończysz jak on.

– Rozumiem, szefie.

– Nie rozumiesz. Ale kiedyś zrozumiesz. Chcesz dać tatuśkowi buziaka?

Nie odpowiedział, tylko skrzywił się z odrazą. Odniósł wrażenie, że szef z niego kpi. Odsunął się od zwłok.

– W takim razie kończymy imprezę.

Facet w garniturze przetarł czoło i schował chusteczkę do kieszeni. Skinął na swojego człowieka stojącego obok. Mięśniak o aparycji niedźwiedzia wyciągnął rękę, w której na długim kablu trzymał sterownik z kilkoma kolorowymi przyciskami. Przekazał go rozmówcy swojego szefa. Ten przez chwilę wazył urządzenie w dłoni, po czym ostatni raz spojrzął na trupa.

– Spłon w piekle, skurwysynu – mruknął i splunął na zwłoki. Gdy wcisnął zielony guzik, halę wypełnił zgrzyt mechanizmu uruchamianej linii produkcyjnej.

Patrzył w milczeniu, jak ciało powoli się oddala. Nadal nie czuł satysfakcji. Nie spodobało mu się to, bo liczył, że będzie się karmił tym uczuciem długie miesiące, a może nawet lata. Ogarnął go zawód, tym większy, że zdawał sobie sprawę ze swojego położenia. Wiedział, że kiedy przyjdzie czas zapłaty, nie będzie mógł odmówić.

– Zapowiada się dużo roboty – odezwał się mężczyzna w garniturze, jakby czytał mu w myślach. – Możesz mi się przydać, więc nie ruszaj się z miasta.

Skinął na znak, że usłyszał, i przeniósł wzrok z powrotem na sunące po taśmie produkcyjnej zwłoki. Dudniący echem w pustej hali odgłos przemysłowej rozdrabniarki mięsa wybrzmiewał jakby coraz głośniejszy, wwiercał się w skronie, niemal rozsadał czaszkę. Wtedy poczuł ukłucie lęku. Co on najlepszego narobił? Czy naprawdę było warto? To nie tak, kurwa, miało wyglądać! Tylko co z tego? Było już za późno. Teraz mógł tylko patrzeć.

Zacisnął powieki, zdjęty odrazą do samego siebie. Wtedy zwłoki zsunęły się z taśmy. Coś zachręściło, coś młasnęło. I już nie było spuchniętej głowy ani jałowych oczu, nie było rąk, nóg ani obleczonego skórą worka kości.

Pozostał dług.

ROZDZIAŁ 1

— **M**etrowa spira, dwie metrowe vangi i chuja. – Luta przymknęła oko i raz jeszcze się upewniła, czy kąt się zgadza, a jej plan przebudowy rusztowania nie spali na panewce.

– Chuja? – Młody chłopak wyraźnie się speszył.

– No chuja, chuja. Wiesz, jak wygląda chuj?

– No... wiem.

Luta westchnęła.

– Dobra, nie wiesz – mruknęła, po czym zeszła z rusztowania. Poprawiła kask i uśmiechnęła się do chłopaka. – Chuj to taki vange router z wystającym bolcem. Wiesz, jak wygląda zwykły vange router?

– Wiem. Takie coś z łańcuszkami.

– Otóż to. Więc to coś z łańcuszkami ma jeszcze bolce. Mniej więcej taki. – Rozsunęła dłonie na około trzydzieści centymetrów. – I to coś z łańcuszkami i bolcem potocznie nazywamy chujem. Powinieneś go znaleźć w jednym z tamtych metalowych koszy. – Wskazała na pokaźne pojemniki stojące na przestronnym balkonie.

– Okej.

– Tylko migiem, bo chcę skończyć przed przerwą, żeby już tu nie wracać.

– Metrowa spira, dwie vangi...

– Metrowe.

– I chuj. Już się robi.

Odprowadziła chłopaka wzrokiem. Poruszał się, rozglądając po całej konstrukcji, tak jakby chwilę wcześniej teleportował się tu z innej planety albo przypadkiem znalazł się na statku kosmicznym obcych. Z jednej strony kompletnie przerażony, z drugiej – totalnie zafascynowany. Prawie każdy świeżak zachowywał się tak samo. Ona kiedyś też. Co prawda minęło już dobrych kilka lat, ale doskonale pamiętała to uczucie, gdy po raz pierwszy znalazła się na zadokowanej w stoczni platformie wiertniczej. Ogrom konstrukcji ją przytłoczył, a koledzy jej byłego męża – choć wzięli na nią poprawkę – dodatkowo nie ułatwili jej zadania.

– Luta, weź no mi po... tfu, naciągnij druta – polecił jej Daniel pierwszego dnia pracy. Jego szyderczy uśmieszek i chichot kumpli sprawiły, że w środku się zagotowała. Zachowała jednak kamienną twarz.

– A jak długiego chcesz tego druta? – zapytała.

– No...

– No jakiego? – powtórzyła.

Na deku zapadła cisza. Zamilkły nawet szlifierki. Poczwała na sobie spojrzenia kilkunastu mężczyzn w czerwonych roboczych drelichach. Nawet spawacze zdjęli maski i odłożyli sprzęt.

– Mogę ci pokazać – odparł Daniel, choć wyraźnie bez przekonania.

Przejrzała go natychmiast. Znalazł się pod presją kolegów i chciał błysnąć. Były mąż ostrzegł ją, że to krewki typ i lubi się napinać, ale bez wątpienia szepnął też chłopakom kilka słów na jej temat. Ona również miała swoją historię.

– To pokaż – poleciła, wbijając w faceta surowe spojrzenie.

Sekunda. Dwie, trzy, pięć. Mięsień pod jego lewym okiem drgnął kilka razy. To musiał być nerwowy tik i na pewno nad nim nie panował. Potrafiła czytać z mowy ciała. Daniel wyraźnie się zagalopował i teraz nie do końca wiedział, jak wybrnąć z sytuacji.

– No, pokaż jej! – poniosło się za jej plecami.

– Musi się dziewczucha jakoś wkupić, co nie?

– Niech młoda chapie dzidę!

Posypały się niewybredne teksty, ale zignorowała je. Patrzyła prosto w oczy Daniela. Była w tym dobra. W koszarach twardsi wymiękali i zwieszali głowy. Gdy dostrzegła, że partner z teamu się szykuje, aby coś powiedzieć, pozwoliła mu uniknąć kompromitacji.

– Żartowałam. – Uśmiechnęła się życzliwie. – To ile ci nawinąć tego druta?

– Ty... – prychnął i pokręcił głową z niedowierzaniem. – Kilka metrów. Janusz mówił, żeby na deku wyżej powiązać jakieś planki.

– W porządku.

Za plecami słyszała śmiechy, ktoś nawet gwizdnął, ale kompletnie to olała. Przygotowała się na takie przytyki. Szymon ją uprzedził, że lekko nie będzie. To był świat mężczyzn. Wielkich, buzujących od testosteronu koni pociągowych, często z bagażem doświadczeń, czasem po wyrokach. Wiedziała, że nie może przesadzać, zwłaszcza że nie wszyscy musieli kojarzyć jej byłego męża, a ona była świeżakiem i pracę znała tylko z teorii, nie licząc kilku małych robót w Polsce, które jednak nie miały prawie żadnego przełożenia na warunki panujące na platformie. Tutaj wszystko było nowe i po prostu inne. Może z wyjątkiem facetów. Oni bez względu na czas i miejsce zawsze pozostawali takimi samymi ogrami.

– Wejdz na górę i spróbuj to zamontować – powiedziała, gdy chłopak wrócił z zamówionymi elementami rusztowania. – Wiesz mniej więcej, jak to zrobić?

– No...

– Dobra, wytłumaczę ci. Włóż, a ja podam ci materiał.

Mariusz nie wyglądał na przekonanego, ale dłużej się nie ociągał. Wiedziała, że jeśli ma się czegoś nauczyć, to prędzej z nią niż z innymi. Nie chciała generalizować, ale podejrzewała, że ze swoim miękkim charakterem i aparycją uczniaka młody szybko stanie się ofiarą docinków ze strony starszych i bardziej doświadczonych kolegów, zwłaszcza tych z zaniżoną samooceną, którzy kompleksy próbowali tuszować niezliczoną liczbą tatuaży i sztucznie zawyżonym stężeniem testosteronu we krwi.

Skinęła dwóm kolegom przechodzącym obok i podała elementy rusztowania Mariuszowi, który poprawiwszy kask, zabrał się do montażu. Musiała wytłumaczyć mu jak krowie na rowie, ale ostatecznie chłopak poradził sobie całkiem zgrabnie.

– Będą z ciebie ludzie – pochwaliła go, gdy zeskoczył na dek. – Za pięć minut przerwa. Idź coś zjeść.

– A właśnie... wiesz, gdzie jest kantyna?

Luta westchnęła i skinęła, aby chłopak ruszył za nią. W przeciwieństwie do Mariusza, który dopiero zaczynał rotację, ona swoją na dziś kończyła. Pomyślała, że zanim chłopak trafi pod skrzydła kogoś innego, pomoże mu się zadomowić i poczuć odrobinę pewniej.

W kantynie usiadła na swoim miejscu, w towarzystwie najbliższych kompanów. Przedstawiła im Mariusza – który zachowywał się, jakby włożył czapkę niewidkę – a potem przy akompaniamencie niewybrednych żartów zjedli obiad złożony z ryżu i kurczaka curry, popili ohydną kawą i wrócili do pracy. Ostatnie trzy godziny ciągnęły się jak flaki z olejem, roboty też było niewiele, więc pod rusztowaniem wypytała trochę młodego, kim jest i czym się wcześniej zajmował. Okazało się, że Mariusz to ratownik medyczny, który w pewnym momencie miał już serdecznie dość swojej pracy, zupełnie stracił do niej serce i postanowił zająć się czymś, co zapewni jego rodzinie byt na przyzwoitym poziomie. Zdziwiła się, gdy oznajmił, że ma dwie córki – sześciolatkę i dziewięcioletnią – a żona jest w ciąży z trzecim dzieckiem. W końcu miał być syn.

– Dlatego tu przyjechałeś? – zapytała.

– Miałem kumpla, który tu jeździł. Od dłuższego czasu mnie namawiał, ale ja przecież nigdy nie miałem nic wspólnego z budowlanką. Gdy Malwina zaszła w trzecią ciążę, a ja zrozumiałem, że ten cholerny koronawirus może tak szybko nie odpuścić, zdecydowałem się spróbować. Uwierz mi, bycie ratownikiem to

naprawdę przerąbana praca. Ciągłe w tych kombinezonach, maskach, nawet wysikać się nie można. Tragedia...

– Trochę z deszczu pod rynnę. – Luta się roześmiała, ale szybko umilkła. –

Poczekaj, jak ruszą rozbiórki, zwłaszcza po czarteku, albo co gorsza w ruch pójdzie pyrogel. To cholerstwo jest dopiero szkodliwe, podobno silnie rakotwórcze. Bez maski i szczelnego kombinezonu ani rusz.

– Słyszałem. Ale przynajmniej ludzie nie będą cię wyzywać od morderców i bandytów. A to już coś.

Godzinę przed końcem Luta pożegnała się z Mariuszem, wcześniej dając mu kilka wskazówek odnośnie do pracy na platformie, po czym poszła do szatni, aby się przebrać i spakować sprzęt. W środku czekało już kilkunastu kumpli z rotacji, którzy od dłuższego czasu odliczali minuty, aż odbiją kartę i opuszczą teren stoczni. Nie miała oporów, żeby się przy nich przebierać – zresztą oni przez lata zdążyli się już do tego przyzwyczaić – więc po przybiciu kilku piątek zrzuciła pas z narzędziami, kask oraz drelich, pod którym w lecie nosiła jedynie obcisłe szorty i sportowy stanik niemal do zera spłaszczający jej i tak mało wydatny biust. Do tej pory tylko jedna część ciała Luty sprawiała, że kolegom, nawet tym najbardziej otrzaskanym z jej obecnością, trudno było czasem odwrócić wzrok. Jej wyrobione przez lata ciężkich treningów pośladki były duże i jędrne, a talia z płaskim brzuchem i lekko zarysowanym sześciopakiem odcinała się od szerokich bioder, jakby ktoś wyrzeźbił jej sylwetkę z marmuru. Również długie i umięśnione nogi budziły respekt, zwłaszcza że niejeden ze współtowarzyszy przekonał się o ich sile na macie, na której od czasu do czasu spotykali się po pracy entuzjaści sztuk walki, a ona – od ponad dwudziestu lat regularnie trenująca i odnosząca sukcesy w kick-boxingu, judo i brazylijskim jiu-jitsu – większości z nich w ciągu pierwszych sekund udowadniała, że jej reputacja nie wzięła się z niczego. Tylko jeden jedyny raz przytrafiła jej się przykra sytuacja w szatni. To było cztery dni po jej przyjeździe do Norwegii. Niejaki Bartosz, ksywa Wuju, nasterydowany kurdupel o nalanej, wyjątkowo nieprzyjemnej twarzy, chcąc zaimponować kolegom, klepnął Lutę w tyłek. Ale nie zdążył nawet zacisnąć dłoni na pośladku, gdy w jego nadgarstku i łokciu coś chrupnęło, a on sam, jęcząc z bólu, wyładował w parterze z twarzą dociśniętą do podłogi.

– Warto było? – zapytała, gdy go dosiadła i zacisnęła kolana na jego żebrach.

– Puszczaj, bo mi rękę złamiesz, głupia cipo – odwarknął, czując na sobie spojrzenia zszokowanych kumpli.

– Następnym razem... – Luta się nachyliła i resztę zdania wyszeptała mu do ucha.

Wuju tylko jęknął i pokiwał głową. Wtedy z niego zeszała, a w szatni rozległy się głosy podziwu dla jej umiejętności i szyderstwa z Wuja, który zdruzgotany

zaistniałą sytuacją dwa dni później wyjechał i na kolejną rotację już nie wrócił.

Od tej pory zyskała szacunek kolegów, a Wuj nie zagrzebał już miejsca na żadnym norweskim projekcie, bo wiadomości o jego kompromitacji wyprzedzały go, zanim zadokował na innej stoczni, rafinerii czy platformie wiertniczej. Ostatecznie ponoć zdecydował się podjąć pracę na projektach w Holandii, a przynajmniej takie krążyły plotki.

– A ty, Luta, masz jakieś plany na wakacje? – zapytał Tomek Czachowicz, zwany Czachą, wielki jak tur facet z Gdańska. Jak wielu tutaj miał ciekawą historię, swoje w pierdlu odsiedział, ale choć momentami wkurzały ją jego sterydowe odpały, tolerowała go, bo był inteligentny, a czasem nawet całkiem sympatyczny.

– Zabieram dzieciaki nad morze – odparła, zamykając szafkę na klucz.

– Gdzie konkretnie, jeśli można spytać?

– Sianożęty.

– Znam. Ale to przecież wiocha. Co ty tam będziesz robić?

– Jadę z dziećmi – podkreśliła Luta. Większość swojego życia spędziła w towarzystwie facetów i nauczyła się z nimi rozmawiać, nie używając zbyt wielu słów. Tak naprawdę w ogóle nie była zbyt rozmowna i zamiast bić pianę, wolała działać. Za to chyba ją szanowali, bo nigdy się nie tłumaczyła, nie doszukiwała się we wszystkim drugiego dna i nie dzieliła włosów na czworo. Trochę jak przeciętny samiec. Krótko, jasno i na temat. A gdy nie było innego wyjścia, tak jak samiec po prostu waliła w pysk.

– Baw się dobrze, Luta – rzucił za nią Czacha, gdy z torbą na ramieniu opuszczała szatnię. Kilku kompanów mu zawtórowało.

– Wy też, ogry – odparła, posyłając im zalotnego buziaka. Za plecami usłyszała przekomarzanki kolegów kłócących się o to, kto był jego adresatem. Przyzwyczaiła się i nawet to lubiła, czasem rzucała im kawałek mięsa, aby się trochę ponakręcali i nie zapominali, że mimo wszystko jest kobietą.

Gdy wyszła na zewnątrz, odgarnęła włosy i zrobiła z dłoni daszek nad oczami. Obudowana olbrzymim rusztowaniem majestatyczna platforma wiertnicza stała w doku, rzucając cień na budynki gospodarcze. Luta odetchnęła głębiej, wpatrując się w posrebrzoną promieniami słońca tafłę fiordu. Chwilę później odbiła kartę i pewnym krokiem ruszyła w kierunku baraków pracowniczych. Marzyła już tylko o tym, aby zjeść kolację, wziąć kąpiel i położyć się spać. Rano miała wsiąść na pokład samolotu i polecieć do domu, a potem czekał ją tydzień wakacji z Frankiem i Werką. Pomyślała, że bardzo się za nimi stęskniła.

ROZDZIAŁ 2

Nadkomisarz Zygmunt Szatan wyszedł z budynku Komendy Miejskiej w Zielonej Górze i od razu zapalił papierosa. Druga połowa czerwca była dość upalna, a on nie lubił, jak żar leje się z nieba. W ostatnim czasie w ogóle wkurzało go wszystko, zwłaszcza kolejne przydzielane sprawy. Na jego biurku piętrzył się taki stos teczek, że nie wyobrażał sobie, aby z tego wybrnął przed świętami Bożego Narodzenia. Wymuszenia, pobicia, w tym jedno ze skutkiem śmiertelnym, morderstwo na działkach, a teraz jeszcze to...

– Kurwa mać – zaklął pod nosem, odcharknął i splunął. Miał sucho w ustach, a do tego bolało go gardło. Szkoda mu było pieniędzy na tabletki czy syrop. Ostatnio było u niego krucho z kasą. Nie żeby kiedykolwiek pławił się w luksusach, ale teraz prządl naprawdę kiepsko.

– Cześć, Zygi – rzuciła w jego kierunku Magda, niska i krępa aspirantka z fryzurą na jeża.

Nie lubił, jak młodszy funkcjonariusze zdrabniali jego imię, ale przyzwyczał się, że traktują go trochę jak wiekowy wiktoriański mebel, który jest na tyle stary, że głupio go wyrzucić, chociaż nikt już nie chce z niego korzystać. Wolał po prostu Szatan albo nawet Stary, ale Zygi czy Zyga go wkurwiało. Odmachnął jej i wrócił do palenia.

Przez dłuższą chwilę zastanawiał się, jak ugryźć temat. W końcu podreptał do pobliskiego sklepu i kupił zimne piwo. Wypił je duszkiem. Wprawdzie gustował w mocniejszych alkoholach, ale zimny browar najszybciej gasił pragnienie. Może od tego bolało go gardło? Ta myśl odciągnęła go od głównego problemu, jednak na krótko. Chwilę później długi znów o sobie przypomniały. Jak z takim bałaganem w głowie miał szukać tego dzieciaka?

– Przyjrzyj się sprawie. Masz największe doświadczenie – polecił mu podinspektor Zbigniew Kurowski. Facet miał ksywę Kura, ale to była wersja oficjalna. Kurwa była tą bardziej rozpowszechnioną, bo należało uczciwie przyznać, że naczelnik wydziału nie należał do ludzi sprawiedliwych, a tym bardziej życzliwych czy serdecznych. Szatan jednak też nie był święty i chyba

dzięki temu, w przeciwieństwie do wielu młodszych podkomendnych, jakoś się dogadywali.

– Wiesz, ile mam roboty? – zapytał swoim wiecznie zachrypniętym głosem. – Niech ktoś inny weźmie tego dzieciaka.

– A wiesz, ilu ja mam ludzi?

– Tak chcesz podejść starego lisa? Zlituj się, Zbychu. To naprawdę gówniana wymówka.

– Tak jak i twoja. Zawsze możesz spróbować cofnąć czas i oddać komuś innemu Maliniaka i całą resztę. Umowa stoi?

– Tonący brzytwy się chwyta... – Szatan skrzywił się i chwycił akta. Chciał otworzyć teczkę, ale zrezygnował. – Poza tym masz jakieś dowody, że została porwana?

– W świetle ostatnich zaginięć dzieciaków i sygnałów z Warszawy zakładamy, że to prawdopodobne.

– Znowu wciskają nos w nie swoje sprawy. – Szatan potarł spocone czoło i westchnął z niesmakiem. – Jeśli to ma być priorytet, to nie licz, że pozostałe śledztwa ruszą choćby o milimetr – ostrzegł przełożonego.

– Nie pali się. Poczekają.

– No to... poczekają.

Nadkomisarz poprawił krawat i wstał z krzesła. Zawahał się, jakby chciał coś dodać, ale ostatecznie bez słowa obrócił się na pięcie i ruszył do wyjścia.

– Poczekaj! – zawołał za nim Kurowski. – Znam przyjaciółkę matki tej dziewczyny, więc nie odwal jakiejś maniany.

Szatan się zatrzymał i odchrząknął. Podejrzewał, że ta sprawa ma drugie dno.

– Nie można było tak od razu? – Odwrócił się i posłał przełożonemu zdeglustowane spojrzenie.

– Może i było można. Mogę ci dać kogoś do pomocy...

Znali się wiele lat, a Kurowski do tej pory czasem traktował go jak faceta z połową mózgu. Był naprawdę wkurzający, ale los tak się ułożył, że to on został naczelnikiem, a nie Szatan. Zygmunt się z tym pogodził i w sumie tolerował Kurę, pomijając te idiotyczne zagrywki.

Chuj by go strzelił, pomyślał.

– Wiesz dobrze, że pracuję sam, więc nie zmieniaj tematu – odburknął.

– Tylko pytałem...

– Ile mam czasu?

– Wiesz, że przy porwaniach czas to...

– Pytam o tych z centrali.

– Aha... – Kurowski podrapał się po czole i spojrział w kalendarz. – Zapowiedzieli się na czwartek. Rzuć im trochę mięsa, żeby się odjebali. Mogę na

ciebie liczyć?

Nadkomisarz pomyślał, że jeśli przed chwilą znalazł się w czarnej dupie, to teraz będzie musiał zacząć się w niej urządzać. Już dawno chciał rzucić tę robotę w cholerę. Po tylu latach pracy dostałby nawet całkiem przyzwoitą emeryturę. Tylko co z tego? Zostałby odcięty od informacji, a na to nie mógł sobie pozwolić. Stara sprawa wciąż tkwiła w nim niczym drzazga pod paznokciem, a on sam nie chciał pogodzić się z tym, co wydarzyło się przed laty. Obiecał sobie, że nie popuści, i tego się trzymał. Tego wymagała przyzwoitość.

– Jasne – odparł, po czym wyszedł z gabinetu szefa.

Spojrzał na akta. Najchętniej by je spalił, wyrzucił przez okno, ewentualnie zakradł się z powrotem do biura Kurowskiego i wcisnął mu je w dupę, ale w zaistniałej sytuacji żadna z tych opcji nie wchodziła w grę.

Niestety, w tym mieście to Szatan był łowcą pedofili. Taką łatą przykleiły mu media i generalnie nie mógł mieć o to pretensji. Na tym się skupiał od blisko dwudziestu lat. Zaczęło się od niejakiego Ignacego Maliniaka, nauczyciela, psychologa i pedofila, który w jednym z gimnazjów napastował młode dziewczyny, obiecując im karierę w modelingu. Facet nieźle kombinował, w związku z czym całkiem długo unikał wymiaru sprawiedliwości. Miał nieco ponad trzydzieści lat, dbał o siebie, był przystojny i wysportowany, więc wiele dziewcząt robiło do niego maślane oczy. Swoje ofiary wybierał bardzo skrupulatnie, działał ostrożnie i planował każdy ruch z wyprzedzeniem. Najpierw wyszukiwał dziewczyny z najpoważniejszymi problemami – głównie z rodzin patologicznych, zagubione, zahukane, bywało, że już wcześniej bite i molestowane przez ojców. Następnie dzięki odpowiednim sztuczkom socjotechnicznym wzbudzał ich zaufanie, a gdy już czuł, że ma je w garści, roztaczał przed nimi wizję światowej kariery. „Tylko pamiętaj, że to tajemnica – ostrzegał. – Wybrałem właśnie ciebie, bo widzę w tobie ogromny potencjał. Ale jeśli piśniesz choćby słowo koleżankom, na pewno zaczną ci zazdrościć, a może nawet będą chciały ci zaszkodzić i wskoczyć na twoje miejsce. Wtedy wszystko się posypie, cała kariera legnie w gruzach. Nigdy nie wyjedziesz na Zachód”. Zmanipulowane i zapatrzone w nauczyciela dziewczyny po kilkumiesięcznym urabianiu były w stanie zrobić dla niego wszystko. Zaczynało się od pokazywania zdjęć tych już zatrudnionych, potem były telefoniczne rozmowy po angielsku z ludźmi z branży, w końcu pierwsza pikantna sesja, podczas której Maliniak zwykle przystępował do ataku. Żadna nie odmawiała seksu. Potrafił je oczarować do tego stopnia, że były gotowe spełnić każdą jego zachciankę, przez co stosunkowo szybko kończyło się na wymyślnych praktykach spod znaku BDSM, zwykle w jego domku na podmiejskiej działce. Aby jeszcze mocniej je do siebie przywiązać, regularnie wspomagał je finansowo, zwykle małymi kwotami, aby nie wzbudzać podejrzeń

rodziców czy opiekunów prawnych, byle miały na sukienkę czy nowe perfumy. A gdy kończyły szkołę, dotrzymywał obietnicy – wysyłał je na Zachód, nie wspominając jednak, że ich zadaniem nie będzie chodzenie po wybiegach dla modelek, tylko kurwienie się w niemieckich, francuskich czy holenderskich burdelach, na których łapy trzymały rosyjskie, albańskie albo tureckie gangi sutenerów. Z tymi ostatnimi miał najlepsze kontakty i wypracował sobie świetne warunki, a oni za młode, ale już doświadczone, wyuzdane, generalnie świetnie przygotowane do pracy piętnasto- czy szesnastolatki płacili nawet po kilkanaście tysięcy euro za sztukę. Ich zniknięcia zwykle nie były traktowane przez policję zbyt poważnie, zwłaszcza że patologiczni opiekunowie albo nie zgłaszali zaginięć podopiecznych, albo robili to dopiero po kilku czy kilkunastu dniach. Szybki wywiad sugerujący, że zaginiona nie należała do grzecznych dziewczynek, tylko utwierdzał śledczych w przekonaniu, że to najpewniej ucieczka z domu – i tak kolejne sprawy łądowały na dnie stosu akt, aż w końcu o nich zapominano. Maliniak popełnił jednak jeden błąd, bo choć zawsze skrupulatnie prześwietlał najbliższe otoczenie swoich potencjalnych ofiar, nie był w stanie ustalić, że siostra matki jednej z nich potajemnie spotyka się z Szatanem. Nadkomisarz, poproszony przez kochankę, przyjrzał się sprawie i wpadł na trop. Stosunkowo szybko dostrzegł, że wspólnym mianownikiem pięciu zaginięć młodych dziewcząt jest młody i przystojny nauczyciel Ignacy Maliniak, który choć musiał się zarządzać, pracując aż w trzech placówkach, o dziwo dwa, a nawet trzy razy w roku mógł sobie pozwolić na wyjazdy na Filipiny albo do Tajlandii. Reszty można było się domyślić. Szatan zawnioskował o obserwację i zasadził się na podejrzanego, a gdy już był pewny, że facet jest śliski, docisnął jedną z dziewcząt, która pękła i wszystko mu opowiedziała. Potem wystarczyło już tylko wysłać ją do domu na działkę i przyłapać pedofila na gorącym uczynku.

Nadkomisarz ściągnął marynarkę, przewiesił ją przez oparcie ławki i poluzował krawat. Przez chwilę siedział, bezmyślnie obserwując mijających go ludzi. Koszula kleiła mu się do pleców, był kompletnie zajechany, a w jego głowie kołatały się ponure myśli, w tym ta najbardziej złośliwa.

Dług.

W jego ocenie urósł do niebotycznych rozmiarów. Może przesadzał, ale podskórnie czuł, że człowiek, który od lat sponsorował jego prywatne śledztwo, wcześniej czy później się o niego upomni. Cyryl Majski był bogatym i wpływowym inwestorem z aspiracjami do wielkiej polityki, ostatnio nie miał jednak dobrej prasy i ciągnął się za nim smród z czasów, gdy zaczynał zdobywać swój majątek. Tak jak większość lokalnych kacyków, dorobił się w czasach przemiany ustrojowej – głównie na przemyśle papierosów, choć zarzucano mu poważniejsze przestępstwa. Po latach oczywiście nikt nie miał na niego żadnych

dowodów, a nawet jeśli miał, sprawy dawno uległy przedawnieniu albo rozmyły się na tyle, że biorąc pod uwagę szereg dokonań Majskiego na polu gospodarczym, politycznym czy charytatywnym, posądzanie go o takie „pierdoły” z przeszłości nie miało sensu. Ta sytuacja zaczynała jednak Szatanowi ciążyć, bo choć nie mógł odmówić Majskiemu wsparcia, był gliną i rozumiał, że sponsor nie zawsze działał zgodnie z prawem. Co z tego, jeśli los tak mocno ich ze sobą związał? Co, jeśli Majski był jedynym człowiekiem, któremu zależało na szukaniu sprawiedliwości? Szatan nie był naiwny i wiedział, że gdyby kiedyś jego życie potoczyło się inaczej, dziś zostałby zupełnie sam.

Nadkomisarz przeciągnął dłoń po bliźnie na szyi. Codziennie przypominała mu o tym, co się stało dwadzieścia pięć lat wcześniej. Szrama ciągnęła się od ucha do ucha i była dowodem bestialstwa ludzi, których ścigał nieprzerwanie od tamtych mrocznych dni. Nie była jedyną pamiątką, kolejnych pięć straszło na korpusie: wszystkie między żebrami tuż pod sercem. Miał wtedy ogromne szczęście, że nie umarł, choć do dziś nie mógł pozbyć się nękających go wyrzutów sumienia. Może gdyby pomoc przybyła kilkadziesiąt sekund wcześniej, jego żona i córka wciąż by żyły?

Poprawił krawat. Wątpił, aby powierzona mu sprawa Martyny Piskorskiej miała jakikolwiek wspólny mianownik z ludźmi odpowiedzialnymi za to, co wydarzyło się przed laty, ale oczywiste było, że tamci zwyrodnialcy wciąż nie zostali ukarani i bez cienia zażenowania prowadzą swoją haniebną działalność. Taki był świat i tylko ci, którzy nie zetknęli się bezpośrednio z jego mroczną stroną, mogli żyć w swojej szklanej bańce. On nie miał tego komfortu. On był, jest i będzie potępiony na zawsze.

Jeszcze przez chwilę obserwował tych wszystkich mniej lub bardziej szczęśliwych ludzi, a potem podniósł się z ławki i zanurzony w ponurych myślach ruszył pod adres widniejący w dokumentacji. Matka Martyny Piskorskiej musiała przeżywać horror. Rozumiał to lepiej niż jakikolwiek gliniarz w mieście. W końcu żył w tym koszmarze od dwudziestu pięciu lat.

ROZDZIAŁ 3

Porucznik Lutosława Karabina była kobietą silną i prawie zgrabną. „Prawie” stanowiło jedno z jej ulubionych słów, bo – jak twierdziła – była prawie Polką, żyła prawie na własnych zasadach i prawie miała faceta. Większość jej rówieśniczek z pewnością marzyłaby o takiej figurze, ale ona – jak to kobieta – widziała rzeczy, których nie widzieli mężczyźni, jak choćby w jej ocenie masywne i umięśnione nogi, które z pewnością dyskwalifikowałyby ją na wybiegu dla modelek, ale bezsprzecznie przydawały się na ringu czy macie, siejąc pośród sparingpartnerów prawdziwy terror. W wieku trzydziestu sześciu lat wciąż wyglądała bardzo młodo i niepozornie. Długie kruczoczarne włosy, które zwykle związywała gumkami albo robiła z nich fantazyjne warkocze, duże czarne oczy i nieco ciemniejsza cera wyróżniały ją spośród koleżanek, przez co w szkole nie miała lekko. Rówieśnicy dawali jej odczuć, że jest inna – od czasów przedszkolnych dorobiła się kilku przezwisk, począwszy od Żaby, a kończąc na Czarnuchu, ale ostatecznie na dłużej przyłgnęła do niej Cyganka. Nie lubiła tej ksywki, podobnie jak swojego pełnego imienia – Lutosława, które kojarzyło jej się z kimś starym i brzydkim. Niestety kolegom i koleżankom również, dlatego czas na przerwach zwykle spędzała sama, słuchając muzyki albo się ucząc, przez co rówieśnicy dodatkowo uważali ją za kujona. Piątki i szóstki ze sprawdzianów dla prześladowców były jak woda na młyn. Gnębili ją przy każdej okazji. Do czasu.

– Chodź, kochanie, coś ci pokażę – rzekł do niej dziadek, gdy w wieku trzynastu lat zdobyła się na odwagę i powiedziała mu o swoich problemach. Odwiedziła go w jego rodzinnej wsi Balıkcılar, niewielkiej nadmorskiej osadzie na północnym wschodzie Turcji, niecałe dwie godziny od granicy z Gruzją. – Może trochę już wyszedłem z formy, ale wiedz, że twój dziadek był kiedyś niezłym chojrakiem. – Uśmiechnął się, ale zaraz znów spoważniał. – Myślę, że nadszedł czas, abyś poznała prawdę.

Tego wieczoru Lutosława Karabina usłyszała historię swojej rodziny, a parę dni później знаła już kilka technik, dzięki którym była w stanie powalić większego i silniejszego przeciwnika.

Często wracała myślami do tamtego czasu, zwłaszcza do ciepłej nocy w domku na wzgórzu. Pamiętała grające cykady, świece, zapach tytoniu i płonący w kominku ogień. Dziadka w fotelu, z fajką w dłoni, której końcówka nikła pod dorodnym wąsem kryjącym mięsiste usta. Głębokie bruzdy na jego czole i policzkach, cień rzucany na ścianę z orderami.

– Karabina to w Turcji szanowane nazwisko, moje dziecko – zaczął senior, gdy uznał, że nadszedł już czas. – Powinnaś być z niego dumna i nigdy, ale to nigdy nie wstydzisz się swojego pochodzenia. Jesteś Lutostawa Karabina, córka Ogüna Karabina, wnuczka Tunahana Karabina, emerytowanego podpułkownika Millî İstihbarat Teşkilatı.

Dziadek opowiedział jej swoją historię, a ta była niezwykła, tak jak niezwykła była historia jego jedynej wielkiej miłości, niemal filmowej, niespotykanej, spontanicznej i zakazanej. Babci Luta nigdy nie poznała, bo Anastasia Karabina z domu Krawczenko zmarła dwa lata przed jej narodzinami – dopadł ją nowotwór, zniecałkował, zdewastował jej organizm w trzy miesiące i dziś leżała pod ziemią, niedaleko domu dziadka, na niewielkim cmentarzu na wzgórzu. Poznali się w Odessie, gdzie dziadek czasem bywał jako operujący na terenie ZSRR dyplomata, a przynajmniej oficjalnie, bo prawda była trochę inna, bardziej złożona i z dyplomacją nie miała zbyt wiele wspólnego. To było niczym erupcja wulkanu, prawdziwa Tambora miłości, która nie miała prawa się zdarzyć, a jednak się zdarzyła. Już rok później na świecie pojawił się syn, który pomimo nienachalnych sprzeciwów matki otrzymał imię Ogün, półkrewi Turek, półkrewi Ukraińiec, chłopak piekielnie zdolny, tak po ojcu, „dyplomacie”, jak i po matce, wybitnej onkolog, która okrutnym zrzędzeniem losu dwadzieścia lat później zmarła na raka.

W czasie pierestrojki i odwilży, która zapanowała w stosunkach międzynarodowych, ojciec Luty poszedł w ślady dziadka i został dyplomata, tym razem przed duże „d”, gdyż w przeciwieństwie do Tunahana jego funkcja rzeczywiście polegała na dyplomacji, a nie niebezpiecznych tajnych misjach wywiadowczych. Ponieważ Ogün odziedziczył po ojcu zdolności do nauki języków obcych, już w wieku dwudziestu trzech lat władał biegle tureckim, angielskim, ukraińskim i rosyjskim, a dzięki bliskim kontaktom z rodzinami polskich i niemieckich dyplomatów całkiem dobrze radził sobie również z polskim i niemieckim. Tunahan był z niego dumny, jednak tęsknił za ojczyzną, zwłaszcza że dwa lata wcześniej odeszła jego ukochana Anastasia i już nic go w Ukrainie nie trzymało. A że szpiegowska przeszłość też nie działała na jego korzyść, postanowił nie kusić losu i wrócił do Turcji, Ogün zaś się uparł, że chce zostać w Odessie, w której się wychował i którą pokochał całym sercem. Miał ku temu także inne powody, a jednym z nich była Krystyna, dwudziestoletnia turystka

z Polski, którą poznał przez swoją przyjaciółkę Agnieszkę, córkę ambasadora, podczas wspólnych wakacji nad Morzem Czarnym. Być może kierowała nimi młodzięcza fantazja, a może do głosu doszły geny, w każdym razie Ogün zakochał się w Krystynie po uszy, a i ona gotowa była pójść za wybrankiem na koniec świata.

– Jesteś córką prawdziwej bogini, Luciu – powtarzał ojciec, gdy Luta zaczęła zadawać pierwsze, niekoniecznie przemyślane pytania. – Nigdy nie zapomnę, jak spóźniony dotarłem na plażę i ją zobaczyłem. Mamusia z ciocią Agą akurat wychodziły z morza i...

– I co? I co? – dopytywała, kiedy odpływał myślami.

– I... wtedy... tatuś... – dozował kolejne słowa, rozbudzając ciekawość dziewczynki. Jej oczy błyszczały z podniecenia, a on co rusz wymyślał kolejne niestworzone historie, które chłoneła całą sobą. – I wtedy tatuś rzucił się do wody i najpierw pokonał rekina, a potem wieeelką ośmiornicę! A gdy już myślałem, że mamusia jest bezpieczna, z wody wyłonił się ogromny wąż i...

– Jego też pokonałeś?

– Porwał mamusię, ale chwyciłem go za ogon i zanurkowałem. Potem wspiąłem się po jego twardym pancerzu i wyrwałem mamusię z jego paszczy.

– I co było dalej? – Mała Luta miała oczy okrągłe jak spodki.

– Wsadziłem ją na konia i ruszyliśmy hen, za góry i lasy. A później na świat przyszłaś ty.

Wtedy zaczynał ją gilgotać albo ubarwiał historię, opowiadając o potyczkach ze smokiem czy sforą wilków.

Prawda oczywiście była nieco inna, choć samo uczucie nie mniej bajkowe, bo od momentu, gdy Krystyna wyszła z wody, Ogün już wiedział, że kiedyś ta wysoka brunetka o ciele Afrodyty zostanie jego żoną. Już rok później, w niewielkiej miejscowości pod Poznaniem, stanęli na ślubnym kobiercu. Nie miał problemu z katolickim obrzędem, bo sam nie przywiązywał wagi do religii, a że przyszłą żonę wychowano w głębokiej wierze, poszedł jej na rękę. Na ceremonię przyjechał Tunahan z wujami i kuzynostwem. Brakowało tylko matki, która odeszła dwa lata wcześniej, czego Ogün bardzo żałował. Ojciec, który wciąż miał koneksje w świecie dyplomacji, postarał się o angaż dla syna w konsulacie Turcji w Poznaniu, a także wsparł go przy budowie domu, z którym trzeba było się spieszyć, bo mała Luta już się pchała na świat. A potem przyszła i rozgościła się w Puszczykowie, gdzie rodzina Karabinów osiadła i zaczęła wieść życie spokojne, zwyczajne, powszednie, jakiego większość ludzi mogłaby zazdrościć, bo było w nim szczęście. Do czasu...

Luta się zbudziła, gdy samolot wylądował. Podszczecińskie lotnisko w Goleniowie było małym portem obsługującym głównie trasy krajowe i kierunki skandynawskie w związku z dużym zapotrzebowaniem tamtejszego rynku na tanią siłę roboczą z Polski. Dochodziła dziesiąta. Niebo było bezchmurne, temperatura oscylowała w granicach dwudziestu kilku stopni, a z zachodu niósł się lekki ożywczy wiatr. Wystawiła twarz do słońca i odetchnęła głęboko, by już po chwili wraz z kolegami z rotacji przebić się przez halę przylotów. Nie musiała czekać na bagaż, bo wszystkie robocze ciuchy i narzędzia zostawiła w stoczni. Miała przy sobie tylko podręczny sportowy plecak z kilkoma niezbędnymi rzeczami.

Po wyjściu z terminala pożegnała się z kompanami i ruszyła w stronę parkingu. Uśmiechnęła się na widok czekającej na nią maszyny.

– Cześć, kochany – mruknęła, gdy zbliżyła się do czarno-zielonego kawasaki ninja. Kochała motory i wiatr we włosach, a od blisko dziewięciu lat była wierna swojemu ulubionemu modelowi. Matka czasem przynudzała, że powinna go sprzedać, bo kiedyś się zabije, ale taka opcja nie wchodziła w grę. Nawet Lucie coś się od życia należało.

– Szerokiej drogi! – usłyszała za plecami.

Odwróciła się i przez uchyloną szybę audi ujrziała uśmiechniętą twarz Andrzeja, z którym kilka razy przyszło jej pracować w teamie. W Polsce produkował miody, miał kilka pasiek. Lubiła go, bo był naturalny i nigdy nie udawał kogoś, kim nie jest. Musiał wyjść z samolotu jako jeden z pierwszych i właśnie wyjeżdżał z parkingu.

– Dzięki. I pamiętaj o zamówieniu! – rzuciła, wyciągając z plecaka skórzaną kurtkę.

– Masz to jak w banku. A wrzosowy to mercedes wśród miódów. Zaufaj mi!

– Trzymam za słowo.

– Raz jeszcze spokojnej podróży, Luta.

Andrzej odjechał, a ona włożyła kurtkę i kask. Chwilę później silnik mruknął z zadowolenia, a gdy wyjechała na asfaltówkę i odkręciła manetkę, znów poczuła się wolna.

Droga do Zielonej Góry minęła jak z bicza strzelił. Luta nie pędziła na złamanie karku, chociaż gdy na S3 robiło się luźniej, momentami podkręcała do dwustu na godzinę. Na osiedle Pomorskie dotarła przed południem. Zaparkowała motor pod blokiem, tradycyjnie wzbudzając zainteresowanie bawiących się w okolicznym skate parku dzieciaków. Do mieszkania wpadła, po czym z niego wypadła, przebrana w szorty i krótki obcisły top, odkrywający pępek. Jej druga maszyna nie była już tak efektowna. Szesnastoletni volkswagen passat w wersji

kombi trzeszczał i piszczał, jakby zaraz miał wydać z siebie ostatnie tchnienie. A jednak wciąż jeździł i nawet specjalnie się nie psuł. Dotarła nim na drugą stronę miasta, gdzie mieszkała jej matka. To tam Szymon zawsze zostawiał dzieci, gdy wymieniali się rotacjami, z tą różnicą, że on wylatywał do pracy z Berlina.

Osiedle Leśne przywitało ją zapachem żywicy i grzybów. Luta zaparkowała pod jednym ze stosunkowo nowych czteropiętrowców, zamknęła szybę i wysiadła.

– Mama!

Odwróciła się zaskoczona. Zwykle była bardziej czujna. Może to te buzujące w niej emocje? Tęsknota? Przy ławce dostrzegła dwie postaci, z których jedna wystrzeliła do niej jak z procy. Przebierała małymi nóżkami, jakby zaraz miała się wyrzucić i wyrznąć brodą w płytę chodnikową.

– Werka, chodź do mnie, kochanie... – Luta mocno przytuliła córkę i jak zwykle w takich momentach poczuła, że oczy jej wilgotnieją. Trzymała ją mocno przez kilka sekund, a potem dodatkowo wycalowała. – Bardzo się za tobą stęskniłam, wiesz?

– Bibi Kotek też się stęsknił.

Luta wytarła łzę. Do tej pory nie miała pojęcia, skąd jej trzyletniej córce wpadł do głowy pomysł, by przybrać taką ksywkę. Kilka miesięcy temu po prostu oznajmiła, że jest Bibi Kotkiem – i do tej pory uparcie się tego trzymała.

– A gdzie Franek?

– Gra na tablecie – odparła mała.

– Jest w domu z Nikosem – dodała stojąca przy ławce kobieta. Choć już po pięćdziesiątce, Krystyna Karabina wciąż trzymała się świetnie. Jej szlachetne rysy konserwowały nieprzeciętną urodę, choć córka miała wrażenie, że oczy matki już na zawsze pozostaną smutne.

– Z Nikosem? – Luta zmarszczyła brwi, a kąciki jej ust nieznacznie opadły. Nie spodziewała się, że matka może być tak nieodpowiedzialna. Podniosła Werkę i zrobiła krok w jej kierunku.

– Pojawił się wczoraj. Wygląda lepiej niż ostatnio...

– Na pewno – obruszyła się Luta, rzucając rodzicielce pełne wyrzutu spojrzenie. – Nie powinnaś...

– Jestem też jego matką – weszła jej w słowo Krystyna, kiedy córka przemknęła obok, wyraźnie rozdrażniona. – Mam nadzieję, że zjesz z nami obiad. Zrobiłam rosół i gołąbki – dodała, ale nie doczekała się odpowiedzi.

Ostatecznie Luta została, choć niechętnie. Zjadła, chwilę pobawiła się z dziećmi, ale wobec brata trzymała wyraźny dystans. Krótco później się pożegnała i wyszła. Gdy tylko wsiadła do samochodu, odetchnęła z ulgą.

– Co się stało, mamo? – zapytał Franek, który najwyraźniej dostrzegł, że coś jest nie w porządku.

- Nic takiego, bąbel. Mama jest po prostu trochę zmęczona.
- Fajnie, że wujek wrócił, no nie?
- No... fajnie.

Wcale nie była z tego powodu zadowolona. Nikos był ćpunem, pijakiem i hazardzistą, a jeszcze do niedawna bezdomnym menelem. Z przyrodnim bratem nigdy nie żyła blisko – po pierwsze dzieliła ich duża różnica wieku, po drugie nie znosiła ojczyma, który go spłodził, a po trzecie Nikos stanowił jej całkowite przeciwieństwo. Owszem, kiedy jeszcze był dzieckiem, a ona zaczynała wyjeżdżać na misje, kilka razy starała się przemówić mu do rozumu, a gdy to nie pomogło, próbowała wyciągnąć go z kolejnych tarapatów. Niestety, choć zawsze obiecywał poprawę, i tak zawsze kończył w rynsztoku. Nieco ponad trzy lata temu, tuż po narodzinach Werki, miarka się przebrała i Luta powiedziała mu kilka słów prawdy, być może o kilka za dużo. Od tamtej pory się nie widzieli, ale na mieście chodziły słuchy, że niewiele się zmienił. To tylko utwierdziło ją w przekonaniu, że podjęła słuszną decyzję, a Nikos, aby się odbić, najpierw musi sięgnąć dna.

Gdy wyjechała na główną drogę, myśli o bracie uleciały, a humor poprawił się jej na tyle, że zaproponowała dzieciakom lody. Kiedy kwadrans później siedziała z Frankiem i Werką pod parasolem jednej z kawiarni, gdzieś całkiem niedaleko przestraszona dziewczynka płakała w kącie, bo bardzo się bała, tęskniła za mamą, a do tego usłyszała od brzydkiej kobiety ze szpiczastym nosem i papierosem w ustach, że jest za młoda i za gruba i najpierw trzeba ją „trochę oszlifować”. Martyna Piskorska nie miała pojęcia, że tylko dzięki temu zdołała uszczknąć z życia kilka dni względnego spokoju.

ROZDZIAŁ 4

Cyryl Majski był sześćdziesięciodwuletnim mężczyzną, którego majątek wyceniono na blisko sześćset osiemdziesiąt milionów złotych. Miał niezwykle bystry umysł i wiedział, z kim pić wódkę, zwłaszcza na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, gdy w Polsce powstawały pierwsze fortuny. Sam zaczął zarabiać na przygranicznym bazarze, gdzie jego ojciec Mirosław Majski prowadził stoisko z przemycanymi zza muru berlińskiego ciuchami, a potem podróbkami różnych zachodnich marek, komiksami, słynną niemiecką chemią i oczywiście pornosami, w których występowały panie z owłosieniem wszelakim i brzuchaci panowie z dorodnym wąsem.

„Pracuj ciężko, a będziesz żył lekko”, powtarzał ojciec, lecz Cyryl jego słowa jednym uchem wpuszczał, a drugim wypuszczał. Miał siedemnaście lat i nie chciało mu się wystawać całymi dniami na zbitym z blachy falistej straganie. Wolał pić wódkę, palić zioło i bzykać na potęgę inne dzieci kwiaty, oczywiście przy akompaniamencie rockowych rytmów Led Zeppelin, Sex Pistols czy Rolling Stonesów.

Lata osiemdziesiąte rządziły się swoimi prawami i zdarzało się, że dzieci robiły sobie dzieci. Brak edukacji seksualnej i kiepski dostęp do środków antykoncepcyjnych, a do tego młodzież na haju bzykająca się na prawo i lewo – wszystko to zaowocowało wyżem demograficznym, jakiego nie powstydzilyby się kraje afrykańskie. Cyryl Majski również wpisał się w ten schemat i pewnej czerwcowej nocy w starym ojcowskim namiocie spłodził syna, któremu dziewięć miesięcy później dał na imię Florian. Życie sprawiło, że musiał nieco otrzeźwieć, zwłaszcza że Teresa, matka Florianka, z chęcią wzięła na siebie rolę wiernej i dobrej żony pilnującej domowego ogniska. Młodemu, acz nie do końca wyhulanemu Cyryłowi pozostał więc powrót na przygraniczny stragan z blachy falistej i sprzedawanie niemieckich pornosów.

Interes szedł całkiem nieźle, a sytuacja polityczna sprzyjała jak nigdy wcześniej. Cyryl może i nie należał do przodowników pracy, ale w przeciwieństwie do swojego nie do końca rozgarniętego ojca miał łeb na karku i potrafił kombinować, dlatego stosunkowo szybko nawiązał znajomości

z rosyjskimi i niemieckimi przemytnikami. Wypił z nimi morze wódki, a że był łebskim facetem i przewyższał kompanów pod względem ilorazu inteligencji przynajmniej o trzydzieści punktów, szybko przyklepał pierwsze poważne interesy na całkiem znośnych dla siebie warunkach, a przez następne lata prowadził biznes w taki sposób, aby wszyscy myśleli, że ruchają go w odbyt, podczas gdy to on ruchał ich, i to bez mydła. Kiedy niedługo później pewien elektryk doprowadził do upadku komuny w Polsce, a za zachodnią granicą runął mur berliński, przed Cyrylem otworzyły się możliwości, o jakich nawet nie śnił.

Majski strzepnął tytoń do popielniczki i odchylił się w fotelu, który lekko zaskrzypiał pod jego ciężarem. Westchnął na myśl o starych dobrych czasach. Wszystko toczyło się idealnie aż do tamtej feralnej nocy.

Zgasił do połowy wypalonego papierosa, gdy usłyszał stukot szpilek jednej ze swoich długonogich sekretarek. Chwilę później rozległo się pukanie i drzwi ustąpiły.

– Przyszedł umówiony gość, profesorze – oznajmiła młoda blondynka o figurze modelki.

Oczywiście Majski nie miał tytułu profesora ani nawet doktora, ale podobno papier przyjmie wszystko, a w swoich papierach był profesorem prawa, co, jak sądził, brzmiało lepiej niż dyrektor, przewodniczący czy po prostu szef.

– Niech wejdzie – polecił, po czym niechlujnym gestem kazał dziewczynie opuścić gabinet.

Chwilę później próg przekroczył stary znajomy.

– Cześć, Cyryl – mruknął nadkomisarz Zygmunt Szatan.

– Cześć. – Majski poruszył się niezgrabnie w fotelu. – Wyglądasz jak gównno.

– Dzięki.

– Nie ma za co. Znów pijesz?

– Piję, nie piję. Jakie to ma znaczenie?

– Fundamentalne. No chyba że...

– Może po prostu mi nalej.

Majski wydał usta i cmoknął niepysznie, ale chwilę później wstał, podszedł do barku i wyjął karafkę oraz dwie szklanki z grubego szkła. Nalał do każdej po solidnej porcji whisky i jedną z nich wręczył Szatanowi.

– Zdrowie tych, których nie ma z nami. – Wzniósł toast i upił słuszny łyk.

– Zdrowie. – Szatan uniósł swoją szklankę i w milczeniu wychylił do dna. Alkohol lekko nim wstrząsnął.

– Dawno cię tu nie było, Zygmunt. Co cię do mnie sprowadza? – zapytał Majski, gdy usiedli przy stoliku kawowym.

Nadkomisarz poczekał, aż gospodarz naleje mu drugą porcję. Kiedyś w biurze MajskiCorp bywał znacznie częściej, nawet kilka razy w miesiącu. Obaj potrafili zarwać noc na planowaniu czegoś, co dziś wydawało się już tylko złudnym poczuciem trwania w przysiędze złożonej nad grobami tych, których kochali ponad wszystko. Mieli już swoje lata, byli realistami. On, zniszczony przez życie gliniarz, któremu nie udało się pogodzić z traumatyczną przeszłością, i Majski – bogaty przedsiębiorca, który owszem, żył w luksusach i coraz odważniej zgłaszał aspiracje polityczne, ale tak naprawdę wciąż taplał się w bagnie tamtej czerwcowej nocy. Obie rany ropiały i nie chciały się zbliżyć, choć od lat regularnie podlewali je mocnymi i szlachetnymi trunkami z północy Wysp Brytyjskich, mimo to żaden z nich nigdy nie miał odwagi, aby powiedzieć „dość”. I choć obecnie widywali się nie częściej niż raz, góra dwa razy do roku, żaden nigdy oficjalnie nie wycofał się z umowy, jaką zawarli blisko ćwierć wieku temu.

– A czy coś musi mnie do ciebie prowadzić? – odpowiedział pytaniem Szatan. Wziął kolejny łyk, sięgnął po paczkę papierosów i wbił spojrzenie w gospodarza, który wyraźnie czekał na rozwój sytuacji. – No dobra, konkretnie... – podjął i odpalił jednego. – Wczoraj dostałem sprawę zaginionej dziewczyny. Nazywa się Martyna Piskorska, ma dwanaście lat i według wstępnych ustaleń mogła zostać zawinięta przez nową grupę zajmującą się handlem żywym towarem. A wiesz, jak jest. Wszyscy, którzy operują na tym terenie, wcześniej czy później nawiązują kontakt z Turkami albo Albańczykami.

– Hmm...

– To musi być gruba sprawa, bo rozkazy przyszły z samej góry. A jeśli w śledztwo zaangażował się bezpośrednio Wydział do Walki z Handlem Ludźmi, to pewnie CBS współpracuje z Niemcami.

– Jaka w tym twoja rola?

– Mam zbadać temat tej Piskorskiej. Poszperać, popytać, dowiedzieć się, co w trawie piszczy. A jeśli jest choć minimalna szansa, żeby...

– Naprawdę jeszcze w to wierzysz? – Majski nie dał mu dokończyć.

Kąciki ust Szatana opadły bezwiednie. Cyryl zaskoczył go tym pytaniem. Do tej pory nic nie wskazywało na to, że planuje odpuścić. Owszem, obaj doskonale zdawali sobie sprawę, że pewnych rzeczy nie da się przeskoczyć, a dotarcie do ludzi odpowiedzialnych za ich krzywdę może być bardzo trudne, ale właśnie nadarzała się okazja – nikła bo nikła, ale jednak – by nieco odkurzyć temat i spróbować coś na tym ugrać.

– Nie rozumiem – mruknął, wyraźnie zniesmaczony.

– Minęło dwadzieścia pięć lat, Zygmunt. Dwadzieścia pięć cholernych lat. I co? Co zdołałeś osiągnąć przez ten czas? Pomijając oczywiście te twoje kalambury w piwnicy...

Nadkomisarz zastygł z papierosem przy skroni. Wpatrywał się w rozmówcę, jakby nie do końca rozumiał, co właśnie usłyszał. Kalambury? Zamrugał nerwowo. A więc dwadzieścia pięć lat infiltrowania, demaskowania i rozkładania na czynniki pierwsze klanu Ozalanów to dla Majskiego pierdolone kalambury? Tego klanu Ozalanów, który...

– Co ty do mnie pierdolisz? – warknął, a nadmiar popiołu z papierosa spadł na podłogę.

– Tylko bez takich...

– Powtórz, bo chyba się przesłyszałem. Co miałeś na myśli, mówiąc o kalamburach w piwnicy?

– Zygmunt... – Majski wypił drinka do dna i odstawił pustą szklanę na stolik, po czym się nachylił, skracając dystans. – Minęło dwadzieścia pięć lat, a my wciąż żyjemy, jakby to było dwadzieścia pięć godzin. Różnica jest taka, że dwadzieścia pięć lat temu Hakan Ozalan był jeszcze do zdjęcia, a dziś... –

Wykrzywił usta w nerwowym grymasie. – Dziś jest w Niemczech pierdolonym bogiem. Jego majątek szacuje się na kilka miliardów euro. Ma kilkuset krewnych i kilka tysięcy żołnierzy gotowych oddać za niego życie w każdej chwili. Kontroluje szlaki przerzutowe kokainy z Kolumbii, heroiny z Afganistanu i żywego towaru z Rosji na zachód Europy. Podporządkował sobie Albańczyków, Serbów, boi się go nawet cosa nostra, a na jego dzielnice w Berlinie policja nawet nie zajężdza, bo wie, że nie ma tam czego szukać. Jak ty sobie, kurwa, wyobrażasz, że jesteśmy w stanie mu zagrozić? Naprawdę myślisz, że jakiś frajer z CBS albo nawet ten zasrany Interpol ruszą palcem, bo w Zielonej Górze zniknęła gówniara, a bez urazy, nikomu nieznany moczymorda żyjący traumą z przeszłości ustalił, że dziewczyna mogła zostać porwana i sprzedana do berlińskiego burdelu ludziom z jego klanu? – Majski wymownie pokręcił głową.

Czas zwolnił, jakby ktoś nasypał piasku do zegara odmierzającego kolejne sekundy. Szatan wpatrywał się w gospodarza, który sięgnął po karafkę i ponownie napełnił szklanki.

– Chcesz odpuścić? – zapytał po długiej chwili milczenia.

– A jesteś w stanie podać mi choć jeden sensowny powód, aby tego nie zrobić?

– Przysięgaliśmy...

– Nie znając realiów! Zygmunt, zrozum to, kurwa mać! Działaliśmy pod wpływem emocji. Od początku to wszystko nie miało najmniejszego sensu. A nawet jeśli kiedyś mieliśmy jakieś szanse, to w ciągu tych dwudziestu pięciu lat straciliśmy je bezpowrotnie.

Znów zapadła cisza. W tle dało się słyszeć tykanie ściennego zegara i cichy szum miejskiego zgiełku za oknem.

– I chcesz to wszystko wyrzucić na śmietnik? Chcesz o tym zapomnieć, ot tak? Jakby to się nigdy nie stało? – W tonie nadkomisarza po raz pierwszy dało się wyczuć narastającą trwogę.

– Mój syn stracił życie, bo taką wybrał sobie pracę. Policjanci czasem giną na służbie. I najwyższy czas się z tym pogodzić.

– Mój syn nie zginął na służbie. Nawet się nie uro...

– Daj spokój, Zygmunt. To już nie ma sensu.

– Moja żona i córka też nie nosiły odznaki, a wracały do mnie miesiącami w kawa...

– Dość! – Majski rąbnął pięścią w stół z taką siłą, że jedna ze szklanek podskoczyła. Wychlapana whisky stworzyła nieregularny rozbryzg na blacie.

Niemal natychmiast drzwi do gabinetu się otworzyły i w progu stanął postawny ochroniarz. Cyryl wygonił go machnięciem dłoni i próbując zapanować nad emocjami, podjął:

– Zrozum, Zygmunt, że nie jesteśmy w stanie nic poradzić. Musisz się z tym pogodzić albo to cię zeżre, przetrawi i wysra.

– Nigdy się z tym nie pogodzę, i dobrze o tym wiesz.

– W takim razie musisz sobie radzić sam. Ja już nie mogę dłużej babrać się w tym gównie. Niedługo zaczyna się kampania. Mam szansę dostać się do parlamentu i...

– A więc o to chodzi. – Usta Szatana wygięły się w podkowę. Podniósł się z fotela i poprawił krawat. Przez chwilę z nieukrywanym obrzydzeniem przyglądał się staremu towarzyszowi niedoli. – Zmieniłeś się, Cyryl. Zmieniła cię kasa i te pierdolone luksusy. Twój syn... – Sięgnął po szklanę i wychylił alkohol do dna. – Przewraca się w grobie, jak na to patrzy.

– Wypierdalaj – syknął Majski. – Wypierdalaj i nigdy tu nie wracaj!

– Powodzenia w wyborach.

Chwilę później nadkomisarz Zygmunt Szatan odwinął się na pięcie i opuścił biuro szefa MajskiCorp. W drodze do domu myślał już tylko o tym, aby jak najszybciej się dopić.

ROZDZIAŁ 5

Dwa kolejne dni Luta spędziła z dziećmi, próbując nadrobić stracony czas. Rosły jak na drożdżach i strasznie żałowała, że nie może z dnia na dzień obserwować, jak się rozwijają. Ale czy tu, na miejscu, zarobiłaby tyle co na platformie? Zaraz po odejściu ze służby zahaczyła się w firmie ochroniarskiej, potem jeździła w konwojach, ale choć praca wymagała pełnej dyspozycyjności, zarabiała grosze. Odpowiedź była zatem oczywista. Jeśli chciała utrzymać rodzinę na przyzwoitym poziomie, musiała wyjechać, a system rotacyjny, polegający na tym, że pracowała dwa tygodnie, a później trzy miała wolne, i tak był o niebo lepszy od wielomiesięcznych misji, na które jeździła przed urodzeniem Franka. Gdy tylko nachodziły ją ponure myśli, przypominała sobie o niezależności, którą tak ceniła, oraz o codziennych dylematach i problemach znajomych, których ona nie musiała doświadczać. Chciała kupić córce nowe buciki? Pytanie nie brzmiało, czy kupi, tylko jakie. Pragnęła zafundować sobie nowe perfumy albo wypad w góry? Proszę bardzo. W sklepach też nie musiała szukać promocji i do koszyka wkładała to, na co akurat miała ochotę. Generalnie dzieciom niczego nie brakowało, no, może z wyjątkiem matki. Ale i to miało swoje plusy, bo podczas jej nieobecności – przynajmniej w teorii, bo często lądowały u dziadków – Franka i Werkę wychowywał były mąż Luty. Uważała, że dzieci powinny mieć ojca, nawet jeśli był niedojrzałym synalkiem mamusi, który po zjechaniu z rotacji większość czasu spędzał na przesiadywaniu z kolegami na parkowej ławce, paleniu zioła i bzykaniu małych. Czasem się zastanawiała, gdzie miała oczy, gdy za niego wychodziła, ale tłumaczyła sobie, że miłość jest ślepa. Była wtedy młoda i głupia. Tylko że ona z tego wyrosła, a on głupi pozostał.

Po obiedzie u matki zabrała dzieci do domu i resztę dnia spędzili, ciesząc się swoim towarzystwem. Rysowali, grali w planszówki, a Franek jak zwykle przymarudził i musiał poszaleć na tablecie. Nie obyło się bez wszystkich tych głupkowatych zabaw w zombie, duchy czy samoloty, które w sumie powinny być domeną ojca, ale Luta starała się go godnie zastępować. Potem przyszedł czas na zapasy, które skutecznie prowadziła głównie z Frankiem, a następnie wojna na poduszki – tu brylowała Werka. Wycieńczone aktywnym popołudniem dzieciaki usnęły już

przed dziewiątą, a ona mogła chwilę poczytać i obejrzeć film. Zadzwoiła też do Emila, swojego kochanka. Wszak brak stałego partnera nie oznaczał, że nie potrzebuje czy nie ma prawa do bliskości.

– Mogę przyjechać jutro wieczorem? – zapytała, gdy już się przywitani.

– Jasne – odparł mężczyzna. – Mam wino, sery, jakieś owoce. No i specjalnie z myślą o tobie kupiłem nowy zestawik...

– Wrr...

Umówili się na kolejny wieczór, bo musiała się upewnić, czy może liczyć na swoją przyjaciółkę. Mirka jako jedyna знаła jej małą tajemnicę i gdy Luta potrzebowała poskromić żądze, pomagała jej w opiece nad dziećmi. Chwilowo taki układ jej pasował, bo znalazła mężczyznę, który potrafił spełnić jej oczekiwania, co wbrew pozorom wcale nie było takie łatwe, gdyż miała potrzeby niekoniecznie przyjęte powszechnie za standardowe.

Kolejny dzień postanowiła spędzić z dziećmi w Niesulicach nad pobliskim jeziorem Niesłysz. Umówiła się z Kamą i Elą, koleżankami jeszcze z czasów liceum, a dziś tak jak ona samotnymi matkami. Cała piątka ich maluchów w podobnym wieku dogadywała się świetnie – pluskały się w wodzie, łobuzowały i jadły lody, a Luta, popijając piwo malinowe w cieniu rosnącego przy plaży dębu, rozkoszowała się tymi chwilami.

Późnym popołudniem wróciła do Zielonej Góry, spędziła z dziećmi jeszcze kilka godzin w domu, a potem przysłała Mirka, która przejęła pałeczkę, aby Luta mogła się oporządzić przed randką. Gdy dzieci zasnęły, wsiadła na motor i popędziła do Emila, który już na nią czekał w stroju wieczorowym, a konkretnie w stroju Adama. Tylko przez chwilę był dla niej miły – potem odegrali zaplanowany scenariusz, o który Luta sama wcześniej poprosiła.

– Na kolana! – warknął kochanek, chwytając ją za włosy, a ona posłusznie przed nim uklękła, dopadła jego penisa i zaczęła go drapieźnie ssać.

Taka była jej mała tajemnica, o której nie wiedział nikt poza Emilem, mężczyzną, któremu zaufała. Podczas kolejnej godziny pozwalała się poskramiać na każdy możliwy sposób. Lubiła taki seks. Ostry, agresywny, bez tabu, pełen dzikiej, niepohamowanej namiętności. Uwielbiała być wiązana, zniewalana i zmuszana do uległości.

– Skąd w tobie takie potrzeby? – zapytał kiedyś Emil, niedługo po tym, jak zaczęli się spotykać. Był całkiem zdolnym pisarzem i po prostu fajnym facetem, a że w łóżku lubił i – co najważniejsze – potrafił dominować, dogadywali się doskonale.

– Może to zabrzmie dziwnie, ale dopiero gdy jestem spętana i unieruchomiona, czuję się prawdziwie wolna – tłumaczyła Luta. – Taki paradoks, ale to jedyny moment, gdy nie jestem zmuszona do podejmowania jakichkolwiek decyzji, w przeciwieństwie do prawdziwego życia, w którym muszę podejmować je na co dzień bez ustanku. Pewnie wiele koleżanek by mnie za te słowa ukrzyżowało, ale dopiero w takiej właśnie sytuacji czuję się kobietą...

– Mnie to pasuje. – Uśmiechnął się. – Poza tym lubię kobiety, które potrafią oddzielić to, co się dzieje w łóżku, od realnego życia. A uwierz mi, w dzisiejszych czasach to rzadkość...

– Mit Luty Karabiny runąłby jak domek z kart – zachichotała. – Wiesz, jak jest... Wszyscy wokół widzą we mnie byłego żołnierza, taką twardą babkę, która trenuje sztuki walki, a na macie zmusza większość samców do odklepania. Nie jestem głupia i wiem, że faceci po prostu się mnie boją. Brzmi trochę idiotycznie, co?

– Wcale nie. – Emil położył jej dłoń na udzie. – Ja się ciebie nie boję. I cię szanuję...

Miała wrażenie, jakby chciał coś dodać, ale tego nie zrobił i zostało, jak zostało. Już nawet nie zastanawiała się nad tym, jak długo trwa ich relacja, pewnie koło roku, może trochę dłużej. Oczywiście do tej pory nie powiedziała Emilowi wszystkiego, bo najzwyczajniej w świecie nie była do tego upoważniona, ale wiedział wystarczająco dużo, aby rozumieć, że ma do czynienia z kimś więcej niż z kobietą w mundurze. To, co ją w nim urzekło, to fakt, że choć poza byłym mężem był pierwszym facetem spoza branży, który miał na tyle wysoką samoocenę, że jego libido nie roztrzaskiwało się w drobny mak, gdy przyznawała, kim jest, czym się przed laty zajmowała i jakie są jej oczekiwania wobec mężczyzny, z którym chce iść do łóżka, to potrafił ją zaspokoić w takim stopniu, w jakim do tej pory nie był w stanie zrobić tego nikt inny. A do tego był dyskretny, dzięki czemu mogła się przed nim otworzyć i najzwyczajniej w świecie miło porozmawiać. Być może dlatego poza samym seksem zawiązała się między nimi specyficzna nić porozumienia, trochę przypominająca przyjaźń. Emil zresztą często to podkreślał, twierdząc, że Luta to spełnienie marzeń każdego faceta, taki odpowiednik wiernego kompana ze szkolnej ławki, z którym można konie kraść, a potem wskoczyć do łóżka i pieprzyć się do utraty tchu. Czasami się zastanawiała, jak długo to wszystko jeszcze potrwa, bo niezależność, którą tak sobie ceniła, powoli zaczynała ją tłamsić. Chciała i zarazem nie chciała być sama, ale z tyłu głowy wciąż siedziała jej wizja byłego męża, prawie

czterdziestoletniego maminsynka z pełnym pakietem objawów kryzysu wieku średniego, w cabrio i przekrzywionej czapeczce z daszkiem, który myślał, że jeśli pracuje w Norwegii i zarabia szmalec, to jest wart więcej niż jego bezrobotni koledzy z osiedlowej ławki.

Gdy w łazience spojrzała w lustro i zobaczyła swój czerwony tyłek, aż się przestraszyła. Planowała jutro wybrać się na trening, a że w klubowej szatni przebierała się z facetami, to zastanawiała się, czy do wieczora ślady znikną i nie będzie musiała kombinować, jak je zamaskować.

Uśmiechnęła się do Emila, gdy stanął za nią i objął ją w talii. Przez dłuższą chwilę wpatrywali się w swoje odbicia, a potem pociągnął za przyczepioną do obroży smycz, zmusił Lutę, aby się obróciła, i jeszcze raz namiętnie ją pocałował. Wzięli prysznic, a później kochali się jeszcze dwukrotnie, tym razem nieco bardziej tradycyjnie, choć wciąż tak dziko i zachłannie, jakby to miał być ich ostatni raz. W przerwach popijali białe wino i zajadali hiszpańskie sery oraz winogrona. Dużo też rozmawiali. Rozumieli się doskonale i była między nimi wyjątkowa naturalność, pozbawiona chwil niezręcznej ciszy, które przydarzają się nie najlepiej dobranym parom kochanków. On imponował jej odczytaniem, zaradnością i determinacją w dążeniu do celu, ona jemu wewnętrzną siłą, temperamentem i absolutnie niespotykaną osobowością.

Gdy krótko po drugiej w nocy w końcu się ubrała i stanęła przed drzwiami, Emil raz jeszcze długo i namiętnie ją pocałował. I tym razem nie miała już wątpliwości, że ten pocałunek był inny, niósł w sobie coś więcej, ale w końcu przekręciła zamek, podziękowała za miły wieczór i wyszła.

Na zewnątrz wciągnęła w płuca ciepłe powietrze, po czym wsiadła na motor i pognęła do domu, gdzie czekała na nią szara rzeczywistość.

– Śpią? – zapytała, wchodząc na palcach do salonu, gdzie na sofie z kubkiem herbaty w dłoni siedziała Mirka. Jak zwykle oglądała jakiś serial na Netfliksie. Wyglądała na przeraźliwie zmęczoną.

– Jak zabite. Ja też już odpływam. Mogę się dziś u ciebie kimnąć?

– No pewnie. Co to w ogóle za pytanie!

– Jak się udała randka? – Mirka ziewnęła i odstawiła kubek na ławę.

– Czuję się zaspokojona. – Luta uśmiechnęła się szelmowsko.

– Przynajmniej ty. Bo ja to ostatnio trafiam na samych... – Mirka nie dokończyła, tylko machnęła ręką, a potem znowu potężnie ziewnęła. – Jeśli nie masz nic przeciwko, to już się położę.

– Jasne. Raz jeszcze dziękuję. Chyba nigdy ci się nie odwdzięczę.

– Powtarzasz się, Lutka.

– Wiem, wiem, ale...

– Dobraaanoc. – Mirka nakryła się kocem, przekręciła na bok i przyłożyła głowę do poduszki.

Luta zgasiła telewizor i poszła umyć zęby, po czym uchyliła drzwi do pokoju dzieci. Franek jak zwykle spał twardym snem, a Werka cichutko pochrapywała. Uśmiechnęła się pod nosem, gdy zdała sobie sprawę, jakie ma szczęście, a potem z powrotem przymknęła drzwi i skierowała się do sypialni.

Gdy już zupełnie naga wsunęła się pod kołdrę, pomyślała, że potrzebuje jakiejś zmiany, i obiecała sobie, że jutro się nad tym zastanowi. Nie mogła wiedzieć, że los ją wyprzedzi, fundując jej koszmar, jakiego nie była sobie w stanie wyobrazić. Nawet jeśli nazywała się Lutosława Karabina, a w szufladach trzymała ordery przyznane jedynej kobiecie w historii, która przeszła selekcję i zdała egzamin na żołnierza słynnej Jednostki Wojskowej Komandosów z Lublińca.

ROZDZIAŁ 6

Klama już nie pamiętał, kto, kiedy i dlaczego przykleił mu taką ksywę. Może z powodu charakterystycznego orlego nosa albo nazwiska, a może dlatego, że za dzieciaka ciągle biegał z pukawką na wodę i strzelał do każdego, kogo spotkał. Poza tym używał przynajmniej kilku imion i nazwisk, w których od jakiegoś czasu sam zaczął się gubić. Było to jednak konieczne, bo Klama od najmłodszych lat był łobuzem, a gdy wszedł w okres dojrzewania, zaczął też kraść i sprzedawać narkotyki. To oczywiście szybko zaowocowało wstąpieniem w szeregi pierwszej w swoim życiu grupy przestępczej, dzięki czemu zyskał upragnione poważanie i szacunek na ulicach miasta. W końcu był kimś, a nie tylko popychadłem zboczonego ojca i osiedlowym leszczem, którego wszyscy traktowali jak trędowatego. Niestety Klama był też głupi i chciwy i pomimo że jak na człowieka w jego wieku na dilerce kasował naprawdę dobre pieniądze, pewnego dnia wpadł na pomysł, aby sobie dorobić i otrzymywane od dostawców porcje narkotyków zaczął potajemnie miksować z wszelakiego rodzaju innymi substancjami, generalnie zaś rozcieńczać, osłabiając ich działanie, przez co poważnie nadwyrężył zaufanie i renomę szefów. Jego nieprzemyślana działalność oczywiście wyszła na światło dzienne stosunkowo szybko, w związku z czym Klama wyleciał z biznesu na zbity pysk nie tylko w przenośni, bo po spotkaniu z szefami i ich goryłami musiał przejść szereg operacji, od ześrubowania puszczeli po rekonstrukcję szczęki.

Cała ta sytuacja niewiele go nauczyła, bo zamiast spróbować wrócić na łono społeczeństwa obywatelskiego, Klama wykombinował, że będzie okradał domy. Tu także nie poszło mu najlepiej, bo choć obserwował cel pierwszej niedoszłej grabieży przez dwa tygodnie, zamiast z gotówką i biżuterią z rezydencji państwa Moskwiczów wrócił z dziurą w dupie po kłach przerośniętego rottweilera podrzuconego im dwa dni wcześniej przez syna, który wylatywał na urlop do Grecji. Pomimo niespecjalnie wysokich szans na szybką resocjalizację sędzia orzekająca w jego sprawie była dla Klamy łaskawa i skazała go na kilkadziesiąt godzin prac społecznych oraz rok pozbawienia wolności w zawieszeniu. Chwilowy przeblysłk racjonalnego myślenia sprawił, że Klama podjął się

pierwszej uczciwej pracy jako pomocnik w firmie przeprowadzkowej. Szybko się jednak okazało, że to nie jest praca dla człowieka z jego wykształceniem, a do tego ciężka i boli od niej kręgosłup, w związku z czym wytrzymał tydzień i rzucił robotę w cholere, wcześniej zwijając kasę od jednego z klientów. Za ten numer Klama znów dostał wpierdol, tym razem od szefa firmy, a w zasadzie od kilku opłaconych przez niego osiłków, dzięki czemu Tomasz Gruchała z przedsiębiorstwa Gruchpol Przeprowadzki mógł napluć i nasikać na obitego na kwaśne jabłko byłego pracownika, po czym puścić w świat informację, że lepiej z nim nie zadzierać.

Ta sytuacja dość mocno Klama wstrząsnęła, wobec czego znów zapragnął stać się kimś więcej niżli chłopcem do bicia i postanowił skumać się z inną ekipą, której głównym zajęciem był przemyt kobiet, głównie ze Wschodu na Zachód. Krótco po wstąpieniu w jej szeregi w poczuciu siły i z pragnienia zemsty na kimś, kto boleśnie go skrzywdził, zrobił coś, co mogło wysłać go za kratki na długie lata, więc jego sytuacja dość poważnie się skomplikowała i w zamian za pomoc w rozwiązaniu problemu został zmuszony do odpracowania długu. Nie był to lekki kawałek chleba i choć Klama zagryzł zęby i robił wszystko, aby zdobyć szacunek twardszych i bardziej doświadczonych kompanów, nawet z poparciem szefa nie podołał zadaniu. Skończyło się jak zwykle i w najgorszym możliwym momencie Klama nie wytrzymał ciśnienia – popełnił fatalny w skutkach błąd, przez co ponownie wylądował w szpitalu, tym razem spędzając w nim więcej czasu i nieomal ocierając się o śmierć.

Klama nie byłby Klama, gdyby po wyjściu ze szpitala nie wpadł na kolejny rewizjonistyczny pomysł na zarobienie dużych pieniędzy tanim kosztem. Na jego nieszczęście tak się złożyło, że leżał na oddziale z mężczyzną, który żył z grania u bukmachera, choć słowo „żył” było tu na wyrost, bo tak naprawdę wegetował na kawie, suchym chlebie i zupkach chińskich – przez uzależnienie od hazardu regularnie tracił wszystkie pieniądze, które otrzymywał od państwa jako niezdolny do pracy. Oczywiście on widział to inaczej, bo od czasu do czasu wygrywał i te pieniądze wydawał na picie i kurwy. Nie dopuszczał jednak myśli, że dzień później drugie tyle tracił, przez co wychodził na gruby minus i musiał brać chwilówki, a gdy już nie był w stanie spłacać chwilówek, zapożyczał się u ludzi z szarej strefy. Tego jednak Klama nie powiedział, podobnie nie przyznał się do tego, że leży w szpitalu z powodu wizyty wierzycieli, którzy upomnieli się o dług. Ziarno jednak zostało zasiane i Klama – jako odwieczny znawca futbolu i sportu wszelakiego – postanowił rzucić wyzwanie bukmacherom. Skończyło się jak

zawsze i już kilka miesięcy później znów wyzerał resztki ze śmietników przy garażach, a jego długi u ludzi z półświatka przekroczyły dwadzieścia tysięcy złotych i ciągle rosły. Zwijanie ze sklepowych półek perfum czy innych chodliwych towarów nie pozwalało mu wyjść na finansową prostą, wobec czego coraz częściej w różnych rejonach miasta, głównie wieczorami albo nocą, zaczynał się na spacerowiczów, po czym pod groźbą pobicia zabierał im portfel i wracał do bukmachera.

Dokładnie tak postąpił poprzedniego wieczoru i obecnie siedział u kumpla przed telewizorem, trzymając kciuki za FC Barcelonę zamykającą mu kupon, na który Klama wydał czterysta dwadzieścia złotych. Potencjalna wygrana była dużo bardziej okazała, bo wynosiła dwa tysiące sześćset trzydzieści osiem złotych. Brakowało już bardzo niewiele, bo po bramce Roberta Lewandowskiego Barcelona prowadziła do dziewięćdziesiątej drugiej minuty jeden do zera. Karny dla Sevilli w dziewięćdziesiątej trzeciej zmienił jednak wszystko, a Klama omal nie wyrwał sobie z głowy wszystkich włosów.

Przez kolejny kwadrans przeklinał obrońcę, który sprokurował faul, trenera Barcelony za zachowawczą taktykę i kiepskie zmiany, a nawet słupek, w który kilkanaście minut wcześniej trafił Lewandowski. Potem przerzucił się na los i Boga, w którego nie wierzył, ale podczas meczów wielokrotnie wzywał jego imię nadaremno. W końcu w akcie buntu wepchnął sobie pechowy kupon do ust, przeżuł go, połknął i popił zwietrzałym piwem.

– Zawsze przez jedno... – powtórzył po raz enty, zapalając papierosa od kolegi. – Zawsze, kurwa! Jestem urodzony pod jakąś złą gwiazdą. Wisi nade mną pierdolone fatum. Nie wiem już, naprawdę nie wiem, co mam...

– A ja to co? Miałem do wyjęcia prawie piątkę – licytował się Mózgol. W jego przypadku ksywa miała dość oczywistą genezę, bo chłop miał wielki łeb, przez co przypominał wychudzonego kosmitę bez czułek. – Zamiast się nad sobą użalać, lepiej skręć blanta – dodał, pstrykając w stronę Klamy paczkę bletek.

– Nie chcę. Wpierdolę się w jeszcze większego doła.

– Musisz zawsze myśleć tylko o sobie? Mam ci przypomnieć, u kogo kimasz od blisko miesiąca?

– Będiesz mi teraz wypominał?!

– Nie, ale chyba możesz ulepić tego jebanego blanta, co?

Klama przewrócił oczami, ale wziął się do roboty. Po chwili wyczarował pięknego, równego skręta, którego przypalił i od razu oddał Mózgowskiemu.

– Masz jakieś drobne? – zapytał.

– A ty nie masz? Chwaliłeś się przecież, że tamten dziadek miał w portfelu prawie tysiąka...

– Kupiłem piwo, a muszę mieć jeszcze jutro na los. Poza tym dałem ci dwie stówy na chatę.

– I tak się nie kalkuluje.

– Chuja tam umiesz liczyć. Ale dobra, niech ci będzie. Mamy jeszcze materiał?

– Kończy się. Możesz zadzwonić do Kaprała. Powinien się kręcić w okolicy. On zawsze ma przy sobie jakieś palenie.

Klama wstał, otrzepał się, zaklął siarczyście, po czym wyciągnął telefon. Wybrał numer i umówił się z dostawcą. Następnie skorzystał z toalety i wyszedł z mieszkania. W pobliskiej Żabce kupił dwie paczki fajek, tanią wódkę i czteropak przecenionego piwa. Po krótkim namyśle dorzucił jeszcze dużą paczkę popcornu i dwie małe konserwy, które dyskretnie schował do kieszeni. Za resztę niechętnie zapłacił, po czym wyszedł i udał się na skraj parku przy garażach. Tam czekał już na niego Kaprał. Przywitał się z dilerem, ale wtedy zza winkła wyskoczyło dwóch dryblasów.

– Cześć, Klama – rzucił łysy z blizną na policzku. – Jesteś dwie dychy w plecy, a zamawiasz palenie?

– Imprezę robisz? Może dołączymy? – dodał drugi, niższy i bardziej krępy, z tatuażami na obu przedramionach, jednocześnie dając sygnał dilerowi, że ma im zejść z oczu.

Przez ułamek sekundy Klama myślał, żeby wziąć nogi za pas, ale szybko zrezygnował z tego pomysłu. Znał tych kolesi, bo kiedyś robił z nimi dla lokalnego gangstera. Na wyższego wołali Pozioma, a niższy miał ksywę Cypis. Skoro się tu na niego zaczaili, to na pewno wiedzieli, a przynajmniej się domyślali, gdzie przebywa. Ucieczka mogła tylko pogorszyć i tak już fatalną sytuację.

– Oddam w przyszłym tygodniu. Przysięgam – powiedział, ale w jego tonie trudno było szukać przekonania.

– Termin minął wczoraj – odparł łysy z blizną.

– Myślałem, że...

Pozioma nie należał do cierpliwych, być może też uznał tę próbę wykpienia się za niesatysfakcjonującą, a nawet obraźliwą, bo zniecacka uderzył Klamę pięścią w brzuch. Cios był silny i sprawił, że ten złożył się jak scyzoryk i upuścił siatkę z zakupami. Zanim Klama się obejrzał, drugi z osiłków podciął mu nogi. Gdy po chwili leżał na ziemi, wijąc się i jęcząc z bólu, poczuł na policzku coś zimnego.

– Masz tydzień – mruknął Pozioma, pukając go ostrzem noża pod okiem. – Jeśli nie oddasz pieniędzy, nie będziemy już tak wyrozumiali.

– Potniemy ci ryja, tak że cię rodzona matka nie pozna – dodał Cypis, szczerząc zęby w szkaradnym uśmiechu.

– To jak? Możemy na ciebie liczyć? – znów odezwał się Pozioma.

– Od-d... od-dam.

- Skąd weźmiesz kasę?
- Coś w-w-wymyślę.
- To lepiej od razu rusz głową, bo jak nawalisz, nie będziesz już miał czym ruszać. Rozumiemy się?

Klama przytaknął, a na koniec przyjął jeszcze kopniaka w klatkę piersiową. Na szczęście zdążył się osłonić rękami, mimo to gdy Pozioma i Cypis zniknęli z pola widzenia, jeszcze długo leżał na ziemi, ciężko dysząc. Podniósł się, dopiero gdy dostrzegł przechodzącego obok starszego mężczyznę z psem. Nie chciał wzbudzać zainteresowania, więc zacisnąwszy zęby, wstał, zabrał reklamówkę z zakupami i ruszył w drogę powrotną. Gdy mijał słup ogłoszeniowy, jego wzrok przykuł plakat. Przez głowę przemknęła mu pewna myśl. Z początku wydała mu się irracjonalna, ale że Klama potrafił racjonalizować sobie nawet najgłupsze pomysły, wyciągnął telefon i odszukał w historii artykuł dotyczący darknetu i sposobów, jak można go wykorzystać, aby szybko zarobić, ale się nie narobić. Usiadł na ławce, otworzył piwo i zaczął czytać. Po kwadransie pomyślał, że temat wygląda obiecująco, a on zdołałby upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Uśmiechnął się pod nosem, gdy zdał sobie sprawę, że może nawet trzy albo i więcej...

ROZDZIAŁ 7

Pozycja nie była optymalna, ale wielu niedoświadczonych przeciwników łapało się na ten mały podstęp. Mikołaj okręcił się o dziewięćdziesiąt stopni, ale wtedy Luta gwałtownie zacisnęła kolana na plecach i klatce piersiowej partnera, a następnie zarzuciła prawe ramię na jego kark, w mgnieniu oka zapinając gilotynę. Odchyliła się, spięła wszystkie mięśnie i odczekała kilka sekund. Przeciwnik nie miał wyjścia i aby nie stracić przytomności, odklepał.

– Klamerka. – Uśmiechnęła się Luta, poluzowując uścisk. – Jeszcze raz?

– Yhy.

Przyjęli pozycje i chwilę później znów tarzali się na macie pośród innych sparujących. Mikołaj, choć ważył niecałe siedemdziesiąt kilogramów, był silny, a do tego cholernie ambitny. Rozumiała to, bo większość facetów unikała sparowania z nią, a gdy już na nich wypadło i musieli, strasznie się spinali. Mikołaj należał do tych najbardziej krewkich, głównie z racji wieku i braku techniki, wobec czego bardzo przeżywał, gdy na oczach innych zawodników zielonogórskiego Octopusa po raz kolejny musiał odklepywać w walce z kobietą. I tym razem dał się podejść – a Luta już po kilkudziesięciu sekundach założyła nogami trójkąt, a następnie balachę na rękę. Odklepał, klnąc pod nosem. Do końca zostały jeszcze dwie minuty, wystarczająco na przynajmniej jeden pojedynek. Tym razem młody ją zaskoczył i szybko znalazł się na górze. Dosiadł ją i przygniótł własnym ciałem. Operowała nogami, próbując wyeliminować jedną z rąk przeciwnika, aby przygotować sobie pozycję do ataku i duszenia nogami, ale Mikołaj najwyraźniej wyciągnął wnioski i zszedł niżej, samemu przygotowując trójkąt rękami. Luta wiedziała, jak zareagować, ale wtedy on – choć miało to wyglądać na przypadkową akcję – dwukrotnie uderzył ją głową w lewe ucho. Poczuła, jak ból rozlewa się po całej czaszce, i na ułamek sekundy straciła czujność. Wtedy Mikołaj wsunął prawe ramię pod jej kark, wyrwał się z kleszczy ud i wyeliminował prawą rękę, po czym docisnął własne ciało do maty, zakładając trójkąt rękoma i duszenie, z którego już nie miała prawa się wyrwać.

Odklepała.

Mikołaj podniósł się i wyciągnął dłoń, aby pomóc jej wstać. Spojrzała mu wymownie w oczy i podniosła się, wciąż lekko oszołomiona. Chwilę później prowadzący zajęcia zarządził przerwę.

– Wszystko w porządku? – zapytał Krzysiek, widząc, że Luta raz po raz sprawdza dłonią lewe ucho.

– Tak.

– Na pewno?

– Lekko mnie szturchnął, to nic.

Nie miała zamiaru robić Mikołajowi pod górkę. Poniosło chłopaka i w sumie mogła się tego spodziewać. Krzysiek, jakby doświadczenie podpowiadało mu, że walka nie była do końca czysta, przyjrzał się uchu Luty z bliższej odległości. Pozwoliła mu, ponieważ znali się od lat. Szanowała go, bo był porządnym i uczciwym człowiekiem, a do tego świetnym trenerem, który nie dość, że wciąż odnosił sukcesy na zawodach spod znaku BJJ, to jeszcze w bardzo przystępny sposób potrafił przekazać swoją wiedzę. Kiedyś kilka razy stanął nawet w jej narożniku, a dziś chuchał na nią i dmuchał, bo założony dwa lata temu klub stał się oczkiem w jego głowie, a obecność Luty mogła przyciągnąć na treningi więcej kobiet, na czym bardzo mu zależało.

– Na razie nic nie widać, ale nie lekceważ tego – powiedział jej na odchodne, a ona przytaknęła i poszła do szatni.

Nie brała prysznic, bo i tak planowała jeszcze przebieżkę. Spakowała swoje graty, przybiła piątkę chłopakom i opuściła kamienicę, w której znajdowała się sala Octopusa. Droga do domu zajęła jej nieco ponad dwadzieścia minut. Myślała o dzieciach i o tym, jak wiele traci, gdy wyjeżdża na kolejne rotacje. Owszem, w porównaniu z kilkumiesięcznymi misjami na drugim końcu świata dwa tygodnie jawiły się jak mgnienie oka, ale za każdym razem, gdy wracała, widziała różnicę. Franek i Werka rośli jak na drożdżach, każdego dnia uczyli się nowych rzeczy. Od jakiegoś czasu Lucie chodził po głowie pomysł, by wrócić do kraju na stałe i założyć szkołę samoobrony dla kobiet. Zrobiła już nawet wstępne rozeznanie i wszystko wskazywało na to, że na brak klientów raczej by nie narzekała. W Zielonej Górze była jedną z dwóch kobiet, które mogły się pochwalić umiejętnościami na tak wysokim poziomie, choć Alicja Kołdun – z którą zresztą doskonale się znały – była raczej typową fighterką, startującą od czasu do czasu nawet na galach mieszanych sztuk walki. Rozpoznawalność dawała jej pewną przewagę, ale Alucha wyspecjalizowała się w typowo wyczynowym podejściu do sportów walki, w przeciwieństwie do Luty, która poza znajomością elementów boksu, kick-boxingu, judo i brazylijskiego jiu-jitsu w wojsku opanowała też techniki niekoniecznie przynoszące chlubę na ringu czy macie, ale za to niezawodne na polu walki, a co za tym idzie – także na ulicy. Wiedziała, jak

błyskawicznie obezwładnić napastnika, także uzbrojonego, a w razie konieczności sprawić, aby już nigdy więcej nikogo nie skrzywdził. Mówiąc wprost: Luta nauczyła się zabijać. I potrafiła to robić.

Pomyślała, że to nie najlepszy slogan na szyld reklamowy. Ale już coś nawiązującego do samoobrony przed napastnikiem uzbrojonym w nóż czy pałkę mogłoby chwycić. Zwłaszcza w przypadku kobiet, które zawsze wydawały się łatwiejszym celem dla różnej maści psycholi. Większość facetów nie zdawała sobie sprawy, że dla ich sióstr, koleżanek czy partnerek samotny powrót z dyskoteki, wieczorny spacer z psem po parku czy nawet przejście pod ciemną latarnią od taksówki do klatki schodowej zamieniało się w chwilę grozy. Stąd prośby, telefony, zapytania o odprowadzenie czy podwózkę, które mniej ogarniętej części facetów mogły wydawać się wydziwianiem czy fanaberiami. Nieraz słyszała rozmowy przyjaciółek, które narzekały na brak zrozumienia z ich strony, dzieląc się swoimi przykrymi historiami.

– Ja najbardziej boję się grupek podpitych małolatów – mówiła podczas jednego z babskich wieczorów Ela, atrakcyjna blondynka po trzydziestce. – I palicho te ich gwizdy czy głupie teksty. Raz mnie otoczyli i próbowali dotykać. Ostatecznie odpuścili, ale od tamtego czasu zawsze noszę ze sobą gaz pieprzowy.

– Mnie zawsze serce podchodzi do gardła, gdy za plecami słyszę czyjeś kroki – licytowała Magda, biuściasta brunetka w okularach. – A jeszcze jak zrównują się z moimi... Chryste!

– I te cienie. Od świateł latarni. Długie, pokraczne cienie samotnych facetów.

– A ty, Luta? Czego ty się najbardziej boisz?

W tego typu dyskusjach Karabina czasem czuła się zażenowana, bo niezręcznie było jej mówić o tym, że podobne lęki są jej zupełnie obce. Wbrew pozorom częściej miała okazję natknąć się na potencjalnych napastników, bo w przeciwieństwie do koleżanek nie unikała wieczornych spacerów. Zwłaszcza przed urodzeniem Franka i Werki zdarzało się jej chodzić samej, czasem biegać po parkach czy miejscach o nie najlepszej renomie. Różnica polegała na tym, że w odróżnieniu od kobiet ze swojego otoczenia ona czuła się bezpiecznie. Sporo czytała i doskonale zdawała sobie sprawę, że większość potencjalnych agresorów to zakompleksione i sfrustrowane gnojki, niepotrafiące znaleźć sobie kobiety. Werbalne zaczepki, próby molestowania czy innego rodzaju napaści były dla nich niczym innym jak tylko sposobem podniesienia szorującej po dnie samooceny. Ale w konfrontacji z Lutą zawsze kończyli tak samo – najpierw był szok i niedowierzanie, później panika, a gdy w końcu puszczała delikwenta, pod warunkiem że ten jeszcze był w stanie ustać na nogach, podwijał kiecę i znikał w podskokach. W przypadku grupek gówniarzy wystarczyło obezwładnić jednego, góra dwóch, a reszta natychmiast się wycofywała.

– Boję się psów bez kagańca – odpowiadała więc wymijająco koleżankom. I w sumie nie kłamała, bo rzeczywiście nie czuła się najlepiej w towarzystwie dużych czworonogów. Zdawała sobie sprawę, dlaczego tak jest. Gdy miała pięć lat – mieszkała jeszcze wtedy we wsi pod Poznaniem – pogryzł ją pies sąsiada. Do tej pory pod prawym pośladkiem miała dwie blizny po tamtym zdarzeniu.

Gdy Luta weszła do swojej klatki, przeszło jej przez myśl, żeby wdrapać się po schodach na siódme piętro, ale ostatecznie zrezygnowała. Dziś i tak dała sobie w kość. Marzyła już tylko o zimnym prysznicu, porządnym obiedzie i chwili spokoju. Czasem się zastanawiała, czy nie zaproponować Mirce wspólnego mieszkania. Wiedziała, że przyjaciółka nie ma lekko – dzielenie lokum z byłym mężem, który co rusz sprowadzał sobie kochanki, z pewnością nie należało do przyjemnych doświadczeń. Długi, jakich narobił Bartosz, gdy jeszcze byli małżeństwem – i których nie spłacał, bo był zwykłym skurwysynem bez honoru – sprawiały, że Mirka musiała liczyć każdą złotówkę. Rozwiodła się z nim prawie rok temu, ale Luta miała wrażenie, że przyjaciółka z każdym dniem coraz bardziej zapada się w sobie. Tylko czy Mirka chciałaby zamieszkać z dwójką dzieci? Sama nie miała potomstwa, bo eks po ośmiu latach związku oświecił ją, że jest bezpłodny. Była jednak przedszkolanką, więc miała doświadczenie, a do tego mogłaby liczyć na wsparcie ze strony Luty.

Uśmiechnęła się na widok przyjaciółki, która wspólnie z Werką układała puzzle ze Skye z *Psiego patrolu*. Mirka była całkowitym przeciwieństwem Luty. Drobna, szczupła blondynka o niebieskich oczach i wydatnym biuście, zwykle uśmiechnięta i bardzo pomocna. Gdy czasem wypłyły za dużo wina, śmiały się, że połączyły je koszarne imiona. Lutosława i Mirosława w latach dziewięćdziesiątych brzmiały na szkolnych korytarzach nie lepiej niż Genowefa czy Kunegunda, a wiadomo, że dzieciaki potrafią być okrutne. Wszystkie Anki, Kaśki czy Karoliny często im z tego powodu dokuczały, więc jakoś tak wyszło, że usiadły w jednej ławce, a przyjaźń – pomimo różnych charakterów i pokręconych kolei losu – niemal niezmacona przetrwała do dzisiaj.

– Jestem – oznajmiła Luta, odsłaniając zęby w szerokim uśmiechu.

Mirka z nieskrywaną zazdrością powiodła wzrokiem za Werką, która zerwała się z podłogi, by rzucić się w ramiona matki. Franek zareagował mniej ekspresyjnie, a w zasadzie wcale, bo jak zwykle siedział z nosem w tablecie i grał w jakąś gierkę albo – czego ani Mirka, ani Luta nie były w stanie zrozumieć – oglądał, jak na YouTubie gra ktoś inny.

– Dałaś im popalić? – zapytała Mirka, gdy Luta wyswobodziła się z objęć córki.

– Czterech odklepało, jednego prawie zadusiłam. Tylko ten młody...

– Co młody?

– No właśnie młody, młody. Taki Mikołaj, dopiero co skończył osiemnaście lat. Nie jest w stanie znieść, że technicznie jeszcze sporo mu brakuje i... ech... – Luta machnęła ręką. – Szkoda gadać.

– Ale widzę, że żyjesz.

– Żyję, tylko ucho mnie boli. Dwa razy przyłożył mi z główki i jestem pewna, że zrobił to specjalnie.

Mirka podeszła do przyjaciółki, odgarnęła jej z twarzy kilka kosmyków włosów i przyjrzała się obrażeniom. Na wewnętrznej stronie małżowiny pojawił się mały krwiak, ale nie wyglądał groźnie, można by go nawet pomylić z pryszczem.

– Nic ci nie będzie, choć moje zdanie znasz. – Przyjaciółka zacisnęła usta w linię i wymownie uniosła brwi. – Mogłabyś trochę zbastować, bo młodsza i piękniejsza już nie będziesz. A wiesz, jakie są teraz te koguciki. Wąłą sterydy na lewo i prawo, a potem mają jakieś zmiany w mózgowiu, włącza im się agresor...

– Akurat do takich nawet nie podchodzę. Mikołaj to chuchro, ale jest silny i czasem go ponosi. Ot co.

– Twoja sprawa. A teraz znykam. Muszę trochę pomieszkać u siebie. I zabieram tę książkę. – Mirka chwyciła leżący na komodzie kryminał z przerażającą okładką, na której widniała postać w skórzanej masce BDSM. – Słyszałam, że mają kręcić serial na jej podstawie. Naprawdę jest tak dobra, jak piszą w necie?

– Znając twój gust, nie zawiedziesz się. Dzięki, że zajęłaś się dziećmiakami.

– Nie ma za co. Do później.

Gdy Mirka wyszła, Luta wzięła prysznic, a następnie zajęła się przygotowaniem obiadu. Na szybko zrobiła spaghetti z sosem neapolitańskim, które Franek i Werka mogli jeść codziennie. Spałaszowali ze smakiem i po krótkiej sjeście obejmującej godzinne oglądanie bajek całą trójką poszli na osiedlowy plac zabaw. Gdy Luta huśtała córkę, zadzwoniła matka. Odzywała się raczej rzadko, zwykle jak czegoś potrzebowała. Zamieniły kilka kurtuazyjnych zdań, ale w tonie Krystyny wyraźnie wybrzmiewała znajoma nuta.

– Lutka... – Matka zawiesiła głos, gdy w końcu odważyła się przejść do sedna. – Chciałabym zaproponować wam wspólne wyjście. W mieście rozłożyły się te wszystkie karuzele i... – Znów zrobiła pauzę. – Może, wiesz... może byśmy się wybrali tak wszyscy razem?

– Wszyscy?

– No wiesz, o co mi chodzi. Chciałabym, żebyście spróbowali się z Nikosem jakoś dogadać. Przecież to twój brat...

– Nikos to nieodpowiedzialny gówniarz. – Luta zniżyła głos w obawie, że usłyszy ją Werka albo hasający obok Franek. Bujnęła córkę nieco mocniej,

a potem, mimo jej protestów, odeszła kilka kroków. – Dostał już wiele szans i ode mnie, i od ciebie, ale nie wygląda mi na kogoś, kto wyciągnął wnioski.

– Jesteś dla niego zbyt surowa. Poza tym twój brat się zmienił. Wczoraj z nim rozmawiałam. Obiecał, że...

– Mamo – przerwała matce Luta, po czym zerknęła na huśtającą się córkę. – Nie mam teraz na to czasu. Nikos obiecywał już setki razy. Nie obietnice, a czyny świadczą o człowieku, zwłaszcza o mężczyźnie. Dopóki nie zobaczę, że...

– Daj mu szansę. – Tym razem to matka weszła jej w słowo. – Nie zobaczysz czynów, jeśli będziesz go wiecznie unikać. Ostatnio nie mogłam na was patrzeć. Naprawdę musiałaś być wobec niego taka szorstka?

– Nie miałaś prawa zostawiać Franka pod jego opieką.

Ta rozmowa najwyraźniej zaczęła zbaczać w złym kierunku. Kilka dni wcześniej Luta i tak zachowała się dyplomatycznie. Nie chciała, żeby dzieci wiedziały, co naprawdę myśli na temat ich wujka, dlatego niczym zawodowa aktorka udawała, że wszystko jest okej. Ale nic nie było okej. Owszem, dostrzegła, że Nikos dąży do nawiązania rozmowy, ale najwyraźniej zabrakło mu odwagi. A to oznaczało, że najprawdopodobniej nie ma przekonujących argumentów i wciąż tkwi w tym samym szambie.

– Przepraszam. Masz rację, nie powinnam. – Matka uderzyła w koncyliacyjny ton. – Ale nie daj się prosić. Nikos potrzebuje wsparcia. Rozmawiałam z nim i naprawdę chce naprawić to, co zepsuł. Pójdziemy na karuzelę, zjemy lody... Zgódź się, w końcu jesteś jego starszą siostrą. Czy naprawdę wymagam aż tak dużo?

– Chryste... – westchnęła Luta i w tym samym momencie usłyszała wołanie córki. Huśtawka już ledwo się bujała. – Dobrze – przystała niechętnie. – Jutro pójdziemy na karuzelę i może zjemy lody, ale nic poza tym. Na więcej Nikos musi sobie zapracować.

– Dziękuję.

– Zdzwoniemy się. Pa.

Luta przerwała połączenie i schowała telefon do kieszeni szortów. Uśmiechnęła się do marudzącej Werki i ściągnęła ją z huśtawki. Następnie rozejrzała się w poszukiwaniu Franka, ale nie zdołała go namierzyć. Gdzie on się podział? Poczowała lekkie ukłucie niepokoju. Jeszcze raz zlustrowała okolicę. Na ogrodzonym placu zabaw brykało czworo dzieci, ale jej syna wśród nich nie było.

– Franek! – krzyknęła. Serce jej przyspieszyło, a w głowie zawyła syrena alarmowa. – Fraaaaneek! Gdzie ty jesteś? Fraaaaneek!

Z Werką na rękach opuściła plac zabaw. Nie zwróciła uwagi na dwie inne matki, które siedziały na ławce, burcząc coś pod nosem. Rozglądała się nerwowo, czując, jak fala gorąca rozlewa się z jej klatki piersiowej po całym ciele. Przecież Franek nigdy się nie oddalał bez pozwolenia. Na drugim końcu ulicy zobaczyła czarne kombi z przyciemnionymi szybami, które z piskiem opon skręciło w główną. Kierowca ewidentnie się spieszył, bo autem aż zarzuciło. Niepokój w sercu Luty zamienił się w panikę.

I wtedy go dostrzegła.

Franek wyłonił się zza pobliskich krzaków, próbując zawiązać sznureczki od spodenek. Poczwała nagły przypływ ulgi. Szybkim krokiem ruszyła w kierunku synka.

– Nigdy więcej nie znikaj mi z oczu bez pozwolenia, jasne? – ostrzegła przesadnie srogim tonem.

– Ale ja już nie mogłem wytrzymać. I trochę się posikałem. O tu...

Na nogawce szortów Luta dostrzegła niewielką plamę. Mina Franka wyrażała mieszaninę wstydu i strachu, a jego oczy lekko się szklily.

– Nic się nie stało, synku. Zdarza się najlepszym – powiedziała tak łagodnie, jak tylko potrafiła. Postawiła Werkę, przyklękła i pomogła małemu zawiązać sznurki, a potem wstała i zmierzwiła jego czarną czuprynę. – Chodźmy, bo zbiera się na deszcz.

– Neeee... – jęknęła wyraźnie rozczarowana dziewczynka.

– Idziemy, idziemy – powtórzyła Luta. – A jak będziecie grzeczni, to jutro czeka was superowa niespodzianka.

– A jaka? – Frankowi od razu wrócił dobry humor.

– Niespodzianka to niespodzianka. Ale obiecuję, że emocji nie zabraknie.

Chwilę później cała trójka ruszyła w kierunku bloku numer trzydzieści siedem. Ani Luta, ani tym bardziej Franek czy Werka nie mieli pojęcia, że wyprawa na karuzelę dostarczy emocji, o jakich im się nie śniło.

ROZDZIAŁ 8

Emil Poleski był mężczyzną kochliwym, ale odkochiwał się tak szybko, jak się zakochiwał. Pomimo swoich czterdziestu czterech lat wciąż się nie ustatkował, co więcej – nie wiedział nawet, czy tego chce. Z jednej strony zawsze marzył, aby mieć przy sobie wierną kobietę, z drugiej jednak sam z wiernością był na bakier. Związki monogamiczne szybko mu się nudziły, a zafascynowanie kolejnymi kobietami ulatywało niczym gaz z otwartego piwa. Tak było z jego pierwszą szkolną miłością, Malwiną, podobnie z drugą, kilka lat starszą Moniką oraz z piękną ciemnoskórą Kolumbijką Pamelą, którą poznał na wymianie studenckiej w Hiszpanii. Karolinie założył na palec obrączkę i doczekał się z nią córki Oliwii, która dziś miała już piętnaście lat i sama zaczynała rozkochiwać w sobie kolejnych adoratorów, a że po matce odziedziczyła naturalną i subtelną urodę, ci nie odstępowali jej na krok. Po dziesięciu latach dość nudnego pożycia małżonkowie postanowili się rozstać, co nie było łatwe, ale konieczne. W życiu Emila rozpoczął się nowy etap – postawił na karierę literacką i skupił się na tworzeniu coraz to bardziej pokręconych historii kryminalnych.

Jego kariera nabrała rozpędu z kilku powodów, ale na tym, że jego książki sprzedawały się w ponadmilionowym nakładzie, najprawdopodobniej zaważyła znajomość z nadkomisarzem Zygmuntem Szatanem. Poznali się w nie do końca sprzyjających okolicznościach. Pewnego letniego wieczoru Emil, prowadząc swoje sportowe audi S3, zagapił się na seksowną spacerowniczkę i wjechał w tyłek starego opla vectry. Zaklął jak szewc, bo zdawał sobie sprawę ze swojej winy i z tego, że będzie musiał się srogo wykosztować. Jednak gdy wysiadł z wozu i zorientował się, że drugi kierowca jest pod wpływem alkoholu, aż mu się oczy zaświeciły. Najpierw zrugał faceta, a później wyciągnął telefon, żeby wezwać policję. Zanim jednak zdążył to zrobić, przed jego nosem wylądowała legitymacja komisarza z pionu kryminalnego, który wyglądał, jakby wrócił z wojny przeciwko kolumbijskim kartelom narkotykowym. Pijany gliniarz beknął i tonem nieznoszącym sprzeciwu kazał mu wsiąść do vectry, aby się rozmówić. Emil – zaskoczony i trochę przestraszony – posłusznie wykonał polecenie faceta

z blizną od ucha do ucha. Wbrew pozorom była to jedna z najlepszych decyzji w jego życiu.

– Kolumbijski krawat? – zachrypiął ubawiony Szatan, gdy kilka dni później usiedli do wódki. – Nawet o tym nie słyszałem, ale to ciekawe! Naprawdę wyciągają im język przez nacięcie na gardle i tak ich zostawiają?

– Tak mówiła moja była – odparł Emil, unosząc kieliszek wódki. Wypili. – Jej ojciec musiał uciekać z Cali, bo coś nawywijał. Potem doczytałem o tych krawatach, bo się zainteresowałem.

– Kolumbijka, powiadasz... – Gliniarz pokręcił głową z niedowierzaniem. – Ja nawet nie byłem w jebanych Włoszech. A ty? Proszę bardzo! Pisarz, kurwa mać... Uważasz się pewnie za niezłego harpagana, co?

– Tak jak pan to ujął, jestem tylko pisarzem. Od siebie dodam, że pisarzem, który chciałby pisać dobre książki. Tylko tyle i aż tyle. To jak, mamy umowę?

To była transakcja wiązana. Emil Poleski nawet się nie zająknął policji na temat wypadku i sam pokrył koszt naprawy swojego audi, który ostatecznie nie był tak druzgocący dla jego portfela, jak można by się spodziewać, a Zygmunt Szatan w ramach zadośćuczynienia przez najbliższy rok miał być dla niego fachowym wsparciem przy pisaniu kolejnej powieści. Wydana rok później *Garota* odniosła wielki sukces i sprzedawała się w prawie stu tysiącach egzemplarzy, sprawiając, że kariera Poleskiego dosłownie eksplodowała. Gdy przy okazji się okazało, że mężczyźni nadają na tych samych falach, a ich comiesięczne spotkania przy wódce są przyjemnością, umowa samoistnie uległa przedłużeniu. Szatan pomógł Poleskiemu nawiązać kontakt z prokuratorem Bielskim, patomorfologiem Molendą i kryminalistykami Gramzą i Rozeńską, w związku z czym pomysłów – także opartych na prawdziwych wydarzeniach – Emilowi nie brakowało, a jego kolejne powieści na tle książek wydawanych przez innych autorów charakteryzowały się rzadko spotykanym profesjonalizmem i niebywałą dbałością o szczegóły. Docenili je recenzenci, pokochali czytelnicy, a o prawa do ekranizacji biły się największe studia filmowe w kraju. Z czasem z własnej nieprzymuszonej woli Emil – zaczął odpalać gliniarzowi drobne kwoty, co jeszcze bardziej związało obu mężczyzn.

Dziś wypadła trzeci piątek miesiąca. Trzeci piątek miesiąca oznaczał nasiadówkę przy wódce z Szatanem, a nasiadówka przy wódce z Szatanem oznaczała kolejną mroczną historię. Tej zaś Poleski potrzebował bardziej niż zwykle, bo w ostatnim czasie miał wrażenie, że wena gdzieś mu się zawieruszyła.

Emil otworzył furtkę, na której na pojedynczym druciku wisiała przekrzywiona tabliczka z narysowanym pyskiem owczarka i napisem „Ja tu pilnuję”. Owczarka nie było już od ponad pół roku – pokonał go jakiś psi nowotwór – przez co Emil miał wrażenie, że chałupa Szatana nabrała jeszcze bardziej posępnego wyrazu. O bestii przypominała dziś tylko rozpadająca się buda i metalowa miska

z deszczówką, której najprawdopodobniej gospodarz nie tknął od śmierci wiernego druha.

Wciąż lekko siąpiło po krótkiej, acz intensywnej burzy, a na niebie pojawiła się piękna tęcza. Poleski rozejrzał się po podwórzu, na którym w błocie brodziło kilka kur. Z chlewu dochodziły odgłosy, które zawsze przyprawiały go o dreszcze. Przechodząc od furki pod ganek, czasem się zastanawiał, co kryje się w środku, ale Szatan konsekwentnie uciekał od tematu.

– Chcesz gadać o chlewie czy o zbrodniach? – ucinał zwykle, a potem przechylał kieliszek wódki i wycierał usta wierzchem dłoni.

– O zbrodniach.

– Więc pytaj o zbrodnie.

Wtedy najczęściej wypijali kolejnego kielicha i temat chlewu odchodził w niepamięć. Co z tego, gdy po wyjściu z chałupy Szatana chlew znów o sobie przypominał, a że Poleski prawie zawsze wychodził późną nocą, nawet podпиты czuł, jakby za plecami tańczył mu sam diabeł.

Na zaniechanym, brudnym ganku walało się mnóstwo kłopotów, w tym wiadro, które mierziło Emila nie mniej niż chlew. Dwukrotnie widział je niedomyte i nie miał wątpliwości, że Szatan nosił w nim coś, co kiedyś żyło, miało krew, kości, pióra, a czasem sierść. Tym razem było puste, co przyjął z ulgą. Załomotał w drzwi i po kilkudziesięciu sekundach w progu stanął gospodarz.

– Właż – rozkazał. – Co u ciebie?

– Brak weny.

– Współczuję.

Sarkazm Szatana bywał niemal uroczy, a że Poleski wypracował w sobie wszelkie mechanizmy obronne, zgryźliwe uwagi nadkomisarza przyjmował bez mrugnięcia okiem. W chałupie jak zawsze cuchnęło rozkładem. Nie ściągając butów, Emil skierował się prosto do piwnicy, gdzie zawsze rozmawiali i pili wódkę. O dziwo tam śmierdziało mniej i latem bywało chłodniej, a do tego panował niepokojący nastrój, dzięki któremu już w połowie spotkania pomysły na kolejne historie niemal rozsadzały mu głowę, aby po wyjściu na zewnątrz wrzeszczeć o przelanie na papier.

Poleski tradycyjnie stanął przed wielką tablicą korkową usianą masą zdjęć, nazwisk, map i najróżniejszych dokumentów związanych ze słynną przestępczą rodziną Ozalanów. Jego wizyty tutaj zawsze wyglądały tak samo. Dostawał kilka minut, podczas których policjant organizował zagryzkę, głównie kiszony ogórek i chleb ze smalcem. Emil nie rozumiał, dlaczego gospodarz nie przygotowywał

tęgo zawczasu, ale też nie narzekał, bo przynajmniej miał chwilę, aby oswoić się z półmrokiem i nasiąknąć „szatańskim” klimatem.

Wyciągnął z za pazuchy dwie półlitrowe flaszki wódki i postawił je na ławie, po czym przyjrzał się spektakularnej kompozycji obrazującej powiązania kolejnych członków tureckiego klanu z ludźmi ze świata polityki i biznesu. Sam niewiele z tego rozumiał, ale nie wątpił, że dla gospodarza całość była przejrzysta i czytelna. Szukał drobnych zmian, ale tym razem nie namierzył żadnych odchyłeń w stosunku do tego, co zapamiętał z ostatniej wizyty w piwnicy gliniarza. W końcu na schodach rozległy się ciężkie kroki. Po chwili Szatan postawił na blacie tacę z dwiema kawami, dwoma kieliszkami, miską pełną ogórków i talerzem z chlebem i smalcem. Zajął swoje miejsce i skinął gościowi, aby ten usiadł po przeciwnej stronie ławy.

– Potrzebuję kasy – wychrypiał i otworzył pierwszą butelkę. Rozlał wódkę do kieliszków i wznosił toast. Wypili.

– Ile? – Emil zagryzł ogórkiem.

– Dwa tysiące.

– Dużo...

– Dla ciebie niedużo.

Poleski nie mógł się z tym stwierdzeniem nie zgodzić. Za dwa miesiące ruszał serial na podstawie jego powieści, dzięki czemu sprzedaż książek wystrzeliła w kosmos, a on zarabiał takie pieniądze, o jakich jeszcze kilka lat temu mógł tylko pomarzyć. Dwa tysiące nie były dla niego wielką kwotą, zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, że zarobił je przy znaczącym udziale mężczyzny siedzącego po drugiej stronie ławy.

Wyciągnął portfel i położył na stole tysiąc złotych.

– Tyle mam przy sobie. Jutro podrzucę drugą połowę. Mogę zapytać, na co ci to?

– Na nową pralkę.

– Pralkę?

– Pralkę, sralkę, na chuj drążysz? Potrzebuję i tyle.

Nie było sensu ciągnąć tematu, choć Emil chyba nigdy nie widział kompana w takim stanie. Nie to, żeby wcześniej Szatan przypominał faceta z okładki „Men’s Health”, ale tego wieczoru w żółtawym świetle wiszącej nad ich głowami żarówki wyglądał jak śmierć. Podkrążone oczy, ziemista cera, nabrzmiałe żyły na skroniach, nawet znamię na ogolonej głowie wydawało się bardziej rozległe, jakby skórę toczył złośliwy czerniak.

– Mam przecucie, że po tej rozmowie mój kolejny tytuł rozpieprzy system – mruknął Emil.

– Wypijmy za to. – Nadkomisarz rozlał następną kolejkę. Wychylili i zapalił papierosa. – To od czego zaczynamy?

– Od tego. – Poleski skinął na tablicę korkową.

– O tym nie gadam.

Emil upił kawy. Jak zwykle była tak mocna, że można by nią zbudzić trupa. Skrzywił się nieznacznie.

– Znam twoją historię z mediów, ale chciałbym ją usłyszeć od ciebie – powiedział, gdy odstawił kubek. – Ile już się znamy, Zygmunt? Czy kiedykolwiek cię zawiodłem? – Nachylił się nad ławą w stronę Szatana.

– Po co ci to?

– Opiszę ją.

– Chyba coś ci się popierdoliło, młody.

– *True crime* święci triumfy na Zachodzie. Ta moda wkrótce dotrze do Polski. Zarobię ja, zarobisz ty. Dostaniesz dziesięć procent od moich tantiem. Warunek jest taki, że chcę znać całą prawdę.

– Nie ma mowy.

– Dziesięć procent z pół miliona złotych. W najgorszym wypadku, bo liczę na co najmniej bańkę, przy dobrych wiatrach może nawet dwie. I to zakładając, że powieść zostanie wydana tylko w kraju. Oczywiście będziesz miał prawo do wglądu w tekst i naniesienia swoich poprawek, zanim trafi do wydawcy. To chyba uczciwa oferta?

Poleski rozlał następną kolejkę. Przyszedł tu z twardym postanowieniem, że zrobi wszystko, aby przekonać Szatana do swojej koncepcji. Zdążył już go poznać i wiedział, że nie będzie łatwo, ale dobrze przygotował się do tej rozmowy. Zapoznał się ze szczegółami, zrobił wywiad, przegrzebał archiwa sprzed dwudziestu pięciu lat. Ta historia aż się prosiła o opowiedzenie. A on miał odpowiednie narzędzia, był w tym dobry, potrafił pisać.

Wypili.

– Nie masz pojęcia, czego ode mnie wymagasz... – Szatan strzepnął popiół do popielniczki. – Lepiej już idź i wróć, jak zapomnisz.

– Jeśli ruszą tłumaczenia, to mogę... możemy zarobić miliony. Pomyśl tylko, ile...

– Chcesz mnie kupić?

– Kasa to jedno, ale przecież wciąż nie masz pewności co do syna, mam rację?
– Emil postanowił wytoczyć najcięższe działa. – Gdy książka trafi do sprzedaży, temat wróci na wokandę. Jeśli odniesie komercyjny sukces i zostanie przetłumaczona, trafi do rąk milionów czytelników w Europie, jeśli nie na całym świecie. Będą o tym pisać w gazetach i mówić w telewizji. Może ktoś się tym zainteresuje. Może ktoś zechce ci pomóc. A może nawet usłyszy o tobie twój...

– Wynoś się.

– Kurwa, Zygmunt! To twoja szansa! Naprawdę to do ciebie nie dociera? Zamiast spędzać tu całą nocę, przepinając pinezki, mógłbyś...

– Wypierdalaj! Zabieraj swoją kasę i wypierdalaj!

– Kurwa mać!

Poleski wstał od stołu. Spodziewał się, że nie będzie łatwo, ale tak kategorycznego zachowania Szatana nie przewidywał. A może tylko myślał życzeniowo? Czuł, że to jego czas i że musi docisnąć, napisać coś, co wstrząśnie polskim rynkiem wydawniczym, dlatego nie spojrzał na sprawę realistycznie. Teraz pomyślał, że dziś więcej nie ugra.

– Dobra – rzucił, podpierając się dłońmi o ławę, by wstać. – Wybacz. Zagalopowałem się. To nie jest tak, jak myślisz i...

– Po raz ostatni powtarzam, opuść mój dom.

Musiał zbastować. Uniósł ręce i posłał Szatanowi jeszcze jedno spojrzenie. Z trudem przebiło się przez kłęby papierosowego dymu, ale wyraz twarzy starego gliniarza mówił, że dziś więcej z niego nie wycisnie. Poleski wiedział, że facet potrzebuje czasu. Taka kasa prędzej czy później przemówi do każdego.

– Zostawiam pieniądze i wychodzę – oznajmił i okręcił się na pięcie. Przy schodach odwrócił się w kierunku gospodarza. – Przemyśl to, Zygmunt. Jak się zgodzisz, dostaniesz dwadzieścia procent. Na razie.

Chwilę później Emil Poleski wyszedł z domu Szatana. Na dworze było już ciemno i dziwnie cicho. Za furtką wyciągnął telefon i zamówił taksówkę. Nie zdziwił się specjalnie, gdy usłyszał za plecami odgłosy, które zjeżyły mu włosy na karku.

ROZDZIAŁ 9

Niebo było bezchmurne, a w powietrzu unosił się zapach waty cukrowej i prażonej kukurydzy. Przez teren przy Bibliotece Wojewódzkiej im. Cypriana Kamila Norwida przewalały się setki osób, głównie rodzin z dziećmi albo rozemocjonowanych małolatów liczących na przygodę życia podczas Dni Lata. Boostery, młoty, wahadła, wieże swobodnego spadania i cała masa pomniejszych karuzel przyciągnęły do centrum tłuny amatorów ekstremalnych wrażeń.

Luta nie lubiła takiego zgiełku. Kojarzył jej się z demonstracjami w krajach Trzeciego Świata albo różnej maści widowiskami, podczas których zwykle dochodziło do nieprzewidzianych sytuacji generujących masę roboty. Stojąc w kolejce po lody, obserwowała okolicę w poszukiwaniu potencjalnego zagrożenia. Nie była w stanie zupełnie się odciąć, wyluzować. W tego typu miejscach samoistnie załączał się jej tryb czuwania. Z doświadczenia wiedziała, że zbyt wielu ludzi na jednej przestrzeni zwykle oznacza kłopoty. Inni mogli nazywać to zboczeniem zawodowym, ale Luta wolała dmuchać na zimne, bo zdawała sobie sprawę, że czasem jedna iskra potrafi rozniecić trudny do ugaszenia pożar. Spotkała się z tym w Iraku i w Afganistanie, ale także podczas zabezpieczania meczów piłkarskich, gdy jeszcze przed wyjazdem do Norwegii na krótko zatrudniła się w ochronie.

Kolejka przesuwiała się w żółtym tempie, dlatego matka i Nikos zabrali dzieciaki na bok, najpierw włączając się do zabawy w rzucanie w puszki, a następnie – gdy po trzeciej próbie udało się wygrać pluszowego misia – zatrzymali się przy dwóch mimach. Luta obserwowała, jak oboje starają się zachęcić Franka i Werkę do zrobienia sobie zdjęcia z białym jak ściana człowiekiem posągim, który od czasu do czasu niepostrzeżenie zmieniał pozycję, czym trochę straszyl najmłodsze maluchy. Tak właśnie było z Werą, która za nic w świecie nie chciała zbliżyć się ani do aktora odgrywającego jakiegoś rzymskiego czy greckiego boga, ani do towarzyszącej mu złotej bogini. Widząc, że Nikos wyraźnie sobie nie radzi, nieporadnie próbując utrzymać na rękach siostrzenicę, Luta powoli zaczynała się niecierpliwić.

– Jakie smaki dla drogiej pani? – zwrócił się do niej młody mężczyzna w koszulce z logo firmy. Stał za ladą i sztucznie się uśmiechał pod niemodnym wąsem, jakby chciał rzucić to wszystko w cholerę i pójść się napić.

Luta zamówiła po jednej gałce dla dzieci i po dwie dla siebie, matki i brata. Chwilę później zawołała Nikosa, aby pomógł jej zanieść to wszystko do jedyne go wolnego stolika, znajdującego się zaledwie dwa metry od pary mimów. Przez chwilę wszyscy w milczeniu delektowali się smakiem lodów. Wera wybrała jagodowe, Franek obowiązkowo miętowe, a dorośli miks czekoladowych i sorbetów. Luta rozbawiona przypatrywała się córce, która z głęboką nieufnością obserwowała dwójkę aktorów. Gdy raz po raz do niej machali, dziewczynka odwracała się zawstydzona, a potem znów nieśmiało spoglądała w ich stronę. Oczywiście przy okazji upała lodem czerwoną sukienkę w kolorowe motylki.

– Kiedy wracasz na rotację? – zapytał Nikos, próbując przebić się przez kakofonię dźwięków.

Luta zmarszczyła brwi i polizała loda.

– Za nieco ponad dwa tygodnie. Dlaczego pytasz?

– Pomyślałem, że może... no, wiesz... mogłabyś podpytać, czy nie dałoby rady... coś dla mnie...

– Twój brat chciałby polecieć do pracy do Norwegii – wtrąciła matka, widząc, że syn się męczy.

– Mamo... – Nikos przewrócił oczami.

– Ty na platformy? – prychnęła Luta, ale szybko się zmitygowała. Nie chciała, aby ten dzień skończył się kolejną awanturą, jednak nie była w stanie wyobrazić sobie brata harującego jak wół na rusztowaniu. – Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, jak wygląda ta praca – dodała już ostrożniej. – Czy ty w ogóle kiedykolwiek stałeś na rusztowaniu?

– Od dwóch tygodni się przyuczam – odparł nieco zmieszany Nikos. – Rozejrzałem się też za tymi kursami, o których kiedyś mówiłaś. Mam odłożone trzy tysiące, żeby taki kurs zrobić.

– To najpierw go zrób, ale... – Luta znów polizała loda i pokręciła głową. –

Wybacz, Nikos, po prostu nie sędzę, żebyś dał sobie radę. To ciężka i odpowiedzialna praca, do tego na wysokościach. Zresztą... – Ugryzła się w język. Chciała dodać, że tacy jak on nie mają tam lekko, ale zrezygnowała. Otwarcie musiałyby przyznać, że jej brat jest zwykłym niedorajdą, co zabrzmiałoby nie tylko obraźliwie, ale po prostu obrzydliwie. Co z tego, gdy właśnie taka była prawda. W jej oczach Nikos po prostu nie nadawał się do tej pracy. Mały, cherlawy, wiecznie naprany narkotykami albo jakimiś dopalaczami, na co dzień miał trudności ze zdobyciem uznania lumpów spod budki z piwem. Niby jak miałyby je zdobyć wśród tych koni na rafineriach czy platformach? Nawet

jeśli znalazłby się na robocie, to pewnie nie odnalazłby się w specyficznym towarzystwie kolegów po fachu. Nie pasował tam i Luta była niemal pewna, że już pierwszego dnia zostałby pożarty, przetrawiony i wydany niczym psia kupa, a na koniec taki Czacha czy inny bandzior po wyroku jeszcze by w tę kupę wdepnął i tyle by z Nikosa zostało.

– Mogłabyś przynajmniej zapytać, prawda? – Do rozmowy znów włączyła się matka. Miała na sobie zwiewną niebieską sukienkę i wyglądała na młodszą o dobrych kilka lat, tak jakby odżyła i tylko od odpowiedzi córki zależało, czy znów nie popadnie w depresję.

– Zapytam – rzuciła Luta na odczepne i ponownie wytarła buzię córki. Gdy wstała, by wyrzucić chusteczkę do stojącego obok śmietnika, wciąż czuła na sobie spojrzenia matki i brata. – No zapytam, zapytam – powtórzyła, dostrzegając, że nie wyglądają na przekonanych. – Ale nie obiecuj sobie zbyt wiele. Tam nie biorą ludzi z ulicy, a praca wymaga odpowiedzialności i sumienności. No i komunikatywnej znajomości angielskiego.

– Angielski to nie problem. Dogaduję się – rzucił Nikos z pewnością siebie.

– Nauczyłeś się, grając w Call of Duty? – zakpiła Luta, ściągając Werkę z krzeselka. Zaraz jednak pomyślała, że znów przesadziła. – Zrób kurs, to pogadamy. Wszyscy zjedli? To chodźcie na te karuzele. Na czym chciałeś się przejechać? – skupiła uwagę na Franku.

– Na tym. – Syn wskazał jej zakręconą kolejkę górską. Trasa nie była jakoś specjalnie skomplikowana, a wagoniki na pierwszy rzut oka nie rozwijały zabójczej prędkości.

– Nie boisz się?

– Nie. Ale pojedziesz ze mną, okej?

– A nie wolałbyś z wujkiem?

Z dwojga złego Luta wolała, aby to Nikos wsiadł z jej synem do wagonika. Nie chciała zostawiać Werki pod jego opieką, zwłaszcza że matka postanowiła akurat ustawić się w kolejce do toi toia. Planowała, że po tej kolejce odbębnią jeszcze dwie, może trzy atrakcje, a potem spokojnie wróci do domu i zacznie się pakować nad morze.

– Nie czuję się najlepiej – oznajmił Nikos, burząc jej niecny plan.

– Co ci jest?

– Nic. Może to od tego loda. Coś mnie w brzuchu kręci i nie chciałbym zarzygać...

– Wujek się boi, wujek się boi! – Franek wycelował w niego palec.

– Nie boję się. Po prostu... No nic, może za chwilę mi się poprawi.

Luta zerknęła na matkę czekającą w długiej kolejce do toalety. Zanim do nich dołączy, minie przynajmniej kwadrans, tymczasem Franek zaczął się

niecierpliwić. Wiedziała, jak jest podekscytowany – rok wcześniej zabrakło mu trzech centymetrów wzrostu, aby mógł wsiąść do rollercoastera, i bardzo przeżył to rozczarowanie. Tym razem już nic nie stało na przeszkodzie. Z wyjątkiem...

– Wercia, poczekasz z wujkiem? – zwróciła się do trzymanej na rękach córki. Po cichu liczyła, że mała zaprotestuje, ale ta, o dziwo, chętnie przeskoczyła w ramiona Nikosa. – Tylko nie oddalajcie się nigdzie, okej? – rzuciła w kierunku brata.

– Rozkaz, żołnierzu! – Nikos zasalutował wolną ręką i zaczął tłumaczyć siostrzenicy, że jej mama i braciszek zaraz wsiądą do wagonika i zrobią wielkie ziuuuuuuuuu...

Zanim Luta weszła na rampę, przyjrzała się nitowym łączeniom torów. Nie wyglądały ani na nowe, ani na odpowiednio zakonserwowane. Pomyślała, że przesadza, mimo to instynktownie rozejrzała się jeszcze po okolicy. Setki twarzy, a wśród nich roześmiani Nikos i Werka machający im zza ogrodzenia oddzielającego tory od reszty atrakcji. Z nie najlepszym przeczuciem odmachała, po czym wraz z synem wsiadła do porysowanego, odrapanego z zielonej farby wagonika.

– Boisz się? – zapytał Franek, gdy pracownik wesołego miasteczka opuścił im na ramiona zabezpieczające ochraniacze.

– Tylko ciut-ciut – odparła Luta.

Tak naprawdę czuła podskórny lęk, który się wzmógł, gdy kolejka ruszyła z gwałtownym szarpnięciem. Raz jeszcze spojrzała na Nikosa i siedzącą mu na ramieniu córkę. A potem na morze kotłujących się postaci, z których jedna bacznie się jej przyglądała. Gdy wagonik znalazł się w najwyższym punkcie, ich spojrzenia na krótką chwilę się spotkały. Przez jej ciało przemknął delikatny dreszcz. Ten wzrok był zbyt statyczny. Mężczyzna w czarnej czapeczce z daszkiem nie tylko się jej przyglądał, lecz także analizował każdy jej ruch. Niczym drapieżca czekający na dogodny moment, by zaatakować upatrzoną ofiarę.

Chwilę później stało się to, czego najbardziej się obawiała. Świdrujący wzrok mężczyzny przeniósł się na Nikosa i Werkę. Zanim zdążyła krzyknąć, wagonik z impetem runął w dół torów.

* * *

Wpatrywał się w mężczyznę z dzieckiem, czując nieodpartą potrzebę działania. Właśnie z tego powodu przyćpał amfetaminy. Musiał być skupiony, pobudzony i gotowy na każdą okoliczność. Widok co rusz przesłaniały mu przewalające się postaci. Dziesiątki, setki ludzi, wszyscy zaaferowani niezliczonymi atrakcjami. Nikt nawet nie zwróciłby uwagi, gdyby wyprowadził małą poza teren parku.

Idealne miejsce na polowanie. Dziś skupił się na dziewczynce, ale tak naprawdę mógłby tu znaleźć dziesiątki potencjalnych celów. Z każdej strony rozbrzmiewała muzyka i odgłosy pracujących karuzeli. Wszędzie było słyhać krzyki dzieci. Jedne się śmiały, inne płakały, bo rodzice nie chcieli kupić im balonika albo pluszaka, jeszcze inne darły się, przerażone widokiem wampirów, mumii czy zombiaków kręcących się przy Domu Strachów. Najgłośniejsze były jednak te, które wrzeszczały z ekscytacji podczas szaleństw na rollercoasterze, młocie, wahadle czy innej ekstremalnej atrakcji. Wydierały się tak, jakby je obdzierano ze skóry, sprawiając, że harmider zmieniał się w nieprzerwaną kakofonię dźwięków. On sam, za sprawą narkotyku w swojej krwi, odczuwał je jeszcze intensywniej, niemal każdy z osobna.

Był gotów.

Wiedział, że ma tylko jedną szansę. Ich spojrzenia się spotkały i teraz obwiniął się o to. Stracił czujność, a ona musiała się zorientować, że coś jest nie tak. Zastanawiał się, czy mogła zarejestrować jego rysy. Owszem, miał czapkę z daszkiem, który skrywał w cieniu jego oblicze, pod nią znajdowała się peruka z wystającymi po bokach blond włosami, a poza tym dzieliło ich około trzydziestu, może trzydziestu pięciu metrów. Nie, nie miała prawa go rozpoznać. Coś o tym wiedział, bo dwukrotnie stawał w areszcie naprzeciwko swojej ofiary. I dwukrotnie wskazała ona innego podejrzanego.

Pokonał kilka metrów i stanął przy pobliskim kramie, żeby nie rzucać się w oczy. Obserwował pędzący rollercoaster i mężczyznę z dzieckiem czekającego przed ogrodzeniem. Jedna runda trwała sześć i pół minuty, więc zostało mu jeszcze pięć. Jeśli w ciągu kolejnej nie nadarzy się okazja, będzie musiał odpuścić i zniknąć.

Kobieta w wagoniku, mężczyzna z dzieckiem na rękach. Kobieta w wagoniku, mężczyzna z dzieckiem na rękach. Kobieta w wagoniku, mężczyzna... odpalający papierosa. Dziecko na ziemi.

Poczuł nagły przypływ adrenaliny, gdy mała puściła rękę opiekuna. Teraz stała sama, jakiś metr od niego. Drobną, bezbronną, jej czerwona sukienka w motylki delikatnie falowała. Ile mogła ważyć? Dwanaście, trzynaście kilogramów?

Tłum zdawał się zgęstnieć jeszcze bardziej, a harmider urósł o kilka dodatkowych decybeli. Ramiona pobliskiego wahadła właśnie ustawiły się w najwyższym punkcie i zaraz miały runąć w dół. To był ten moment. Jeden jedyny.

Naciągnął czapkę nieco niżej i zaczął przedzierać się przez tłum.

* * *

Krzyczała, ale nie mogła nic zrobić.

Gdy wagoniki ustawiały się tak, że mogła skierować wzrok na mężczyzną w czapeczce bejsbolowej, krew już buzowała jej w żyłach. Widziała, jak skrada się w tłumie, jak niepostrzeżenie zbliża się do Nikosa i Werki, która trzymając się za sukienkę, kręci się wokół własnej osi przy jego nodze. Nikos palił papierosa. Ten debil postawił jej córkę obok i palił jebaną faję, drugą ręką osłaniając oczy przed słońcem! Miała wrażenie, że zaraz eksploduje, zwłaszcza gdy kolejka skręcała tak, że nie była w stanie monitorować sytuacji.

Wiedziała, co się zaraz wydarzy. Była szkolona, miała doświadczenie. Potrafiła wychwycić w tłumie jednostki zachowujące się podejrzanie, mające złe zamiary. Przeciętny obywatel tego nie zauważał. Ale ona tak. Kolejne następujące po sobie zdarzenia wyraźnie łączyły się w jeden ciąg przyczynowo-skutkowy. Człowiek czający się w tłumie. Śledzący każdy jej ruch. Jego reakcja na jej spojrzenie. Skupienie uwagi na dziecku. Teraz był już kilka metrów od Nikosa i Werki.

Wrzasnęła, ale jej krzyk utonął w morzu innych. Wokół wszyscy krzyczeli. Niczego nieświadomy Franek, sąsiedzi w swoich wagonikach, ludzie korzystający z innych atrakcji. Kolejna gwałtowna zmiana kierunku sprawiła, że włosy przysłoniły Lucie oczy. Odgarnęła je. Wagonik okręcił się wokół własnej osi i dalej pędził jak szalony, a ona modliła się w duchu, aby tym razem nie miała racji. Kilka sekund rozmowy z Bogiem nic nie dało. Gdy kolejka znów wyrównała poziom i ustawiła się w stronę rampy, dostrzegła, jak mężczyzna kuca za plecami Nikosa. Brat nie reagował, palił papierosa, nie mając pojęcia, że zaraz wydarzy się tragedia.

– Niiiiikoooooos! – wrzasnęła po raz kolejny. – Weeraaaaa! – Próbowwała wskazać palcem na swoją córkę.

Harmider był zbyt duży. Nie usłyszał jej ani Nikos, ani nikt inny. A może usłyszał, ale pomyślał, że to tylko efekt ekscytacji? Wagonik znów obrócił się o trzysta sześćdziesiąt stopni, a ona chwilowo wylądowała do góry nogami. Wtedy znów mignęła jej córka. Dostrzegła, jak jej drobne ciało niknie w ramionach porywacza. Kolejka zmieniła kierunek, a ona straciła Werkę z oczu. Wrzeszczała, w akcie desperacji próbowała poluzować i otworzyć ochraniające ją ramiona zabezpieczenia, ale nie była w stanie nic zrobić. Ta bezradność była obezwładniająca. Kolejne sekundy ciągnęły się jak godziny. Musiała zobaczyć, gdzie jest jej córka, gdzie jest porywacz. Inaczej oszaleje z rozpacz.

Kolejka znów gwałtownie skręciła. Gdzie czarna czapeczka? Próbowwała wyteńczyć wzrok, ale wtedy wagonik znów obrócił ją głową w dół i włosy przykleiły się jej do twarzy. Wysyczała przez zęby wiązanek przekleństw i odgarnęła kosmyki. Zaczęła lustrować tłum. Nagle wydało się jej, że ma przed

sobą ocean ludzi kotłujących się niczym sztormowe fale. Jazgot, zgiełk, istny chaos.

Wtedy ją dostrzegła. Płakała i wyciągała rączki w jej kierunku. Mężczyzna nie zważał na jej lament. Mocno przyciskał ją do siebie i pospiesznym krokiem przedzierał się przez tłum w kierunku bramy. Nikt nie zwracał na nich uwagi. Nikogo to nie interesowało. Nikt nie zareagował. Poczowała potężne ukłucie w sercu, gdy Werka zniknęła za murem, a ona usłyszała dzwonek sygnalizujący ostatnie okrążenie.

Zacisnęła pięści z taką siłą, że paznokcie wbiły jej się w skórę. Zagryzła zęby i zamknęła oczy. Jeszcze trzydzieści sekund. Pieprzone trzydzieści sekund handicapu dla tego zwyrodnialca. Później kolejka stanie, a ona ruszy w pogoń. I nie zatrzyma się, dopóki nie odzyska swojej córki. Choćby miała zejść na samo dno piekła.

ROZDZIAŁ 10

— **M**amy rysopis i nagrania z miejskiego monitoringu – podsumował podkomisarz Albert Ozdoba, po czym zamknął pokrywę laptopa i nachylił się nad stołem. – Proszę nie robić głupstw, pani Karabina. Zajmiemy się tym i odnajdziemy pani córkę.

Luta wbiła spojrzenie w niebieskie oczy policjanta. Facet pod czterdziestkę, dobrze zbudowany, twarz lekko ogorzała, wzrok przenikliwy. Emanował pewnością siebie i wyglądał na takiego, który zna się na swojej robocie, ale doskonale zdawała sobie sprawę, że plecie bzdury. Albo ją znajdą, albo jej nie znajdą. Prędzej nie znajdą, bo minęły już ponad trzy godziny od porwania, a do tej pory nie usłyszała z ust funkcjonariuszy nic, co mogłoby jego liche gwarancje choćby uprawdopodobnić.

Bez słowa wstała od stołu. Korciło ją, aby ostrzec tego gliniarza, że nie spocznie, póki nie dopadnie odpowiedzialnych za to, co się stało, ale się powstrzymała. Tego typu słowa mogłyby zadziałać jedynie na jej niekorzyść. Prawie na pewno już ją prześwietili. Wiedzieli, czym się zajmowała i jakie miała umiejętności. Jeśli jeszcze nie postanowili przyczepić jej ogona, to gdyby odezwała się słowem, bez wątpienia by to zrobili. Nie chciała mieć na karku dwóch debili, którzy śledziliby każdy jej krok. Nie to, żeby nie zdołała ich zgubić, po prostu wołała, żeby policja skupiła się na poszukiwaniu Werki, a nie na deptaniu jej po piętach.

– Dziękuję, komisarzu. Proszę mnie informować na bieżąco – powiedziała i opuściła gabinet Ozdoby.

Idąc korytarzem komendy miejskiej, czuła, jak wszystko w niej buzuje. Jeszcze nigdy nie doświadczyła burzy tak skrajnych emocji. Mimo to próbowała panować nad sobą, tak jak uczyli ją tego w jednostce. Mocniej zacisnęła zęby dopiero w momencie, gdy na ławce dostrzegła samotnie siedzącą matkę.

– Gdzie Franek? – warknęła.

– Franiu! – zawołała matka.

Chłopiec stał za rogiem, w szerszej części korytarza, i wpatrywał się w jakiś punkt za oknem. Wyglądał na kompletnie przybitego. Luta zauważyła go dopiero,

gdy wyszła zza winkła. Podeszła do syna, przykucnęła i mocno go objęła. Przez chwilę milczała, próbując zebrać myśli. W codziennym życiu niewiele było w stanie ją zaskoczyć, ale nikt nie przeszkolił jej pod kątem takich sytuacji. Oczywiście jej się zaszklily i poczuła nagły przyływ niewysłowionego żalu. Franek miał tylko siedem lat, ale doskonale rozumiał, co się wydarzyło na karuzeli. Widział całe to zamieszanie, reakcję matki, jej szaleńczą pogoń za porywaczem. Trudno było ocenić, jakie myśli kotłowały się teraz w jego głowie, ale Luta miała wrażenie, że chłopiec obwinia się nie mniej niż ona sama.

– Odnajdziemy Werkę – powiedziała i jeszcze mocniej go przytuliła. Wtedy się rozplakał, a jego łzy mieszały się z jej łzami. – Ale teraz musisz być silny, kochanie – powiedziała, gdy syn trochę się uspokoił. – Mama obiecuje, że odnajdzie Werkę. Ale musisz być bardzo, bardzo silny – powtórzyła, wpatrując się w oczy Franka. – Obiecasz mi, że będziesz silny?

Synek przytaknął, choć niezbyt przekonująco. Przez kilkadziesiąt kolejnych sekund Luta tłumaczyła mu, że najbliższy czas spędzi z babcią, bo ona będzie musiała skupić się na odnalezieniu jego siostry. Gdy oceniła, że przyjął to do wiadomości, wytarła ostatnią łzę, chwyciła go za rękę i podeszła do matki.

– Gdzie Nikos? – zapytała.

– Poszedł kupić coś do picia. – Krystyna Karabina miała zapuchnięte oczy, a w drżącej dłoni ścisnęła chusteczkę. Widząc minę córki, od razu dodała: – Powiedział, że zaraz wróci i...

– I ty mu pozwoliłaś? Przecież... do jasnej chole... – zmitygowała się Luta. W obecności Franka musiała uważać na słowa. Zlustrowała korytarz w poszukiwaniu brata. – Kiedy i w którą stronę poszedł?

Matka nerwowo przełknęła ślinę i posłała córce spłoszone spojrzenie.

– Powiedział, że zaraz wróci... – powtórzyła, ale wyraźnie bez przekonania.

Luta wzięła głęboki oddech, wyciągnęła telefon i wybrała numer brata. Nie odbierał.

– Idź sama. Znajdę go i przyprowadzę.

– Ale...

– Czeka ją na was. Idź!

– A Franek? – Krystyna spojrzała na wnuka.

– Podczas przesłuchania zajmie się nim opiekunka. I żeby było jasne... – Luta nachyliła się nad matką i szepnęła jej do ucha: – Pod żadnym pozorem nie zostawiaj go pod opieką Nikosa.

Dostrzegła, że ręce matki drżą, a w kąciakach jej oczu znów zebrały się łzy. Bez wątplenia przeżywała porwanie wnuczki, ale to nie tłumaczyło jej naiwnego podejścia do Nikosa. Dlaczego pozwoliła mu się oddalić? Obie doskonale zdawały sobie sprawę, że jest nieprzewidywalny, zwłaszcza w kryzysowych

momentach. Wtedy zwykle robił największe głupoty, a Luta miała nieodpartą wrażliwość, że właśnie nadszedł jeden z nich. Oczy matki nie kłamały. Wyrażały mieszaninę trwogi, wstydu i przerażenia. Ona też to czuła.

Krystyna musnęła dłoń córki i zacisnąwszy usta w linię, chwyciła wnuka za rękę. Luta pocałowała syna w czoło i poprosiła, aby pod jej nieobecność słuchał babci. Chwilę później Krystyna i Franek ruszyli w kierunku biura podkomisarza, gdzie czekała już niewysoka blondynka w mundurze. Gdy w połowie drogi chłopiec się odwrócił, Luta posłała mu buziaka. Odprowadzając swoich bliskich wzrokiem, czuła narastający gniew. Nie potrafiła się litować nad matką. Gdyby wtedy nie zadzwoniła i nie zaproponowała tego cholernego spotkania...

Czas. Nie mogła go tracić na podobne przemyślenia. Każda kolejna sekunda oddalała ją od odnalezienia Werki. Ta myśl sprawiła, że znów przygniotły ją wyrzuty sumienia, ale szybko się otrząsnęła. Musiała okuć się w zbroję i postępować racjonalnie, bo w takich sytuacjach emocje nigdy nie są dobrym doradcą. Odwróciła się i poszukała wzrokiem najbliższej męskiej toalety. Nauczona doświadczeniem, mogła założyć, że to tam powinna szukać brata.

Nie pomyliła się. Wpadła na Nikosa w drzwiach. Specyficzny zapach, którym był przesiąknięty, sprawił, że wepchnęła go z powrotem do środka pomieszczenia. Przekręciła zamek w drzwiach i bez ostrzeżenia wymierzyła potężny prawy, po którym Nikos padł na podłogę jak trafiony piorunem.

– Palisz w policyjnym kiblu, debilu? – syknęła przez zęby, doskakując do oszołomionego i zdezorientowanego mężczyzny.

– Ja nie...

– Zamknij się i słuchaj! – Dosiadła go i złapała za ramiona, unieruchamiając. Nikos podjął próbę wyswobodzenia się, ale wtedy docisnęła jego krtań przedramieniem. Zacharczał, a z nosa popłynął mu śluz. – Teraz umyjesz gębę i pójdziesz towarzyszyć matce na przesłuchaniu. Jak się połapia, że się spaliłeś, to się przyznasz i odpowiesz na każde pytanie. Zanim to jednak nastąpi, powiesz wszystko mnie. Tu i teraz.

– Puuszczaj... – jęknął Nikos, jakby walczył o życie.

Luta poluzowała uścisk i pozwoliła bratu odetchnąć. Sięgnęła po jego smartfona, który w momencie uderzenia wypadł mu z ręki i teraz leżał obok kosza na śmieci przy umywalce.

– Masz trzy minuty – warknęła, wciskając bratu telefon w dłoń. – Wysłesz mi numery wszystkich swoich dilerów, ich szefów i każdego bandziora w tym mieście, który mógłby mieć z tym coś wspólnego. Nie wierzę w jebane zbiegi okoliczności, więc jeśli masz dłużki, zobowiązania, jakiegokolwiek, kurwa, kłopoty, o których nie wiem, a które mogły sprawić, że ktoś porwał Werkę, bo załazłeś mi za skórę, to lepiej mów od razu, bo inaczej za siebie nie ręczę. Jeśli... –

Nerwowo przygryzła dolną wargę, gdy dostrzegła błędny wzrok brata. Był tak naćpany, że nie wiedziała, czy w ogóle ją słyszy, a tym bardziej czy rozumie, co do niego mówi. Zakłęła i wstała z kolan, po czym pomogła mu się podnieść. Mamrotał coś pod nosem niezrozumiale, ale przynajmniej nie próbował stawiać oporu. Gdy odkręciła kran i wsadziła jego głowę pod strumień zimnej wody, odruchowo chciał się cofnąć, ale przytrzymała go mocno. Po chwili przyparła Nikosa do ściany. Na jego twarzy malowało się zaskoczenie i przerażenie. Dla wzmocnienia przekazu Luta chlasnęła go otwartą dłonią w twarz. – Skup się, do kurwy nędzy. – Chwyliła rękę, w której dzierżył telefon, i podniosła ją na wysokość jego oczu. – Numery do półświatka. Chcę wiedzieć, kto mógł to zrobić i dlaczego. Słyszysz, co do ciebie mówię?

– Nie mam pojęcia – wydusił.

– Dawaj te pierdolone numery!

Najwyraźniej w końcu do niego dotarło, bo skinął głową i odblokował wyświetlacz. Przez chwilę grzebał w telefonie, szlochając. W końcu Luta poczuła w kieszeni kilka następujących po sobie wibracji. Wyciągnęła swoją komórkę i przejrzała odebrane wiadomości.

– Kim oni są? – zapytała.

– Dilerzy, ale to płotki. Nie wiem, czy...

– Masz jakieś długie?

– Nie.

Wbiła wzrok w zamglone oczy brata. Nie była w stanie zliczyć, ile razy widziała go w podobnym stanie. Kiedyś chodziła za nim po melinach, gdzie ćpał wszystko, co wpadło mu w ręce. Znajdowała go ubłoconego, cuchnącego moczem i wymiocinami, czasem na granicy życia i śmierci. Ale nawet wtedy bywał kompletnie nieprzewidywalny – czasem kajał się i błagał o pomoc, innym razem kazał jej wypierdalać. Cokolwiek by jednak powiedział, zawsze kończyło się tak samo – po krótkim odwyku wracał do nałogu. Jej cierpliwość w końcu się wyczerpała i Luta uznała, że Nikos musi sięgnąć dna. Tylko gdzie było to dno, skoro po tym, jak pozwolił porwać sobie przed nosa własną siostrzenicę, zamiast trzeźwo stanąć przed funkcjonariuszami i złożyć zeznania mogące pomóc w śledztwie, poszedł się naćpać w kiblu komendy miejskiej? Gdyby nie nauczono jej panować nad emocjami, chyba udusiłaby go tu i teraz.

– Gdzie ich znajdę? – warknęła.

Gdy Nikos podawał siostrze kolejne detale, mała Werka siedziała na kanapie w zapyziałym mieszkaniu na obrzeżach miasta, mocno tuląc pluszowego zajęczka bez ucha i oka. Była zdezorientowana i trochę się bała, bo nie знаła tego wujka,

ale wujek wydawał się całkiem miły – dał jej zabawkę, lizaka o smaku malinek i czekoladowego batonika, a do tego nie kazał jej przed jedzeniem myć rączek i jeszcze włączył bajki. Tęskniła tylko za mamą, ale mama podobno już jej szukała, bo przecież bawili się w chowanego. Tak, Werka uwielbiała bawić się w chowanego. Uśmiechnęła się na tę myśl i stwierdziła, że najlepiej będzie, jak schowa się w szafie, przecież nie może dać się odszukać mamie tak szybko. Już chciała się ruszyć, gdy nagle zachciało jej się siusiu, a ona zdała sobie sprawę, że nie wie, gdzie jest toaleta. Poczła narastający lęk. Zdążyła zsunąć się z kanapy, ale nadmiar emocji sprawił, że posikała się w majtki.

– Zeszczłaś się? – zapytał wujek surowym tonem, gdy dostrzegł, co się stało. Werka nigdy nie słyszała tego słowa, ale zrozumiała, co miał na myśli. – Taka duża i szcza w gacie? Oj, nieładnie, bardzo, kurwa, nieładnie... – dodał i zrobił brzydką minę.

Wtedy Werka się popłakała, a gdy poczuła szarpnięcie za rękę, zrozumiała, że wujek nie jest żadnym wujkiem i wcale nie bawią się w chowanego.

Kiedy zły pan zrywał jej z nówek rajstopki, głośno wołała mamę.

ROZDZIAŁ 11

Nadkomisarz Zygmunt Szatan wyciszył smartfon, odłożył go na drewniany blat i nalał sobie kolejną porcję wódki. Miała temperaturę pokojową, ale taką właśnie lubił. Wychylił do dna, wytarł usta wierzchem dłoni i zapalił papierosa.

Naczelnik dzwonił już trzeci raz. Czegokolwiek chciał, i tak nie miałyby teraz z Szatana pożytku. Dziś był „ten dzień” i nadkomisarz miał zamiar go „uczcić” w ten sam sposób, w jaki robił to od dwudziestu pięciu lat. Dwudziesty trzeci czerwca dla większości obywateli tego kraju był w najlepszym wypadku Dniem Ojca. Dla niego też był Dniem Ojca. Ale nie tylko...

Dolał wódki, tym razem wypełniając szklanekę niemal po brzegi. Wiedział, że dziś nie wyjdzie stąd na własnych nogach. Za godzinę, może dwie, gdy znów nakarmi demony, pewnie zlegnie na ławie albo straci przytomność i w jakiejś pokracznej pozycji obudzi się na zimnej betonowej podłodze. A gdy poprawi klinem, żeby choć trochę zagłuszyć potężnego kaca, pójdzie oporządzić kury i resztę skromnego inwentarza. Ten dzień również spędzi w samotności, a jak Bóg da, może wieczorem wróci do pracy i zacznie szukać Martyny Piskorskiej, choć bez większych nadziei na jej odnalezienie, bo ten zasrany świat taki już jest – zły, niesprawiedliwy i skurwiały do szpiku kości.

Wypił do dna. Kilka kropel spłynęło mu po nieogolonej brodzie, ale tym razem specjalnie się tym nie przejął, tylko nalał kolejną porcję. Odczekał chwilę, aby nie zwymiotować, zaciągnął się i wypił duszkiem, po czym zagryzł kiszonym ogórkiem. Gdy poczuł nagły przypływ ciepła, najpierw w żołądku, a następnie w niemal każdej części ciała, poszukał wzrokiem pilota. Wiedział, że za kilka chwil wódka uderzy mu do głowy i sprawi, że będzie mógł rozpocząć świętowanie Dnia Ojca.

Podniósł się, zgasił peta w popielniczce i podszedł do starego odtwarzacza. Podparł się, po czym lekko zamroczonym spojrzeniem omiół rząd równo poustawianych płyt CD. Każda z nich była podpisana czerwonym mazakiem. Po dłuższej chwili wahania wyciągnął jedną i włożył do urządzenia, które wessało ją z cichym zgrzytem. Na panelu zapaliło się kilka kontroltek.

Szatan odepchnął się od półki i lekko chwiejnym krokiem wrócił na ławę. Zabrał wódkę, papierosy i pilota, po czym skierował się do starego, wysłużonego fotela. Opadł nań niemal bezwładnie, prawie upuszczając butelkę. Zaklął i pociągnął łyk z gwinta, po czym przypalił kolejnego papierosa. Przez dłuższy moment palił w milczeniu, delektując się coraz intensywniejszym działaniem alkoholu. Zerknął za podłokietnik. Miska na wymiociny stała na podłodze. Był gotowy.

Odchrząknął i wcisnął na pilocie „play”.

ROZDZIAŁ 12

Z nieba spadły pierwsze krople.

Luta ściągnęła kask i zadarła głowę. Pozwoliła, aby przez chwilę swobodnie spadały na jej twarz. Gdy zebrała się w sobie, ruszyła do klatki schodowej, trzeciej z rzędu. Na szczęście drzwi były otwarte na oścież. Weszła do środka i pospiesznym krokiem wspięła się na drugie piętro. Na drzwiach, których szukała, nie było numeru, ale na sąsiednich widniała siódemka, co oznaczało, że właśnie stoi pod ósemką. Zapukała raz, potem trzy razy i jeszcze raz. To był sygnał dla właściciela, że właśnie pojawił się klient. Przystawiła ucho do drewnianej płyty. W mieszkaniu ktoś był – słyszała chrząkanie i szuranie. Szybkim ruchem zmierzwiła włosy, aby wyglądać bardziej przekonująco, opuściła powieki i lekko rozchyliła usta. Wtedy drzwi ustąpiły.

– Nie znam cię. Skąd znasz kod? – burknął młody mężczyzna, który wychylił się przez szparę. Mańka, bo zgodnie z tym, co mówił Nikos, taką miał ksywę, mierzył nie więcej niż metr siedemdziesiąt i przypominał Lucie stracha na wróble, z tą różnicą, że przy uchu ciągnął mu się tatuaż przypominający kabel telefoniczny.

– Jestem w potrzebie – odparła. – Adres dostałam od Jehora.

– Jesteś jego nową dupą, dziwką czy kolejną siostrą?

– Nie twój interes. Chcę towaru i mam kasę.

– Ile?

– Trzy.

– Trzy co?

– Butelki coca-coli.

Rozległ się dźwięk ściąganego łańcuszka – i drzwi uchylły się nieco szerzej. Mężczyzna przyjrzał się Karabinie podejrzliwie. W jego biznesie należało być czujnym jak ważka, bo najmniejszy błąd mógł kosztować utratę nie tylko kasy, ale także wolności. Luta nie miała pojęcia, jak wyglądają układy w lokalnej policji i czy facet ma jakieś plecy, ale bez wątplenia nie był anonimowy – według Nikosa sprzedawał wszystko od marihuany po heroinę czy kokainę. Najwyraźniej wcale nie był taką płótką, jak z początku sugerował jej brat, w związku z czym mógł mieć sporą wiedzę na temat tego, co w mieście piszcz.

Luta wyciągnęła pięć banknotów po dwieście złotych, aby nieco przyspieszyć decyzję diler. Znała te prostackie zagrywki psychologiczne, które wbrew pozorom często bywały dużo bardziej skuteczne niż najbardziej wyrafinowane metody przesłuchań. Od razu dostrzegła, że oczy mu się zaświeciły, mimo to sięgnął po telefon i zaczął czegoś w nim szukać.

– Jak nie masz czasu, to pójde do Krisa – rzuciła w obawie, że planuje ją sprawdzić. – Chociaż mówią, że to ty masz najlepszy towar w mieście... – dodała i uśmiechnęła się zalotnie.

– To akurat prawda.

– To dajesz czy nie? Bo potrzebuję na już.

– Gruba impreza się kroi, co?

Mężczyzna mruknął dwuznacznie, a następnie schował telefon do kieszeni i otworzył drzwi na oścież.

Luta przekroczyła próg.

– Jeśli nie jesteś jego nową dupą ani dziwką, to...

– Skupmy się na interesach – ucięła.

– No dobra – odparł nieco zawiedziony. – Dziś wezmę tysiąc, ale jakby co, następnym razem może dogadamy się na jakiś rabat. Podobasz mi się.

– A ty mi nie.

– Ostra jesteś, mała. – Mańka wystawił palec, jakby chciał jej pogrozić. – Tym bardziej wziąłbym cię w obroty i...

Ta rozmowa i tak trwała już za długo. Luta chciała trochę wybać kolesia, zanim przystąpi do działania, ale najwyraźniej facet robił wszystko, aby skrócić czas przeznaczony na konwenanse. Bez ostrzeżenia chwyciła go za przedramię i gwałtownym ruchem wykręciła, aż coś mu chrupnęło, drugą rękę zarzucając mu na szyję i przyduszając. Wszystko trwało ułamek sekundy. Chwilę później zaskoczony diler leżał na podłodze, walcząc o kolejny oddech.

– Kim ty, kurwa, jesteś...? – wycharczał, gdy nachyliła się nad jego uchem.

– Nie ty tu jesteś od zadawania pytań. – Luta docisnęła kark Mańki kolanem, po czym, wyciągnąwszy z kieszeni skóry trytytkę, kilkoma wprawnymi ruchami spętała mu dłoń. Owinęła się na nim i ponownie nachyliła nad jego uchem. – I dla jasności, Mańka – dodała. – Chcę, żebyś wiedział, że zostałam przeszkolona do wyciągania informacji od dużo poważniejszych ludzi niż taki błazen jak ty. Dlatego ufam, że nie będziesz sprawiał problemów i odpowiesz na moje pytania, najlepiej jak potrafisz. W przeciwnym wypadku będziesz cierpieć. Zrozumiano?

– Pierdol się, szmato!

– Cóż... ostrzegałam...

Mańka próbował się wyrwać z uścisku, ale gdy jego palec wskazujący, a następnie środkowy zostały wyłamane ze stawów, zawył, jakby obdzierano go ze

skóry. Luta szybko go uciszyła, zatykając mu usta przepoconą koszulką, która wisiała na klamce drzwi prowadzących do pokoju. Wepchnęła ją dilerowi aż do gardła, co sprawiło, że nie był w stanie wydać z siebie już żadnych dźwięków poza desperackim rżeniem. Wtedy chwyciła go pod ramię i pomogła wstać. Spodziewała się, że może próbować zaatakować – i się nie pomyliła, ale ze związanymi z tyłu rękami był bez szans. Dla zmiękczenia kopnęła go jeszcze kolanem w brzuch, a następnie chwyciła za kark i poprawiła, uderzając jego głową o framugę. Paskudny chrzęst pękającej chrząstki i czerwony rozbryzg na białej ścianie nie pozostawiały wątpliwości, że nos Mańki ewidentnie przegrał to starcie.

Chwilę później diler siedział w fotelu, a na jego koszulkę wartką strużką płynęła krew, zabarwiając biały materiał na ciemnoczerwono.

Luta ustawiła naprzeciwko krzesło, usiadła okrakiem i wyciągnęła z torebki swój żołnierski nóż. Przez kilka sekund przyglądała się zszokowanemu mężczyźnie. W końcu odgarnęła z twarzy kosmyk włosów i przeniosła wzrok na ząbkowane ostrze.

– Nie chcę go używać, ale jeśli będę musiała, nie zawaham się – powiedziała przesadnie opanowanym tonem. – Chcesz, żebym go użyła?

Mężczyzna potrząsnął głową. Najwyraźniej dotarło do niego, że znalazł się w mało komfortowej sytuacji, a nieznajoma nie żartuje.

– Dla kogo pracujesz?

– Yhmm... mmm...

– No tak. – Luta wstała i wyciągnęła Mańce koszulkę z gardła, jednocześnie przykładając ostrze do jego policzka. – Jeśli zaczniesz się drzeć, to go użyję – ostrzegła. – Dla kogo pracujesz?

– Towar dostaję od Waclawa. Nie wiem, czy to jego prawdziwe imię. Raz w tygodniu spotykamy się w jednej z czterech lokalizacji pod miastem. Tam się rozliczamy.

Uniosła brwi, zaskoczona taką wylewnością. Potrafiła być przekonująca, ale tu nawet nie musiała się starać. Facet albo miał tę regułkę wbitą do głowy jak pacierz na okoliczność takich wizyt, albo rzeczywiście był jedynie pozerem, który przy pierwszej okazji sprzedałby własną matkę, aby ratować skórę. Musiała ustalić, która z tych wersji jest bliższa prawdy.

– Nie oszukujesz mnie, prawda? – zapytała, okrążając go.

– Nie. A ty kim jesteś? Konkurencja?

– Mówiłam, że to nie ty jesteś tu od zadawania pytań. Kim jest Waclaw?

Luta przeciągnęła ostrzem po obiciu fotela tuż nad uchem dilera, po czym musnęła końcówką skórę na jego czaszce. Mańka instynktownie pochylił się do przodu.

– Wiem tyle, że dostarcza mi dobry towar i można na nim polegać – odparł, przekrzywiając głowę. – Nic poza tym mnie nie obchodzi.

– Jest stąd?

– Chyba nie. Nie wiem. W tym biznesie lepiej wiedzieć mniej niż więcej. Ale jak już tak dopytujesz, to mogę ci zdradzić, że gdy się dowie, co tu odpiardoliłaś, na pewno ci nie popuści.

– Czyli jednak wiesz na jego temat coś więcej...

– Nic nie wiem, kobieto!

O ile w życiu Luty było niewiele rzeczy, które doprowadzały ją do furii, o tyle ten zwrot zajmował jedno z pierwszych miejsc na liście. Kobieto. Nie znosiła go bardziej niż faszystów i ruskich razem wziętych. Daj mi spokój, kobieto. Weź się ogarnij, kobieto. Gdzie obiad, kobieto? To były stałe teksty faceta, którego przygruchała sobie matka po śmierci ojca Luty. Miały za zadanie ustawiać Krystynę do pionu i na każdym kroku podkreślać jej niższość względem partnera, chociaż z partnerstwem ich związek miał niewiele wspólnego. Luta nigdy nie była w stanie zrozumieć, dlaczego matka na to pozwalała, nawet biorąc pod uwagę fakt, że ten skurwiel – przynajmniej na początku – wydawał się nadziany i zapewniał jej stosunkowo wysoki poziom życia. Nawet jeśli jej nie lał, bo zupa była za słona, to traktował ją jak bezimienną szmatę.

Przez moment przeszło jej przez myśl, aby strzelić Mańkę w papę, ale się powstrzymała. Teraz najważniejsze było odnalezienie Werki, a to, co usłyszała od dilerka, mniej więcej pokrywało się z tym, co zdołała ustalić dzięki telefonowi do byłego męża. On sam nie był święty, lubił od czasu do czasu zapalić albo wciągnąć kreskę, więc miał jakieś pojęcie na temat zielonogórskiego półświatka. Był już w drodze do domu. Z jednej strony ją to przerażało, bo czuła się winna i obawiała się spojrzeć mu w oczy, a z drugiej – choć chyba sama nie do końca chciała się do tego przyznać – potrzebowała wsparcia faceta, z którym kiedyś łączyło ją tak wiele.

– Dziś przed południem z terenu wesołego miasteczka ktoś porwał małą dziewczynkę – powiedziała, gdy znów usiadła okrakiem na krześle naprzeciwko dilerka. – Kto mógłby mieć w tym interes?

– Że co? Jaką dziewczynkę?

– Trzylatkę. Ma na imię Weronika.

– Nie wiem, o co ci chodzi, kobieto. Czego ty, kurwa, ode mnie chcesz?

– Ostatni raz powtarzam, że to nie ty tu zadajesz pytania. Następnym razem utnę ci ucho.

– Jesteś nienormalna!

– Kto mógłby mieć interes w porwaniu małej dziewczynki?

– A skąd mam to wiedzieć? Może jakiś pedofil czy inny zwyrodnialec. Kim ty, kurwa, jesteś, kobieto?

Luta podniosła się i stanęła za Mańką. Bez ostrzeżenia zacisnęła przedramię na jego gardle, a jej wolna dłoń powędrowała w kierunku skroni. Gdy się szarpnęła, ostrze drasnęło skórę.

– Pojechało cię? – warknął. – Daj spokój, kobieto. Nie mam z tym nic wspólnego. Nie mam pojęcia, o co ci chodzi.

– Jesteś dilerem, więc znasz wszystkie szumowiny w tym mieście. Pytam po raz ostatni: kto mógł mieć interes w porwaniu małej dziewczynki?

Ostrze osunęło się na ucho. Wtedy Luta poczuła wyjątkowo silny smród uryny.

– Proszę pani, ja nic nie wiem o żadnej dziewczynce. Proszę nie robić mi krzywdy... – Mańka rozbeczał się jak dziecko.

Luta zerknęła na jego krocze. Na jasnoniebieskim materiale dżinsów rosła ciemna plama. Najwyraźniej facet naprawdę nic nie wiedział.

– Daj mi nazwiska, to cię puszczę.

– Boże... – Mańka pociągnął nosem. – Gromda Leszek. To taki mały zboczeniec. Wiecznie opowiada, jak bzyka małolaty. Im młodsza, tym lepsza. Nie wiem... No nie wiem, może jeszcze Faja, chyba Borys ma na imię. Kiedyś kręcił amatorskie pornosy z licealistkami. Są w necie.

– Ktoś z wyżyn. Ktoś, kto tu rządzi...

– Jezu, naprawdę nie wiem! Czaplński, Druciak, Majski. Tylko że to biznesmeni. Grube ryby. Kręcą na boku, ale nie bawiliby się w takie rzeczy. Nic więcej nie wiem. Przysięgam, proszę pani...

Luta puściła mężczyznę i stanęła naprzeciwko niego. W jednostce szkolili ją z zakresu zachowań behawioralnych, co świetnie przydawało się podczas przesłuchań. Z łatwością potrafiła przejrzeć, czy ktoś kłamie, czy nie. Mańka nie kłamał. Należał do blisko dziewięćdziesięciopięcioprocentowej grupy ludzi, którzy pękają już na starcie. Już gdy rozmawiali przez szparę w drzwiach, mniej więcej tego się spodziewała. Przez chwilę z nieskrywaną odrazą wpatrywała się w jego krocze. To normalne, że maglowani popuszczali w tego typu sytuacjach, choć zwykle działo się to nieco później. Facet nie wydawał się groźny i powinien trzymać gębę na kłódkę. Na wszelki wypadek postanowiła mu jednak o tym przypomnieć.

– Powiem to tylko raz – zaczęła. – Ta rozmowa zostaje między nami do momentu, gdy nie zdecyduję inaczej. Jeśli puścisz parę z gęby, wrócę tu i utnę ci jaja. Zrozumiałeś?

– Tak... – wyjęczał Mańka, jakby zawstydzony tym, co zaszło.

– I nie zwracaj się do kobiet per „kobieto”. To tak na przyszłość.

– Dobrze, proszę pani.

– A teraz dawaj mi numer do tego Wacława i pozostałych, których wymieniłeś. Z nimi też chętnie sobie pogadam.

Pięć minut później Luta stała przy swoim motorze. Gdy zakładała kask, poczuła w kieszeni wibrowanie. Wyciągnęła komórkę i westchnęła. Emil dzwonił już kilkanaście razy. Pewnie wiedział już, co się stało.

– Cześć, Emil. Wybacz, ale nie mam teraz czasu – próbowała go spławić.

– Dlaczego nie odbierasz?

– Skoro tak się dobijasz, to pewnie już wiesz. Naprawdę teraz nie mogę. Na razie.

– Poczekaj. Myślę, że mogę ci pomóc.

– Emil...

– Ten gliniarz, który czasem wspiera mnie w researchu. Opowiadałem ci o nim, pamiętasz?

– Noo... – Luta odwiesiła kask.

– Specjalizuje się w porwaniach i... no wiesz.

– Mów konkretnie.

– W pedofilii...

– Kurwa mać – jęknęła i głośno przełknęła ślinę. W ostatnich godzinach to słowo nabrało przerażającej mocy.

– Trudny typ, stara szkoła. Ale zna się na robocie. Przed laty sam stracił dwoje dzieci.

Rzeczywiście coś jej świtało. Zwykle mało rozmawiali o pracy, bo głównie się pieprzyli, ale kojarzyła tego glinę. Emil kilka razy o nim wspomniał, zresztą czytała jego książki, w których wielokrotnie mu dziękował. Nigdy jednak nie wnikał w szczegóły, przez co nie miała pojęcia, że ten policjant ma tak zagmatwaną historię. To zdecydowanie mógł być mocny trop.

– Umówisz mnie z nim? – zapytała, gdy w końcu ochłonęła.

– Nie odbiera, ale on tak czasem ma, zwłaszcza jak zapije.

– To nie brzmi najlepiej...

– Uwierz mi, warto z nim pogadać. To prawdziwy pies. Nie jakiś krawężnik. Możemy do niego pojechać.

Luta zamknęła oczy i przez chwilę analizowała słowa przyjaciela. Miała plan, a planów nie lubiła zmieniać. Ale jeśli facet od lat zajmował się porwaniami, faktycznie mógł być mocnym wsparciem.

– Gdzie on mieszka?

– W Starym Kisielinie.

– Masz kask?

– Mam.

– Będę u ciebie za piętnaście minut.

Chwilę później Luta wsiadła na motor i z lekkim ślizgiem ruszyła z miejsca. Gdy pędziła do Emila, w głowie kołatało jej się tylko jedno słowo.

Pedofilia.

ROZDZIAŁ 13

W mieszkaniu unosił się zapach tostów z serem i szynką. Krystyna Karabina stała oparta o blat, wpatrując się w opiekacz pustym wzrokiem. Była zdruzgotana. Miała wrażenie, że znajduje się na środku oceanu, bez najmniejszych szans na ratunek. Z trudem łapała oddech, a serce niemal rozsadzało jej pierś, nawet pomimo końskiej dawki środków uspokajających. Jak miała spojrzeć w oczy Frankowi? Przecież był już na tyle duży, że rozumiał, co się wydarzyło. Córka nie poświęciła mu wiele czasu. Najpierw na motorze obleciała pół miasta w poszukiwaniu śladów porywacza, a gdy w końcu przyjechała na komendę, wzięła syna na bok i chwilę z nim porozmawiała. Krystyna nie miała pojęcia, co mu powiedziała, ale najwyraźniej coś, co sprawiło, że Franek trzymał się całkiem dobrze. Owszem, na kilka godzin niemal zupełnie zamilkł, ale nie płakał i wydawał się silniejszy. Nie wiedziała jednak, jak z nim rozmawiać, gdy zacznie zadawać pytania. Bała się o jego stan psychiczny, bała się o córkę i o to, do czego jest zdolna, aby odnaleźć Werekę. Największą trwogą napełniała ją jednak świadomość, że jej jedyna wnuczka znajduje się teraz w łapskach jakiegoś psychopaty, który może robić z nią jakieś okropne rzeczy. Dokładnie w tej chwili, w której ona czeka na cholerne tosty. To było nie do zniesienia.

Otrzeźwił ją swąd przypalonego chleba. Szybko podniosła pokrywkę opiekacza i wyciągnęła tosty na drewnianą tackę. Choć w kilku miejscach były pokryte czarnym nalotem, wciąż nadawały się do jedzenia. Nożem ściągnęła resztki sera przyklejonego do teflonowej powierzchni i przekroiła tosty na skos. Następnie z przesadnym pietyzmem ułożyła je na talerzu i zaniósła do salonu.

Franek leżał skulony na sofie z tabletem w dłoni. Krystyna położyła tosty obok niego, tym razem odpuszczając mu kazanie, że nie siedzi przy stole. Zerknęła na ekran tabletu. Wnuk oglądał jakiś filmik, który zdecydowanie nie przypominał żadnej z jego ulubionych bajek. Przyjrzała się wyszukiwanej frazie: „Jak złapać bandziora porywanego siostrę”. Poczowała, że robi jej się gorąco i znów traci oddech. Chciała zabrać chłopcu tablet, ale miała wrażenie, że jej ciało przestało reagować na sygnały płynące z mózgu. Po prostu nie była w stanie się ruszyć.

Przez dłuższą chwilę oglądała wraz z wnukiem nagranie, w którym jakiś anglojęzyczny policjant tłumaczył definicję porwania na podstawie jednego z przypadków w stanie Iowa w Stanach Zjednoczonych. Nigdy nie słyszała o tej sprawie, ale w pewnym momencie na ekranie pojawiło się zdjęcie niewinnej, uśmiechniętej blondyneczki z dwoma kucykami i charakterystycznymi, lekko wystającymi jedynekami. Trochę przypominała jej Pippi Långstrump i choć była zupełnie niepodobna do Weroniki, Krystyna poczuła, jakby ktoś wyrwał jej serce.

– Zostaw to, Franek. Nie powinieneś oglądać takich rzeczy – powiedziała i wyciągnęła rękę, aby odebrać wnukowi urządzenie.

– Ale ja chcę! – odparował.

– Nie powinieneś. Mama nie byłaby zadowolona.

– Tego nie wiesz. Idź sobie!

Krystyna poczuła się kompletnie bezradna. Oczywiście mogła wyrwać dziecku tablet, ale czy to nie pogorszyłoby i tak już beznadziejnej sytuacji? Przez dłuższą chwilę stała nad Frankiem, próbując znaleźć najlepsze rozwiązanie, ale gdy jej oczy znów zasły łzami, po prostu wyszła z salonu.

W sypialni się wyplakała, a kiedy wróciła do pozornej równowagi, usłyszała szcęk zamka. Chwilę później w drzwiach pojawił się Nikos. Nie musiała nawet patrzeć mu w oczy. Już po chodzie poznała, że znów jest naćpany.

– Nie dziś, Nikos – rzuciła, poderwawszy się z łóżka. – Dzisiaj nie możesz tu spać. Nie w takim stanie. Wyjdź stąd! – Wytarła łzy.

– Ale mammo... – jęknął. Mięśnie jego twarzy zdawały się lekko obwisłe, a źrenice przypominały główki od szpilek. Heroina.

– Jak mogłeś? Boże, synu... – Krystyna przytknęła dłoń do ust, a po jej policzkach spłynęły kolejne łzy.

– No weź... – Nikos chwycił ją za przedramię, ale mu się wyrwała.

– Zostaw mnie!

– No, mammo... Położę się, okej? To wszystko tak mnie dobija, że...

– Luta by mi nie wybaczyła! Nie możesz przychodzić tu naćpany! Mieliśmy umowę. Żadnych narkotyków. Teraz mam pod opieką Franka. Jak ty to sobie, do jasnej cholery, wyobrażasz?

– Ja tylko spać się położę...

– Nie możesz, Nikos. Nie mogę. Ja... Nie da się tak...

– Co się nie da? No co? Myślisz, że co? Że ja co? Że co? Że nie... no... nie przeżywam tego, co się stało?

– Nie dręcz mnie, proszę. Po prostu wyjdź i wróć, jak wytrzeźwiejesz. Wiesz dobrze, że Lutka... – Krystyna sama nie wiedziała, co w takiej sytuacji zrobiłaby córka, ale podejrzewała najgorsze. Wiedziała, że musi być wobec syna twarda.

Miała pod opieką Franka i nawet nie chciała sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby pozwoliła Nikosowi przenocować tu w takim stanie.

– Co Lutka? – bąknął, przewracając oczami. – Tylko Lutka i Lutka. Tylko ona się liczy. Zawsze tylko ona się liczyła...

– Po prostu wyjdź. Musisz sobie jakoś poradzić. Nie pogarszaj sytuacji.

– Ja... – Nikos uderzył się w pierś. – Ja... ja nigdy się nie liczyłem. Ona wyjechała sobie do... wojska. – Skrzywił się z pogardą. – A myślisz, że ja tego chciałem? Po prostu... no... chwila nieuwagi. To pojebane...

– Nikos!

– Ja kocham jej dzieci. Werkę bardzo, bardzo! Choć chyba nie powinienem...

Krystyna gwałtownie otworzyła drzwi i szarpnęła syna za ramię, aby wyprowadzić go na zewnątrz. Opierał się przez chwilę, ale w końcu skapitulował.

– To niesprawiedliwe, mamoo... – rzucił, gdy już był za progiem. – Lutka powinna wiedzieć...

– Nie waż się teraz do tego wracać! Nie możesz, rozumiesz?!

– Powinna wiedzieć...

– Przyjdź, jak będziesz czysty. Przepraszam... – Krystynie załamał się głos. Z wysiłkiem zatrzasnęła drzwi i przekręciła oba zamki. Nikos miał klucze tylko do górnego. Oparła czoło o futrynę, bo bała się, że zemdleje. Miała wrażenie, że runęły na nią wszystkie plagi tego świata. Nie miała już sił. Nie była w stanie dalej tego ciągnąć. Gdy przed oczami stanęła jej twarz wnuczki, poczuła silne ukłucie w okolicach serca. Przeraziła się i przykucnęła na wszelki wypadek, ale na szczęście ból szybko minął. Kilka razy głębiej odetchnęła, po czym podniosła się i wróciła do salonu.

Franek wciąż siedział z nosem w tablecie. Jego twarz tonęła w niebieskawej poświacie wyświetlacza. Przeżuwał ostatni kawałek tosta.

– Robi się późno, Franuś – powiedziała łagodnie. – Może już to odłożysz? Przygotuję ci kąpiel, dobrze?

Zero reakcji. Wnuk nawet nie podniósł wzroku.

– Franek...

Z szeroko otwartymi oczami chłopiec wyglądał, jakby był w transie. Krystyna zaczęła się obawiać, że ogląda coś, czego nie powinien.

– Franuś, słyszysz mnie?

– Nie chcę się myć! – krzyknął.

– Ale...

– Chcę, żeby mama zabiła tego pana! – ryknął jeszcze głośniejsze. – Wiem, że mama dobrze strzela i wiem, że go zabije! Niech go zaaabiiiijeeeee!!! – Ostatnie słowa Franek wykrzyczał całym sobą, a chwilę później zrzucił z kolan tablet i zwinął się w kłębek. Odwrócił się, aby ukryć łzy, po czym częściowo nakrył się

kocem. Krystyna słyszała, że jeszcze coś mruczy pod nosem, ale się nie rozplakał. Usiadła obok wnuka i położyła dłoń na jego drobnym ciele. Przez chwilę myślała, że ją odtrąci, ale tego nie zrobił, jakby po tym niekontrolowanym wybuchu emocji zupełnie zgasł. Zaczęła delikatnie głaskać jego plecy. Wtedy wszystko wróciło. Cała cholerna przeszłość, całe to zło, którego była świadkiem, ale nie miała odwagi go powstrzymać. Znowu poczuła, jak zalewa ją fala niewyobrażalnej goryczy. Wyrzuty sumienia, poczucie bezradności, potworny wstyd.

Kara.

Zacisnęła powieki i przygryzła policzek z taką siłą, że na języku poczuła metaliczny smak krwi. Po raz pierwszy od blisko trzydziestu lat pomodliła się do Boga.

Gdy błagała go o wybaczenie i ratunek dla swojej wnuczki, kilkanaście kilometrów dalej nadkomisarz Zygmunt Szatan leżał na podłodze we własnych wymiocinach i śnił koszmary. Obrazy pojawiające się w jego głowie były nie tylko bardzo realne, ale i prawdziwe. Jeśli gdziekolwiek istniało piekło, to Szatan właśnie w nim przebywał i pływał w morzu krwi i cierpienia.

ROZDZIAŁ 14

— **D**obra, słuchaj tego. – Starszy posterunkowy Florian Majski wcisnął w usta ostatni kęs kanapki z posolonym pomidorem, wytarł wargi wierzchem dłoni i wyrzucił folię za okno. – Wiesz, co łączy dziwkę i skok na bungee?

– No...? – Starszy aspirant Zygmunt Szatan wyglądał na znudzonego.

– Są tanie, szybkie i jak pięknie guma, to przepadłeś.

Młody policjant zarechotał, ale starszy kolega tylko się skrzywił.

– Ile jeszcze masz takich sucharów w rękawie?

– Dużo. Słuchaj tego...

– Najpierw muszę się odlać. Skręć na tę stację.

Posterunkowy zjechał z głównej drogi. Poza niewielką stacją benzynową znajdował się tu parking, na którym czasem zatrzymywali się kierowcy tirów chcący przekroczyć nieodległą granicę z Niemcami. Jedną z ostatnich szans na zaopatrzenie się w tanie papierosy czy alkohol, więc samochodów było całkiem sporo. Kolejka do zewnętrznej toalety też była długa, dlatego Szatan zaordynował, aby Majski minął budynek stacji i zatrzymał się pod lasem. Posterunkowy zaparkował tuż przy drzewach, w jak największej odległości od innych pojazdów.

– No to słuchaj – rzucił szybko. – Co ma wspólnego papuga z gejem?

Szatan otworzył drzwi radiowozu i wystawił nogę na zewnątrz, ale ostatecznie zatrzymał się w pół kroku i dał koledze szansę na zrehabilitowanie się.

– No?

– Obsraną rurkę.

Przez chwilę łączył kropki, aż w końcu szczerze się roześmiał.

– Kurwa, młody, ja pierdołę. Skąd ty bierzesz te wszystkie dowcipy?

– Gdybym ci powiedział, musiałbym cię zabić.

– Jasne...

Szatan wygramolił się z samochodu i zapalił papierosa. Zaciągnął się głęboko i zlustrował okolicę. Zmierzchało, ale jak na drugą połowę czerwca było bardzo ciepło, przez co pod mundurem był już mokry jak szczur. Wetknął papierosa w kącik ust, odszedł kilka metrów i rozpiął rozporek, po czym z głośnym

westchnieniem ulgi oddał mocz w pobliskie krzaki. Starał się nie oddychać nosem, bo wokół cuchnęło fekaliami gorzej niż z kanału ściekowego. Zatrzęsienie zużytych kawałków papieru toaletowego świadczyło o tym, że większość podróżujących najwyraźniej wolała korzystać z łona natury, a nie z toalety przy stacji benzynowej.

Policjant zapiął rozpiorek i ruszył w kierunku radiowozu. Oparł się o maskę, aby w spokoju dopalić papierosa, gdy usłyszał głucho dudnienie. Zdawało się ledwo słyszalne, ale nie było wątpliwości, że dochodzi z jednego z pobliskich samochodów. Nadstawił uszu, by zlokalizować źródło dźwięku.

Bum, bum, bum. Bum, bum, bum, bum. Bum, bum, bum.

Powtarzający się odgłos nie był miarowy, ale w miarę powtarzalny. Niepokojący, bo przywodził na myśl kogoś, kto próbuje wysłać jakiś sygnał. Szatan już chciał ruszyć z miejsca, żeby namierzyć źródło dźwięku, gdy kilkanaście metrów przed nim z zarośli wyskoczył jakiś mężczyzna i klnąc pod nosem w niezrozumiałym języku, pobiegł w stronę jednego z tirów. W szarówce trudno było dostrzec jego rysy, ale gość wydawał się wyraźnie zdenerwowany. Nie trzeba być gliną, by zrozumieć, że coś tu nie gra. Szatan rzucił niedopałek na ziemię i dogasił go butem.

– Dowiedz się, czy w okolicy mamy jakieś inne patrole – polecił partnerowi, wsuwając głowę przez otwarte okno. – Pójdę tylko coś sprawdzić – dodał, zerkając na faceta, który zdążył już doskoczyć do drzwi naczepy.

– Coś się dzieje? – zapytał Majski.

– Nie wiem. Słyszałeś ten powtarzający się dźwięk? Jakby dudnienie?

– Nie.

– Nieważne. Widzisz stąd rejestrację tej ciężarówki?

Młody lekko zmrużył oczy i pokręcił głową. Dudnienie ustało.

– Za daleko i za ciemno.

– Dobra, nieważne. Łącz z centralą. Ja pójdę sprawdzić.

Gdy Szatan przeniósł wzrok z powrotem na naczepę tira, mężczyzny już nie było. Uchylone drzwi mogły sugerować, że wszedł do środka. Policjant odruchowo dotknął kabury z bronią i odpiął zabezpieczenie. Wyciągnął latarkę. Kiedy dyskretnie zakradł się na tyły ciężarówki, usłyszał kobiecy jęk, a chwilę później głucho odgłos przypominający uderzenie. Głos kobiety zastąpił męski i choć Szatan nie rozumiał ani słowa, w tonie dało się wyczuć wyraźną pogardę.

Wyciągnął pistolet, czując nagły przypływ adrenaliny. Chwycił go oburącz, przylgnął do naczepy i zerknął na zarys stojącego pod krzakami radiowozu. Zaklął, gdy jego uszu dobiegł dźwięk policyjnej szczekaczki. Nie pomyślał, że młody może być tak głupi, aby nie ściszyć radia. Wtedy usłyszał, jak z naczepy ktoś zeskakuje. Przykucnął. Widział jego nogi. Facet znów coś powiedział. Był

wyraźnie zdenerwowany. Przez chwilę kręcił się w miejscu, w końcu pospiesznym krokiem ruszył w kierunku radiowozu. Gdy Szatan dostrzegł, że sięga za pasek, a w jego dłoni pojawia się znajomy kształt, skoczył na równe nogi i wycelował broń w mężczyznę.

– Stać! Policja! Na kolana i ręce do góry!

Nieznajomy się zatrzymał. Nadkomisarz nie był pewny, czy facet go rozumie, ale tak stanowcza komenda w tak jednoznacznej sytuacji mogła oznaczać tylko jedno. Mężczyzna przed nim mógłby pochodzić z Księżyca, ale bez wątpienia musiał zdawać sobie sprawę, że właśnie znalazł się na muszce funkcjonariusza policji.

– *Hande hoch! To the ground!* – krzyknął, wiedziony instynktem. Niemiecki, angielski, wszystko jedno, facet na pewno zrozumiał. – *Polish police!* Ręce do góry, tak żebym je widział!

Mężczyzna powoli zaczął unosić ręce, wściekle mrużąc coś pod nosem. Szatan czuł przeszywające go dreszcze podniecenia. A może po prostu się bał? To była jego pierwsza tego typu akcja. Nigdy wcześniej nie musiał wyciągać broni z zamiarem jej użycia przeciwko drugiemu człowiekowi. A ten gość – teraz nie było już żadnych wątpiwości – w prawej dłoni trzymał pistolet.

Szatan zbliżył się do mężczyzny na odległość dwóch metrów. Wieczór był ciepły, mimo to facet miał na sobie kurtkę. Na ogolonej głowie odznaczał się jakiś kształt przypominający tatuaż. Nad jego ramieniem dostrzegł, że Majski odpalił silnik i włączył reflektory. To nie był dobry pomysł, bo światła go oślepiły. Radiowóz ruszył w ich kierunku. Gdy Szatan już myślał, że ma sytuację pod kontrolą, za plecami usłyszał chrzęst żwiru. Wszystko trwało krócej niż mgnienie oka. Odwrócił się, ale przeciwnik był o ułamek sekundy szybszy.

Kolejne uderzenia były błyskawiczne. Wszystkie trafiły w okolice żeber, tuż pod sercem. Zimne ostrze, ból rozlewający się po całym ciele, nagły bezwład, brak kontroli. Potem cztery następujące po sobie strzały, brzęk tłuczonego szkła i gardłowy krzyk partnera. Głosy w jakimś nieznanym języku. I jeszcze dwa strzały. Odgłos łusek uderzających o drobne kamyczki. I ta przerażająca cisza.

W nozdrzach czuł zapach trawy i mokrej ziemi. W ustach smak krwi. Dusił się nią. Wylewała się z niego przy każdej próbie złapania oddechu. Nagle zrobiło mu się bardzo zimno, tak jakby lodowate ostrze zainfekowało wszystkie jego tkanki. Pomyślał o Ani, swojej siedmioletniej córeczce, i o Edycie, ukochanej żonie. Była w dziewiątym miesiącu ciąży. Już wkrótce miała urodzić mu syna, któremu chcieli dać na imię Robert.

Poruszył stopą. Wciąż miał czucie. Wciąż żył. Gdy w oddali usłyszał policyjne syreny, w jego serce wlała się nadzieja. Ile zostało mu czasu, zanim się wykrwawi? Musiał przeżyć. Nie mógł ich zostawić. Nie w takim momencie.

Zacisnął pięść i z zaskoczeniem stwierdził, że w jego dłoni wciąż znajduje się broń. Rękojęć była lodowata, ale teraz wszystko było już bardzo zimne, jakby temperatura powietrza nagle spadła o dwadzieścia stopni. Usłyszał pospieszne kroki. Chrzęst żwiru pod podszewkami. Mężczyźni przebiegli tuż obok, niemal poczuł na twarzy podmuch wiatru. Wiedziony instynktem, zebrał się w sobie i przesunął ramię, a następnie lekko je uniósł i wycelował w uciekających bandytów.

– Stóóó... – wycharczał, zapluwając się krwią, a gdy jeden z nich się odwrócił, nacisnął spust.

Huk wystrzału poniósł się jakby z oddali. Rozbłysk niemal go oślepił. Odrzut sprawił, że broń wypadła mu z ręki. Na więcej nie było go stać. Zrobił wszystko, co mógł, aby wypełnić przysięgę. Gdy patrzył w ciemne niebo, był pewien, że trafił.

Zamknął oczy. Policyjne syreny wydawały się być już tak blisko, a zarazem tak daleko. Śmierć odwrotnie.

Gdy znów otworzył powieki, dostrzegł jedynie błysk ostrza. Chwilę później nóż zagłębił się w tkance tuż pod jego uchem, a Szatan osunął się w mrok.

Bum, bum, bum. Bum, bum, bum. Bum, bum, bum...

I znów ten dźwięk.

Bum, bum, bum. Bum, bum, bum. Bum, bum, bum...

Ból. Wszędzie ból. Ból rozsadzający czaszkę, rozlewający się po całym ciele, wwiercający się w mózg.

Głosy...

Kroki...

Schody...

Szatan otworzył oczy. Świat wirował. Dwie pary butów. I znów głosy. Dwa rozmazane cienie. Dłoń.

– Zygmunt?

Znajomy głos.

– Co to, kurwa, jest?

Nieznajomy. Kobięcy.

– Ogląda to od lat. Wtedy pije na umór. Nakręca się.

– Tak się nakręca? Nie mam czasu na takie bzdury. Przecież ten facet to trup, tylko jeszcze o tym nie wie.

– Poczekaj.

– To strata czasu.

– Zygmunt? Powiesz coś?

– Wy...pierdaaa...łać z mooojeeego dooomu.

– Czyli jednak nie trup. Daj mu kwadrans, to się ogarnie. Nie w takim stanie go widywałem.

– To nie ma sensu. A ja nie mam czasu.

– Idź na górę i zalej trzy kawy. Młynek i czajnik są w kuchni zaraz przy wejściu. Daj nam kwadrans, a ja postaram się doprowadzić chłopca do stanu używalności.

– Emil, na Boga, przecież...

– Zaufaj mi, Luta. Bóg ci nie pomoże. Szatan przynajmniej spróbuje.

ROZDZIAŁ 15

Klama stał na balkonie i palił skręta. Bomba była dziwna, ale podobała mu się. Generalnie miał wywalone i wszystkie złe myśli ulatywały z jego umysłu, zanim na dobre się w nim zagnieździły. Skąd Mózgol wyrwał taki towar? Owszem, miał dojścia, ale ten materiał nie przypominał niczego, co palił do tej pory. Właśnie to podobało mu się w tych wszystkich dopalaczach. Nutka niepewności, może ryzyka. Człowiek nigdy do końca nie wiedział, czego się spodziewać, i choć z rzadka zdarzały się wtopy, to tego typu eksperymenty zwykle zaskakiwały go pozytywnie.

– Jak długo chcesz ją tu trzymać? – usłyszał za plecami głos Mózgola.

– Nagramy kilka filmów i zobaczymy, czy się sprzedadzą. Potem ją oddamy – odparł z pełnym przekonaniem Klama. Zaciągnął się po raz kolejny i przez chwilę przytrzymał dym w płucach. – Takie materiały chodzą w darknecie po kilkaset dolców za wejście. Gadałem z takim jednym na czacie. Można zarobić nawet tysiąc dolców dziennie, a są kozaki, co trzepią nawet dychę.

– Ty nie jesteś kozak...

– Spierdalaj.

Mózgol odebrał od Klamy skręta i sam się zaciągnął. Przez chwilę wpatrywali się w grupkę chłopców grających w piłkę na pobliskim orliku. Byli trochę za duzi, aby ich wykorzystać, ale w głowie Klamy zaczęły się rodzić kolejne pomysły. Czuł się jak młody bóg. Wiedział, że mu się uda i zdobędzie kasę, a gdy odda smarkulę, to najwyżej skombinuje kolejnego dzieciaka. W dzisiejszych czasach zwiniecie takiego szczyła było wbrew pozorom proste jak drut. Niby mówiło się o tych wszystkich zagrożeniach, ale większość rodziców tylko udawała, że podchodzi do tematu poważnie, bo jak już przysiadła na ławce na placu zabaw, to i tak puszczała malucha samopas i wbijała nos w telefon. Na swój sposób go to bawiło, bo przecież w dokładnie takim samym telefonie ktoś na drugim końcu świata mógł wkrótce oglądać zdjęcia i zmontowane filmiki z małą Weroniką. Czysty pieniądz. Wystarczyło tylko trochę kreatywności, a że nie był potworem, to nie miał zamiaru nikogo krzywdzić. Gdy młoda na nich zarobi, weźmie sobie kolejnego dzieciaka, może tym razem chłopca. W internecie był nie do

namierzenia, a w najgorszym wypadku, gdyby ktoś złapał go na próbie uprowadzenia dziecka, wyrok, jaki przewidywał kodeks karny, był śmieszny – nie przekraczał trzech lat pozbawienia wolności. Znajac polskie prawo, dostałby zawiasy, ewentualnie pół roku do roku odsiadki. Jeśli w tym czasie miały zarobić kilkanaście tysięcy dolarów, to gra była warta świeczki, tym bardziej że dwu- czy trzyletnie dziecko nie miało szans tego zapamiętać. Przynajmniej on w tym wieku nie pamiętał.

– Dałeś jej coś jeść? – zapytał, gdy wrócił do rzeczywistości.

– Tylko pić.

– Dlaczego nie jeść?

– Bo nie kupiłeś, kurwa, nawet pieluch i zeszczala się w gacie. Wolałem nie ryzykować, że się zesra.

– Pieluchy i żarcie są w torbie. Kupiłem też kilka fatałaszków, które powinny się sprzedać. I maski na ryj, żeby nas później nie rozpoznała.

– Mnie już widziała...

– Zapomni. Wyluzuj.

– Nie wkurwiał mnie.

– Ma trzy lata. Pewnie już zapomniła. Mimo wszystko od dziś występujemy w maskach.

– Ale pieluchy zmieniasz sam. Nie będę się babrał w gównie.

– Dobra już, dobra. Kończ jarać i spróbujemy coś nagrać.

Klama wycofał się do salonu, gdzie usiadł na sofie. Podrapał się po skołtunionych włosach, otworzył laptopa i zalogował się do darknetu. Był z siebie dumny, choć przejście na ciemną stronę internetu okazało się banalnie łatwe. Miał do siebie pretensje, że wpadł na ten pomysł tak późno. Wystarczyło ściągnąć wyszukiwarkę TOR i trochę w niej pogrzebać, żeby wejść na interesujące go strony. Rejestracja nie odbiegała specjalnie od tej na portalu randkowym. Jediną różnicą było to, że należało uiścić opłatę za korzystanie z usługi w bitcoinach, która w przeliczeniu na złotówki wynosiła równowartość czterystu czterdziestu siedmiu złotych i trzydziestu pięciu groszy, czyli według jego obliczeń odpowiednik stu dolarów. Liczył się z pewną inwestycją, wszak rynek rządził się swoimi prawami i jeśli chciał zarobić, najpierw musiał coś włożyć.

Zdziwił się, że młoda jest tak cicho. Dzieci w jej wieku zwykle albo drą się wniebogłosy, albo beczą. A ona siedziała w sypialni jak mysz pod miotłą. Nie był do końca pewny, co o tym myśleć. Żeby dłużej się tym nie biczować, wyciągnął z siatki maskę ze Świnką Peppą i założył ją na twarz. Następnie wyjął z lodówki kilka parówek i poszedł do pokoju obok. Otworzył drzwi. Mała spała. Przez chwilę przyglądał się, jak oddycha. W tej czerwonej sukience w motylki wyglądała tak niewinnie, że poczuł lekkie ukłucie wyrzutów sumienia. Naprawdę

nie był potworem, ale jakoś musiał zdobyć tę kasę. Tym razem Pozioma i Cypis nie żartowali i wiedział, że jeśli nie uzbiera dwudziestu kawałków do przyszłego tygodnia, to w najlepszym wypadku trafi na OIOM z połamanymi nogami i rękami, a w najgorszym do piachu.

Położył parówki na szafce nocnej i wyszedł. Za progiem jeszcze przystanął. Nadstawił uszu. Mogło mu się wydawać, bo towar był mocny, ale prawie na pewno usłyszał jakieś głosy. Aż podskoczył, gdy rozległo się głucho walenie.

– Otwieraj, Mózgol! Wiemy, że tam jesteście! – Głos, który ryknął zza drzwi wejściowych, był ostatnim, który Klama chciał usłyszeć.

Na palcach ruszył w kierunku salonu, ale jego kompan już doskoczył do korytarza.

– Kto to? – szepnął z przerażeniem w oczach Mózgol.

– To głos Poziomy. Pewnie jest z Cypisem.

– Czego tu chcą?

– Nie wiem. To znaczy... zalegam im kasę, ale mam czas do końca przyszłego tygodnia.

– Ja pierdołę, Klama! Coś ty znów odwalił?

– Nic, kurwa!

– W takim razie otwieram. Nie chcę kłopotów.

Klama nie zdążył zaooponować, gdy Mózgol przekręcił zamek. W drzwiach rzeczywiście stało dwóch mięśniaków. Weszli jak do siebie i od razu skupili się na dłużniku.

– Pomyśleliśmy, że sprawdzimy, jak kołujesz kasę. Bo kołujesz, no nie? – Grymas na twarzy Poziomy zdradzał maksymalną pogardę.

– Tak. Mam jeszcze czas...

– Masz tyle czasu, ile uznam za stosowne. – Pozioma przepchnął Klame i wszedł do salonu. Jego wzrok padł na ekran laptopa, a następnie na konsolę PlayStation. – Zabieramy oba. Obleć chatę, Cypis. Może jeszcze coś skitrali.

– Nie! – zaprotestował Klama. – Potrzebuję kompa do pracy, żeby zdobyć kasę.

– A ty kto? Elon Musk czy jaki chuj?

– Pozioma, proszę cię. Ja...

– Coś ty, kurwa, powiedział? – Pozioma nie lubił, jak zwracano się do niego w ten sposób. Tolerował to tylko w przypadku najbliższych przyjaciół. Ksywę przykleili mu już w podstawówce, bo kiedyś był gruby jak bela i błyskawicznie się męczył, przez co na jego twarzy wykwitwały soczyste rumieńce. Pomimo że z czasem zmęśniał, a tłuszcz zamienił w napompowane sterydami mięśnie, wcale mu nie przeszło. Z tą różnicą, że teraz plamy na policzkach pojawiały się głównie wtedy, gdy wpadał w furję. – Jak mnie, kurwa, nazwałś, szmaciarzu jebany?! – powtórzył, ruszając w stronę Klamy. Jego twarz niemal płonęła żywym ogniem.

– Nic, ja...

Klama nie zdążył dokończyć, bo wielka niczym bochen łapa wylądowała na jego uchu. To było jak uderzenie obuchem. Gdyby dostał z pięści, zapewne nie byłoby czego zbierać. Najgorsze miało jednak dopiero nastąpić. Pozioma rzeczywiście wpadł w furję. Darł się, wyzywał od najgorszych i kopał gdzie popadnie. Klama zwinął się w kłębek, ale niespecjalnie pomogło. Chwilę później pół podłogi było zabryzgane krwią. Gdy w końcu oprawca się zmęczył i przestał pastwić nad ofiarą, z pokoju obok przebił się płacz.

– Oni tu mają jakiegoś dzieciaka. – Cypis, nie chcąc wchodzić w drogę rozjuszonemu kompanowi, wykorzystał czas, aby obkoczyć chatę. – Leży w sypialni. Mała dziewczynka.

Pozioma odwrócił się w kierunku kompana. Jego twarz była czerwona i zlana potem.

– Jaka, kurwa, dziewczynka? – warknął.

Cypis wzruszył ramionami.

– Mała. Nie wiem, może trzy lata ma.

– Bierzemy ją.

– Ale... – wtrącił Mózgol.

– Też masz, kurwa, jakieś „ale”? – Pozioma doskoczył do gospodarza tak energicznie, że niemal stuknęli się głowami. – Masz, kurwa, czy nie?

– Nie mam.

– Kim ona jest? – próbował tonować emocje Cypis.

– Nie wiem.

– Jak to nie wiesz? Mów, bo tobie też wpierdole. A ty... – Pozioma rzucił surowe spojrzenie Cypisowi. – Idź i ucisz tego dzieciaka. Drze japę, jakby ktoś go obdzierał ze skóry. Zaraz bębenki mi w uszach rozpierdoli.

– To pomysł Klamy. Chcieliśmy... – Mózgol się zawahał. – W sumie to nie wiem dokładnie. Klama mi nie powiedział, jakie ma plany – skłamał.

– Jeszcze do tego pedofil? – Pozioma podszedł do wijącego się z bólu chłopaka i jeszcze raz kopnął go w brzuch. – Szmaciarz jebany! Przekaż mu, że za trzy dni ma być kasa. A dzieciaka zabieramy jako ten... no...

– Zabezpieczenie – dokończył Cypis.

– No właśnie.

To powiedziawszy, Pozioma charknął i splunął na półprzytomnego Klame, po czym zabrał laptopa i wyszedł.

Gdy Mózgol obserwował, jak Cypis opuszcza jego mieszkanie z płaczącą dziewczynką na rękach, zaczęła do niego docierać powaga sytuacji. Nic nie poszło tak, jak to sobie zaplanowali. Wszystko szlag trafił. I teraz naprawdę mogli zacząć się bać.

ROZDZIAŁ 16

Luta zatrzymała motor. Emil zsiadł i oboje ściągnęli kaski. Spojrzeli sobie w oczy.

– Chcę, żebyś wiedziała, że zawsze...

– Wiem.

– I gdybym tylko mógł zrobić coś jeszcze, to...

– Zrobięś wystarczająco dużo. Dziękuję.

Przytulił ją. Pozwoliła mu na to i nagle poczuła, że wilgotnieją jej oczy. Bardzo tego potrzebowała. Wsparcia, pocieszenia, męskiej dłoni. Bo nawet jeśli była tym, kim była, wciąż pozostawała kobietą.

– Muszę jechać – mruknęła i szybko założyła kask, aby nie zdradzić się ze swoją chwilą słabości. Emil pewnie i tak to zobaczył, ale nie dał niczego po sobie poznać.

Chwilę później silnik zawył, a ona, nie oglądając się za siebie, wyrwała do przodu.

Jadąc do sali treningowej Octopusa, zastanawiała się nad tym, co usłyszała z ust Szatana. Miała mieszane uczucia, bo choć komisarz bez wątplenia był doświadczonym gliną, obecnie przypominał raczej wrak człowieka.

Gdy wtedy przyniosła kawę, zdążył już oprzytomnieć, ale nie sprawiał wrażenia kogoś, kto realnie byłby w stanie jej pomóc.

– Przepraszam za... – Odchrząknął. – Rzadko miewam gości...

Usiadła naprzeciwko niego. Nalana i spuchnięta twarz, mięsiste wargi, szeroki nos, paskudna blizna na gardle – wypisz wymaluj glina upadły, który nie uniósł ciężaru pracy w pionie kryminalnym, przez co dziś wszystkie swoje problemy topi w butelce wódki. W pewnym sensie tak właśnie było, ale gdy Luta usłyszała jego historię, postanowiła zaryzykować. I choć z początku miała pewne wątpliwości, bo facet na pewno nie był do końca trzeźwy, ostatecznie, nie chcąc tracić szansy, wyłożyła karty na stół. Szatan słuchał uważnie, nie przerywał, przewiercając ją wzrokiem spomiędzy lekko przymkniętych powiek. Skończyła w momencie, gdy on zgasił w popielniczce kolejnego peta.

– Mój przyjaciel twierdzi, że płynie w pani turecka krew. Czy to prawda? – zapytał.

– Mój dziadek pochodzi z Turcji.

– Mówi pani po turecku?

– Całkiem dobrze.

– I jest pani... hmm... zawodowym żołnierzem sił specjalnych, tak?

– Od ośmiu lat nie jeżdżę na misje.

– Żołnierzem pozostaje się całe życie... – Szatan sięgnął po kolejnego papierosa. – Zwłaszcza jeśli jest się jedyną kobietą, która zdała egzamin w JWK.

– Do czego pan zmierza, panie Szatan? – Podejrzewała, że zna odpowiedź, ale wolała, by sprawa wybrzmiała jasno. W tym świecie nikt nie dawał niczego za darmo i ta transakcja też musiała być wiązana.

Ta myśl sprawiła, że odkręciła manetkę nieco mocniej na długiej i szerokiej alei Konstytucji 3 Maja, następnie przeleciała obok galerii Focus Mall, z Wrocławskiej skręciła we Lwowską i Waryńskiego dotarła do klubu. Zatrzymała się niemal pod samym wejściem na salę treningową. Zeszła z motoru, ściągnęła kask i odwiesiła go na kierownicę. Wbiegła po schodkach na podwyższenie i nacisnęła kławkę.

W środku panował lekki zaduch. Było już grubo po dwudziestej trzeciej, więc treningi dawno się skończyły, mimo to w szatni wciąż paliło się światło. Oczekiwali jej. Kiedy pospiesznie pokonała korytarzem ostatnie kilka metrów, zza winkła wyskoczył Dominik.

– Luta... – Potrząsnął głową. – Chodź tu do mnie.

Przycisnął ją tak mocno, że prawie odebrało jej dech. Był jednym z trzech trenerów, którzy prowadzili klub. Wysoki, świetnie zbudowany, bystry i zabójczy na macie. Miał swoją przeszłość, choć dziś, zamiast rozbijać głowy na dyskotekach, wolał prowadzić treningi dla najmłodszych. Puścił ją, a gdy Krzysiek, a po nim najbardziej z nich wszystkich doświadczony Łukasz również wzięli ją w objęcia, poczuła, że tym razem nie zatrzyma łez pod powiekami. Przygryzła do krwi wewnętrzną część policzka, aby oszukać organizm, ale i tak jedna się urwała i popłynęła po policzku. Wytarła ją wierzchem dłoni.

– To prawda, co mówią w mediach. Moja córka została porwana – rzekła, gdy w końcu odzyskała kontrolę.

– Dlaczego od razu nam nie powiedziałaś? – zapytał Łukasz.

– Nie miałam do tego głowy. Próbowałam go dopaść, ale nie byłam w stanie. Zabrał ją na moich oczach, gdy znajdowałam się na tej... – poczuła, że znów załamuje się jej głos – ...pierdolonej kolejce. – Przełknęła ślinę. – Dzięki, że zadzwoniliście. Doceniam to.

– Co na to policja? – zapytał Krzysiek.

– Jak to policja. Robią swoje.

– A my zrobimy swoje – rzucił Dominik.

– Już rozpuściliśmy wici – dodał Łukasz. – Informacja dotarła do każdego z naszych zawodników i zawodniczek. Wszyscy w mieście chcą pomóc, na grupach aż się gotuje, a głosy wsparcia słycać od Szczecina po Kraków.

– Dzięki... – Luta zacisnęła usta w linię. Potrzebowała wsparcia, które dawało nadzieję. Do tej pory czuła się w klubie trochę jak piąte koło u wozu. Niby wszystko było okej, ale prawie nigdy nie spotykała się z kolegami po treningach. Owszem, akceptowali ją, ci bardziej doświadczeni szanowali za umiejętności, a trenerzy robili wszystko, aby czuła się w Octopusie jak najlepiej, ale miała wrażenie, że ze względu na jej płęć wielu kolegów wciąż nie traktowało jej jak pełnowartościowego zawodnika. Teraz Łukasz przemówił w imieniu ich wszystkich. I choć daleko jej było do poczucia ulgi, oceniając sytuację na chłodno, musiała przyznać, że w ostatnich godzinach szanse na odzyskanie Werki wzrosły.

Policja robiła swoje, koledzy swoje, a w odwodzie był jeszcze Szatan. No i ona sama. Musiała tylko to wszystko skoordynować, bo o ile ci pierwsi musieli pracować według procedur, a ona nie miała praktycznie żadnego wpływu na to, jak postępują, o tyle kompani z maty mogli działać nieco bardziej stanowczo. Biorąc pod uwagę fakt, że wielu z nich miało kontakty w półświatku, a niektórzy czynnie współpracowali z grupami przestępczymi, można było wnioskować, że jeśli zaangażują się na poważnie, to prędzej czy później któryś wpadnie na jakiś trop. No i Szatan dał jej listę nazwisk przestępców specjalizujących się w porwaniach dla okupu albo mających jakikolwiek kontakt z grupami parającymi się handlem żywym towarem, w tym podejrzanych o pedofilię. On też mógł okazać się bardzo pomocny, bo temat w pewnym sensie traktował osobiście. Doskonale orientował się też w tym, jak wygląda cały proceder – począwszy od samego porwania, przez transport i ewentualną transakcję kupna-sprzedaży, do której najczęściej dochodziło pod granicą.

– Trenowałeś w Die Wölfe Berlin, mam rację? – Luta skupiła wzrok na Łukaszu.

– Prawie dziesięć lat, jak tam mieszkałem. Mocni są. Kiedy wróciłem do Polski, kontakt trochę się urwał, ale kilka miesięcy temu przyjechał do nas na seminarium mój przyjaciel Ilkay i udało się go odnowić. W drugiej połowie roku zaprosili nas na zawody. A w sumie dlaczego pytasz, bo...

– Klub należy do Emre Ozalana. To jeden z synów szefa klanu, Hakana Ozalana.

– No...

– Klub klubem, ale wszyscy wiemy, że przez klan przechodzi osiemdziesiąt procent kobiet sprzedawanych na Zachód, prawdopodobnie także nieletnich. Masz tam jakiś kontakt godny zaufania?

Łukasz uniósł brwi i głośno wypuścił powietrze. Wszyscy doskonale zdawali sobie sprawę z tego, jaka jest specyfika sportów walki. Tak jak kolarze od zawsze zmagali się z problemem przetaczania krwi, sprinterzy czy ciężarowcy prowadzili nieustającą wojnę z WADA, szprycując się coraz to bardziej wymyślnymi anabolikami, a futbol kojarzono z gigantyczną korupcją, tak pośród fighterów panowało przeświadczenie – zresztą prawdziwe – że część z nich wykorzystuje swoje umiejętności nie tylko na macie czy w oktagonie, ale także w pracy. A do jakiej pracy mieli predyspozycje, tego już nie trzeba było nikomu specjalnie tłumaczyć. Oczywiście zawsze można było rzucić hasłem, że w każdej grupie znajdzie się czarna owca, a reszta to grzeczni i uczynni obywatele, ale to było zaklinanie rzeczywistości. Nie można było udawać, że ten sport jest zupełnie wolny od kontaktów ze światkiem przestępczym. W przypadku berlińskich Wilków proceder ten osiągnął natomiast znacznie większą skalę, bo zdecydowana większość zawodników pracowała dla klanu, czytaj: największej organizacji mafijnej w Niemczech zajmującej się niemal każdą formą działalności przestępczej, poczynawszy od wymuszeń, przez handel narkotykami i żywym towarem, skończywszy na zabójstwach na zlecenie.

– Ilkay to mój przyjaciel, ale... – Łukasz zmarszczył brwi i pokręcił głową. – Wiesz, jacy oni są...

– Wiem – przytaknęła Luta. W jej żyłach też płynęła turecka krew. – Dlatego postaraj się to zrobić dyskretnie – zasugerowała. – Może coś wiedzą, z kimś współpracują...

– Masz świadomość, że to bardzo niebezpieczni ludzie...

– Po prostu zapytaj, okej?

Łukasz kiwnął głową, ale widziała, że nie jest zadowolony z tego pomysłu. Zdawała sobie sprawę, że postawiła go w trudnej sytuacji, ale obecnie nie obchodziło jej to bardziej niż polityczne rozgrywki w Burkina Faso. Łukasz chwilowo był jedynym kontaktem do kogoś, kto w jakiś sposób był kojarzony z ludźmi pracującymi dla Ozalanów. A według Szatana to właśnie ten klan w ostatniej dekadzie stał się największym w Europie podmiotem zajmującym się handlem żywym towarem, w tym dziećmi. Przekazał jej informacje na temat szlaków przerzutu, punktów zbornych, przygranicznych dziupli, w których przetrzymywano kobiety i dzieci przeznaczone na sprzedaż. Uświadomił ją też, że w ostatnich latach zapotrzebowanie na taki „towar” drastycznie wzrosło i bogatych kupców nie brakowało, poczynawszy od bezdziejnych, ale na przykład karanych i niemogących skorzystać z prawa do adopcji w miarę normalnych

obywateli, przez tych, którzy potrzebowali nowej wątroby czy serduszka dla swoich własnych dzieci, kończąc na – i to przerażało ją do szpiku kości – najbardziej zwyrodniałych pedofilach. Znowu poczuła gulę w gardle.

Przez kolejne kilkanaście minut omawiała z przyjaciółmi plan działania. Z lekkim zaskoczeniem przyjęła do wiadomości, że zdążyli już zebrać pierwsze dane, głównie nazwiska wszelkiej maści dilerów, alfonsów, recydywistów czy żołnierzy lokalnych szajek przemytniczych. Trudno je było przyrównywać do klanu Ozalanów czy choćby do grup przestępczych panoszących się w Polsce w latach dziewięćdziesiątych, ale kilku lokalnych kacyków mogło mieć jakieś przydatne informacje. Niektórych wystarczyło po prostu zapytać, bo nawet Dominik czy Krzysiek osobiście znali kilka osób, które były blisko tematu. Cała trójka zobligowała się też rozeznac w środowisku lokalnych prostytutek, które w większości same były ofiarami handlu żywym towarem. Mieli zebrać większą ekipę, także w porozumieniu z chłopakami z innych klubów, i obskoczyć wszystkie wylotówki i burdele, a następnie przepytają pracujące tam kobiety. Nie obawiali się ich „opiekunów”, bo często znali ich osobiście, a nawet jeśli nie, to wieść o tym, że szukają dziecka przyjaciółki, pewnie już dawno rozeszła się po mieście lotem błyskawicy. Mało prawdopodobne, by jakiś sutener próbował zareagować agresywnie, bo po pierwsze niewielu było tak odważnych, żeby zadzierać z chłopakami z maty, a po drugie sam mógłby stać się pierwszym podejrzanym. Gdyby rozniosła się plotka, że maczał łapska w takim porwaniu, a nie miałyby mocnych pleców w postaci jakiegoś gangusa z Poznania czy Wrocławia, w zasadzie mógłby od razu pakować manatki i wynosić się z miasta. No chyba że miałyby plecy. Wtedy sytuacja komplikowałaby się wykładniczo. Choć i to miało swoje dobre strony, bo Luta przynajmniej wiedziałaby, gdzie szukać. W chwili obecnej najgorsza była ta cholerna niewiedza i świadomość, że porywacz mógł wywieźć jej córkę poza granice kraju. Bo o ile na swoim terenie po odpowiednim rozeznaniu byłaby szansa, żeby przeprowadzić udaną operację, o tyle w Niemczech czy jakimkolwiek innym państwie na Zachodzie Europy to zadanie z logistycznego punktu widzenia wydawało się o wiele trudniejsze.

Umówili się, że będą w stałym kontakcie. Krótco po północy Luta wsiadła na motor i pojechała do mieszkania matki. Chciała zobaczyć Franka, choćby śpiącego, ale potrzebowała też odpoczynku, by w spokoju ułożyć plan na najbliższy czas. Wiedziała też, że powinna się przespać, godzinę lub dwie, ale w aktualnej sytuacji nie było na to najmniejszych szans. Nie mogła spać, gdy jej ukochana córeczka leżała w jakiejś ciemnej, wilgotnej piwnicy. Samotna, przerażona, cała we łzach. Luta nie była w stanie sobie wyobrazić, co musi czuć takie maleństwo, i miała tylko nadzieję, że Werka nie do końca zdaje sobie sprawę z tego, co się wokół niej dzieje. A jeśli właśnie teraz jakiś zwyrodnialec

jej dotyka? Z trudem odpędzała podobne myśli. Zżerały ją i powodowały, że wyrzuty sumienia niemal rozsadzały ją od środka. Nigdy nie doświadczyła niczego, co choćby w minimalnym stopniu przypominało uczucie, które trawiło ją teraz.

Od porwania minęło dwanaście godzin. Szanse na odzyskanie córki malały z każdą kolejną minutą. Gdy zaparkowała pod domem i ściągnęła kask, jej twarz owiał chłodny podmuch. Spojrzała w niebo i zaczęła się modlić. Po raz pierwszy od dwudziestu lat.

Gdy skończyła, wyciągnęła komórkę i otworzyła listę kontaktów. Po tym, co usłyszała z ust Szatana, wiedziała już, że musi się szykować na najgorsze. Przez chwilę wpatrywała się w wyświetlacz. Ten człowiek zawsze był jej ostatnią deską ratunku.

Nie miała wyboru. Wytarła łzy i nacisnęła zieloną słuchawkę.

ROZDZIAŁ 17

Pozioma rozsiadł się wygodnie na kanapie i włączył telewizor. Był z siebie zadowolony. Nie dość, że obił mordę temu śmieciowi Klamaie, to jeszcze zdobył dzieciaka. Ile ta smarkula mogła być warta? Co prawda był za mały na dopinanie spraw biznesowych, ale miał już wystarczające doświadczenie, aby celować w osiem do dziesięciu tysięcy euro. To było co najmniej dwa razy tyle, ile szefostwu zalegał ten gówniarz. Temat dodatkowo wydawał się czysty, bo to Klama skądś wytrzasnął dzieciaka. Komu go zawinął? Zresztą to już nie miało większego znaczenia. On tylko przejął towar i puścił go dalej, więc w razie jakiejś wtopy z psiarnią będzie musiał użerać się właśnie Klama. O to, że puści farbę, nie miał obaw. Gnojek musiał wiedzieć, że to oznaczałoby dla niego wyrok, a jeśli chciałby schować się w pierdlu, Pozioma już zadbałaby o to, aby ziomki codziennie szcztokowały mu dupsko druciakiem.

– Natasza! Ludmiłka! – zawołał, nieco zniecierpliwiony. – Pospieszycie się, czy mam tam do was pójść?

– Już, już – poniosło się z łazienki.

Czuł, że żel zaczął działać, bo w majtkach zrobiło się ciasniej. Od dobrych kilku lat wspomagał się kamagrą. Przy takiej ilości spożywanych sterydów i kokainy jego możliwości w łóżku uległy znacznemu ograniczeniu, choć gdyby miał być wobec siebie całkiem szczerzy, musiałby ująć to bardziej dosadnie. Kamagra czy viagra pozwalały mu utrzymać wzwód, choć nie zawsze pozwalały dojść do finału, ale i na to miał sposób – zwał winę na partnerkę, zwykle podkreślając swoje zdanie pięścią. Dziś odwiedził dwie Białorusinki, z których usług ludzie szefa mogli korzystać bez ograniczeń.

Jeszcze przez chwilę wpatrywał się w jakiś badziewny teledysk, po czym wyciągnął z kieszeni pojemniczki z kokainą i wysypał wszystko na stół. Uformował cztery grube ścieżki, po czym dwie wciągnął przez słomkę, resztę łaskawie zostawiając dziewczynom. Chciał, żeby i one były w formie, bo dziś miał zamiar się porządnie wyszaleć. Należy mi się, stwierdził w duchu i popił drinkiem z whisky, aby zabić gorzki smak spływającej po gardle kokainy.

Zapalił papierosa i rozsiadł się wygodnie na kanapie. Potarł nos i jeszcze kilka razy zaciągnął zalegający w nim narkotyk. Pomyślał, że dziewczyny potwornie się guzdrzą i będzie musiał nauczyć je pokory. Już miał wstać, gdy usłyszał, że drzwi łazienki ustępują.

– No, w końcu – mruknął na widok dwóch spłoszonych kobiet. Wiedział, że się go boją, ale to mu nie przeszkadzało. Mało tego – wręcz go to podniecało. Nie znosił tych wszystkich szmat. Od szkolnych lat się z niego śmiały. Przezywały go od grubasów czy tłuściochów, czasem śmierdzieli, bo zawsze strasznie się pocił. Ale te czasy już minęły. Teraz nie miały nic do gadania i gdy tylko zapragnął, mógł je wykorzystać w każdy możliwy sposób.

Natasza i Ludmiła podeszły bliżej, a on nakazał im wciągnąć po ścieżce. Nie dyskutowały, chyba nawet zrobiły to z przyjemnością. Patrzył, jak się nachylają. Pierwsza była młodą wysoką blondynką ze skromnym, ale jędrnym biustem, który podkreślał powiększający stanik. Wątpił, aby miała więcej niż dwadzieścia lat. Ludmiła w jego ocenie prezentowała się nieco gorzej. Niższa, bardziej krępa, z wyraźnie odznaczającymi się wałeczkami w okolicy bioder i brzucha. Miała za to ogromne cycki, co zawsze było ciekawym urozmaiceniem. Lubił też jej steraną życiem twarz i fakt, że nigdy nie marudziła. Klepnął ją w wypięty tyłek z taką siłą, że omal nie zaryła twarzą w rozsypaną na blacie kokainę.

– Uwielbiam to twoje dupsko! – rzucił i rozpiął spodnie. Złapał za głowę Nataszę i zmusił ją, aby uklękła, a potem zaczął macać piersi Ludmiły. – Gałeczkę robicie aż po same jajka. Do gardełka, rozumiemy się?

Dziewczyny wzięły się do pracy. Akurat z tym nie było większego problemu, bo sprzęt Poziomy, nawet w pełnym wzwodzie, nie dochodził do gardła, i to bynajmniej nie dlatego, że miały tak pojemne usta. Ale nie wyprowadzały go z błędu i dzielnie robiły mu dobrze przez najbliższy kwadrans. Potem przeszli do dania głównego. Robili to na kanapie, fotelach, na blacie stołu. Pozioma jak zwykle starał się wydziwiać, ale – choć próbował ignorować swoją uporczywie dzwoniącą komórkę – w pewnym momencie stracił skupienie i jego penis niemal zupełnie sflaczał.

– Kurwa mać! – warknął i klepnął Nataszę w tyłek. – Zawsze muszą dzwonić w nieodpowiedniej chwili. Nalejcie mi jeszcze drinka i nie odchodźcie – dodał, gdy dziewczyny czym prędzej umknęły z zasięgu jego dłoni.

Skrzywił się z niesmakiem, patrząc na wyświetlacz, ale odebrał.

– Cześć – przywitał się Cypis.

– Rucham. Czego chcesz?

– Jest sprawa. Poważna.

– Oby. – Pozioma opadł na kanapę. – Co jest?

– Chodzą słuchy, że ktoś w mieście szuka małej dziewczynki.

– No, kurwa, nie dziwota. Ktoś pewnie szuka. I co z tego?

– To gruba akcja. Chłopaki z Octopusa i chyba wszystkich innych klubów z miasta. Kilku znam osobiście. Sprawdziłem temat. W mediach trąbią o porwanej małej. Widziałem jej zdjęcie. Wysłałem ci linka. To ta sama.

– Kurwa mać! – Pozioma sięgnął po paczkę papierosów i przypalił jednego. – O chuj tu chodzi? Kim ona jest?

– Nazywa się Weronika. Jej matka to jakaś laska trenująca w Octopusie.

– Baba w klubie?

– Tak wykminiłem z mediów i z tego, co gadają na mieście. Ma takie zjebane imię, że łatwo zapamiętać. Lutosława.

– Ja pierdołę... – westchnął Pozioma, po czym odebrał od Nataszy szklanekę z drinkiem. Upił łyk i gestem odprawił prostytutkę.

– Co robimy? – spytał Cypis.

– Nie wiem. – Pozioma nerwowo potarł czoło. – Wrzuciłem ją do dziupli koło... no... nie przez telefon. Najgorsze, że powiedziałem już szefowi. Przyklepał temat. Gówniara ma polecieć do klienta razem z resztą ładunku.

– No to może niech leci...

– Czekaj. Za dużo osób ją widziało. Kurwy i ochrona z dziupli też. Jak to się rozejdzie, będziemy mieć przejebane. Galant może i by nie sypnął, ale... Kurwa mać! – Pozioma rąbnął pięścią w szklany blat z taką siłą, że szyba pękła i przecięła mu skórę. Z rany natychmiast popłynęła krew. Bandzior wypluł kolejną wiązanekę przekleństw i pobiegł do łazienki, gdzie owinął dłoń ręcznikiem. – Spotkajmy się na parkingu. Wiesz gdzie. Za pół godziny – dodał i rozłączył się.

W nerwach grzmotnął owiniętą ręcznikiem pięścią w drzwi, a następnie skopał pralkę. Zawołał dziewczyny, które znając jego temperament, przezornie ulotniły się do pokoju obok. Na wezwanie wyszły spłoszone – Natasza z apteczką w ręce. Pozioma uspokoił się trochę i pozwolił, by opatrzyły mu ranę. Była głęboka i nadawała się do szycia, ale nie miał teraz czasu na takie pierdoły. Musiał jakoś wybrnąć z impasu, zwłaszcza że z każdą mijającą sekundą jego położenie wydawało się coraz bardziej beznadziejne. Gdy Natasza skończyła wiązać bandaż, Pozioma ubrał się i bez słowa opuścił mieszkanie.

W drodze na miejsce spotkania próbował przenalizować swoje opcje, jednak żadne rozwiązanie nie wydawało się korzystne. Po pierwsze, mógł zwrócić smarkatą Klamie, ale wtedy wyszedłby przed nim na frajera, a przed szefem na durnia. Nie mógł sobie na to pozwolić. Druga myśl powiodła go w kierunku oddania dziecka matce, ale wtedy sprawa na pewno by wypłynęła, a on miałby na głowie policję. Nie chciał trafić za kratki z renomą pedofila, bo bez wątpienia szef by się od niego odciął, a w pudle taką łatkę by mu przykleili. To byłaby katastrofa. Można było gdzieś małą podrzucić, choćby na jakiś plac zabaw, jednak

nie mógł działać na własną rękę. Znów wyszedłby na półgłówka, poza tym szef pewnie by się na to nie zgodził, bo za dużo osób widziało dziewczynkę – począwszy od Klamy i Mózgola, przez dyżurujących na dziupli Puszczyka i Galanta, po tę starą kurwę Baśkę, która ogarniała cały towar. Mógł się tylko modlić, żeby żadne z nich nie puściło farby. W końcu ostatnia opcja – trzeba się pozbyć gówniary. Albo musi jakoś przyspieszyć transport towaru, albo... Ostatni scenariusz przyprawił go o gęsią skórkę. Niezależnie od tego, na co się zdecyduje, wszystko wymagało akceptacji szefa, a to oznaczało, że był w czarnej dupie. I prawdopodobnie mógł zacząć się w niej urządzać.

Pomyślał o Klamie i Mózgolu. Oni wydawali się w tym momencie najsłabszymi ogniwami. Czy ktoś mógł już wjechać im na chatę? Jeśli akcja była tak szeroko zakrojona, jak twierdził Cypis, i chłopaki z miasta łążyły po burdelach, to pewnie też po melinach. Te myśli go przytłaczały i nie pozwalały się skupić na znalezieniu rozwiązania. A może najpierw powinien pojechać do Klamy i Mózgola? Tylko co miałyby im powiedzieć? Wpierdolić im? Wywieźć do lasu? A co na to szef?

Świadomość, że zaraz będzie musiał do niego zadzwonić i przedstawić mu sytuację, przerażała go nie mniej niż dziesięć lat odsiadki z łatką pedofila. Szef wychodził z prostego założenia – nie ma człowieka, nie ma problemu. A Pozioma był teraz jednym wielkim problemem.

Zatrzymał się na parkingu. Stare audi Cypisa już tu stało. Kompan szybko przeskoczył do jego samochodu.

– Opowiadaj – rzucił Pozioma bez zbędnych wstępów.

Cypis zrelacjonował, jak wyglądają sprawy. Nie było różowo. W mieście rozpętało się istne piekło. Każdy burdel, każda melina, każda knajpa czy punkt zborny dla małolatów z dzielni były nachodzone jeśli nie przez policję, to przez chłopaków z maty. Sam otrzymał kilka telefonów i musiał udawać głupa. Pozioma nie wątpił w prawdziwość słów kumpla – on również miał trzy nieodebrane połączenia, w tym jedno od zawodnika z Octopusa, z którym przed laty poznał się na bramce pewnej dyskoteki. Sytuacja była fatalna, a każda kolejna minuta działała na jego niekorzyść. Nie mógł dłużej czekać.

Wyciągnął smartfona, ale zanim zadzwonił, rozsypał na wyświetlaczu grubą ścieżkę kokainy. Wciągnął ją jedną dziurką i ścisnął nos. Odczekał kilkanaście sekund, aż narkotyk zacznie działać, po czym ścisnął palcem resztki białego proszku i wtarł w dziąsło. Popił czystą whisky i dopiero wtedy wybrał numer szefa.

Ten odebrał niemal natychmiast.

– Właśnie jest u mnie Aleksander – zaczął. – Podobno w mieście pojawił się jakiś problem i najwyraźniej to ty jesteś za niego odpowiedzialny.

Pozioma poczuł, że drętwieje mu nie tylko szczęka, ale i palce. Aleksander był synem i zarazem prawą ręką szefa, a do tego za nim nie przepadał. Po kręgosłupie spłynął mu nieprzyjemny dreszcz.

– Dobry wieczór, szefie. Ja...

– Ani on, kurwa, dobry, ani to, kurwa, wieczór. Jak chcesz rozwiązać ten problem?

– Zrobię, co... – Pozioma przełknął ślinę – ...co tylko szef uzna za stosowne. Właśnie o tym myślałem i...

– Ty już lepiej, kurwa, nie myśl. Towar miał być czysty. Teraz będziesz musiał posprzątać ten burdel.

– Oczywiście.

– Tamci dwaj mają zniknąć. Wiesz, co mam na myśli...

– Oczywiście, szefie.

– Masz czas do rana.

– A dziewczyny... A towar? – zmitygował się Pozioma.

– Tym zajmą się profesjonaliści. I nie zwracaj mi głowy, dopóki nie załatwisz sprawy. W przeciwnym razie tobą też zajmą się profesjonaliści.

Zawołowana groźba wybrzmiała nazbyt sugestywnie. Chwilę później szef się rozłączył. Pozioma zamknął powieki, a wtedy przed oczami wyrosła mu postać w garniturze. Aleksander zawsze tak się nosił. I nawet jeśli wyglądał jak niedorobiony bankier, był absolutnie bezwzględny.

Pozioma przełknął ślinę i spojrzał na Cypisa.

– Musiałeś zaglądać do tego jebanego pokoju? – rzucił i puścił hamulec.

– Co? – Partner zmarszczył brwi.

– Gówno, kurwa. Jedziemy do Mózgola. Zwijamy obu.

Gdy Pozioma i Cypis podążali w kierunku miasta, mała Werka siedziała w ciemnym kącie i cicho łkała. Nie wołała mamy, bo w tym miejscu nie można było tego robić. Tak powiedziała jej jedna ciocia, która wydawała się całkiem miłą, choć mówiła jakoś dziwnie i Werka nie do końca ją rozumiała. Zresztą cioc było więcej. Dziewczynka nie potrafiła jeszcze liczyć, ale słyszała ich szepty. Tych szeptów było dużo, bardzo dużo, i nie rozumiała ich prawie w ogóle.

Dlaczego musiała tu być? Dlaczego mama ją zostawiła? Tak bardzo chciała, aby ją teraz przytuliła. Tak bardzo za nią tęskniła. Gdy siedząca obok ciocia podała jej butelkę z wodą, przyjęła ją z wdzięcznością. Wypiła, starając się nie wylać, tak jak zdarzyło się jej to chwilę wcześniej. Przez swoją niezdarność miała teraz mokrą sukienkę i było jej zimno. Kurczowo zacisnęła paluszki na pluszaku, którego zabrała z domu tamtego złego pana. Kolejna myśl o mamie

sprawiła, że znów się rozplakała. Wtedy jedna z cioć nachyliła się i przytuliła jej główkę do swojej piersi. Werka przez chwilę cicho łkała, ale już nawet na to nie miała sił. Nagle poczuła ogromne zmęczenie, a jej powieki powoli opadły. Gdy zasypiała, słyszała szept miłej cioci:

– *Wsio budiet chorocho, dziewczeczka. Wsio budiet chorocho...*

ROZDZIAŁ 18

Wydech...

Nacisnęła spust, poczuła oczekiwane szarpnięcie. Krótki, ale donośny huk, szcęk mechanizmu uwalniającego kolejny nabój. Zanim prawie ośmiocentymetrowa łuska kalibru pięć i sześć milimetra z brzękiem spadła na dach, kula przebiła się przez kość jarzmową i wyrwała z tyłu czaszki dziurę wielkości pięści dorosłego mężczyzny. Krwawa miazga wytrysnęła na ulicę, a siła odrzutu cisnęła truchło kilka metrów dalej. Ofiara nie zdążyła doznać szoku, gdy granat w kurczowo zaciśniętych palcach eksplodował, dokonując ostatecznego dzieła zniszczenia.

Pył, kurz, brunatna plama.

Wstrzymała oddech, uważnie taksując najbliższą okolicę.

– Czysto. – Głos po jej prawej nie zdradzał emocji.

Wytarła pot z czoła. Na języku poczuła niesmak. Zabiła kobietę, ale uratowała kolegów. Życie za śmierć, śmierć za życie. Takie realia. Taki świat.

– Mewa do kosa. Odbiór.

– Tu kos. Odbiór.

– Północne skrzydło czyste. Odbiór.

– Dobra robota. Masz wieczorem kolejkę u chłopaków.

– Eeee...

– Na dziś wystarczy. Możecie się zbierać. Odbiór.

– Przyjęłam. Bez odbioru.

Głośnik w uchu zamilkł. Zamknęła oczy i wzięła kilka głębokich wdechów. Chłodny wiatr musnął jej policzki, przywiódł paskudną mieszaną woni spalonej benzyny, zgnilizny i strachu. Metaliczny posmak w ustach się nasilił. Nie znosiła go, ale nie mogła się go pozbyć. Nie mówiła o tym chłopakom, to była jej mała tajemnica. Zawsze pojawiał się w takich momentach jak ten, gdy z zimną krwią odbierała życie kolejnemu człowiekowi.

Powoli otworzyła oczy. Pomiędzy budynkami Kandaharu słońce raziło krwawymi promieniami, malując na ziemi pokraczne cienie. Zaległa niemal głucha cisza. Leżała bez ruchu, wsparta o samopowtarzalny karabin Sig Sauer

550, lekką, ale zabójczą snajperkę, która od prawie dwóch lat była jej nieodłącznym kompanem podczas każdej akcji.

Dostrzegła cień przelatującego sępa. Wzdrygnęła się.

– Dobrze zrobiłaś – usłyszała.

– Przestań...

– Wiem swoje. I ty też to wiesz.

– Nie musisz mnie pocieszać.

– Gdybyś nie strzeliła, zapewne zabiłaby naszych. A potem się wysadziła. Jestem prawie pewien, że miała na sobie pas szahida.

– Mam to w dupie.

– Jak chcesz...

Borys schował lornetkę. Wycofali się. Kilkoma wprawnymi ruchami rozmontowała karabin i schowała do pokrowca kolejne jego elementy. Partner w tym czasie zajął się amunicją i dodatkami. Następnie wstali i zebrawszy wszystkie kłamoty, zeszli do klatki schodowej. Stukot żołnierskich butów wypełnił korytarz. W powietrzu unosił się kurz, cuchnęło moczem i skisłymi śmieciami. Poruszała się za Borysem, do którego należało pełne rozpoznanie. Niczym na twardym dysku miał wyryty w głowie obraz wszystkich dróg ewakuacyjnych. Ufała mu. Był profesjonalistą i jej przyjacielem.

„Był” – słowo klucz.

Usłyszała płacz. Narastał z każdą kolejną sekundą. Czy to dziecko tej kobiety? Tej, którą przed chwilą zabiła? Poczła ucisk w żołądku. A potem w sercu. Bo znała ten dźwięk. Znała go, jak nic na świecie.

– Już, Franuś, mama jest przy tobie... – wyszeptała, gdy tylko uniosła powieki. Przytuliła chłopca z całych sił, jednocześnie spoglądając na zegarek. Dochodziła czwarta. Położyła się tylko na chwilę. Chciała pobyc przy synu, poczuć ciepło jego oddechu, wsunąć palce w jego czuprynę, popatrzeć, jak słodko śpi. Zmogło ją. Za dużo emocji, permanentny lęk. Musiała się zbierać.

Uspokojenie Franka zajęło jej chwilę. Nie rozbudził się całkiem. Pewnie coś mu się śniło. Tak jak jej. Wciąż prześladowały ją koszmary.

Przetarła oczy i delikatnie uniosła się z materaca. Łóżko lekko zaskrzypiało, ale Franek znowu twardo spał. Jeszcze raz zerknęła na zegarek. Z trudem odrzuciła myśl o córce. Nie mogła się biczować. Straciła prawie trzy godziny, ale przynajmniej odrobinę się zregenerowała. Wiedziała, że będzie potrzebowała sił. Dziadek nie pozostawił jej złudzeń.

– Poruszę niebo i ziemię, Lutka – wychrypiał, gdy opowiedziała mu, co spotkało jego wnuczkę. Długo zwlekała, bo nie chciała go angażować. Telefon do

niego był ostatecznością. Z wielu powodów. Wstydziła się, że zawiodła. Jego zdrowie też pozostawiało wiele do życzenia. Przez ostatnie dziesięć lat jego kondycja podupadła. Tryb życia, jaki prowadził, odcisnął swoje piętno. Trzy zawały, udar. Dziś osiemdziesięciosiedmioletni Tunahan Karabina był cieniem dawnego siebie, prawie nie wstawał z łóżka, regularnie wspomagając się tlenem. – Ale to bardzo niebezpieczni ludzie – dodał. – Mają kontakty wszędzie, nawet w kręgach rządowych. A większość moich przyjaciół już odeszła i...

– Przepraszam, dziadku...

– Nie przepraszaj. To nie twoja wina.

Od lat nie pozwoliła sobie, aby jej głos rwał się tak bardzo. Równie dawno nie wycierała z policzków łez. Słowa Szatana wzbudziły w niej jednak ogromny lęk.

– W ostatnich latach stali się niemal monopolistami – tłumaczył nadkomisarz kilka godzin wcześniej. – Prawie wszystkie transporty żywego towaru przechodzą przez ich ręce. Co gorsza, ostatnio odkryli darknet, a tam... – Zakaszła i uniósł zmęczone powieki. – Wie pani, czym jest darknet?

– Mniej więcej – odparła z duszą na ramieniu.

– To znaczy, że nic pani nie wie – burknął i westchnął. – Jeśli gdzieś na tym świecie istnieje piekło, to właśnie tam.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– To, co pani słyszy. Średniowieczne obrazki z diabłami gotującymi ludzi w smole to przy tym dziecinna igraszka. To znaczy takie rzeczy też można tam znaleźć, ale ludzka wyobraźnia...

– Stop! – Luta uniósł dłoń w geście protestu. Nie była pewna, czy chce to słyszeć. – Jaki to może mieć związek z moją córką?

– Może żaden.

– Ale...

– Wie pani, ile dzieci regularnie ginie w Europie? A ile na świecie?

– Pewnie wiele.

– Dziesiątki tysięcy. Globalnie setki tysięcy, a może nawet miliony, biorąc pod uwagę kraje Trzeciego Świata. A darknet to studnia bez dna. Można tam kupić wszystko. Mały Hans ma chore serduszko? Żaden problem. Znajdzie się nowe. Kwestia ceny. A może duży Hans chce się pobawić w tatusia? Proszę bardzo. Do wyboru, do koloru. Gorzej, jeśli duży Hans jest zwyrodniałym sukinsynem i ma duży sprzęt. Wtedy nowa zabawka zwykle szybko się psuje, a on wyrzuca ją do śmieci. Wie pani, ile rokrocznie takich niemowląt jest utylizowanych?

Luta się skrzywiła, jakby połknęła coś obrzydliwego. Wiedziała, że świat jest pełen zła, bo sama doświadczyła go choćby w Iraku czy Afganistanie. Nigdy nie zapomni widoku, na jaki natknęła się w jednej z piwnic na obrzeżach Mosulu.

Chwilę wcześniej zlikwidowali dwóch liderów Państwa Islamskiego. Akcja była przeprowadzona precyzyjnie, bez strat własnych, choć w pewnym momencie kule świszczały nad głowami, a krew lała się strumieniami. Wydawało się, że tego dnia nic jej już nie zaskoczy. Dopiero gdy razem z trzema kompanami zeszła do piwnicy, zrozumiała, jak bardzo się myliła. W środku odkryli szesnaście młodych dziewczyn. Wszystkie brudne, posiniaczone, pokaleczone psychicznie. Zachowywały się jak dzikie zwierzęta, na ich widok kryły się w ciemnych kątach niczym karaluchy, niemal biegały po ścianach. Najmłodsza z niewolnic seksualnych miała dziewięć lat...

Ale to, co opowiadał Szatan... Tego nie była w stanie przyswoić nawet Luta Karabina.

Na wspomnienie jego słów przeszły ją dreszcze. Mogła się tylko modlić, aby jej córeczka nie trafiła w ręce ludzi z klanu Ozalanów. Może i była żołnierzem sił specjalnych, przeszła mordercze szkolenie i miała doświadczenie w zabijaniu, ale nie nazywała się John Rambo, a to nie był plan filmowy. Do tego czuła się w tym wszystkim taka osamotniona. Faktem jest, że chłopaki z maty chcieli pomóc, ale w starciu z mafią byli bezużyteczni. Szatan okazał się wrakiem człowieka – owszem, mógł ją w jakiś sposób nakierować, ale w terenie byłby jedynie kulą u nogi. Policja? Tylko by przeszkadzała.

Co powinna robić? Gdzie zacząć szukać? Jak nie popełnić błędu, którego nigdy by sobie nie wybaczyła?

Sięgnęła po telefon w nadziei, że na wyświetlaczu znajdzie jakąś wiadomość. Jakąkolwiek. Nie było żadnej. Tylu ludzi szukało jej córki i wciąż nic. Poczwała, że cała ta sytuacja zaczyna ją przerastać. Zamknęła oczy. Musiała wziąć się w garść, bo tym razem nie usłyszy żadnego rozkazu. Decyzja należała do niej. I to ją totalnie przerażało.

Jeszcze przez chwilę przyglądała się śpiącemu Frankowi. Jego klatka piersiowa miarowo unosiła się i opadała. Cichutko pochrapywał.

Z całej siły zacisnęła szczękę i wyszła z pokoju.

– Co planujesz? – Matka zmaterializowała się przy niej niczym duch. Stała w przedpokoju w koszuli nocnej, a jej oczy błyszczały w wątłym świetle księżyca wpadającym przez okno.

– Idź spać – odparła Luta. Nie miała ochoty na rozmowy z rodzicielką. Wiedziała, że nie powinna, ale podświadomie ją też obwinięła o to, co się stało.

– Proszę, powiedz mi, co chcesz zrobić.

– Jestem jej matką.

– Ja też jestem matką.

– Zatem powinnaś wiedzieć...

Minęła Krystynę, by wejść do łazienki. Obmyła twarz zimną wodą i spojrzała w lustro. Od wczoraj czuła narastający ból, więc nie zdziwiła się, że jej ucho wygląda, jakby przydepnął je słoń. To nie był pierwszy raz, kiedy zrobił jej się krwiak okołochrząstny, stosunkowo częsta kontuzja zawodników trenujących sporty walki, przede wszystkim w parterze. Jeszcze nie dorobiła się tak zwanych kalafiorów, ale była na najlepszej drodze. Przez chwilę wpatrywała się w swoje oblicze, po czym sięgnęła do szafki i wyciągnęła podręczny zestaw ratunkowy. Bolało jak jasna cholera, ale już po minucie ściągnęła z ucha pół strzykawki krwi. Trochę pomogło, choć małżowina wciąż była spuchnięta. Luta doskonale wiedziała, że będzie musiała ponowić ten zabieg przynajmniej kilka razy, ale to nie był czas, aby roztrząsać tego typu problemy. Odkaziła ranę, zatamowała krwawienie i wyciągnęła z kieszeni kartkę z adresami. Przełknęła ślinę. Plan był do dupy, ale od czegoś musiała zacząć. Miała do tego pełne prawo.

Prawo matki.

ROZDZIAŁ 19

Mózgol siedział w kącie z nogami pod brodą. Trząsał się jak osika, raz po raz nerwowo spoglądając na leżący na podłodze telefon. Nie miał pojęcia, co robić. Był kompletnie zdezorientowany, a buch zioła tylko wzmógł narastającą panikę. Czy podjął słuszną decyzję? Czy mógł wybrać inaczej? Tysiące czarnych myśli kłębiły się w jego głowie, a każda kolejna wydawała się mroczniejsza od poprzedniej. Czy trafi do więzienia? Na jak długo? Przecież się z tego nie wywinie. Sprawy zaszły za daleko. A jeśli trafi do celi z jakimś starym garusem? Nie chciał być ruchany. Co z tego, gdy całe pieprzone miasto huczało o tej dziewczynce i prędzej czy później ktoś na pewno znów zapuka do jego drzwi.

Przeszło mu przez myśl, aby uciec z kraju. Ale gdzie i do kogo? Nigdy nawet nie leciał samolotem, nie miał paszportu, nie wspominając o kasie, bo przecież te kilka stów na czarną godzinę, które trzymał w pudełku po kawie, było kroplą w morzu potrzeb. Jak na złość pokłócił się z Ryśkiem, który siedział w Anglii. Ale czy teraz można tam legalnie wjechać? Słyszał o brexicie, podobno wymagają paszportów. Nawet gdyby się pokajał i przeprosił Ryśka, pewnie imigracyjni zatrzymaliby go na granicy...

Nagle jego wzrok przykuła mała czerwona plama na nodze od stołu. Zerwał się, chwycił czystą szmatę i wytarł częściowo zakrzepłą już krew. Przez chwilę klęczał bez ruchu, nie wiedząc, co z nią zrobić. Musiał się pozbyć dowodów. Klamy tu nie było. Nie i już. Tej wersji musiał się trzymać. Złapał się za głowę. To wszystko go przerastało. Czy powinien był zniszczyć kartę, z której zadzwonił na pogotowie? Numer niby był nie do namierzenia. Kupił ją na słupa, jednego z bezdomnych, kilka lat temu, gdy jeszcze próbował bawić się w dilerkę. Ale w dzisiejszych czasach? Gdyby Klama wyciągnął nogi, pewnie będą go szukać. Ale co miał z nim zrobić? Może niepotrzebnie spanikował? Może powinien był mu pomóc, a nie wciągać do tej windy za chabety? Ją też musiał wyczyścić z krwi. Bał się jak cholera, że ktoś go zobaczy, ale się udało. Było już po północy, a w tym wieżowcu mieszkali prawie sami emeryci. Ale i tak się spieszył. Na pewno zostawił jakieś ślady, jeśli nie w windzie, to na podłodze, po której przeciągał Klamę do piwnicy. Ratownicy nie są głupi, dostrzegą to i na pewno

zglaszą na psy. Sąsiedzi pewnie słyszeli wrzaski Poziomy. Stare pryki, nawet jeśli głuche i ślepe, zawsze wiedzą, co się dzieje w bloku. I co powie policji, kiedy już do niego trafią? Przecież nie to, co powiedział tym z pogotowia. „Leży w piwnicy bloku na Lisiej. Nie wiem, kto to, ale jest cały we krwi. Sorry, ale nie chcę się w to mieszać. To jakiś lump chyba. Ja tylko zgłaszam. Do widzenia”.

Potem się rozłączył. Przez okno obserwował karetkę. Podjechała pod klatkę, a po kilku minutach ratownicy wynieśli Klamę na noszach. Nie ruszał się, a co gorsza wyglądał jak trup. Wtedy, gdy zostawił go na zimnej podłodze w piwnicy, też wyglądał jak trup. Spuchnięty, blady jak ściana. Wprawdzie w windzie jeszcze oddychał, ale potem? Mózgół nie miał pewności. A sprawdzić się bał. Zresztą nie chciał wiedzieć. Tak chyba było lepiej. Przynajmniej wtedy...

Teraz jednak chciałby mieć pewność. Może to pozwoliłoby mu podjąć lepszą decyzję? Ale czy była jakaś lepsza? Dlaczego w ogóle dał się wciągnąć w ten idiotyczny plan? Przecież wiedział, że Klama to głupek. Lubił go, bo znali się od dzieciaka, rozumieli się nawzajem, ale Klama był debilem. A teraz on też wyszedł na debila. A jeśli pierwszy przyjdzie Pozioma? Ta myśl go zmroziła. Gość był nieprzewidywalny. Prawdziwy bandyta. Chodziły słuchy, że ma już na koncie jakiegoś trupa. Podobno typ nie chciał płacić i się doigrał. Czy jeśli Klama nie przeżyje, dług nie przejdzie na niego? W prawie jakoś tak jest, że długi przechodzą na członków rodziny. Pozioma mógłby to zinterpretować na swój sposób. Co wtedy zrobi? Przecież się przed nim nie ukryje.

Nagle poczuł parcie na pęcherz. Gdy oddawał mocz, jego wzrok przykuła wystająca spod kłapy kosza na śmieci pielucha. Kolejny dowód. Ile takich jeszcze pozostało mu w domu? Ostatnio widział na podłodze włos małej. Przecież tu musiała być cała masa DNA, tak dziewczynki, jak i Klamy. Kurwa mać! Nie wywinie się z tego. Oblał deskę, zbyt pospiesznie próbując wyciągnąć z kubła pieluchę. Zaklął i spuścił wodę. Stał przed lustrem i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w swoje odbicie. Podkrążone oczy, zapadnięte policzki, przetłuszczona skóra i włosy. Od zawsze miał problemy skórne, a teraz na ustach dodatkowo wyskoczyło mu jakieś cholerne zimno. Nie wyglądał dobrze.

A gdyby...

W głowie zaświtała mu pewna myśl. Nagle stała się bardzo kusząca. Pamiętał, że gdy podejmowali decyzję o porwaniu dzieciaka, najpierw sprawdzili, co może ich czekać w razie wtopy. Artykuł 211 wyraźnie mówił, że „kto, wbrew woli osoby powołanej do opieki lub nadzoru, uprowadza lub zatrzymuje małoletniego poniżej lat 15 albo osobę nieporadną ze względu na jej stan psychiczny lub fizyczny, podlega karze pozbawienia wolności do lat trzech”. Trzy lata. W sumie niewiele. Do tej pory nie był karany, więc sąd może potraktowałby go ulgowo. Zawiasy? Czysto teoretycznie – możliwe. Pod warunkiem że sąd znalazłby

dodatkowe okoliczności przemawiające na korzyść oskarżonego. Gdyby zadzwonił i przyznał się do porwania, a następnie wskazał Poziomę jako tego, który zawiął dziewczynkę, mógłby sporo ugrać. Może nawet w niektórych kręgach uznano by go za bohatera? Uśmiechnął się pod nosem. Do tej pory zawsze traktowano go jak szmaciarza. W oczach kolegów był sierotą wychowanym przez babkę dewotkę. Wiecznie pocerowane skarpety, ciuchy śmierdzące środkiem na mole, kanapki z pomidorem, bo na szynkę nie było ich stać. Nie miał o to do babki pretensji, bo robiła, co mogła, a gdy rok temu w końcu kipnęła, odziedziczył po niej całkiem niezłą chawirę. Co z tego, skoro nigdy nie miał poważania na dzielni. Nie był w stanie zliczyć, ile razy go zwyzywano, opluto i poniżono. Wpierdol dostawał regularnie, często za nic, ot tak, dla beki. Znosił to, przyzwyczyił się i zaczął traktować jako coś normalnego, coś, z czym nie da się walczyć. Z czasem zaczął pić i ćpać, żeby o tym nie myśleć, a najlepiej zapomnieć. Taki właśnie był jego świat. niesprawiedliwy, dziadowski i zdeprawowany. A teraz mógł to zmienić...

Usiadł na kiblu i wszedł w listę kontaktów w telefonie. Szybko odnalazł właściwy. Wpatrywał się w imię na wyświetlaczu jak zaczarowany. To właśnie ten człowiek był najbardziej aktywny na grupach fighterskich. Mózgol sam był członkiem kilku z nich, bo kiedyś miał epizod na macie. Krótco po śmierci babci postanowił odmienić swoje życie i zapisał się do jednego z klubów brazylijskiego jiu-jitsu. Chciał się nauczyć bić, aby móc się bronić. Przyszedł pełen motywacji, ale ta szybko wyparowała. Lata zaniedbywania własnego ciała, picia, palenia i ćpania wszystkiego, co wpadło mu w ręce, doprowadziły jego organizm na skraj wyczerpania. Ośmieszyl się już na pierwszym treningu, gdy w połowie rozgrzewki musiał iść zwymiotować. Poczul się okropnie, załamał się. Wtedy, ku jego zaskoczeniu, trener podał mu rękę. Krzysztof go nie wyśmiał, nie zwyzywał, nie wyrzucił za drzwi, mało tego – obiecał, że w Octopusie zawsze będzie dla niego miejsce, oczywiście pod warunkiem, że odstawi używki. Bóg mu świadkiem, że Mózgol próbował. Nie brał nic przez prawie dwa tygodnie, ale na treningach nie był w stanie wykrzesać z siebie tyle, ile od siebie wymagał. Poddał się po trzecim razie. Wolał ziółko i *Call of Duty*.

Dziś Krzysztof prosił o pomoc na wszystkich możliwych grupach. Czy jeśli się do niego odezwie, trener doceni ten gest? Czy docenią go inni? Jeśli Klama umrze, to mógłby całą winę zwalić na niego, a samemu wyjść na bohatera. Może nawet pisaliby o nim w gazetach i mówili w telewizji? Wtedy Pozioma – nawet jeśli nie trafi za kratki za pobicie Klamy – nie odważy się go ruszyć. Brzmiało naprawdę dobrze, zresztą w najgorszym wypadku najwyżej wyzna prawdę. Że to nie był jego pomysł. Dorzuci, że został przymuszony albo chociaż zmanipulowany, i jakoś to będzie. Sąd w takim przypadku powinien być bardziej łaskawy i nawet

jeśli wyda wyrok bez zawiasów, to pewnie mały, a on trafi do jakiegoś łagodnego więzienia, gdzie nie będzie musiał użerać się z grypsującymi.

Tak, to była najlepsza opcja. A przynajmniej najlepsza ze wszystkich złych.

Mózgół jeszcze przez chwilę się wahał, w końcu nacisnął zieloną słuchawkę.

– Kto mówi? – usłyszał głęboki głos trenera.

– To ja, Paweł. Kiedyś byłem u pana na treningu, ale...

– Nie mam teraz czasu, kolego. Poza tym jest trzecia rano i...

– Ja nie o treningach chciałem pogadać.

– Jak się nazywasz?

– Paweł. Mózgół na mnie mówią.

– Jak chcesz się znów zapisać, to zadzwoń za kilka dni. Teraz muszę kończyć.

– Ale ja nie o treningach. Ja o tej dziewczynce chciałem pogadać. Chyba wiem, gdzie ona może być.

Rozmówca zamilkł. W tle dało się słyszeć jakieś trzaski.

– Co o niej wiesz? – Ton trenera stwardniał.

– Wiem, kto może ją mieć.

– Więc mów.

– Tylko że ja...

– Mów, kurwa, co wiesz! I gdzie jesteś?

– Ja...

Mózgół aż podskoczył, gdy usłyszał dzwonek do drzwi. Wyszedł z łazienki i spojrział przez wizjer. Na korytarzu stali Pozioma i Cypis.

– Otwieraj, młody. Wiemy, że tam jesteś. Chcemy tylko pogadać – rzucił ten pierwszy.

– Pięć minut i spadamy – dodał Cypis.

Mózgółowi zapaliła się czerwona lampka. Ci dwaj zwykle zachowywali się inaczej – bez skrupułów darli japę i walili pięściami w drzwi. Skąd ta zmiana? Oparł się o ścianę i zamknął oczy. Wiedział, że musi im otworzyć, bo rozjuszony Pozioma gotów wejść tu razem z drzwiami. Nawet nie chciał myśleć, co jeszcze może się wydarzyć, ale nie miał wątpliwości, że ta wizyta skończy się dla niego co najmniej równie źle, jak dla Klamy.

– Chwila... – szepnął do słuchawki. – Zaraz oddzwonię.

– Pocze...

Rozłączył się i wyciszył telefon. Następnie nabrał głęboko powietrza i przekręcił oba zamki. Drzwi stanęły otworem.

– No siema.

– Siema.

– Co...

– Gównu, kurwa! – ryknął Pozioma i pchnął gospodarza z taką siłą, że ten wylądował na przeciwległej ścianie. Uderzył potylicą w rant wiszącego lustra, po czym półprzytomny zsunął się na podłogę. Na gładkiej powierzchni szkła pojawiła się siateczka pęknięć, a kilka drobinek spadło na wysłużone panele.

– Nie ma go – rzucił Cypis, który w kilka sekund obleciał mieszkanie.

– Jak to go nie ma? – Pozioma szarpnął gospodarza za włosy. – Gdzie Klama, do kurwy nędzy?

– Ja...

– Mów, bo ci rozpierdolę ryja!

– K-karetka go z-zabrała – wyjąkał Mózgol.

– No to teraz ciebie zabierze pierdolony karawan.

Gdy Pozioma i Cypis obmyślali kolejne kroki, Krzysiek z Dominikiem właśnie namierzali adres Pawła Karwowskiego. Nie było to trudne i wymagało zaledwie kilku kliknięć, bo każdy nowy trenujący musiał wypełnić na stronie internetowej Octopusa ankietę i podać swoje dane, w tym adres zamieszkania. Po dwóch minutach o Mózgolu wiedzieli już wszystko. A że akurat byli na jednej z melin przy nieodległej ulicy Batorego, odpuścili miejscowym smarkom i od razu wsiedli do samochodu. Od Lisiej dzieliło ich pięć minut drogi.

* * *

Świat ponownie budził się do życia.

Słońce skrywało się jeszcze za nieboskłonem, ale pierwsze promienie nieśmiało zaczynały rozrzedzać mrok. Krzysiek spojrzął na zegarek. Dochodziła czwarta. Czuł się wypompowany całonocnym jeżdżeniem po burdelach i melinach, ale ich wysiłek najwyraźniej nie poszedł na marne. Na to właśnie liczyli. Chcieli wyrzucić presję. Prędzej czy później ktoś musiał coś chlapnąć. Nie spodziewał się, że będzie to jakiś gówniarz, ale w żadnym wypadku nie mógł lekceważyć tego telefonu.

– Dzwonimy po Lutkę? – zagaił Dominik.

– Czekaj... – Krzysiek zmrużył oczy. Skupił wzrok na trzech postaciach wychodzących z klatki jednego z wieżowców.

– Dziwny zbieg okoliczności, że tak powiem. Ile jest stąd do tego wesołego miasteczka? Dwieście, trzysta metrów?

– W linii prostej jakoś tak będzie.

– To co robimy?

– Najpierw przekonajmy się, o co tu chodzi – skonstatował Krzysiek. – Nie chciałbym robić jej nadziei...

Dominik skinął głową. Rzeczywiście zbieg okoliczności wydawał się co najmniej niepokojący. Park rozrywki znajdował się w zasięgu wzroku. Nawet stąd można było dostrzec pomiędzy blokami zarysy strzelistych masztów kolejnych konstrukcji. Aby tam dotrzeć, wystarczył krótki spacer – najpierw przez osiedle, a następnie przez porośnięty krzakami nieużytek. Sam nigdy tamtędy nie chodził, mógł zgadywać, że prowadzą tam jakieś mało uczęszczane ścieżki. Ktoś, kto je dobrze znał, mógł niepostrzeżenie wynieść dziecko na pobliski parking, a że ta część miasta nie była monitorowana, chwilę później wsiaść do samochodu i zniknąć. Albo – i było to niestety całkiem prawdopodobne – ukryć Weronikę w jednym z kilku tysięcy mieszkań znajdujących się w okolicznych mrówkowcach.

Czy ten szczył rzeczywiście miał z tym coś wspólnego? Może ruszyło go sumienie albo przestraszył się konsekwencji? Tylko dlaczego szedł teraz jak na skazanie w towarzystwie dwóch karków, w których Dominik rozpoznał Poziomę i Cypisa?

– Znajome twarze – mruknął Krzysiek. Jemu mężczyźni też nie byli obcy. – Znałeś Poziomę, mam rację? – Posłał przyjacielowi wymowne spojrzenie.

– Znałem. Tępy chuj z niego. Poszedł w bandyterkę.

Dominik rzeczywiście kiedyś miał okazję go poznać. Przed laty razem trenowali kick-boxing pod okiem Cezarego Potiomkina, dziś już nieżyjącego rosyjskiego coacha, legendy zielonogórskiej Gwardii. Ale Pozioma był niereformowalny. Już wtedy na potęgę pakował w siebie sterydy, przez co bywał porywczy, agresywny i kompletnie nieprzewidywalny. Gdy podczas jednej z imprez pobił do nieprzytomności studenta, który przypadkiem spojrzał na jego dziewczynę, Potiomkin – już od dłuższego czasu tylko szukający pretekstu – za karę wyrzucił go z klubu. Tak ich drogi się rozeszły, choć później czasem jeszcze się widywali podczas obstawiania bramek w okolicznych klubach. Chemii jednak między nimi nie było i woleli schodzić sobie z drogi. Później Pozioma rzeczywiście poszedł w bandyterkę, a Dominik wręcz przeciwnie – dziś, nie dość że był jednym z najbardziej szanowanych trenerów brazylijskiego jiu-jitsu, to jeszcze prowadził zajęcia dla najmłodszych adeptów. O Cypisie nie był w stanie powiedzieć nic poza tym, że przyjechał do miasta kilka lat temu z jakiejś zabitej dechami wioski i niemal od samego początku szlajał się w towarzystwie Poziomy.

– Pojedziemy za nimi i zobaczymy, co knują. Czuję, że będzie z tego jakaś draka – mruknął Krzysiek, uruchamiając silnik kii.

– Tylko trzymaj dystans.

Krzysiek odczekał, aż czarny SUV ruszy z miejsca, i dopiero gdy zniknął za jednym z wieżowców, włączył się do ruchu. Po kwadransie zrobiło się prawie jasno, ale na ulicach wciąż było niemal pusto. Czasem tylko przemknął jakiś rowerzysta albo staruszek z psem. Gdy wyjechali poza teren zabudowany,

śledzenie samochodu Poziomy stało się trudniejsze, ale ostatecznie chyba udało im się pozostać niezauważonymi aż do nieodległego Czerwieńska. Tam SUV skręcił w jedną z bocznych, mniej uczęszczanych dróg, która prowadziła w okolice bunkrów znajdujących się przy Plaśnicy nad Odrą. To nie zwiastowało niczego dobrego. W dodatku żaden z nich nie znał tych terenów, więc kontynuowanie operacji wydawało się ryzykowne.

Z początku minęli skręt, ale po krótkiej naradzie uznali, że nie mogą się wycofać, a Pozioma i Cypis – choć bez wątpienia nie należeli do chłopców ze szkółki niedzielnej – nie stanowili dla nich poważniejszego zagrożenia. Zawrócili i wbili się na wąską drogę szutrową. Tu mogli się trzymać w bezpiecznej odległości, wystarczyło poruszać się tropem unoszących się tumanów kurzu. Po kilkuset metrach dotarli do szerokiego torowiska, na którym stało kilka składów towarowych. Wagony wyglądały na wysłużone i wszystko wskazywało, że zostały pozostawione samopas. W pewnym momencie dostrzegli zaparkowanego przy odległych drzewach SUV-a. Zatrzymali się w bezpiecznej odległości, za kępą gęstych, rozłożystych krzaków, po czym wysiedli z wozu i wykorzystując ukształtowanie terenu, zakradli się nieco bliżej.

Położyli się na lekkim wzniesieniu. Przez chwilę wsłuchiwali się w poranny świergot ptaków i odgłosy pracującego w oddali traktora. W powietrzu unosił się zapach żywicy, a tuż obok swój trakt miały mrówki. Krzysiek zwrócił uwagę na kilka robotnic, które targały poszatowanego na kawałki, wyraźnie już zaszuszonego czerwia.

– Tam są – szepnął po chwili Dominik, wskazując w kierunku niewielkiego zbiornika wodnego.

– Razi tak, że prawie nic nie widzę – odparł Krzysztof i zrobił z dłoni daszek nad oczami.

Przez chwilę wpatrywali się w trzech dyskutujących mężczyzn. Dzieląca ich odległość pozwalała na wychwytywanie jedynie pojedynczych słów, gdy któryś z nich podniósł głos. Szum drzew i ptasie trele dodatkowo utrudniały zadanie, ale żaden nie wyszedł z sugestią, aby skrócić dystans. Każdy krok po walających się pod nogami suchych gałęziach mógł ich zdemaskować. Zresztą lepiej było się nie wychylać, zwłaszcza że sytuacja wyglądała co najmniej podejrzanie. Bo po jaką cholere Pozioma z Cypisem mieliby przytargać Mózgola na to odludzie?

Trenerzy wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Zdecydowanie nie wyglądało to najlepiej. Dominik wyciągnął z kieszeni dzinsów smartfona. Ustawił urządzenie, włączył kamerę i wyregulował zoom, co wcale nie było takie proste, bo przez dzielącą ich gęstwinę obraz wciąż gubił ostrość. Mężczyzna włączył nagrywanie. Wtedy, zupełnie zniemacka, Pozioma rąbnął Mózgola na odlew w twarz. Mikrej postury chłopak upadł w wysoką trawę i na chwilę zniknął z pola

widzenia. Oszołomiony niespodziewanym atakiem, zdążył wyczołgać się z powrotem na wydeptaną ścieżkę, ale napastnik nie zamierzał poprzestać na jednym ciosie i chwilę później na ciało ofiary posypały się kolejne kopniaki.

– Robimy coś? On go zakatuje – rzucił nerwowo Krzysiek.

– Ale co my możemy zrobić? Na psy przecież nie zadzwonimy – odparł Dominik.

– Nie wiem, kurwa, cokolwiek.

– Nie zapominaj, że Pozioma to bandyta. Może mieć broń. Chcesz narażać się dla tego ćpunka?

– Ten ćpunek powiedział, że wie, gdzie może być Werka.

– Tacy jak on dużo gadają...

– A potem tych dwóch wyprowadziło go z chaty i przywiozło tutaj. Trochę dziwny zbieg okoliczności, co? – W głosie Krzyśka narastała irytacja.

– Oni mogą mieć broń, Krzychu! – powtórzył Dominik. – Wystarczy, że to nagramy. Potem pomyślimy, co z tym zrobić.

Krzysiek już nic więcej nie powiedział. Z niesmakiem patrzył, jak Pozioma robi z chłopaka miazgę, ale gdy nagle w polu widzenia pojawił się Cypis, poczuł wzbierającą panikę.

– Co on chce...? – zaczął, jednak nie dokończył. Z półotwartymi ze zgrozy ustami obserwował, jak Cypis zarzuca na głowę delikwenta plastikowy worek i przez najbliższe kilkadziesiąt sekund dociska go do ziemi. Mózgół opadł z sił. Jego ruchy były powolne, jakby już nie walczył o życie. Chwilę później zupełnie ustały i ciałem chłopaka wstrząsnął pośmiertny dreszcz.

Gdy Krzysiek i Dominik wycofywali się w kierunku samochodu, a Pozioma i Cypis obciążali ciało zamordowanego Mózgola, aby utopić je w stawie, Zygmunt Szatan, cały umorusany błotem, właśnie opuszczał chlew. Uśmiechał się pod wąsem, co zdarzało mu się nader rzadko. Ale tego dnia zupełnie niespodziewanie nadarzyła się okazja, aby w końcu wdrożyć w życie jego długo przygotowywany plan. Musiał być jednak cierpliwy. Nie mógł wychodzić przed szereg. Karma wraca, a cierpliwość popłaca, powtarzał sobie w myślach. Dlatego dziś skupi się na pracy i robi, co w jego mocy, aby odnaleźć zaginioną Martynę Piskorską. Na przyjemności jeszcze przyjdzie czas...

ROZDZIAŁ 20

Szatan usiadł naprzeciwko naczelnika wydziału. Poprawił się na krześle, które lekko zaskrzypiało.

– Co tu tak wali? – zapytał Kurowski, wykrzywiając usta w grymasie obrzydzenia.

– Ze wsi jestem. Zapomniałeś? – odparł ironicznie nadkomisarz.

– Połowa mundurowych w tej komendzie jest ze wsi, ale nikt nie śmierdzi, jakby przed chwilą taplał się w gnojowniku.

– O co ci chodzi?

– O to, że wyglądasz, jakbyś znowu chlał, a do tego cuchniesz gównem. Raportu z wczoraj też nie przysłałeś.

– Powiedz lepiej, kiedy przyjdą te mądrale z CBS.

– Nie, no kurwa, Zygmunt. Tu nie idzie wytrzymać!

Kurowski zerwał się na równe nogi i obszedł biurko. Zbliżył się do podwładnego i wciągnął w nozdrza powietrze, tam gdzie znajdowały się poły jego marynarki.

– Pojebało cię, Kura? – zapytał Szatan, wodząc za przełożonym zdumionym wzrokiem.

– Nie, to nie jest obornik – skonstatował naczelnik. – Ty po prostu cuchniesz, jakbyś się zesrał.

– Nie czuję. Teraz krąży taki wirus, co to podobno węch zabiera. I smak też. Może go złapałem i...

– Wstawaj, kurwa!

Szatan podniósł się do pionu. Od początku planował rozegrać to właśnie tak. Miał na Kurowskiego swoje sposoby, zwłaszcza że facet nie należał do zbyt lotnych. W tym przypadku chodziło tylko o to, aby zminimalizować opierdola za brak efektów w dochodzeniu dotyczącym Martynty Piskorskiej. Naczelnik wyraźnie podkreślił, że sprawa jest dla niego priorytetowa, ale zapomniał, że Szatan miał wczoraj swój Dzień Ojca. A nikt, zwłaszcza Kurowski, nie miał prawa odbierać mu możliwości świętowania go na swój tradycyjny sposób. Świeże psie gówno, w które z pełną premedytacją wdepnął w parku przed

komendą miejską kilkanaście minut temu, w zupełności wystarczyło, aby przykryć temat i skierować złość Kurowskiego na inne tory. Z pozoru niewinna gra słów, na którą z racji wieloletniej znajomości z naczelnikiem też mógł sobie pozwolić, dopełniła reszty. Na koniec jeszcze tylko zmarszczyć brwi i przenieść wzrok na podszwę...

– Chyba jednak będę bogaty. W gówno wdepnąłem! – skonstatował Szatan, unosząc najpierw prawą, a następnie lewą stopę. Zrobił to na tyle „niefortunnie”, że rozmazał trochę przyklejonego do podeszwy kału na lśniących panelach.

– Wypieprzaj stąd! – Kurowski popchnął podwładnego w kierunku drzwi. Biuro opuścili razem. – Za kwadrans u mnie. I buty mają błyszczeć jak psu jaja.

– Okej, wyluzuj.

Udając, że za wszelką cenę próbuje nie upaść podłogi, Szatan skierował się do toalety. Uśmiechnął się pod wąsem, słysząc za plecami, jak Kurowski opieprza sekretarkę, że wpuściła do biura kogoś w obsranych butach. Sprzątaczką pojawiła się chwilę później. Dostrzegł ją kątem oka przez uchylone drzwi łazienki, w której czyścił pod kranem podeszwy. Pomyślał, że nie była to zbyt wysoka cena za ogranie tego chujka. Sprzątaczkę też specjalnie nie współczuł, bo Zygmunt Szatan generalnie rzadko komuś współczuł.

Gdy wrócił do biura szefa, ten chodził po gabinecie i psikał sprayem gdzie popadnie.

– Zapach morza o poranku czy pomarańcza z cynamonowcem? – zakpił z przełożonego, który aż się zapowietrzył.

– Zamknij się i siadaj na dupie. – Odstawił pojemnik na parapet. – Nie mam czasu, więc słuchaj uważnie, bo nie będę powtarzał. – Spoczął za biurkiem i przetarł dłonią czoło. – To rozkaz z samej góry, więc nawet nie próbuj dyskutować. Ci dwaj mają tu być za pięć minut, dlatego zachowuj się, jak przystało na funkcjonariusza policji, albo naprawdę wypierdole cię na zbity pysk. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

– Coś ty taki nakręcony? – Szatan uniósł lewą brew. – Chłopaki z CBS to tacy sami ludzie jak my. Przyjdą, pogadają i pójdą. Nie wiem, o co ta cała zadyma, bo...

– Nie wkurwiał mnie, Szatan. Mam dość tych twoich „trudnych dni”. Gówno mnie obchodzi twoje problemy osobiste. Wszyscy mają jakieś problemy, a służba to służba. Nie możesz tyle chlać. Jak zavalisz tę sprawę, naprawdę się doigrasz. To będzie twój koniec. Zrozumiano?

Szatan słyszał tego typu teksty przynajmniej kilka razy do roku, choć dziś Kurowski był jakby bardziej przekonujący. Nie dał jednak tego po sobie poznać. Przytaknął, jak miał to w zwyczaju, a nawet wspólnie wypalili po papierosie.

Dwaj funkcjonariusze z Centralnego Biura Śledczego pojawili się punktualnie. Inspektor Robert Warga wyglądał, jakby przez większość życia codziennie tarł sobie twarz papierem ściernym. Jego młodszy stopniem kompan, mężczyzna w białej koszuli, był niepodobny do nikogo. Przywitali się, a następnie cała czwórka przesiadła się do kącika z sofą i fotelami, w którym naczelnik przyjmował ważniejszych gości. Chwilę później sekretarka przyniosła cztery kawy.

– Do rzeczy, panowie, bo mam pracy po pachy – rzucił Szatan, gdy już wygodnie się rozsiadli.

Kątem oka widział, jak Kurowski nerwowo pociera podbródek. Chwilę później naczelnik nieco zluźował, bo jego podwładny zrobił to, co od lat – pomimo dziesiątek najróżniejszych wybryków, w tym alkoholowych – pozwalało mu trwać na stanowisku. Czyli po prostu to, co do niego należało. Może nie była to finezyjna robota, ale dwa dni wcześniej odwiedził rodziców dziewczynki, porozmawiał ze świadkami i ludźmi z otoczenia, wykonał też kilka telefonów do swoich informatorów, którzy podsunęli mu pewne tropy. Tyle wystarczyło, żeby zamknąć szefowi usta, choć Szatan niechętnie musiał przyznać przed samym sobą, że wszystko zrobił na pół gwizdka. Dzień Ojca był jednak święty i nie czuł najmniejszych wyrzutów sumienia. Raport ostatecznie też przygotował poprzedniego wieczoru i właśnie w tej chwili, ze stoickim spokojem, przyglądał się reakcji mężczyzny, który zagłębiał się w jego lekturze.

Twarcą Wargi nie zdradzała żadnych emocji. Tak naprawdę trudno było wywnioskować cokolwiek, bo liczba blizn niemal zamroziła jego mimikę.

– Słyszeliście kiedyś krzyk gwałconej ośmiolatki? – zapytał, z niesmakiem odkładając dokumentację na blat. Szatan dawno nie słyszał, żeby ktoś zwracał się do niego w liczbie mnogiej, ale najwyraźniej wciąż istnieli gliniarze, którzy tęsknili za czasami słusznie minionymi. Posłał mu pytające spojrzenie, a potem przeniósł wzrok na siedzącego obok kompana, który przedstawił się jako komisarz Wasyl Murawski, również ze stołecznej.

– Nie rozumiem pytania... – mruknął Szatan.

– Pytam, czy słyszeliście kiedyś krzyk gwałconej ośmiolatki? Odpowiedzcie, nadkomisarzu.

– To jakiś jebany test?

– To nie test.

– Wszystko jest w moich aktach, więc na chuj te gierki?

Warga cmoknął i powolnym ruchem wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki smartfona. Przesunął słoniowatym palcem po ekranie, dwukrotnie chwytając spojrzenie Szatana. Poprawił się w fotelu, po czym odpalił film i skierował wyświetlacz w stronę rozmówcy.

– Nie chcę tego słuchać. A tym bardziej oglądać – rzucił konfrontacyjnie Szatan. – Za kogo ty się masz, człowieku?

– Zamknij japę i patrz – odparł inspektor tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Wystarczyło piętnaście sekund, aby nadkomisarzowi zrobiło się niedobrze. Nie żeby nigdy nie miał kontaktu z tego typu produkcjami. Po tym, co miesiącami dostawał pocztą w prezencie, już nic nie mogło wzbudzić w nim głębszych refleksji. Co nie znaczyło, że tego szczerze nie nienawidził. Co innego Kurowski. Naczelnik próbował maskować swój wstręt, ale dwukrotnie go cofnęło i ledwo zapanował nad odruchem wymiotnym. Nawet jeśli pracował w policji prawie trzydzieści lat i widział ciężko pobite kobiety, zmasakrowane ciała czy trupy w różnych stadiach rozkładu, to nic nie mogło się równać z tym, na co właśnie patrzył. Wiedział, że krzyk tej dziewczynki będzie mu się śnił po nocach, a wyraz jej twarzy wyryje się pod jego powiekami na długie tygodnie.

– Wystarczy – jęknął, odwracając wzrok, i przytknął dłoń do ust.

– Po co pan nam to pokazuje? – wtrącił Szatan.

– Bo najprawdopodobniej dziewczynka, której szukacie, trafiła w ręce tych zwyrodnialców – odparł Warga, chowając komórkę z powrotem do kieszeni. Następnie przeniósł wzrok na Szatana. – Sprawdziliśmy was, nadkomisarzu. Wiemy, że siedzicie po uszy w gównie, ale to nie zwalnia was z profesjonalnego podejścia do pracy. A ten wasz raport jest chuja warty. – Ostentacyjnie uniósł, a następnie rzucił na blat teczkę z dokumentami.

– A co wy, kurwa, wewnętrzni czy... – Szatan ugryzł się w język. – Poza tym chyba jednak gówno o mnie wiecie i...

– Wystarczająco, aby twierdzić, że macie w tym mieście dobre kontakty i możecie nam pomóc. – Ton inspektora mógłby zmrozić piekło. Warga zrobił krótką pauzę, jakby sprawdzał, czy jest sens kontynuować rozmowę. Najwyraźniej uznał, że jeszcze nie wszystko stracone, bo westchnął i nachylił się w stronę kolegi po fachu. Z bliska przypominał ofiarę długoletniej walki z ospą albo trądem. – Ten film, jak i wiele podobnych, czasem nawet bardziej drastycznych, przechwyciliśmy we wsi pod Szczecinem. Był na dysku komputera szanowanego pediatry, jak się okazało również pedofila, którego ojciec molestowanego chłopaka w ramach zemsty zatłukł młotkiem. Na dysku twardym zabezpieczyliśmy wystarczająco dużo materiału, aby stwierdzić, że w zachodniej Polsce pojawiła się nowa grupa zajmująca się handlem żywym towarem, w tym dziećmi. Porywają chłopców i dziewczynki, a następnie nagrywają takie filmy i udostępniają je w darknetcie. Dzięki nim zarabiają albo kuszą potencjalnych klientów. Podejrzewamy, że Martyna Piskorska mogła paść ofiarą tej szajki.

Choć bardzo chciał, Szatan nie mógł zdobyć się na współczucie. W środku był martwy. Przed oczami stanął mu obraz poszukiwanej dziewczynki, która jest

traktowana w ten sam sposób jak to niewinne dziecko na filmie. Może właśnie teraz jakiś pedofil się do niej dobierał? Może zrobił to już wczoraj albo przedwczoraj, w czasie gdy on, pijany w sztok, obchodził swój Dzień Ojca, mając Martynę głęboko w dupie?

Warga pewnie uważał się za sprytnego, ale był w błędzie. Jeśli w ten sposób chciał go podejść, wyszło co najwyżej groteskowo.

– Może zaczniemy dobijać do brzegu? – zagadnął Szatan, starając się zachować neutralny ton. – Czego konkretnie ode mnie chcecie?

Inspektor cmoknął niepysnie i potarł dłonią chropowatą twarz.

– Znacie to miasto jak nikt inny, nadkomisarzu Szatan, i przy okazji tamtej sprawy sprzed lat zdążyliście już zinfiltrować lokalne środowiska pedofilskie. –

Inspektor przeniósł wzrok na cienką teczkę z przygotowanym raportem, ale tym razem nie chwycił jej w swoje pulchne paluchy, tylko ponownie wbił wzrok w rozmówcę. – Ta dziewczyna zaginęła ponad siedemdziesiąt dwie godziny temu. Przy tego typu sprawach to dość długi czas. W najlepszym przypadku musimy zakładać, że została ukryta w jakiejś dziupli, w najgorszym, że trafiła do klienta i wywieziono ją z miasta albo nawet z kraju. Waszym zadaniem jest ustalić, co się z nią stało.

Szatan pokiwał głową. Ten cały wstęp był w jego ocenie zupełnie niepotrzebny. Wolał konkrety.

– Przyślijcie mi komplet akt sprawy, a ja ustalę, co trzeba – oznajmił. – Znajdę tego dzieciaka. Czy to wszystko?

Warga skinął i rzucił dwuznaczne spojrzenie naczelnikowi. Kurowski milczał, uśmiechając się sztucznie.

Szatan postanowił nie przedłużać – podniósł się z fotela, pożegnał z oficerami i opuścił biuro naczelnika.

ROZDZIAŁ 21

Pierwszy z listy był leszczem i niewiele wiedział. Gutek mieszkał na parterze, więc weszła do jego domu przez balkon jeszcze przed świtem. Wygadał się, zanim zdążyła sięgnąć do swojej torby z zestawem małego majsterkowicza. Drugi – Loki – otworzył jej, gdy podała się za dostawcę pizzy. Zwieracze puściły mu dopiero w momencie, gdy przytknęła ostrze noża do jego moszny. Zdołała wydusić z niego kilka informacji, w tym tę, która zaprowadziła ją do trzeciego delikwenta. Na tego musiała zacząć się na parkingu. Gdy wsiadał do samochodu, podeszła i przytknęła mu lufę swojej beretty do krzyża, a następnie wepchnęła go z powrotem do wozu, po czym sama zajęła miejsce na tylnym siedzeniu. Według informacji, jakie do tej pory uzyskała, facet zajmował drugą pozycję wśród członków gangu stręczycieli, do których należała połowa burdeli w mieście. Mógł być bezpośrednio zaangażowany w porwanie, a jeśli nie, to prawie na pewno wiedział, kto maczał w nim palce.

Droga do opuszczonej fermy drobiu zajęła im nieco ponad dwadzieścia minut. Rozpadający się budynek znajdował się kilka kilometrów w głąb lasu, pomiędzy osiedlem Luta a pobliskim Starym Kisielinem. Prowadziła do niej tylko jedna dziurawa droga, która kończyła się przy obiekcie, więc nikt nigdy tam nie zaglądał, a sama ferma z każdym rokiem zarastała krzewami i drzewami. Luta wiedziała, że nikt nie będzie im przeszkadzać, bo od lat nie spotkała tu żywej duszy, choć w miarę regularnie tędy biegła, a w środku urządziła sobie nawet prymitywny tor przeszkód, przypominający te, na których szkolila się w jednostce w Lublińcu. Tylko co z tego, skoro facet za cholerę nie chciał współpracować i pyskował, nawet gdy obcięła mu koniuszek palca.

– Zajebią cię, szmato! – bełkotał, szarpiąc się i próbując pozbyć się knebla. – Nie masz pojęcia, z kim zadarłaś, głupia pizdo!

Luta spojrzała na nalaną twarz mężczyzny. Na skroniach zaznaczyła się siatka niebieskich żył, a ogolona czaszka i czoło lśniły od potu. Facet miał ksywę Czeczen i choć taki był z niego Czeczen jak z koziej dupy trąba, najwyraźniej chciał pozować właśnie na człowieka z Kaukazu. Może dlatego, że na pierwszy rzut oka nie wyglądał specjalnie groźnie – jego krągła buźka, gdyby nie była

okolona całkiem zgrabnie przystrzyżoną brodą, przypominałaby prędzej twarz wyrosniętego gimnazjalisty niż zaprawionego w boju członka gangu sutenerów.

Pozory potrafią jednak mylić...

Luta zaczynała się niepokoić. Nie zakładała, że będzie musiała posuwać się do tak drastycznych metod. Spuściła mu lekki łomot, ale generalnie jej taktyka opierała się na groźbach. Na Czeczenie wydawały się one jednak nie robić żadnego wrażenia. Wpatrywała się w oczy związanego mężczyzny, zastanawiając się, jak go złamać. Siedział zupełnie goły, ręce i nogi miał przywiązane trytytkami do krzesła, można by rzec: klasyka. Zrobiła wszystko, co powinna była zrobić, aby go solidnie nastraszyć, mimo to facet co najwyżej szczerzył zakrwawione zęby i od czasu do czasu sypał kolejnymi obelgami. Miała doświadczenie i wiedziała, że zwykle delikwent traci rezon już w momencie, gdy zrzuca z siebie ostatnią część garderoby. Czysta psychologia. Instynkt szybko podpowiada, że sytuacja jest beznadziejna i teraz wszystko zależy od łaski lub niełaski oprawcy. Nawet większość zaprawionych w boju talibskich bojowników wołała nie czekać na rozwój sytuacji i sypała już w momencie, gdy spuszczano im gacie. Tym bardziej postawa Czeczena ją zaskoczyła. Popełniła błąd, którego nie powinna była popełnić. Nie doceniła przeciwnika i poszła na skróty – nie pomyślała, że facet też mógł być szkolony. Co prawda nie dostrzegła na jego ciele żadnego tatuażu świadczącego o przynależności do jakiejś jednostki, ale przecież nie mogła z góry zakładać, że nie miał kontaktu z wojskiem. No i ta ksywa. Czeczen. Może jednak nie wzięła się z powietrza? Ale nawet jeśli nie, to uczciwie musiała przyznać, że w tej branży nie brakowało ludzi z przeszłością, wszak tacy jak Czeczen też byli żołnierzami, choć to określenie, którym tak namiętnie posługiwano się choćby w mediach, od zawsze ją mierziło. Żołnierzami byli ci, którzy składali przysięgę, że będą bronić ojczyzny, a nie pospolici chuligani na usługach mafiosów. Tak czy siak, wielu z nich także przechodziło różnego rodzaju szkolenia, inaczej byłiby dla swoich pracodawców bezużyteczni.

Gdy nie pękł nawet wtedy, gdy przyłożyła mu ostrze noża do moszny, zrozumiała, że tym razem trafiła na faceta z krwi i kości. Poznał ją, musiał wiedzieć, kim jest i czego szuka. Wiedział też, że nie posunie się tak daleko, bo to mogłoby się na niej zemścić, wszak nawet jeśli straciłaby jedno dziecko, wciąż jeszcze miała drugie i gdyby pocięła go zbyt mocno, zapewne trafiłaby za kratki. Były jednak inne sposoby, a że w starej hali Luta zorganizowała sobie agregat prądotwórczy, z którego korzystała w miesiącach zimowych, gdy szybciej zapadał zmrok, szkoda byłoby nie wykorzystać okazji.

Odchrząknęła i odwinęła się na pięcie. Gdy wychodziła z budynku, słyszała za sobą szyderczy śmiech Czeczena. Bluzgał i groził, ale nie przejmowała się tym ani trochę. Tak się składało, że jej stary passat czasem miał problemy z odpaleniem,

więc zawsze w bagażniku wozila kable rozruchowe. A prądu nie obawiał się tylko ten, kto nigdy nie miał z nim do czynienia. Ona miała. To był jeden z elementów treningu w Lublińcu. I choć napięcie, jakim byli rażeni żołnierze starający się o angaż do JWK, było o połowę niższe od tego w gniazdkach, a cały proces w pełni kontrolowany, ból po kilku sekundach stawał się nie do wytrzymania. Człowiek dosłownie zaczynał się gotować od środka. No i prąd miał jeszcze jedną zaletę – umiejętnie użyty, praktycznie nie pozostawiał śladów.

Gdy Luta wróciła z kablami w jednej i kanistrem w drugiej dłoni, Czeczen nieco spuścił z tonu.

– Co chcesz zrobić? – zapytał, jakby udawał, że nie wie, co dla niego szykuje.

Uniosła brwi, westchnęła i pokręciła głową. Następnie przeniosła wzrok na jego krocze.

– Cóż... – mruknęła tylko, po czym podeszła do agregatu. Najpierw dołała benzyny, a następnie podłączyła zaciski. Przez dłuższą chwilę grzebała przy urządzeniu, nie reagując na kolejne zaczepki mężczyzny. Ten w końcu nie wytrzymał.

– Osobiście będę cię ruchał, rozumiesz, szmato?! – ryknął. – Rozumiesz, co do ciebie mówię? – zagroził, ale zupełnie go zignorowała.

Gdy podniosła się z kucek i uruchomiła urządzenie, a halę wypełnił cichy warkot pracującego silnika, Czeczen zamilkł.

Strzeliły pierwsze iskry. Luta stanęła w lekkim rozkroku i wyeksponowała zaciski. Przypominały małe krokodyle szczęki. W pewnym momencie na metal padł strumień światła, które przebiło się przez wyłom w murze.

– To co, sprawdzimy, jaki z ciebie chojrak? – zapytała, szelmowsko unosząc prawą brew.

– Nie zrobisz tego!

– Hmm... – Luta podeszła do Czeczena, kłapiąc stalowymi zaciskami. – Myślisz, że masz takie wielkie jaja? – wysyczała przez zęby. – To zaraz się przekonamy, czy rzeczywiście są takie duże, jak ci się wydaje.

Zacisnęła krokodylki na jądrach mężczyzny. Szarpnął się, ale zakres jego ruchów był ograniczony. Zaklął, gdy ząbkowane końcówki wbiły się w skórę.

– Ty suko! – wycedził, zapluwając się krwawą plwociną.

– Dziękuję. A teraz mów, kto porwał moją córkę, albo... – Luta się cofnęła i chwyciła wajchę w agregacie.

– Pierdol się!

– Cóż...

Wajcha opadła.

W ciągu kolejnych pięciu sekund prąd przeszył każdą komórkę ciała Czeczena. Widziała, jak jego mięśnie się spinają, a żyły niemal przebijają się przez skórę.

Gałki oczne wyróciły się samoczynnie, a białka zaszyły krwią, przypominając dorodne czereśnie. Przez chwilę całe jego ciało drżało, a gdy Luta z powrotem przekreśliła wajchę i prąd przestał płynąć, Czeczen wydarł się tak przeraźliwie, że omal nie pękły jej bębenki.

– Moja córka – syknęła, nachylając się nad ofiarą. – Powiedz, kto i dokąd ją zabrał, a wszystko się skończy.

– Sss... sss...

– Mów, gdzie ona jest!

– Sss...ssspierda...laj

– Jeśli wolisz jaja na twardo...

Zrobiła dwa kroki w tył i znów przesunęła wajchę. Tym razem odczekała prawie dziesięć sekund. Wiedziała, że nie może przesadzić, bo po kilkunastu białko zaczyna się ścinać, a krew osiąga taką temperaturę, że niemal wrze w żyłach. Bez wątplenia śmierć od długotrwałego rażenia prądem jest jedną z najbardziej bolesnych, jakie można sobie wyobrazić.

Po krótkiej chwili ponowiła torturę. Zaczynała tracić cierpliwość, bo doskonale zdawała sobie sprawę, że liczy się każda godzina, minuta, a nawet sekunda. Córka jej potrzebowała jak nigdy wcześniej i ta świadomość sprawiała, że Luta wyrzuciła ze swojego słownika termin „empatia”. Zresztą stwierdziła, że akurat temu gnojowi się należało.

Z rozdrażnieniem przyjęła fakt, że facet naprawdę jest twardy. Pomimo solidnej dawki bólu wciąż nie chciał gadać, więc albo naprawdę coś wiedział, albo bardzo się kogoś bał. Poirytowana poszła na całość i podkreśliła natężenie jeszcze dwukrotnie. Odpuściła, dopiero gdy poczuła swojski swąd spalenizny.

Kiedy ponownie zbliżyła się do jeńca, ten był już skrajnie wyczerpany. Wyrwała mu z ust knebel. Wraz z nim na betonową podłogę spadło kilka pokruszonych zębów. Chwilę później mężczyzna zwymiotował krwią.

– Jeśli nie powiesz mi tego, co chcę wiedzieć, będziemy tak się bawić do momentu, aż wyplujesz wszystkie zęby. Potem usmażę ci jaja, a na końcu oczy. Wiesz, co się dzieje z oczami, gdy płyn wewnątrzgałkowy zaczyna się gotować? Wiesz, co się wtedy dzieje w żyłach?

– Proszę... – jęknął.

– Co „proszę”?

– Proszę, przestań...

Luta się wyprostowała. Sięgnęła po butelkę wody niegazowanej i zbliżyła ją do ust Czeczena. Zachłannie upił kilka łyków, choć większa część spłynęła mu po brodzie. Wyczerpany zwiesił głowę.

– A teraz mów, gdzie jest moja córka – warknęła.

– Nie wiem...

– Kurwa, chłopie... – Luta zrobiła krok w kierunku agregatu, ale Czeczen błagalnym wzrokiem powstrzymał ją przed przekręceniem wajchy.

– Nie zajmujemy się dzieciakami... – Odkasznął krwawą plwocinę i skrzywił się z bólu. – Nawet nie sprzedajemy towaru na Zachód. Działamy lokalnie. Domówki, wylotówki, te sprawy. Co innego Majski...

– Majski? – Luta kojarzyła faceta o tym nazwisku. MajskiCorp to była jedna z największych firm w Lubuskiem, a jej właściciel regularnie brylował w mediach. Pozował na porządnego obywatela i uczciwego przedsiębiorcę, któremu nieobce były problemy mieszkańców i który potrafił dzielić się swoim majątkiem. Nie interesowała się jakoś szczególnie lokalną polityką, ale nie słyszała, aby kiedykolwiek był w coś umoczony, choć jego nazwisko przewinęło się już podczas wcześniejszych przesłuchań. – Ten Majski? – upewniła się.

– Jego synalek. Oluś pierdolony... Pozuje na cwaniaka, bo wychował się za granicą, ale straszna z niego kurwa.

– Syn tego przedsiębiorcy, Majskiego z MajskiCorp? – Nie mogła uwierzyć w to, co słyszy.

– Ten sam.

Czeczen zwiesił głowę, jakby pogodził się ze swoim losem.

– Nic z tego nie rozumiem. Przecież jego ojciec to milioner... – stwierdziła Luta, jakby do siebie.

– A co ty myślisz? Że facet się dorobił, sprzedając pornosy na straganie pod granicą? Kurwa, kobieto, w jakim świecie ty żyjesz?

Luta się wzdrygnęła, słysząc to określenie. Kusiło ją, aby ponownie przekręcić wajchę, ale odpuściła. Zamiast tego nachyliła się i chwyciła Czeczena za szczękę.

– Nie ściemniasz? – Wbiła spojrzenie w jego przekrwione oczy.

– I tak mamy już pełzającą wojnę – odburknął. – Aleksander wjechał się na nasz teren i próbuje nas wykosić. Chuj mu w dupę.

– Gdzie go znajdzie?

– Nie mam z nim dzieci, ale pewnie w MajskiCorp.

Luta puściła brodę Czeczena. Jego głowa bezwładnie opadła na nagą klatkę piersiową. Wtedy poczuła wibrację smartfona. Wytarła dłoń w szmatę i sięgnęła do kieszeni spodenek.

– Musimy pogadać, Luta – usłyszała głos po drugiej stronie.

– Coś się stało?

Odwróciła się i odeszła kilka kroków. Od czasu do czasu zerknęła na Czeczena, który zdawał się powoli tracić kontakt z rzeczywistością. Gdy skończyła rozmawiać, podeszła do mężczyzny i chlasnęła go otwartą dłonią w twarz.

– Pobudka, Czeczen!

– Daj już spokój... – wyjęczał. – Powiedziałem ci wszystko, co wiem. Wypuść mnie...

– Przemyszę to. Ale najpierw powiesz mi coś jeszcze.

Przykucnęła, ponownie złapała mężczyznę za szczękę i zmusiła go, by na nią spojrzał. Cmoknęła niepysznie, gdy dostrzegła plamę moczu pod krzesłem.

– No dobra, kolego – rzuciła zachęcająco. – Mamy kwadrans, więc od teraz jak na spowiedzi. Kim jest niejaki Pozioma i czy ma coś wspólnego z porwaniem mojej córki?

ROZDZIAŁ 22

Aleksander Majski był dwudziestopięcioletnim mężczyzną i najmłodszym synem Cyryla Majskiego. Ubierał się wyłącznie w doskonale skrojone garnitury, nigdy nie marnował czasu na niepotrzebne imprezy i generalnie w najmniejszym stopniu nie przypominał rówieśników chodzących po ulicach Zielonej Góry. Ojciec, pomimo tego, że już po rozwodzie syn został poczęty z nieprawego łoża, był z niego bardzo dumny i powtarzał to na każdym kroku, bezwzględnie dusząc w zarodku wszelkie pogłoski mające na celu zniszczenie jego nieposzlakowanej reputacji. A ta od początku do końca miała być nieskazitelna, taka, jaką sobie wymarzył i na którą przez kolejne lata łożył grube miliony, niekoniecznie polskich złotych. Wszystko po to, by Majski junior wyrósł na pewnego siebie, ambitnego i przebojowego młodzieńca, który w odpowiedniej chwili miał przejąć po nim schedę i na spuściznie ojca zbudować imperium.

Młody Olek był pojętym uczniem i już w podstawówce dostrzegł, że ojciec jest nie tylko szanowanym przedsiębiorcą, ale również człowiekiem, który zarabia pieniądze w nie do końca legalny sposób. Tłumaczył to sobie na różne sposoby, w końcu uznał, że w tym kraju wszyscy kradną i jeśli chce się cokolwiek osiągnąć, również kraść trzeba. Gdy w szkolnym sklepiku sprzątnął z półki paczkę chipsów i – ku swojemu zdumieniu – został złapany za rękę, ojciec najpierw sprawił mu potężne lanie, a następnie postanowił wysłać syna za granicę, zwłaszcza że Olek nie miał matki, ta bowiem zmarła na szpitalnym łóżku, wydając go na świat. Mały Olek wyjechał zatem do wujostwa w Niemczech, gdzie w Hamburgu skończył szkołę podstawową. Z racji tego, że chodził do klasy o profilu angielskim, po rozmowie z ojcem zdecydował się kontynuować edukację w Londynie, gdzie po otrzymaniu dyplomu w prywatnym liceum dla synów i córek londyńskich elit zdał egzaminy na uczelnię w Oksfordzie, tam natomiast z wyróżnieniem ukończył prawo i zarządzanie. Na pierwszym roku studiów miało wydarzyć się coś, co na zawsze odmieniło życie nie tylko Aleksandra, ale także jego ojca i – brnąc w teorię zależności zwanej efektem motyla – rzeszy innych

ludzi. Dla tych ostatnich ta życiowa zmiana w rodzinie Majskich miała zakończyć się niekoniecznie dobrze, głównie źle, a dla znamiennej części tragicznie.

W wieku lat dziewiętnastu Aleksander był już ułożonym młodym mężczyzną o przenikliwym umyśle i pragmatycznym podejściu do życia. W przeciwieństwie do większości ludzi, którzy karmią się wyidealizowanym obrazem świata, on szybko zrozumiał, że tenże świat opiera się na dwóch podstawowych wartościach, wokół których od wieków bezustannie się kręci. Utwierdził go w tym przekonaniu kolega z roku, niejaki Kirył Tuchmanow.

– Dupa i szmalec, przyjacielu – powiedział mu kiedyś przy butelce wódki, którą w słowiańskiej solidarności popijali, gdy koledzy raczyli się szkocką whisky albo bengalskim ginem. Kirył musiał wiedzieć, co mówi, bo był synem jednego z rosyjskich oligarchów, niejakiego Nikołaja Iwanowicza Tuchmanowa, giganta przemysłu stalowego, którego majątek był szacowany na blisko dwanaście miliardów funtów. Gdy tylko Cyryl dowiedział się o tym fakcie, zrozumiał, że to dla niego niepowtarzalna szansa, aby nawiązać znajomość, która może odmienić jego życie. Wykorzystując spryt i wrodzone predyspozycje do prowadzenia interesów, zdołał umówić się z Nikołajem Iwanowiczem na kolację z synami, gdzie hawańskie cygaro, zimna wódka i brudne biznesy połączyły obu mężczyzn szybciej, niż mogłoby się wydawać. Cyryl ugrał swoje. W zamian za kilka przysług niekoniecznie powszechnie uznawanych za słuszne i uczciwe w stosunku do reszty społeczeństwa otrzymał od rosyjskiego partnera wsparcie finansowe na rozwój firmy, dzięki czemu mógł zainwestować w szereg nowych branż, przy okazji bezwzględnie eliminując konkurencję, ta bowiem nie miała szans rywalizować z człowiekiem, za którym stał tak potężny patron. Oczywiście współpraca obu mężczyzn nigdy oficjalnie nie wyszła na jaw, bo w kraju takim jak Polska prowadzenie biznesów z rosyjskim oligarchą o co najmniej wątpliwej reputacji mogło nie być mile widziane, w związku z czym na bazie niezliczonej ilości przedsiębiorstw, firm, spółek joint venture, akcyjnych, z ograniczoną odpowiedzialnością czy spółek córek i córek tychże spółek córek prawnicy zagmatwali wszystko tak kompleksowo, że nawet gdyby ktoś chciał podjąć się rozwikłania tego biznesowego węzła gordyjskiego, zapewne utknąłby w papierach na lata, jeśliby wcześniej nie został zniechęcony przez prawników wynajętych na wypadek ewentualnych kłopotów.

Współpraca szybko zaczęła przynosić korzyści, a Aleksander – jako swoisty kamień węgielny polsko-rosyjskiej kooperacji – wywalczył sobie odpowiednią pozycję u boku ojca. Cyryl nie miał nic przeciwko temu, zwłaszcza że poczuł wewnętrzną potrzebę zaistnienia nie tylko na szeroko pojętym rynku towarów i usług, ale także w świecie, do którego z racji swojej bazarowej przeszłości przez lata drzwi przed nim zatraskiwano. Cyryl Majski postanowił kandydować do Sejmu, a że jego wizerunek był naznaczony różnymi, niekoniecznie w pełni transparentnymi poczynaniami, uznał, że najlepszym rozwiązaniem będzie usunięcie się w cień, wyznaczenie Aleksandra jako spadkobiercy swojego konsorcjum i pilnowanie biznesu z tylnego siedzenia.

Cyryl żył na tym świecie wystarczająco długo, aby wiedzieć, że pamięć ludzka jest krótka i zawodna, więc postanowił to wykorzystać. W ciągu ostatnich dwóch lat popracował nad wizerunkiem filantropa, który dba o obywateli, sponsorując ukochane kluby sportowe, budując place zabaw dla dzieci, czy wpłacając niemałe pieniądze na zbiórki dla chorych i najbardziej potrzebujących. Jego działalność skupiła się również na inwestowaniu w edukację i walkę o ochronę środowiska, równouprawnienie i szereg innych, mniej lub bardziej istotnych kwestii, które dla społeczeństwa jawiły się jako ważne czy wręcz palące. Tak jak założył, ludzka pamięć rzeczywiście bywa krótka, a nawet jeśli nie, to z łatwością można ją kupić. Potajemnie zleczone sondaże wyraźnie wskazały, że ruchy, które wykonał w ciągu ostatnich dwóch lat, zdecydowanie poprawiły jego nie do końca kryształowy wizerunek i nawet nie starając się o poparcie jakiegokolwiek partii, bez problemu powinien uzbierać wystarczająco dużo głosów, aby dostać się na Wiejską.

Do nieodległych wyborów pozostało jednak dziewięć miesięcy, co wymuszało na nim ostrożność, ale przy prowadzeniu interesów z Nikołajem Iwanowiczem Tuchmanowem nie było to takie proste. Miał dług, który musiał spłacić. Podpisał cyrograf i nie mógł, ot tak, wycofać się ze współpracy z Rosjaninem, więc pomyślał, aby prowadzeniem tego biznesu zajął się Aleksander, który dopiero co wrócił z londyńskiego City, brzmiał w jego ocenie kusząco, zwłaszcza biorąc pod uwagę, że oligarcha do tego rodzaju interesów również wyznaczył swojego pierworodnego. Był tylko jeden mały problem. Współpraca z Tuchmanowami opierała się w zasadzie na dwóch najważniejszych wartościach – dupie i szmalcu, a syn Cyryła, przesiąknięty na wskroś ideami zaimplementowanymi mu przez Kiryła – choć był ostrożny i potrafił prowadzić interesy w sposób pozwalający myśleć, że nie zostawia żadnych śladów – musiał stworzyć grupę ludzi dbających,

aby te szły gładko, i zaszczepić podwładnym surowe reguły, które dawały gwarancję, że przypadkiem nic się nie wysypie. Tego natomiast nie dało się całkowicie ukryć i pewne sporne kwestie można było jedynie tuszować, licząc na to, że policja weźmie w łapę, społeczeństwo nie będzie zadawać pytań, a pracownicy utrzymają język za zębami, nawet gdy jednego z nich, podejrzanego o zdradę, Aleksander na oczach pozostałych żywcem zmielił w przemysłowym rozdrabniaczu do mięsa.

Aleksander nie myślał jednak o tym, wchodząc do budynku, w którym mieściła się hurtownia obuwia i wszelkiej maści szmat, począwszy od majtek, na futrach od Diora skończywszy. Skinął śniademu mężczyźnie z gęstą brodą, który otworzył mu drzwi, i wspólnie ruszyli korytarzem w kierunku strefy biurowej.

Wokół panował nieprawdopodobny gwar. Huk pracujących maszyn szwalniczych i przekrzykujących się kobiet był trudny do wytrzymania. Panująca wewnątrz temperatura sprawiała, że koszula zaczęła mu się kleić do pleców, a charakterystyczna mieszanka woni taniej skóry, wełny i potu drażniła nozdrza. Wszędzie walały się bele z dzianiną i szpule z przędzą, na jeżdżących wieszakach wisały tysiące różnokolorowych koszulek, bluz, spodni i swetrów, a pod ścianami aż po strop piętrzyły się stosy kartonów z butami. Młody Majski zawsze się zastanawiał, jakim cudem to wszystko po prostu się nie zawali i nie przysypie uwijających się jak w ukropie pracowników. A jednak udawało się zapanować nad tym chaosem.

Na końcu korytarza odbili w stronę szerokiej klatki schodowej. Wspinając się po schodach, Aleksander dostrzegł, że pod koszulką krocącego przed nim mężczyzny zaznacza się charakterystyczny kształt. Nie przejął się tym jednak. Był tu gościem, i to gościem z najwyższej półki. Odetchnął z ulgą, gdy w końcu dotarli do strefy biurowej. Zrobiło się ciszej, chłodniej i przyjemniej dla oka. Dopiero tu wykończenie wnętrza przypominało Majskiemu, że wciąż znajduje się w kraju leżącym w centrum Europy.

– Szef pana oczekuje – oznajmił łamanym polskim mężczyzna w koszulce Dolce & Gabbana, zapewne taniej podróbce jak wszystkie tu produkowane.

Majski poczekał, aż facet otworzy drzwi i wpuści go do środka. Tuż za progiem utonął w kłębach dymu.

– *Salam alejkum*, panie Majski.

– *Alejkum salam*, panie Ozalan.

W pomieszczeniu znajdowało się pięciu mężczyzn – trzech siedziało na skórzanych kanapach, a dwóch grało w karty przy stole. Wszyscy mieli brody i południowe rysy, ale ten, który jako jedyny się przywitał, zdecydowanie się wyróżniał. Połyskujące czarne spodnie, buty i pasek z krokodylej skóry z kłamrą

Dolce & Gabbana, elegancka koszula i kilogramy złota na szyi ewidentnie wskazywały, że jest tu szefem. Jako jedyny lekko się uśmiechał.

– Usiądź, partnerze. Rozgość się. Jak zawsze jesteś tu mile widziany. Kawy, herbaty czy może coś mocniejszego? – Gospodarz płynnie przeszedł na niemiecki.

– Herbaty.

Mężczyzna skinął na jednego ze swoich ludzi. Krępy facet z blizną na czole odłożył karty na stół, podniósł się z krzesła i zniknął za osłonką z koralików. Majski usiadł w wolnym skórzanym fotelu naprzeciwko gospodarza i spojrzał w oczy Mustafy Ozalana, najmłodszego z synów Hakana Ozalana. Pomimo przekroczenia czterdziestki wciąż miał młodzieńcze rysy i zdawałoby się naiwne spojrzenie, ale baczny obserwator musiał dostrzec makiaweliczny błysk w oku człowieka, który doskonale wie, że jest panem życia i śmierci. W palcach obracał ustnik wężyka od imponującej fajki wodnej, a z jego twarzy nie schodził dwuznaczny uśmiech. Odezwał się, dopiero gdy z pokoju obok wrócił jego człowiek z tacą, na której znajdowały się dwie filiżanki z ciemną słodką herbatą.

– Cóż cię sprowadza do mojego bawelnianego królestwa? – zapytał, gdy gość upił pierwszy łyk.

– Interesy.

– Hmm... – Mustafa zaciągnął się dymem z sziszy, po czym dyskretnym gestem zasugerował, żeby gość również się poczęstował. Aleksander nie palił, ale sięgnął po wolny wężyk, aby nie urazić gospodarza. Zaciągnął się i szybko wypuścił z ust białą chmurę. Dopiero wtedy Ozalan podjął: – Doszły mnie niepokojące słuchy, że w mieście pojawiły się pewne zupełnie niepotrzebne... komplikacje. Czy to prawda?

– Problem nie jest poważny. Mimo to należy go rozwiązać jak najszybciej. Stąd moja wizyta.

– Hmm... – Mustafa znów się zaciągnął. Nieustannie świdrował wzrokiem Majskiego. Aleksander zdążył poznać mentalność tych ludzi i wiedział, że czasem muszą się dowartościować. Jednak cokolwiek by mówić, to właśnie Ozalan rozdawał tu karty. – No dobrze... Opowiedz, co dokładnie się wydarzyło, a ja się zastanowię, jak możemy pomóc.

Majski w żołnierskich słowach streścił, na czym polega problem. Nie wnikał w szczegóły, ale też nie unikał odpowiedzi na sporadyczne pytania rozmówcy, choć starał się przesadnie nie wyolbrzymiać sytuacji. Towar i tak miał dotrzeć do dostawcy, więc generalnie niewiele się zmieniło. Jedyna różnica polegała na tym, że do przygranicznych Słubic miał trafić szybciej, niż zostało to zaplanowane.

– Nową dostawę jestem w stanie przyjąć dopiero pojutrze – oznajmił Ozalan po dłuższej chwili namysłu. – Magazyn mamy już niemal wypełniony, choć wciąż

czekamy na towar od pana Góry z Poznania. Planowo ma zostać dostarczony jutro w nocy, więc najpóźniej pojutrze nad ranem cały ładunek wyruszy w dalszą drogę.

– Myślałem, żeby swój dostarczyć jeszcze dziś...

– Dzisiaj? – Ozalan teatralnie westchnął, poskubał koszulę na wysokości klatki piersiowej i zaciągnął się sziszą. – Wiesz, jak to działa, przyjacielu... – rzekł z emfazą. – Wszystko jest już dopięte na ostatni guzik. Ludzie na granicy opłaceni, klienci przygotowani na odbiór konkretnej dostawy. Wszyscy wiedzą, czego się spodziewać i co robić. A tak? Ewentualna rewizja burzy cały system. Jest nie tylko bardzo kosztowna, ale także niebezpieczna.

Majski doskonale zdawał sobie sprawę, że Ozalan pieprzy głupoty. Nawet jeśli miałyby podstawić nie jedną, a dwie ciężarówki, które wyjechałyby w tym samym momencie, nie wpłynęłoby to zbytnio na logistykę całej operacji. Owszem, koszta mogły nieznacznie wzrosnąć, ale był w stanie pokryć je z własnej kieszeni, oczywiście jeśli nie przekroczyłyby ustalonych w branży standardów.

– Cenę ewentualnej korekty biorę na siebie – odparł, jakby temat był już dogadany. – W ramach rekompensaty za ewentualne niedogodności jesteśmy też w stanie zaoferować następną ładunek w promocyjnej cenie.

– Następny? – Ozalan uniósł brew i zaciągnął się sziszą.

Impertynencja tego nadętego Turka zdawała się nie znać granic, ale Majski nie miał zbyt dużego pola manewru. Jeśli chciał się pozbyć towaru szybko i bezproblemowo, musiał przystać na warunki stawiane przez kontrahenta.

– Jestem otwarty na propozycje.

– Zatem myślę, że się dogadamy.

– Świetnie.

– Pozostaje jedna kwestia, która nie daje nam spokoju... – Mustafa w końcu odłożył wężyk na stół. Przeczesał dłonią idealnie przystrzyżoną brodę i nachylił się do Aleksandra. – Matka tej dziewczynki. Nazywa się Karabina. To tureckie nazwisko...

Majski skinął głową. Nazwisko kobiety rzeczywiście było niecodzienne, po wklepaniu go w wyszukiwarkę tyle samo zdążył się dowiedzieć. Nie miał jednak czasu, aby ją prześwietlić, poza tym nie widział takiej potrzeby. Baba jak baba. Gówna mogła. W tej branży kobiety są tylko towarem na sprzedaż.

– Czy może sprawiać dodatkowe kłopoty? – zapytał Mustafa.

– Nie ma takiej opcji – odparł z pełnym przekonaniem Majski.

– Skoro tak... – Ozalan z powrotem wygodniej rozsiadł się na kanapie. – Myślę, że możemy przejść do ustalenia szczegółów transportu ładunku. Moja propozycja jest taka...

Gdy Mustafa Ozalan i Aleksander Majski uzgadniali detale transakcji, nieświadoma niczego mała Werka bawiła się z nieco bardziej świadomymi

ciociami w chowanego. Nie podobało jej się to ciemne miejsce, ale przyzwyczaiła się, bo dzieci w jej wieku przyzwyczajają się szybciej niż dorośli, a do tego w naturalny sposób biorą życie takim, jakie jest. Co prawda nie rozumiała, dlaczego ciocie mówią do niej tak dziwnie, ale to też specjalnie jej nie przeszkadzało, zwłaszcza że były miłe i gdy czasem płakała, bo tęskniła za mamą, przytulały ją i głaskały. Kiedy godzinę później dziwne drzwi na suficie się otworzyły i po skrzypiących schodach zeszła kolejna ciocia, mała Werka wywnioskowała, że zabawa w chowanego dobiegła końca. A ponieważ bardzo tego nie chciała, postanowiła wyraźnie zakomunikować to ciocie i głośno się rozpłakała.

Tym samym Weronika Karabina popełniła poważny błąd.

ROZDZIAŁ 23

W radiu dyskutowali o rosnącej inflacji.

Zygmunt Szatan nie lubił polityki. Gardził ludźmi u władzy – wszystkimi – bo w jego ocenie każdy, bez względu na zajmowane stanowisko albo przynależność partyjną, musiał być w coś umoczony. Znał te wszystkie układy i układziki. Nawet tu, w mieście, które z perspektywy stolicy uchodziło za dziurę w dupie, machlojki lokalnych działaczy nie dość, że czasem były jawne, to jeszcze w pełni tolerowane. Zastanawiał się, dlaczego społeczeństwo – niby obywatelskie – tak łatwo pozwoliło się utemperować. Do kolejnych przekrętów ludzie zdążyli się przyzwyczaić i patrzyli na podejrzanych przez palce, na zasadzie „w końcu to polityk, więc wiadomo, że złodziej, i nie ma się czego innego po nim spodziewać”. Miał na to swoją teorię, w której utwierdził go Poleski. Akurat rozmawiali o tym, jak kilka miesięcy temu jakiś paparazzi przyłapał go, gdy podczas pobytu w Warszawie postanowił zaszaleć i wyszedł się pobawić w towarzystwie kilku osób. Pech chciał, że pismak trafił go akurat w momencie, gdy mocno już podchmielony wyszedł z jednego z klubów w towarzystwie dwóch kobiet. Jako że był już dość popularnym autorem kryminałów, a jego twarz często pojawiała się na banerach czy stronach gazet, kobiety do niego lgnęły, a i on jako singiel nie musiał się specjalnie hamować. Do czasu, gdy na jednym z popularnych portali plotkarskich nie pojawiły się fotki, na których namiętnie obściskuje się z dwiema paniami w kusych łaskach mogących sugerować ich profesję.

– Przysięgam, że to nie były dziwki. – Na potwierdzenie swoich słów Emil uderzył się w pierś. – Ale wiesz, jak to jest. Wystarczyło jedno niedopowiedziane zdanie na koniec artykułu i od razu zaczęły się komentarze, plotki, nawet hejt. Że Poleski to kurwiarz, że nie szanuje kobiet. Z początku byłem tym przerażony, ale wiesz co? – Nalał kolejną porcję wódki. – Krótka po całej akcji sprzedaż moich książek prawie się podwoiła.

– Taka branża... – mruknął Szatan.

– No właśnie, Zygmunt, taka branża. – Wypili. – Artyści po prostu mogą więcej. Ilu z tych wszystkich piosenkarzy, aktorów czy innych celebrytów ma

poukładane życie? No ilu?

– No...

– No właśnie żaden!

– Ty jesteś pisarzem...

– I co z tego? Wiesz, że większość największych pisarzy w historii literatury była albo pijakami, albo ćpunami? Wiesz, że większość nawet nie kryła się z tym, że korzystają z usług prostytutek?

– W sumie...

Poleski rozlał następną kolejkę.

– Może gdzieś tam znalazłby się jakiś wyjątek potwierdzający regułę, ale tak naprawdę wszyscy możemy pić, palić, pierdolić się na lewo i prawo, no generalnie robić wszystko, co zaczyna się na literę „p”, bo ludzie i tak nam wybaczą.

Trudno było z tym polemizować. Artyści mogli ubierać się jak dziwolągi i nikomu to specjalnie nie przeszkadzało, mogli rozbijać się samochodami po pijaku, brać udział w orgietkach i publicznie przyznawać się do wizyt w klinikach odwykowych. Cokolwiek by zrobili, zawsze dawało się wyciągnąć z tego jakieś korzyści. Taka była specyfika tej branży. Niestety polityka też miała swoją specyfikę. I choć w przeciwieństwie do bujających w chmurach artystów ludzie u władzy powinni świecić przykładem, tak naprawdę – przynajmniej w tym kraju – mogli pozwolić sobie na jeszcze więcej, łącznie z absolutnie nieakceptowalnym w innych branżach złodziejstwem. Mieli pełne przyzwolenie obywateli, by kraść w biały dzień. Miliony. Na oczach całego społeczeństwa.

To dlatego Szatana tak bardzo zniesmaczyła wiadomość, którą usłyszał z ust Majskiego. Skąd pomysł, aby startować na Wiejską? Zdawał sobie sprawę, że Cyryl nie jest święty, ale nie próbował walczyć z przeznaczeniem, które połączyło ich w sposób naturalny i nierozzerwalny. Nigdy nie wnikał, jak stary towarzysz niedoli zdobył fortunę, choć swoje wiedział. Po co jednak chciał się pakować w to bagno? Dopiero teraz zaczął rozumieć, dlaczego przyjaciel ostatnio wyraźnie odbił od tematu, a ich spotkania stały się właściwie incydentalne. No i ten szum, który Majski sztucznie stworzył wokół swojej osoby w ostatnich dwóch latach.

Tym bardziej zaskoczyła go obecność wypacykowanego Aleksandra w szwalni należącej do znieawidzonej rodziny Ozalanów, która – miał na to dowody – robiła za punkt zborny dla handlarzy żywym towarem sprzedających swoje ofiary do krajów Europy Zachodniej. Największa dziupla w kraju działała pełną parą niemal oficjalnie, bo choć wiedzieli o niej lokalni władarze – z komendantem słuwickiej komendy na czele – od lat praktycznie nikt nie śmiał interweniować, a jeśli nawet to robił, gospodarze zawsze byli przygotowani.

Szatan nigdy nie zapomni, jak podczas jednego z takich nalotów w kacie piwnicy znalazł małego pluszowego tygrysa. Podniósł maskotkę i przystawił ją do twarzy Mustafy Ozalana. Ten tylko zjadliwie zarechotał.

– Wsadzicie mnie za przytulankę? – zapytał, szczerząc zęby w cynicznym uśmiechu.

– Ja cię kiedyś za to zabiję – wysyczał mu do ucha Szatan.

Oczywiście nie spełnił obietnicy. Trzy godziny później Mustafa Ozalan był już wolny. Wpadli na siebie, gdy w towarzystwie swojego adwokata i dwójki ochroniarzy wychodził z aresztu.

– Pozdrowienia od Yusufa dla żonki i córki – rzucił Turek i posłał nadkomisarzowi cynicznego całusa.

– Ty kurwo! – ryknął Szatan. Rzuciłby się na niego z pięściami, gdyby nie powstrzymali go ochroniarze Ozalana. Kiedy powalili go na ziemię, słyszał tylko szyderczy rechot.

Odchorowywał to tygodniami. Co gorsza, musiał się gęsto tłumaczyć przed naczelnikiem – po pierwsze za operacyjną wtopę, a po drugie za to, jak zareagował na prowokację Ozalana. Adwokaci Turka zrobili nieprawdopodobny raban. Znaleźli świadków, którzy widzieli całą sytuację, i choć sprawa ostatecznie zakończyła się polubownie, Szatan dostał oficjalny rozkaz trzymania się z dala od Ozalanów. I właśnie to wkurwiało go w tej robocie najbardziej. Ta jebana niemoc. Niemoc, która – jeśli dobrze to rozegra – dziś mogła się skończyć...

Tylko czego mógł szukać młody Majski w dziupli Ozalanów? Trudno mu było sobie wyobrazić, aby jego stary towarzysz prowadził interesy z tymi bandytami. Nie po tym, co stało się przed dwudziestu pięciu laty na parkingu pod Zgorzelcem. A może jego syn działał na własną rękę? Tylko po co? Jaki przyświecał mu cel? To wszystko nie miało najmniejszego sensu.

Uruchamiając silnik, zastanawiał się, jak na te rewelacje zareagowałyby naczelnik. Pewnie by się wkurzył, że jego podwładny olał rozkaz i znów wystaje pod szwalnię Ozalanów. Ale czy Szatan nie pracował teraz dla chłopaków z CBS? Może od razu uderzyć prosto do nich? Tylko co im powie? Jakie przedstawi dowody? Napisze raport, że widział w szwalni syna lokalnego biznesmena, który działał między innymi w branży odzieżowej?

Wyrzucił niedopałek za okno starego volvo i wytarł chusteczką pot z czoła. Powoli ruszył za mercedesem Majskiego. Dochodziła trzecia po południu i na ulicach panował spory ruch, dlatego starał się trzymać blisko. Mocniej zacisnął palce na kierownicy. Cały dygotał. Ta wizyta wyprowadziła go z równowagi. Przyjechał tu, bo zwykle tak robił, gdy nie bardzo wiedział, jak pociągnąć śledztwo. Tutaj zawsze coś się działo. Miał swoje miejsce, gdzie z bezpiecznej odległości mógł monitorować, jak Ozalanowie prowadzą swój barbarzyński

biznes. Przeciętny obserwator zapewne nie odróżniłby ciężarówki wiozącej dzianinę od tej, w której transportowano kobiety przeznaczone na handel. On jednak był w stanie wyłuskać ją spośród setek innych. Nauczył się dostrzegać drobne różnice w zachowaniu ochroniarzy i pracowników obiektu. Straż wznagała wtedy czujność, a odbiór żywego towaru zwykle poprzedzony był przyjazdem policyjnego patrolu, który ustawiał się przy drodze kilometr dalej. Nienawidził tych skorumpowanych skurwieli, ale nic nie mógł z tym zrobić. Kiedyś śledził nawet komendanta, ale choć siadł mu na ogon kilka razy, ten nigdy nie dał się podejść. Albo był bardzo ostrożny, albo nie wiedział, że jego ludzie współpracują z Ozalanami. Szatan obstawiał to pierwsze, bo gdy kiedyś wspomniał o swoich przypuszczeniach przełożonemu, ten tak go opierdolił, że zadrżały mury komendy.

Miriady myśli nie pozwalały mu się skupić. Miał wrażenie, że wzrok mu się rozjeżdża, jakby był pijany. Od potu był mokry jak szczur, a serce niemal wrywało mu się z piersi.

Czy Cyryl Majski – ten sam Cyryl Majski, którego syna Floriana z zimną krwią dwadzieścia pięć lat temu zastrzelił na parkingu Kerem pierworodny Hakana Ozalana – mógł prowadzić interesy z tureckim klanem? Czy dlatego odpuścić? Przecież zawsze byli ze sobą szczerzy i doskonale wiedział, że szwalnia Ozalanów to tylko przykrywka. Szatan poświęcał klanowi każdą wolną chwilę. Był dla Majskiego oczami i uszami. Znał tę rodzinę od podszewki, analizował dniami i nocami, szukał słabych punktów. Wszystko to potem razem omawiali. Majski pragnął zemsty tak samo jak on. Przecież, do kurwy nędzy, widział to w jego oczach!

A co, jeśli młody Majski się zorientuje, że jest śledzony?

Szatan poczuł, że z nerwów skręca go w żołądku. Od dawna już miał problem z wrzodami, do tego czasem odzywała się wątroba. Wtedy naprawdę bolało. Dwa razy musiał wzywać karetkę.

Z zadowoleniem przyjął fakt, że mercedes Majskiego skręcił na stację benzynową. Sam zatrzymał się na parkingu pod dyskontem po drugiej stronie ulicy. Sięgnął do schowka, w którym leżały leki przeciwbólowe. Od lat nigdzie się bez nich nie ruszał. Włożył do ust dwa ketonale i popił wodą z butelki. Następnie wytarł twarz chusteczką, obserwując, jak młody Majski znika w budynku stacji. Gdy pracownik w niebieskim drelichu zaczął tankować, Szatan oparł głowę o zagłówek w nadziei, że skręt kiszki zaraz minie. Zaklął szpetnie, nie mogąc się pogodzić z własnymi słabościami. Pomyślał, że nie powinien tyle pić, ale dobrze byłoby wychylić kielicha. A najlepiej dwa. Gdy jego spojrzenie spoczęło na szyldzie dyskontu, na czoło ponownie wystąpiły mu krople potu. Przez chwilę walczył sam ze sobą, żeby nie skoczyć po flaszkę, i gdy już prawie się poddał,

dostrzegł, że Majski z powrotem wsiada do samochodu. Przekręcił kluczyk w stacyjce i odczekał chwilę, a następnie włączył się do ruchu.

Gdy mercedes minął zjazd na autostradę A2, nadkomisarz zmarszczył brwi. Owszem, od południa do Zielonej Góry prowadziła druga droga, nawet krótsza, ale upstrzona dziesiątkami wsi i wioseczek, przez co ludzie korzystali z niej rzadko, zwłaszcza ludzie pokroju Majskiego, którzy nie musieli się liczyć z opłatami za dużo wygodniejszą i szybszą autostradę. Rozbudziło to jego ciekawość.

– Gdzie jedziesz, mój drogi młodzieńcu? – zapytał siebie samego i włączył kierunkowskaz.

Przecucie podpowiadało mu, że Aleksander Majski coś kombinuje. Nie mylił się. Nie miał jednak pojęcia, że jest bardzo blisko rozwiązania sprawy Martynty Piskorskiej. I zarazem bardzo, bardzo daleko.

ROZDZIAŁ 24

P ozioma tak naprawdę nazywał się Rydzyk-Bąk i urodził się, a następnie wychował we wsi Krzywokleszcz, w powiecie międzyrzeckim w gminie Bledzew. Nienawidził swoich korzeni, o co obwinał własnych rodziców. Obwinał ich jeszcze o wiele innych rzeczy, ale to była jedna z tych, na których wylęła się jego nienawiść do rodzicielki, co następnie ewoluowało w stronę pogardy wobec kobiet, a w końcu wobec ludzi w ogóle. Bogobojna matka miała na sprawę swojego nazwiska i pochodzenia odmienny pogląd i zawsze była z niego bardzo dumna, mało tego, specjalnie z tego powodu zachowała swoje panięskie, po ślubie dodając sobie drugi człon po mężu. Z początku nic nie zapowiadało, że nazwisko może wpłynąć na niekoniecznie prawidłowy rozwój psychiczny ich jedyne go syna, ale przyszłość udowodniła, że czasem warto dwa razy zastanowić się nad pewnymi decyzjami, zwłaszcza gdy w euforycznym stanie zaraz po wydaniu na świat potomka w ramach podziękowania Najwyższemu nadaje się pierworodnemu imię Bożydar.

Bożydar Rydzyk-Bąk z Krzywokleszcza. Ta zbitka liter już od czasów przedszkolnych stała się dla pulchnego Bożydarka powodem do wstydu. Najpierw dzieci śmiały się z członu numer dwa. Na tym etapie to właśnie bąki i wszystko, co związane z tematyką dotyczącą wydalania z ludzkiego ciała wszelkich zbędnych substancji, wzbudzało największe rozbawienie. Z czasem śmiechy zmieniły się w docinki i złośliwości. W szkole do członu numer dwa dołączył człon numer jeden, który w połączeniu z imieniem sprawiał, że mały Bożydarek nie miał chwili spokoju. Traumatyczne przejścia nie przeszły bez echa i stan umysłu syna Michaliny Rydzyk-Bąk i Mateusza Bąka zmienił się nie do poznania. Chłopak utył jeszcze bardziej, zamknął się w sobie, a jego i tak słabe wyniki w nauce obniżyły się do tego stopnia, że musiał powtórzyć klasę.

– Nie przejmuj się, synku – powtarzała mu matka. – To Pan Bóg wystawia cię na próbę. Wystawia na próbę nas wszystkich. A teraz zmów pacierz i do łóżka.

Mały Bożydarek miał inne spojrzenie na świat. Uważał, że matka jest głupia jak but z lewej nogi, a ojciec to życiowy niedorajda, który nawet nie miał na fajki, bo zwykle palił tylko cudzesy, no chyba że sprzedał trochę złomu albo okradł jakiegoś nieboszczyka, to miał swoje. Poza tym lubił pić wódkę i regularnie jeździł na żużel, na co zawsze kasę miał, skąd, tego Bożydar nigdy się nie dowiedział. I musiał żyć z tą świadomością, że już się nie dowie, bo ojciec zmarł na raka, gdy chłopak miał lat czternaście. Nie czuł wtedy nic. Matka ryczała, jakby właśnie skończył się świat, czego też nie rozumiał, bo ojciec zawsze miał ją głęboko w dupie. Gruby Bożydar stał więc nad dziurą w ziemi i pocierał palcami czerwone policzki, ale nie dlatego, że chciało mu się płakać, bo wcale mu się nie chciało, po prostu się nudził i marzył, aby ten cały cyrk wreszcie się skończył, bo przecież to był cyrk, że ojca chowają koledzy z firmy pogrzebowej, z którymi jeszcze kilka tygodni wcześniej chlał wódkę nad grobami innych obywateli i obywaterek, których w swojej łaskawości Bóg postanowił zabrać do siebie.

Śmierć ojca dość istotnie zachwiała równowagę w rodzinie Rydzyków-Baków. Matka zaniemogła, a Bożydar nie mógł na nią patrzeć, bo wcale jej nie współczuł, wychodząc z prostego w jego mniemaniu założenia, że przecież nie ma czego. Poczł też więcej wolności, co zaowocowało nabraniem przekonania, że teraz to on jest głową rodziny i ulubione powiedzenie ojca „Co wolno wojewodzie, to nie tobie, smrodzie” jest już nieaktualne. Pierwszy raz przyłożył matce dwa miesiące po śmierci ojca i od tej pory lał ją do momentu, gdy postanowił opuścić dom rodzinny i wyruszyć na podbój świata.

Na szerokie wody wypłynął jako młody mężczyzna o poziomie testosteronu trzykrotnie wyższym niż u przeciętnego dwudziestolatka, bo od szesnastego roku życia wbijał sobie w mięśnie wszystkie możliwe sterydy, włącznie z tymi, którymi szprycuje się konie wyścigowe. W Zielonej Górze, która stała się dla niego nowym domem, zapisał się do sekcji kick-boxingu, gdzie nauczył się uderzać i kopać, co z nieskrywaną radością doskonalił na dyskotekach i we wszelakich innych tego typu przybytkach. Nakręcała go nienawiść do wszystkich ludzi i nawet trener nie był w stanie wykorzenić ze swojego podopiecznego tej złości i gniewu, które załęgły się w jego sercu, choć naprawienie chłopaka postawił sobie za punkt honoru. Poległ z kretesem, a Bożydar, którego ksywa Pozioma w nieznanym mu sposób przywlekła się za nim aż z Krzywokleszcza, ostatecznie musiał odejść, co tylko tłący się w nim gniew rozjuszyło. Pewnego dnia, podczas zabawy na jednej z podzielonogórskich dyskotek, ten gniew dostrzegł pewien mężczyzna, który widząc rzadko spotykany talent, zaoferował mu pracę. Bożydar pracę podjął i do

tej pory ją sobie cenił, bo jego apanaże oscylowały wokół dwóch średnich krajowych, czyli mniej więcej kwoty, jaką jego ojciec mógłby zarobić w pół roku, gdyby jeszcze żył. I co najważniejsze, Bożydar Rydzyk-Bąk z Krzywokleszcza swoją pracę uwielbiał, bo mógł bić i upokarzać ludzi, i jeszcze dostawał za to pieniądze, więc to prawie tak, jakby spadały mu z nieba. I tak sobie Pozioma żył, bijąc i upokarzając ludzi na rozkaz swoich pryncypałów, do momentu, aż skatował niejakiego Klameę. I gdyby na tym się zatrzymał, być może dalej by sobie bił, ale postanowił postąpić inaczej. I porwał dziewczynkę.

A teraz stał przed wejściem do szpitala i wraz ze swoim wiernym kompanem Cypisem próbował wykoncypować, jak dostać się na OIOM.

– Jeśli tego nie zrobimy, a on zacznie sypać, to już po nas – warknął, nerwowo zaciągając się papierosem. – Po co włąziłeś do tego jebanego pokoju? No na chuj?

– Bo mi kazałeś przeszukać mieszkanie! – odwarknął wyraźnie poirytowany Cypis.

Pozioma lubił zrzucać odpowiedzialność na innych i robił to nagminnie. Począwszy od prostytutek, które zawsze były winne jego łóżkowej niemocy, przez słabe sterydy, które nie dawały spodziewanych wyników na siłowni, i wysokie krawężniki, które rysowały podwozie jego bmw, skończywszy na Cypisie, który generalnie był winny zawsze, gdy coś na robocie nie poszło po jego myśli.

– Wymyśl lepiej, jak się dostać na ten jebany OIOM. – Pozioma podrapał się po łysej czaszce. – Masz przy sobie tę strzykawkę?

– Mam – odparł Cypis, ale chwilę później zmarszczył nos. – Tylko że tam na pewno będą tabuny lekarzy. Niby jak chcesz to zrobić? Będziesz umiał trafić w żyłę?

Pomysł Poziomy był naprawdę głupi. Gdzieś przeczytał, że kiedy wstrzyknie się do żyły powietrze, bąbel płynie do serca i robi się jakiś zator, następuje przeciążenie jednej z komór, a w efekcie dochodzi do zgonu. Brzmiało nawet niezłe, tylko jak mieli to zrobić? I przede wszystkim – jak dostać się do pacjenta?

– Skąd wiesz, że będzie ich aż tylu? – dopytywał Pozioma.

– To OIOM.

– No i co?

– Wiesz, co to jest OIOM?

– OIOM to OIOM. Wiadomo chyba, nie?

– To Oddział Intensywnej Opieki Medycznej. In-ten-syw-nej Opieki Medycznej – podkreślił Cypis. – W ogóle wątpię, żeby nas tam wpuścili. Co im niby powiesz? Że kim jesteś? Jego bratem jesteś?

– Nie wymądrzaj się, kurwa, bo i ty na tym jebanym OIOM-ie zaraz wylądujesz. I nie wkurwiał mnie, tylko wymyśl coś!

Pozioma nie był zbyt bystry, za to szybko się wściekał. Gdy wpadał w furję, w zasadzie tracił kontakt z rzeczywistością, dlatego Cypis uznał, że dalsza wymiana zdań nie ma sensu. Nie miał jednak zamiaru komplikować sytuacji jeszcze bardziej. Zastanawiał się, czy nie powinien pomyśleć nad innym rozwiązaniem. Owszem, pracowali razem, ale to nie on wpadł na ten durny pomysł, żeby zawinąć małą. Szef już o tym wiedział, co nie znaczyło, że w przypadku kolejnej wtopy jemu też się nie oberwie. A Pozioma ostatnio popełniał błąd za błędem. O ile odpalenie Mózgola poszło w miarę gładko, o tyle ostateczne pozbycie się Klamy zdawało się logistycznie dużo bardziej skomplikowaną operacją. Przecież w dzisiejszych czasach szpitale były naszpikowane kamerami, a do tego nikt nie wpuściłby ich ot tak, bez zarejestrowania się. Gdyby coś nie zagrało, policja miałaby ich jak na widelcu.

Cypis nie zamierzał wylądować za kratkami przez tego tępego furiata. Tylko wciąż nie miał pomysłu, jak się z tej sytuacji wymiksować.

– Poczekajmy do wieczora – zaproponował, próbując grać na czas. – Wtedy powinno być mniej ludzi. A do tego czasu może uda się wymyślić jakiś lepszy plan.

– A jak do tej pory Klama się rozpruje?

– Jak leży na OIOM-ie, to się nie rozpruje. Żaden lekarz nie pozwoli psom go przesłuchiwać, dopóki nie wyląduje na normalnym oddziale.

– Takiś, kurwa, mądry?

Cypis wzruszył ramionami.

– To tylko propozycja. I na pewno lepsza niż pchanie się tam na siłę teraz. Nie chcę iść siedzieć, bo coś sobie ubzdurałeś.

– Że co, kurwa?! – Pozioma znów się podpalił.

– Nic. Idę do sklepu po fajki, bo mi się skończyły. A ty ochłoń, bo mam już dość tych twoich pojebanych akcji.

– Nie wkurwiał mnie, Cypis! Wracaj tu!

Cypis machnął ręką i oddalił się w kierunku ogrodzenia. Naprawdę miał dość. Podejmując tę robotę, nie pisał się na takie akcje, poza tym miał wrażenie, że sterydy zdążyły już Poziomie wypalić mózg. Facet zachowywał się kompletnie nieprzewidywalnie.

Stwierdził, że kupi fajki i napije się piwa. Przemyśli kilka spraw i podejmie decyzję, co dalej.

Nie miał pojęcia, że od początku rozmowy z Poziomą obserwują go trzy pary oczu.

* * *

Luta po raz ostatni zerknęła w lusterko. Czapeczka z daszkiem, rude kręcone włosy, czerwona szminka, kocie oko skryte pod dużymi ciemnymi okularami, w nosie kolczyk podobny do tych, jakie zakłada się krowom. Z domu zabrała jeszcze obcisłą skórzaną miniówkę i stanik typu push-up, aby podkreślić skromne piersi. Wszystko to miała w mieszkaniu, bo czasem wykorzystywała tego typu fanty, gdy chciała zaskoczyć Emila albo po prostu umawiali się na jakiś scenariusz, w którym miała udawać studentkę, prostytutkę czy seksowną panią doktor. Nawet jeśli Pozioma widział gdzieś jej zdjęcie, nie było opcji, aby ją poznał w tym przebraniu.

– Ile czasu potrzebujecie? – zapytała Krzyśka i Dominika.

– W pół godziny się obrobimy. Będziemy czekać w umówionym miejscu.

– Dzięki, panowie.

Wysiadła z samochodu i ruszyła chodnikiem wzdłuż ogrodzenia. Kątem oka odprowadziła odjeżdżających chłopaków. Cypis ich nie znał, więc mieli ułatwione zadanie. Luta planowała zbajerować Poziomę, który znany był z tego, że nie przepuszcza okazji. On jednak znał się z Dominikiem i pewnie kojarzył też Krzyśka.

– Pamiętaj, Lutka. Ten facet ma krzepę, a do tego kilka godzin temu zamordował człowieka – ostrzegł ją Krzysiek, gdy postanowiła wziąć na siebie Poziomę.

– Nie z takimi sobie radziłam – odparła, upychając broń w torebce.

Trenerzy tylko spojrzeli po sobie. Mieli świadomość, że kiedyś była zawodowym żołnierzem Jednostki Wojskowej Komandosów i jeździła na misje, ale poza tym wiedzieli niewiele więcej. Luta nigdy się nie obnosiła ze swoim doświadczeniem, a gdy kilka razy próbowali ją o to podpytać, zawsze uciniała rozmowę. W końcu odpuścili. Do czasu, aż jakieś dwa lata temu, zupełnie przypadkiem, na zawodach poznali innego żołnierza z jej jednostki. Robert Dunaj był snajperem i do tej pory jeździł na misje.

– Ta kobieta ma większe jaja niż połowa chłopaków z jednostki – powiedział im wtedy. – Bez wahania zawierzyłbym jej życie. Zresztą kiedyś mi je uratowała. O resztę pytajcie Żmiję.

– Żmiję?

– Cicha i skuteczna. Zawsze kasa celnie. I nigdy nie pudłuje.

To tylko spotęgowało ich ciekawość, ale nie mieli odwagi zapytać jej o więcej. W ich ocenie po prostu nie wypadało. Rozmowę z Dunajem zachowali dla siebie. Nawet między sobą rzadko podejmowali ten temat, jakby nieco onieśmieleni tym, co usłyszeli od jej kolegi z jednostki. Mit Luty Karabiny, niby zwykłej dziewczyny, matki dwójki dzieciaków, która co najwyżej lubi poturlać się na macie, miesiącami obrastał legendą, a omijanie tematu tylko wzniecało

ciekawość. Gdy w końcu po raz pierwszy usłyszeli o porwaniu Werki, nad kolejnymi krokami nie zastanawiali się ani chwili. I choć zapewne w podobnej sytuacji pomogliby każdemu swojemu podopiecznemu z Octopusa, wobec Luty musieli się szczególnie wykazać, bo wiedzieli, że gdyby role się odwróciły, ona zrobiłaby dla nich jeszcze więcej.

Wzięli na swoje barki tyle, ile byli w stanie. Cypis był ich i musieli zrobić to, co należało. Ona miała zająć się Poziomą.

Luta maszerowała przed siebie, kręcąc biodrami. Jej wysokie obcasy stukały po chodniku, zwracając uwagę przechodniów i mijających ją kierowców. Kilku facetów się za nią odwróciło, jeden zatrąbił, a starsza kobieta skrzywiła się z niesmakiem i przeciągnęła wnuka na drugą stronę chodnika. Luta miała to gdzieś. W Kandaharze czy Mosulu wiecznie czuła na sobie kilkadziesiąt par oczu i nauczyła się ignorować wszelkiego rodzaju zaczepki.

Furtka prowadząca na teren szpitala była otwarta na oścież. Zeszła po schodkach, próbując utrzymać równowagę, co wcale nie było takie łatwe, bo szpilki wkładała w zasadzie tylko, gdy widywała się z Emilem. Jakoś jednak sobie poradziła i od razu skierowała się do siedzącego na ławce Poziomy. Pomimo że wyglądał na zamyślonego, a nawet zafrapowanego, widok tak odpicowanej młodej kobiety od razu przykuł jego wzrok. Natychmiast to wykorzystała i wyciągnęła z połyskującej czerwonej torebki paczkę cienkich papierosów. Teatralnym gestem odgarnęła burzę loków i włożyła jednego do ust, po czym kilka razy pstryknęła zapalniczką. Ta oczywiście nie chciała współpracować.

– Cholera! – jęknęła i pretensjonalnie tupnęła nogą. Rozejrzała się po okolicy i zatrzymała wzrok na Poziomie. W jego palcach tkwił tłący się papieros.

– Potrzebujesz ognia? – zapytał, szybko łykając przynętę. – Służę pomocą, jakby co...

– Dzięki – odparła i zrobiła kilka kroków w jego kierunku. Nachyliła się i znowu odgarnęła spadające kosmyki, zarazem eksponując podniesione stanikiem piersi. – Fajne masz dziary – skomentowała, delikatnie zaciągając się dymem. Na co dzień nie paliła, więc wybrała najsłabsze papierosy, jakie mieli w sklepie. Zlustrowała Poziomę, jakby chciała go rozebrać wzrokiem.

– Dzięki. Ty też fajnie wyglądasz. Lubisz piercing?

– Lubię. Dlaczego pytasz? – Uśmiechnęła się zalotnie.

– Bo ja lubię dziewczyny, które lubią kolczyki. Masz jakieś tatuaże?

– Może mam, a może nie mam.

– Przecież widzę, że masz.

Luta odruchowo zerknęła na wystający spod rękawka obcisłego topu fragment tatuażu, który zrobiła po zdaniu egzaminu do Jednostki Wojskowej Komandosów.

Skarciła się w myślach, bo nie chciała, aby był widoczny.

– No to może mam. Ale nie jestem z tych, co pokazują wszystko od razu – odparła i przysiadła się do Poziomy.

– Ach tak? – mruknął, a kąciki jego ust nieznacznie się wygięły. – Jak masz na imię?

– Luiza.

– Niezłe. Prawdziwe?

– Kultura wymaga, żeby najpierw podać swoje, zanim zaczniesz się podejrzewać, że ktoś podaje fałszywe... – Na chwilę uniosła ciemne okulary, aby mógł dostrzec jej mocny makijaż.

– Mariusz jestem. Miło mi.

Podali sobie ręce, po czym Pozioma dość ostentacyjnie przeniósł wzrok na jej piersi, a następnie na biodra i nogi. W kilku miejscach widniały siniaki, których Luta nabawiła się na treningu. Zdążyła się przyzwyczaić, że ludzie patrzą na nią jak na ofiarę przemocy domowej, ale akurat w tej chwili to mogło zadziałać na jej korzyść.

– Przyszłaś odwiedzić swojego chłopaka? – Pozioma nie tracił czasu.

– Mamę – odparła bez wahania.

– Coś poważnego?

– Och... – westchnęła i ponownie filuternie odgarnęła włosy. – Jeśli mam być szczerą, nie chce mi się o tym gadać.

– O czymś trzeba, a że jesteśmy tu, gdzie jesteśmy...

– Gdybym miała ci wymienić wszystkie choroby, na które cierpi moja matka, chyba łatwiej byłoby powiedzieć, na co nie choruje. – Luta zgasiła niedopalonego papierosa na siedzisku ławki i wyrzuciła kiepa do pobliskiego śmietnika. Zrezygnowana pokręciła głową. – Ja już nie wyrabiam, naprawdę. Niedługo nie będę miała co do gara włożyć.

– Hmm...

– Przepraszam – zmitygowała się. – Niepotrzebnie zanudzam cię swoimi problemami. W ogóle chyba głupio wyszło. Przecież w ogóle cię nie znam...

– Nie, no spoko.

– A ty? Co tu robisz?

– Yyy...

Wątpiła, aby powiedział jej prawdę, ale zawsze można było spróbować. Pomyślała, że wystarczająco wzbudziła jego zaufanie, a on nie dał żadnego sygnału, że coś podejrzewa. Widziała, jak wciąż zerka na jej cycki i wąską talię. Był napalony i już prawie miała go w garści.

– Dobra, nieważne. Jak nie chcesz mówić, to luz. – Uśmiechnęła się półgębkiem. – A ty jesteś stąd? Wyglądasz mi na faceta, który wie, czego chce

w życiu.

Pozioma mruknął z satysfakcją.

– Jestem z północy województwa, ale od ponad dziesięciu lat mieszkam w Zielonej. A ty?

– Ja też jestem przyjezdna. Wynajmuję mieszkanie niedaleko. O, w tamtym wieżowcu. – Wskazała palcem na jeden z budynków pamiętających epokę Gierka. Pozioma obejrzał się przez ramię i założył rękę na oparcie ławki, tak aby wyeksponować swój zegarek Tag Heuera. Luta dyskretnie, jednak tak, żeby zauważył, rzuciła okiem na błyskotkę, po czym znów zalotnie się uśmiechnęła. Zaraz minie dwadzieścia minut, pomyślała. Może powoli przechodzić do konkretów. – Jak chcesz, mogę ci pokazać, gdzie mieszkam – zaproponowała. – W sumie i tak muszę się wrócić, bo zapomniałam zabrać gazety dla mamy...

– Mmm... – Pozioma rzucił jej dwuznaczne spojrzenie. Znów obejrzał się przez ramię, a potem sprawdził godzinę. Pomyślał, że nie zaszkodzi trochę odreagować i spuścić z krzyża, bo laska wyraźnie dawała mu do zrozumienia, że chce się bzyknąć. Nie był jednak ignorantem i wiedział, że nie bez powodu biadoliła o kosztach utrzymania chorej matki. Ewidentnie oczekiwała kasy, ale nie zniechęcało go to.

– Jak nie chcesz, to... – Nieco speszona poderwała się z ławki.

– Chcę. Poczekaj. Ile potrzebujesz dla dzieciaka?

– Pięć stówek? – zaryzykowała, krzywiąc się lekko.

– Dostaniesz cztery, bo naprawdę mi się podobasz. Te twoje rude włosy sprawiają, że...

– Chodź. – Chwyciła go za rękę. – Też mi się zajebicie podobasz.

Opuścili teren szpitala i pospiesznie przemknęli przez ulicę. Od osiedla dziesięciopiętrowców pnących się na niewielkim wzgórzu dzielił ich szereg starych kamienic, a następnie garażów. Luta zaproponowała skrót, na co Pozioma zgodził się bez zajknięcia, skupiając się głównie na tym, jak położyć łapska na jej jędrnych pośladkach. Pozwoliła mu na to, aby nie nabrał podejrzeń. Wiedziała, że już wkrótce bardzo tego pożałuje.

ROZDZIAŁ 25

Szatan wytarł pot z czoła.

Gdy skręcał z głównej dwudziestki dziewiątki na oddalony o dwa kilometry Urad, na przednią szybę spadły pierwsze krople deszczu. Dochodziła szesnasta, ale choć o tej porze roku słońce powinno jeszcze wisieć wysoko, nadkomisarz miał wrażenie, jakby ktoś zgasił światło. Włączył wycieraczki, które zebrały wodę, i wychylił się, aby zerknąć na niebo. Przykrywały je ciemne burzowe chmury, a czubki sosen coraz mocniej ugiwały się pod gwałtownymi podmuchami wiatru. Ponownie przetarł chusteczką czoło i skronie. Klimatyzacja w aucie przestała działać lata temu. Pomyślał, że teraz bardzo by się przydała. Nie pamiętał, aby kiedykolwiek pocił się tak obficie. Owszem, od kilku godzin powietrze było ciężkie i lepkie, ale to było coś innego. Szatan czuł, że złapał trop.

Urad od Słubic dzieliło zaledwie osiemnaście kilometrów, a do tego droga była prosta jak strzała, więc mógł spokojnie trzymać bezpieczną odległość. Problem pojawił się w momencie, gdy skręcił w lokalną, kierującą się bezpośrednio do niewielkiej wsi Urad. Tutaj już musiał mieć się na baczności. Szczęście mu sprzyjało, bo srebrny passat, którego wypuścił przed siebie, również obrał ten kierunek. Czerwone światła śledzonego mercedesa co rusz pojawiały się i znikwały pomiędzy drzewami, ale choć nadkomisarz nie znał terenu tak dobrze, orientował się, że droga, którą się poruszają, kończy się na Odrze. Były zatem dwie opcje. Albo Majski coś kombinował, albo się zorientował, że ma ogon. W to drugie Szatan wątpił, jednak nie mógł tego wykluczyć. Ewentualnej trzeciej opcji nie brał pod uwagę. Po pierwsze miał przy sobie broń, a po drugie nie wierzył, że młody może zaatakować policjanta, który jest przyjacielem jego ojca.

W pewnym momencie mercedes zwolnił, po czym się zatrzymał. Szatan wciąż trzymał bezpieczną odległość, dodatkowo kryjąc się za jadącym przed nim passatem. Już jakiś czas temu wyłączył światła, a że padało coraz mocniej, wątpił, aby Majski zdołał go dostrzec. Zatrzymał się przed zakrętem i poczekał na jego krok. Przez chwilę zwątpił, ale gdy passat minął stojącego na rozdrożu mercedesa, ten znów z wolna potoczył się do przodu. Szatan uznał, że nie musi się spieszyć,

bo jeśli drogę, którą obecnie się poruszali, można jeszcze było nazwać asfaltówką, ta, w którą zboczył Majski, była wydeptaną ścieżką, tyle że przystosowaną do przeprawy pojazdem czterokołowym.

Obserwował, jak mercedes podskakuje na nierównościach, i zastanawiał się, czy jego stare i nisko zawieszone volvo poradzi sobie w takich warunkach. Założył, że trakt kończy się w jakimś miejscu, do którego podąża Majski, ale na wszelki wypadek w aplikacji Google Maps sprawdził ukształtowanie terenu. Nie był w stanie powiększyć widoku obszaru do tego stopnia, by rozpoznać, co się znajduje na końcu ścieżki, ale nawet ogólny obraz utwierdził go w przekonaniu, że się nie pomylił. Kilkaset metrów dalej dróżka kończyła się na rzece Pliszce, która wpływała do Odry, a tuż przy akwenu dało się zauważyć samotny czerwony punkcik. Bez wątpienia na zdjęciu satelitarnym widniał dach jakiegoś zabudowania. Szatan pospiesznie wklepał w oknie wyszukiwarki kilka haseł: „Pliszka”, „agroturystyka”, „Urad”, ale nie wyświetliło się nic poza kilkoma pensjonatami. Interesujący go budynek stał na uboczu, dodatkowo oddzielony szerokim na kilkaset metrów pasem lasu. Czym był i co mogło się kryć w odizolowanym obiekcie?

Powoli ruszył z miejsca i minął zjazd w leśną ścieżkę. Była kręta i nienęła w gąszczu zieleni, więc przejechał jeszcze sto metrów i zaparkował na poboczu. Wyłączył silnik, sprawdził broń i wysiadł z samochodu.

W oddali dało się słyszeć grzmoty, a niebo ponad koronami drzew rozświetlały błyskawice. Zrobiło się ciemno i ponuro, a gęsty las jedynie potęgował ten efekt. Deszcz się wzmagął, podobnie jak wiatr, który kołysał czubkami strzelistych sosen. Gdzieś niedaleko pękł konar i z trzaskiem spadł na ziemię, a chwilę później silniejszy podmuch strącił kilka igiełek, które wpadły Szatanowi za kołnierz koszuli.

– Po jaką cholere przyjechałeś tu w taką pogodę, panie Majski? – mruknął pod nosem, próbując wyłuskać drażniące go igliwie. Zatknął pistolet za pasek spodni i wszedł w gąszcz drzew i krzewów.

Buty i ubranie przemokły mu już po kilkunastu krokach. Gleba była pokryta gęstą ściółką, którą dodatkowo porastały wszędobylskie paprocie. Pośród nierówności i dołków trzeba było uważać na każdy krok. Szatan parł jednak do przodu, nie zważając na niedogodności, zwłaszcza że po chwili ukształtowanie terenu nieco się poprawiło, a paprocie zniknęły. Gdy pokonał około dwustu metrów, pomiędzy pniami zamajaczył jakiś kształt. Policjant przykucnął i przetarł dłonią oczy. Skupił wzrok.

Nad głową waliły pioruny i trzaskały błyskawice. Co rusz gdzieś słyhać było, jak na ziemię spada złamana gałąź. Nie przeszkadzało mu to jednak ani trochę. Interesowało go jedynie, co się dzieje w leśnej chacie, a raczej w czymś, co

przypominało zajazd lub agroturystykę. Dwupiętrowy obiekt z ładnym spadzistym dachem wyglądał na stary, choć zadbane i odnowiony. W oknach na dole świeciło się światło, a z komina snuła się strużka jasnego dymu. W pewnym momencie w jednym z okien zamajaczył jakiś cień. Z tej odległości Szatan nie był w stanie dostrzec rysów człowieka, ale po jego sylwetce i ruchach ocenił, że to kobieta.

Przez chwilę rozglądała się po podwórzu, po czym zasłoniła zasłony. Szatan odczekał kilka sekund i lekko pochylony pokonał jeszcze kilkanaście metrów. Zatrzymał się przy płocie zbitym z ręcznie ciosanych belek. Przytrzymał się jednej na wysokości pasa, szukając jakiegoś ruchu w oknach. Wszystkie były zasłonięte, ale przez zasłony przebijały cienie. Wywnioskował, że w środku dyskutują kobieta i mężczyzna. W ciemno mógł założyć, że mężczyzna to Majski, bo jego terenowy mercedes stał przy werandzie. Przeszło mu przez myśl, że kobieta to jego kochanka, a on zrobił z siebie idiotę, ale w pewnym momencie rozmowa stała się chyba dość ostra, bo mężczyzna uderzył kobietę w twarz.

– Taki z ciebie damski bokser? – mruknął pod nosem Szatan.

Już chciał się precyzyjnie przemieszczać pomiędzy belkami płotu, gdy zza rogu budynku wyłonił się masywny mężczyzna z równie wielkim rottweilerem. Nadkomisarz skrył się za drzewem. Zamknął oczy w nadziei, że pies go nie zwęszy. Na szczęście nie usłyszał szczekania – zamiast tego, gdy gruchnął kolejny piorun, bestia zawyła, po czym zaczęła się szamotać. Szatan wychylił się zza pnia i przez chwilę obserwował, jak dryblas leje psa pasem. Podziękował w myślach, że los zesłał mu burzę, po czym wyciągnął telefon i dyskretnie strzelił kilka fotek.

Gdy znów zagrzmiało, a rottweiler zaczął wyc i skamleć, w tle wybrzmiał jeszcze jakiś dźwięk. Nadkomisarz zmarszczył brwi i nadstawił uszu. Wtedy kątem oka dostrzegł jakiś ruch na drodze dojazdowej.

W stronę leśnej chaty jechały cztery czarne SUV-y.

* * *

Weronika Karabina siedziała wtulona pomiędzy dwie ciotki. Bała się burzy. I tej pani, która nie pozwoliła jej bawić się w chowanego. Owa pani nie była ciotką, bo mówiła bardzo głośno i brzydko, a do tego paliła papierosa i śmierdziało jej z buzi. Wyczuła to, gdy zła pani zaczęła ją szarpać i głośno na nią krzyczeć, a potem ją popchnęła, tak że Werka upadła. Na szczęście jedna ciotka ją złapała i od razu przytuliła, a gdy zaczęła płakać, zamknęła jej dłonią usta i zaczęła powtarzać, że ma być „cicha”. Teraz ciotki też to powtarzały. Rozumiała, choć mówiły jakoś tak dziwnie. I choć cała drżała, siedziała cichutko jak mysz pod miotłą.

Myślała o mamie i bracie. Już nie chciała bawić się w chowanego. Chciała do domu, do swojego pokoju i swoich przytulaneek. Świnki Peppy, Skye, gadającej papugi i różowego wełnianego pingwinka, którego mama kupiła jej na festynie w skansenie z takimi starymi domkami. Ostatnio pingwinka Werka lubiła najbardziej. Wszędzie go ze sobą nosiła. Teraz miała tylko zajaczka bez ucha i oka i choć nie wypuszczała go z rąk ani na moment, nie lubiła go tak bardzo, bo był trochę brzydki i niemiło pachniał.

Tak bardzo chciała przytulić się do mamy. Czemu jej tu nie było? Czy to dlatego, że Werka była niegrzeczna? Czy mama była na nią zła i nie chciała po nią przyjść? Zastanawiała się, co takiego złego zrobiła, ale nie pamiętała. Pamiętała karuzelę i tego pana, która wziął ją na ręce. Nie chciała z nim iść, wołała mamę, ale on i tak ją zabrał, a potem powiedział, że to tylko taka zabawa. Zabawa w chowanego.

A może jednak zawoła mamę? Krzyknie – najgłośniej jak się da, tak że aż ją buzia zaboli. Wtedy mama może ją usłyszy i po nią przyjdzie. Weźmie na ręce. Werka ją przeprosi i obieca, że już zawsze będzie grzeczna. Tylko co będzie, jak zamiast mamy usłyszy ją ta zła pani, co przynosi wiadra i chlebek? Nie chciała, żeby przychodziła. Bała się jej, bo wyglądała jak wiedźma. Miała takie czerwone włosy, duży szpiczasty nos i ciągle paliła papierochy. A papierochy są bardzo złe. Tak kiedyś powiedziała jej mama. Papierochy śmierdzą i robią, że boli w serduszku i w brzuszku.

– To dlaczego dorośli palą te papierochy? – pytała Werka, nie mogąc pojąć, dlaczego ktoś chce, żeby go bolało.

– Bo się nie uczyli i nie wiedzą, że z papierochów najpierw wychodzą robaki, które залęgają się w ciele i rosną w nim przez długie lata. A jak dojrzeją, to zaczynają człowieka zjadać – tłumaczyła Luta, groźnie zakrzywiając palce.

– To dziadek Tunahan się nie uczył i dlatego teraz jest chory? – dociekała dziewczynka.

Czasem mama wzdychała i cmokała, a potem mówiła, że jest jeszcze mała i do pewnych tematów musi dorosnąć. Werka pamiętała dziadka jak przez mgłę, ale zawsze kojarzył jej się z papierosem i fajką, tak jak na zdjęciach, gdzie często puszcza dymka. Kiedyś się zastanawiała, czy dziadka już jedzą robaki z tych papierochów i dlatego leży w łóżku w dalekim kraju, gdzie świeci dużo słońca i jest bardzo ciepło, i nie może przyjechać do nich w odwiedzin. Myślała wtedy, że bardzo by tego nie chciała.

Teraz zamarzyła, aby robaki zjadły złą panią.

Zła pani jak na zawołanie stanęła na schodach. Klapa w suficie zgrzytnęła złowieszczo, a na przeciwległą ścianę piwnicy spłynął jej pokraczny cień. Werka pisnęła cichutko i schowała twarz w dłoniach. Tak bardzo się jej bała. Długie

ręce i nogi, szponiaste palce, okropny, szpiczasty nos – to wszystko sprawiało, że przypominała jej Babę-Jagę. Werka wtuliła się w ciocię Wiktorię. Poczuła na ramieniu jej zimną dłoń.

– No dobra, dziewczynki, zbierajcie się – oznajmiła zła pani, taksując ściśnięte pod ścianą kobiety. Cmoknęła niepysznie i odczekała, aż ucichnie echo kolejnego potężnego grzmotu. – A teraz po kolei, gęsiego, za mną. I pilnujcie smarkaczy. Nie życzę sobie darcia mordy, zwłaszcza że szef nie jest w dobrym humorze. Powodzenia.

Odwinęła się na pięcie i ruszyła w kierunku schodów. Ciocie też podniosły się z miejsc.

Gdy mała Werka, ściskając rękę Wiktorii, potulnie podążyła śladami Baby-Jagi, jej pradziadek właśnie kończył kolejną długą rozmowę z jednym ze swoich przyjaciół.

– Jesteś tego absolutnie pewny? – zapytał i nałożył na twarz maskę z tlenem.

– Dziś odbierają dostawę. Adres został potwierdzony.

– Wyślij mi go, proszę.

– Tunahan...

– Tak, wiem.

– Kto zdrze z Ozalanami, ten do końca życia będzie musiał oglądać się za siebie...

– Kto zdrze z Lutosławą Karabiną, ten nie zdąży się obejrzeć, gdy po niego przyjdzie.

* * *

Kolejne pioruny waliły niemiłosiernie, a niebo co chwilę przecinała pajęczyna błyskawic. Istny armagedon, pomyślał Szatan i przetarł twarz dłonią. Był przemoczony do suchej nitki, ale miał wrażenie, że w środku płonie żywym ogniem. Nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Z rezydencji wychodziły kolejne młode kobiety, które następnie upychano do SUV-ów. Wszystkie instynktownie kryły się przed ulewnym deszczem i silnymi podmuchami wiatru. Pochylone człapały w błocie, potulnie, gęsiego, a rośli mężczyźni, którzy wysypali się z pojazdów, pakowali je do środka jak bydło. Nie miał wątpliwości, że część z kobiet jest niepełnoletnia. Szczupłe, skąpo ubrane, w większości atrakcyjne. Na ich twarzach malowały się przerażenie i trwoga. Gdy pośród nich dostrzegł trzy dziewczynki, w tym jedną niesioną na rękach, poczuł, że musi zareagować. Tylko jak?

Sięgnął po telefon, ale ten upadł na mokrą ściółkę. Szatan zaklął i podniósł go. Wyświetlacz był mokry, podobnie jak jego palec, dlatego chwilę mu zajęło, zanim wybrał numer alarmowy. Długo czekał na sygnał, ale gdy ten tylko się pojawił, dyspozytorka odebrała niemal od razu.

Nadkomisarz podał swój numer służbowy i oznajmił:

– Potrzebne wsparcie do miejscowości Urad.

– Ppp... le... i da... o co...

Połączenie było tragiczne, ledwo słyszał pojedyncze sylaby. Miał tylko nadzieję, że kobieta rozumiała jego komunikat. Powtórzył, ale odpowiedziało mu już jedynie kilka trzasków.

– Kurwa mać! – warknął i wychylił się zza drzewa. Był zły, że wcześniej nie sprawdził, czy jest tu zasięg. – Wsparcie! Namierzcie mnie i przyślijcie tu, kurwa, wsparcie! – dodał, po czym wyłączył się i wyciągnął zza paska pistolet. Dawno już nie trzymał broni z zamiarem użycia jej przeciwko komuś innemu niż facet w lustrze. Poczł kolejny zastrzyk adrenaliny.

Jakie miał szanse? Doświadczenie podpowiadało mu, że żadnych. Majski plus przynajmniej jeden ochroniarz z psem, do tego po dwóch mężczyzn w czterech SUV-ach. W sumie dziesięciu chłopów, zapewne uzbrojonych i gotowych pociągnąć za spust. Oparł się o drzewo i zamknął oczy, próbując się skupić. Przecież nie mógł pozwolić im odjechać! Był gliną, a do tego z dużą dozą prawdopodobieństwa pośród przetrzymywanych osób widział Martynę Piskorską i Weronikę Karabinę. Jeśli nie zareaguje, odjadą i być może wkrótce przekroczą granicę. A wtedy przepadną na zawsze. Jak kamień w wodę.

Ponownie sięgnął po komórkę, tym razem, żeby skontaktować się z Lutą. Zasługiwała na to, by wiedzieć. Odpalił aplikację WhatsApp i nie bez problemów wstukał krótką wiadomość: „Dziupła w Urad, transport kobiet. Twoja córka tu jest. Może do szwalni w Słubice”.

Wysłał, ale wiadomość nie przeszła. Zasięg był za słaby. Lekko zmodyfikowany tekst Szatan wysłał do naczelnika wydziału, ale i tu spotkał go zawód. Nie mógł liczyć na wsparcie. Został sam.

Przez chwilę zbierał się w sobie. W końcu zaklął pod nosem i dopisał: „Spróbuj ich zatrzymać”.

Gdy wysłał drugi komunikat, znów potężnie gruchnęło. Huk był ogłuszający, niemal jak na poligonie w czasach, gdy jeszcze służył w jednostce artylerii. Kilka sporych gałęzi spadło tuż obok niego. Podskoczył i spojrzał na smagane wiatrem korony drzew. Wszystko zdawało się wirować, deszcz siekł niemiłosiernie, a kilkadziesiąt metrów dalej załadunek powoli dobiegał końca.

Wtedy usłyszał męskie głosy:

– Brać ją! Szybko! Ruchy, kurwa!

Wychylił się zza drzewa. Wprost na niego biegła jedna z kobiet. Miała na sobie zwiewną sukienkę w kwiaty, która w ulewie przylepiła się do jej ud, a posklejane strąki łopotały na wietrze. Na twarzy malowała się szalona determinacja. Gdy za jej plecami jeden z mężczyzn poślizgnął się na błocie i wyrznął na ziemię, drugi wycelował w jej kierunku pistolet.

– Nie strzelaj! – krzyknął mężczyzna w garniturze. To był jedyny głos, który Szatan znał, i przez chwilę uwierzył, że Majski zareagował.

Gdy zdążył pomyśleć, że kobiecie uda się dobiec do ogrodzenia, ta nagle runęła jak długa. Zaryła twarzą w grząskie podłoże, które zdławiło jej przeraźliwy wrzask. Dopiero wtedy zobaczył, jak zza jej pleców wyłania się olbrzymie cielsko rozwścieczonego rottweilera. Pies wbił kły w udo kobiety i szarpał, jakby chciał odgryźć jej nogę. W uścisku jego szczęk ofiara była niczym szmaciana lalka. Krzyczała i wbijała paznokcie w nasiąkniętą glebę, pioruny waliły wokół, a bestia warczała, raz po raz głębiej zatapiając zębiska w ciele nieszczęsnej dziewczyny. Do ogrodzenia, za którym krył się Szatan, miała nie więcej niż trzy metry. Była tak blisko lasu. Wtedy ich spojrzenia na chwilę się spotkały. Dostrzegła go, a on poczuł, że zastyga w bezruchu.

Spanikował.

Sytuacja go przerosła.

Trwało to krótką chwilę, bo zaraz pies puścił jej nogę i doskoczył do szyi, próbując się w nią wgryźć. Zasłonił ją swoim cielskiem, a kobieta skuliła się do pozycji embrionalnej i odruchowo nakryła głowę rękoma. Szatan odwrócił się i zacisnął zęby, oczami wyobraźni widząc, jak bestia rozszarpuje kobietę na strzępy. Gdy zamilkła, poczuł do siebie odrazę. Wtedy usłyszał męski głos.

– Dość, Szatan. Wracaj, ale już!

Struchlał jeszcze bardziej. Przed oczami przemknęło mu całe życie.

– Szatan, kurwa! Powiedziałem coś! Do nogi! Natychmiast!

W jednej chwili poczuł ogromną ulgę. Nie tylko na jednego psa wołają Szatan. Kolejny grzmot nie był już tak potężny. Niósł się na wschód od nich, a jego echo szybko wchłonał gęsty las. Wtedy do uszu nadkomisarza dotarły rozdzierające jęki. Znał ten dźwięk. Kiedyś sam wydawał podobne, gdy broczył krwią z podejrzanego gardła.

Kroki. Chłopot butów zapadających się w błoto.

Znów ostrożnie wychylił się zza drzewa. Nad wijącą się w agonii kobietą stał Aleksander Majski.

– Niech to będzie dla was nauczka, drogie panie! – ryknął w kierunku grupki kilku kobiet, które jeszcze nie zostały zapakowane do samochodów. – Każda z was, która zdecyduje się na ucieczkę, skończy właśnie tak. Zdechnie w męczarniach.

To powiedziawszy, wycelował w leżącą ofiarę pistolet z tłumikiem i z bliska oddał trzy strzały. Kule utkwily w klatce piersiowej i w głowie, a kobieta zastygła w bezruchu. Majski jeszcze przez chwilę patrzył na zwłoki, po czym ruszył w kierunku kolumny pojazdów.

Szatan drżącą dłonią odblokował wyświetlacz komórki. Żadna z wiadomości nie dotarła do odbiorcy. Gdy spojrział na ostatnią, którą nadał, poczuł do siebie obrzydzenie. Musiał coś zrobić. Musiał jakoś zareagować!

Nic z tego.

Zastygł w bezruchu. Ciało odmówiło posłuszeństwa. Oczami wyobraźni widział siebie, jak celuje do Majskiego, jak krzyczy: „Stój, policja! Na kolana! Ręce za głowę!”. Ale nie był w stanie poruszyć się choćby o centymetr. Siedział oparty o drzewo, jakby ktoś go do niego przybił. Serce waliło mu jak oszalałe, a łzy mieszały się z kroplami deszczu. Kiedy zamknął oczy, a pod powiekami ujrział twarz tej kobiety, poczuł potężny ucisk w klatce piersiowej.

Z oddali dobiegł kolejny grzmot. Ulewa zmieniła się w mżawkę. Front przesunął się na wschód.

Gdy w końcu się ocknął, echo piorunów było już ledwo słyszalne. Pomiędzy koronami drzew jaśniała piękna tęcza.

ROZDZIAŁ 26

Luta spojrzała na wyświetlacz telefonu.

– Dajcie mi chwilę – rzuciła w kierunku dwójki przyjaciół. – I ocucicie go. Jeszcze z gnojem nie skończyłam. – Zerknęła krótko na nieprzytomnego Poziomę.

W budynku starej fermy na dobre zadomowił się swąd spalenizny. Gdy po pierwszej dawce prądu Cypis się przyznał, że to oni porwali jej córkę, wyzbyła się wszelkiej litości. I choć Pozioma jeszcze przez chwilę zgrywał cwaniaka, to gdy zaskwierczała mu skóra na jądrach, stał się potulny jak baranek. Przesadziła jednak i teraz trzeba go było cucić.

Nagle odezwał się jej smartfon. Karabina poszła za przepierzenie, żeby odebrać.

– Lutuś?

– Dziadku? – Wiedziała, że Tunahan nie dzwoniłby, gdyby nie miał konkretnych wieści.

– Udało mi się zdobyć jeden adres – oznajmił bez zbędnych wstępów.

Okazało się, że dzięki swojemu kontaktowi w rodzinie Ozalanów dowiedział się, że szykuje się spory transport z jednej z dziupli w graniczących z Niemcami Słubicach. Nie znał szczegółów, ale w ocenie agenta, który dostarczył mu informacje, to miejsce było głównym kanałem przerzutowym kobiet i dzieci na Zachód.

– Dziękuję ci, dziadku – odparła Luta, gdy Tunahan skończył mówić.

– Co chcesz zrobić? – zapytał, wyraźnie zaniepokojony.

– To, co zrobiłaby na moim miejscu każda matka.

– Masz kogoś, kto ci pomaga? Mój kontakt działa pod przykrywką. Prawie pięć lat. Pytałem, ale nie może ryzykować... – Zakaszła. – Gdybym tylko był trochę młodszy i mógł zrobić więcej...

– Zrobiłeś wystarczająco dużo, dziadku – przerwała mu. – Odpoczywaj. A teraz wybaczone, ale muszę kończyć. Kocham cię.

– Ja też cię kocham, Lutuś. Błagam, uważaj na siebie.

Luta rozłączyła się i schowała telefon do kieszeni. Następnie wróciła do Krzyska i Dominika. Obaj byli bladzi jak ściana, ale robili swoje. Miała lekkie

wyrzuty sumienia, że ich w to wciągnęła, ale to była ich decyzja. I bardzo ją szanowała.

Pozioma i Cypis wyglądali, jakby ktoś przepuścił ich przez maszynkę do mięsa. W powietrzu wisiał smród fekaliów, bo obu mężczyznom puściły zwieracze. Nachyliła się nad przytomnym już Poziomą. Jego mokra twarz miała kolor mięszu dojrzałego arbuza, a broda, szyja i naga klatka piersiowa były zalane krwią. Z ust skapywały jej krople, a pod nogami walały się pokruszone zęby.

– Gdzie moja córka? – zapytała, ale nie zareagował. Uniosła jego głowę. Facet był przytomny, ale najwyraźniej nie do końca kontaktował, bo źrenice uciekły mu pod czaszkę. Zakłęła i puściła go. – A ty, Cypis, czy jak ci tam? Będziesz mówił? A może mam przepiąć kable? – Skupiła wzrok na siedzącym obok kompanie.

– Przysięgam na życie mojej matki, że nie wiem... – Z oczu mężczyzny łzy płynęły nieprzerwanym strumieniem. Zaciskał uda, jakby to mogło go przed czymś uchronić. – To jest gdzieś pod granicą, proszę pani, ale nie wiem, gdzie dokładnie. Tylko Pozioma mógł tam jeździć. Przysięgam! Przepraszam... Błagam panią...

Cypis uparcie powtarzał swoje, ale Luta była skłonna mu wierzyć, bo od początku współpracował chętniej niż jego partner. Poza tym jego zachowanie dowodziło, że jest absolutnie przerażony. Bez wątpienia był też w hierarchii grupy przestępczej co najmniej stopień niżej niż Pozioma, który od początku robił wszystko, aby go uciszyć. Jego groźby na niewiele się jednak zdały – Cypis sypał bez opamiętania, chociaż gdy przychodziło do konkretów, umiał tylko beczeć i błagać o litość. Nie miała jej dla niego, ale ostatecznie potraktowała go łagodniej. Nie żeby go żałowała czy czuła wyrzuty sumienia, po prostu podeszła do tematu pragmatycznie. A ponieważ doświadczenie podpowiadało jej, że facet nie kłamie, odpuściła mu. Co innego Pozioma. On bez wątpienia wiedział więcej. Tylko co z tego, skoro aktualnie przypominał roślinę.

Luta ponownie zakłęła. Ewidentnie przesadziła. Była na siebie zła, że tak go przypiekła. Na szczęście przygotowała się również na taką ewentualność. Poprosiła Krzyśka, by podał jej torbę małego majsterkowicza, i wyciągnęła z niej jednorazową strzykawkę. Bez chwili wahania wbiła ją w udo Poziomy i wcisnęła tłok.

– Budzimy się, przyjacielu! – Poklepała go po policzku. – No już, wracamy na ziemię.

– Chrrr... – Tylko tyle dobyło się z ust bandziora.

– Co to? – zapytał stojący nieco dalej Dominik.

– Adrenalina.

Zapadła cisza, którą po chwili przerwał dochodzący z oddali grzmot. Już kilka godzin temu otrzymała alert z Rządowego Centrum Bezpieczeństwa. Z zachodu

nadciągał potężny front burzowy, który miał przynieść silny wiatr i ulewne deszcze, może też grad. Nie miała nic przeciwko.

Pozioma oprzytomniał. Jego źrenice wróciły na swoje miejsce i się rozszerzyły. Wziął kilka głębszych wdechów, wypływając krwawą plwocinę. Luta zauważyła, że jego język ma jakiś dziwny kształt. Dopiero po chwili zrozumiała, że Pozioma niemal odgryzł sobie jego końcówkę.

– Język i zęby już straciłeś. Jak nie powiesz mi, gdzie zabrałeś moją córkę, to następne stracisz jaja. – Wyciągnęła swój żołnierski majcher i musnęła ostrzem sflaczałego penisa. – Gadaj, gdzie ona jest!

– Gadaj, człowieku! – powtórzył Krzysiek, którego twarz przybrała zielony kolor – Mów, bo potnie cię na kawałki. Kurwa, Pozioma!

– Uuu... – zaczął bandzior, ale nie był w stanie wydusić z siebie nic więcej. Luta odczekała, śledząc wzrokiem gęstą strużkę krwi płynącą z kącika jego ust. – Uuu... Uuu... raad.

– Co?

– Uuuraad. T-t-too t-t-tak-ka wieśśś... p-p-pod g-g-granicą – wydukał Pozioma, brocząc krwią.

– Urad? – Wiedziała, gdzie to jest. Nigdy tam nie była, ale mijała zjazd do wsi, zawsze gdy jeździła na lotnisko do Berlina, skąd wylatywała do pracy do Norwegii. – Gdzie dokładnie? Adres!

Pozioma słabo pokręcił głową. Nie była pewna, czy odmawia współpracy, czy może nie jest w stanie wydukać nic więcej. Zezłiła się na siebie jeszcze bardziej. Wtedy w jej kieszeni znów wybrzmiał sygnał telefonu. Ten numer miało tylko kilka osób, które łączyła sprawa porwania jej córki. Wyprostowała się i wyciągnęła komórkę.

Gdy zerknęła na wyświetlacz, głośno przełknęła ślinę. Spojrzała na swoich przyjaciół.

– Spróbujcie wyciągnąć od niego dokładny adres – rzuciła i sięgnęła po swoją torbę.

– Co się stało? – zapytał Dominik.

– On nie kłamie. Dziadek też się nie mylił.

– Dziadek?

– Nieważne. Muszę jechać. – Luta pospiesznie ruszyła w kierunku wyjścia.

– Ale...

– Opatrzcie ich i przetrzymajcie do mojego powrotu. – Zatrzymała się w pół kroku i sięgnęła głębiej do torby. Wygrzebała z niej starą nokię i rzuciła w kierunku Krzyśka. Ten złapał ją w locie. – To nierejestrowany numer. Zadzwońcie na policję i przekażcie, że z Uradu jedzie transport kobiet i dzieci do szwalni w Słubicach. Adres to Powstańców Wielkopolskich 18A.

Chwilę później Luta Karabina zniknęła w półmroku. Kolejny grzmot wybrzmiał akurat w momencie, gdy odkręciła manetkę. Nie miała wiele czasu. Modliła się, aby kolumna z jej córką nie przekroczyła granicy.

ROZDZIAŁ 27

Na terenie szwalni roiło się od radiowozów.

Luta zatrzymała motor i zeskoczyła z siodła. Ściągnęła kask i nie zważając na protesty dwóch mundurowych, przekroczyła bramę. Z budynku wyprowadzano akurat kilku mężczyzn o śniadej cerze. Ręce mieli skute, ale byli spokojni.

– Gdzie moje dziecko? – zapytała młodą policjantkę, która dyskutowała z koleżanką przy jednym z radiowozów.

– A pani to kto? – odparła tamta, groźnie marszcząc brwi. – Jak pani tu weszła? Proszę natychmiast opuścić teren!

Luta zignorowała polecenie i pomimo protestów funkcjonariuszki pobiegła w kierunku trzech mężczyzn. Stali obok owiniętych folią palet, które wypełniały częściowo rozerwane kartony z ciuchami. Dwóch nie miało na sobie munduru, ale na ich piersi lśniły wypolerowane policyjne blachy. Palili papierosy i nie wyglądali na zadowolonych, miny mieli raczej posępne.

– Gdzie moja córka? – ponowiła pytanie, nie adresując go bezpośrednio do żadnego z nich. – Trzy lata, długie czarne włosy, brązowe oczy. Miała na sobie czerwona sukienkę w motylki.

Mężczyźni spojrzeli na nią, jakby była istotą nie z tego świata.

– Pani godność? – rzucił krótko ścięty blondyn z tatuażem na szyi.

– Karabina. Moja córka została porwana i...

– A, to pani – wciął się drugi, starszy, a także nieco tęższy od kolegi. Nosił brodę i wąsy, a prawe ucho miał lekko uszczerbione. – Pani się uspokoi i nie biega jak bezgłowy kurczak, bo jeszcze ktoś weźmie panią za ich współniczkę i... – Facet wykonał gest dłonią, jakby strzelał z pistoletu.

Luta poczuła, że nogi się pod nią uginają. Gdzie są karetki? Gdzie rekwirowane ciężarówki? Gdzie uratowane ofiary? Próbowwała panować nad emocjami, ale lęk o córkę niemal ją obezwładniał. Raz jeszcze rozejrzała się wkoło. Nieduży zakład był zalany kałużami i zaśmiecony masą niepotrzebnych rzeczy – od połamanych palet po rdzewiejące wraki samochodów. Nie dostrzegła jednak niczego, co świadczyłoby o tym, że doszło tu do zatrzymania transportu.

– Powinna pani opuścić zamknięty teren – oznajmił ze spokojem blondyn. Wyrzucił niedopałek w błoto i przydepnął go butem. – Proszę poczekać na zewnątrz. Zaraz ktoś się panią zajmie.

– Szatan? Czy jest tu nadkomisarz Szatan?

Policjant z wyszczerbionym uchem skinął na główne wejście do budynku szwalni.

– Jest w środku, ale nie może pani tam wejść – oznajmił i również pozbył się kiepa. – Odprowadzę panią do bramy i go zawołam. Czy możemy się tak umówić?

– Nie – odparła i ruszyła w kierunku drzwi.

– Pani Karabina!

Ale Luta przyspieszyła kroku, który po chwili zamienił się w trucht. Policjanci najwyraźniej nie mieli zamiaru się z nią użerać, bo tylko odprowadzili ją wzrokiem. Zastopowała ją dopiero krępa funkcjonariuszka w ciemnych okularach. Gdy wystawiła rękę, Luta oczami wyobraźni widziała, jak zakłada kobiecie dźwignię i sprowadza ją do parteru, ale wtedy z budynku wyłonił się znajomy kształt.

– Komisarzu Szatan! – zawołała ponad ramieniem napinającej się policjantki. – To ja, Lutosława Karabina! Proszę powiedzieć, gdzie jest moja córka! – Wciąż miała nadzieję, że zaraz usłyszy, iż wszystko jest już w porządku, a Werka siedzi w jednym z radiowozów i czeka, aż matka weźmie ją w ramiona.

Szatan odwrócił się w jej stronę i spacyfikował wzrokiem próbującą wykonywać swoje obowiązki funkcjonariuszkę. Mruknął coś do kompana, z którym opuścił budynek, po czym zbliżył się do Karabiny i przypalił papierosa.

– Przejdźmy się – bąknął, wskazując barak przy płocie.

Serce Luty zamarło, a przez głowę przemknęły jej najczarniejsze scenariusze.

– Czy moja córka jest bezpieczna? – zapytała, modląc się w duchu, aby nie usłyszeć najgorszego.

– Powiem krótko – zaczął Szatan, gdy dotarli do celu. – Nasi ludzie wciąż przeszukują zakład, ale do tej pory nie znaleźli nikogo. Obawiam się, że pani córki tu nie ma.

– Ale przecież napisał pan, że...

– Tak, napisałem. Widziałem ją, jednak nie mogłem nic zrobić. Bez wsparcia nie miałbym żadnych szans. – Spuścił głowę zawstydzony, co Luta natychmiast odnotowała.

– Gdzie ją pan widział? – Mięśnie na jej twarzy napięły się nieznacznie.

– W zajeździe we wsi Urad. To zaledwie kilka kilometrów stąd. – Szatan zawiesił głos. W gardle czuł rosnącą gulę. – To tam była dziupla, w której przetrzymywano pani córkę.

– Tyle wiem. Aresztowano podejrzanych?

– No właśnie... – Z trudem przełknął ślinę. – Przed chwilą stamtąd wróciłem. Zajazd spłonął.

Luta zacisnęła zęby. Nie trzeba było być Sherlockiem Holmesem, by wiedzieć, że coś tu nie gra. Już chciała zadać kolejne pytanie, gdy Szatan chwycił ją za przedramię.

– To nie czas ani miejsce, pani Karabina.

– To właśnie jest czas i miejsce. Gdzie moja córka, do jasnej cholery?

– Pani córki nie ma ani w Uradzie, ani tutaj. Jest cała i zdrowa. Nie sądzę, aby ładunek przekroczył granicę.

– Ładunek? – zaperzyła się Luta.

– Mamy kontakt z kolegami z Niemiec – ciągnął Szatan. – Na wszelki wypadek rozesłali patrole do przygranicznych miejscowości. Obstawili wszystkie drogi wyjazdowe. W mojej ocenie transport nie wyjechał z Polski, ale najwidoczniej nie dotarł również tutaj.

Luta miała wrażenie, że traci kontrolę. Nigdy jeszcze nie czuła takiej huśtawki nastrojów. Nie była pewna, czy po tych słowach powinna się cieszyć, czy wręcz odwrotnie.

– Jeśli wie pan coś nieoficjalnie, to proszę mi powiedzieć – zasugerowała, próbując zachować spokojny, choć stanowczy ton. – Powie mi pan, prawda?

– Na to trochę za wcześnie. Umówmy się, że porozmawiamy wieczorem. – Szatan wymownie omiół spojrzeniem teren, po którym kręcili się mundurowi. –

Proszę pojechać na stację Orlenu przy wyjeździe ze Słubic. Spotkamy się tam za dwie godziny.

– Nie mogę beczynnie siedzieć, podczas gdy moja córka...

– Myślę, że wiem, jak odzyskać pani dziecko. Ale to... – Zerknął podejrzliwie na trzech funkcjonariuszy przy paletach z ciuchami. Bacznie im się przyglądali, nawet nie próbując tego specjalnie ukryć. – ...To bardziej skomplikowane. Rozumie pani?

– Nie.

– Gdyby ktoś panią zapytał, proszę nie wspominać o wiadomości, którą do pani wysłałem. I tak wyszło kiepsko, a to tylko skomplikowałoby sprawę jeszcze bardziej.

– Wystarczy mi adres...

– Do zobaczenia, pani Karabina.

Szatan wyrzucił niedopałek za płot. Już chciał odejść, gdy Luta złapała go za rękę. Odwrócił się i ich spojrzenia się spotkały.

– Jeśli mojej córce... – słowa, które chciała powiedzieć, nie przeszły jej przez gardło – ...dopadnę i zabiję każdego, kto maczał w tym palce. Rozumie pan?

Nadkomisarz wytrzymał jej spojrzenie, choć poczuł na karku nieprzyjemny chłód. Gdzieś na dnie tych ciemnych źrenic kryło się coś, co przyprawiało go o dreszcze, i w duchu musiał przyznać, że jeśli kiedykolwiek miałby uwierzyć komuś na słowo w rozmowie o śmierci, to właśnie tej kobiecie. Przeniósł wzrok na zaciśnięte na swoim przedramieniu palce Luty. Odchrząknął niepewnie, wtedy poluzowała uścisk.

– Dwie godziny, pani Karabina – powtórzył, a ona pozwoliła mu odejść.

* * *

Luta siedziała przy niewielkim stoliku w najbardziej oddalonym miejscu stacji benzynowej. Chwilę wcześniej spędziła kwadrans w toalecie, gdzie w towarzystwie dwóch odpicowanych klientek stacji ponownie przeprowadziła na sobie zabieg ściągania krwi ze spuchniętego ucha. Ponad pół strzykawki płynu kobiety przyjęły z mieszanką ciekawości i odrazy. Kompletnie ignorując ich zniesmaczone spojrzenia, wyszła i zrobiła sobie w automacie mocną kawę. Popijając ją, obserwowała krzątających się ludzi i próbowała przeanalizować sytuację. Sprawy wyglądały źle, a nawet bardzo źle. Jedyna nadzieja tkwiła w tym, że w ocenie Szatana jej córka nie opuściła kraju. Ale czy aby na pewno mogła mu ufać? Facet był pijakiem, a na pijakach nie można polegać. Dodatkowo ewidentnie próbował coś ukryć. Tylko w takim razie dlaczego wysłał jej tę wiadomość? Miała kilka hipotez. Niestety ta, która wydawała się najbardziej prawdopodobna, była zarazem najgorsza.

Po opuszczeniu terenu szwalni oczywiście nie pojechała prosto na stację benzynową. Minęła ją i popędziła w kierunku nieodległego Uradu. Niestety spotkało ją spore rozczarowanie. Dojazd do wsi został zamknięty, a policjanci pilnujący terenu od razu kazali jej zawrócić. Postanowiła odpuścić, zwłaszcza że nawet z głównej drogi było widać unoszące się nad lasem kłęby czarnego dymu. Na miejscu na pewno roіło się od strażaków i glin. Chwilowo nie miała czego tam szukać. Postanowiła, że wróci, gdy kurz opadnie, a następnie pojechała na stację.

Zaparkowała motor i weszła do środka. Po wypiciu kawy zamówiła żurek z kiełbasą. Tylko tyle mogło jej w tej chwili przejść przez ściśnięte nerwami gardło. W pewnym momencie jej uwagę przykuł facet przy półce z akcesoriami do samochodu. Wszedł do sklepu zaraz po tym, jak jej zamówienie pojawiło się na stole. Na oko pod pięćdziesiątkę, raczej drobnej postury, nosił kaszkiet i ciemne okulary. W sumie nie byłoby w nim nic nietypowego, gdyby nie fakt, że przez prawie godzinę kręcił się przy półce z odświeżaczami i wachał po kolei każdy z nich, drapiąc się po nosie. W pewnym momencie Luta pomyślała, że przykleili

jej ogon, ale gość wydawał się tak dziwny, że tylko kompletny ignorant nie zwróciłby na niego uwagi. Gdy po maratonie wążania w końcu podjął męską decyzję i wybrał zapach imitujący samochód z salonu, a potem przez kolejne piętnaście minut – pomimo wyraźnego zniecierpliwienia, w końcu protestów innych klientów – wyklócał się o cenę, zrozumiała, że jej obawy były bezpodstawne.

Czas dłużył jej się niemiłosiernie. Pomyślała nawet, czy nie wrócić do Zielonej Góry i sprawdzić, jak radzą sobie Krzysiek i Dominik, ale ostatecznie postanowiła tylko zadzwonić do tego pierwszego. Na szczęście ogarnęli temat i obaj bandyci wylądowali w piwnicy, dołączając do Czczena. Cała trójka została napojona i nakarmiona, a ich życie w ocenie chłopaków nie było zagrożone, czego wcześniej trochę się obawiała. Choć zwykle wszystko dokładnie planowała, w przypadku Czczena, Poziomy i Cypisa nie do końca wiedziała, jak postąpić. Miała dylemat. Nie moralny, bo generalnie wyznawała proste zasady. Dla niej byli co najwyżej ludzkimi śmieciami, a takich w jej ocenie powinno się likwidować. Nie chodziło też o to, czy odważyłaby się pozbawić ich życia. Na koncie miała wiele trupów i tak naprawdę to właśnie w Iraku czy Afganistanie częściej nachodziły ją wątpliwości, gdy w oku lunety pojawiał się cel, na którego temat wiedziała co najwyżej tyle, ile przekazało jej dowództwo. Wbrew pozorom łatwiej było jej wysłać do raju tych, którym spojrzała prosto w oczy. Rzeźnicy z Państwa Islamskiego nie zasługiwali na nic więcej niż śmierć. A gdy klękała przy ich ofiarach, utwierdzała się w przekonaniu, że zrobiła dobrze. Zawsze najbardziej odchorowywała widok niewolnic seksualnych, często jeszcze dzieci, na skraju życia i śmierci, zmaltretowanych fizycznie i psychicznie, bitych i gwałconych całymi miesiącami, a nawet latami bez możliwości zobaczenia światła słonecznego. Cała trójka, którą teraz więziła w piwnicy opuszczonej fermy drobiu, nie różniła się od tamtych zwyrodnialców absolutnie niczym. Kto wie, może nawet byli gorsi, bo nie tak zindoktrynowani jak islamscy fundamentalisci. Polska to nie był jednak Irak czy Afganistan. Tutaj nie toczyła się wojna. Tu istniało prawo. Nie mogła tak po prostu uwolnić świata od kolejnych trzech szumowin bez poniesienia konsekwencji. Nie chciała być matką, która widuje swoje dzieci raz w miesiącu w pokoju odwiedzin zakładu o zaostrowym rygorze.

Jej rozważania przerwało przybycie Szatana. Nadkomisarz zaparkował pod samym wejściem, niemal przy szybie naprzeciwko miejsca, gdzie siedziała Luta. Wysiadł i rozejrzał się, jakby sprawdzał, czy nie jest śledzony. Pomachała mu, gdy ich spojrzenia się spotkały. Po drodze do jej stolika skorzystał z automatu do kawy. Wybrał największy kubek i zrobił sobie potrójne espresso.

– Dziękuję, że pani zaczekała – powiedział, gdy w końcu dosiadł się do Luty.

– Może darujmy sobie te konwenanse. Teraz liczy się czas – odparła, próbując nie być zbyt arogancka.

– Ma pani rację.

– Proszę mi więc powiedzieć, co tam zaszło i jaki ma pan plan na odzyskanie mojej córki.

Szatan się skrzywił, jakby chciał wydłubać językiem coś spomiędzy zębów. Obejrzał się przez ramię, upił łyk kawy. Cmoknął, odetchnął i przygryzł dolną wargę.

– Wie pani, kim jest Cyryl Majski? – zapytał po chwili wahania.

– Kojarzę.

Nadkomisarz streścił Karabinie historię ich znajomości. Do tej pory za sprawą Emila znała ją tylko pobieżnie, ale choć miała wrażenie, że czas ucieka jej między palcami, postanowiła wysłuchać policjanta do końca, zwłaszcza że nazwisko Majskiego padło już kilka godzin temu. Najpierw pękł Czechen, który wspomniał o synu biznesmena, a później Cypis i Pozioma, którzy przyznali, że pracują dla jego ojca. Nie dała jednak nic po sobie poznać. Choć Szatan raczej nie konfabulował, do końca mu nie ufała.

– W związku z prowadzonym przeze mnie śledztwem w sprawie zaginionej Martyny Piskorskiej pojechałem do szwalni w Słubicach – kontynuował, gdy nakreślił już tło historii. – Od lat wszyscy wiedzą, że to dziupla Ozalanów, ale nikt z tym nic nie robi. Lokalne władze, policjanci, chyba nawet sam komendant, wszyscy są skorumpowani. Widziała pani, ile w tej miejscinie jest klubów nocnych?

Luta przytaknęła. Słubice liczyły zaledwie piętnaście, może szesnaście tysięcy mieszkańców, ale liczba tego typu przybytków była zatrważająca. Musiała uczciwie przyznać, że w żadnym polskim mieście nie widziała takiego zagęszczenia klubów go-go, night clubów czy po prostu burdeli, o czym niemal na każdym kroku informowały banery reklamowe z rozneglizowanymi kobietami.

– One też należą do Ozalanów – ciągnął Szatan. – Może nie zawsze firmują tę działalność swoim nazwiskiem, ale generalnie wszystkie lokalne zbiry pracują dla nich albo za ich przyzwoleniem. Większość przetrzymywanych tam kobiet pochodzi ze Wschodu, ewentualnie z Rumunii czy Bułgarii, czasem trafi się jakaś Wietnamka czy Tajka. Wiele z nich jest niepełnoletnich, a dla zdecydowanej większości to przystanek w drodze do Berlina czy innych europejskich stolic.

– Świat jest, jaki jest – skonstatowała Luta. – Wróćmy do Majskiego i może skupmy się na tym, jaki to wszystko ma związek z moją córką.

– Tak jak wspominałem, oficjalnie prowadzę śledztwo w sprawie zaginionej Martyny Piskorskiej. Nie wnikając w szczegóły, niemal na pewno dziewczynka została porwana. Takich porwań jest ostatnio w Polsce coraz więcej i według

CBS odpowiada za nie grupa przestępcza działająca w Lubuskiem. W ciemno obstawiałem, że to Ozalanowie albo pracujące dla nich lokalne zbiry. Okazało się, że... – Szatan spuścił głowę, jakby zawstydzony, i zacisnął palce w pięść. – Że szukałem wszędzie, tylko nie tam, gdzie trzeba.

– Konkrety, panie Szatan – ponagliła go Karabina.

– Dziś wczesnym popołudniem zatrzymałem się w okolicy szwalni, która jest centrum dowodzenia Ozalanów w całej zachodniej Polsce. Mam takie miejsce, z którego mogę obserwować ten teren bez ryzyka. Więc siedziałem i obserwowałem. Wtedy pojawił się...

– Majski – dokończyła za niego.

– Szybko pani łapie.

– Powiedzmy, że ja też w ostatnich godzinach nie próżnowałam.

Szatan uniósł wzrok i lekko zmarszczywszy brwi, spojrział Lucie w oczy. Trudno było z nich cokolwiek wyczytać, podobnie jak z mimiki, więc tylko podrapał się po kilkudniowym zarostcie i upił łyk kawy.

– Siedział tam około godziny, a gdy wyszedł, pojechałem za nim – podjął. –

Jego śladami dotarłem do zajazdu w Uradzie. Rozpętała się burza, a ja skryłem się pomiędzy drzewami i dalej obserwowałem. Wtedy nadjechały cztery SUV-y, a Majski zaczął upychać do nich kilkanaście kobiet. Wśród nich były Martyna i Weronika.

– Wtedy wysłał pan do mnie tę wiadomość? – Luta z trudem powstrzymała narastające wzburzenie. Dlaczego Szatan nie zareagował, skoro napisał, że spróbuje ich powstrzymać?

– Tak, ale długo nie dochodziła, pewnie przez tę burzę, choć tam cały czas jest kiepski zasięg...

– Dlaczego pan ich nie powstrzymał?

Szatan przymknął powieki, nabrał powietrza w płuca, po czym głośno je wypuścił. Schował głowę w dłoniach i przez dłuższą chwilę trwał w zawieszeniu.

– Panie Szatan?

– Bo się, kurwa, przestraszyłem – wycedził. – Nie miałem cholernej odwagi, bo na moich oczach jedną z kobiet, która próbowała uciec, na rozkaz Majskiego rozszarpał wielki rottweiler. Nawet pani sobie nie wyobraża...

Luta próbowała przyjąć jego tłumaczenie ze zrozumieniem, ale nie była w stanie. Zacisnęła zęby i przez chwilę patrzyła na policjanta, który z trudem panował nad reakcjami własnego organizmu. Jego twarz przybrała niemal bordowy kolor i Luta nie miała wątpliwości, że facet za wszelką cenę próbuje ugasić pożar, który przed chwilą rozniecił. Nadal nie potrafiła znaleźć usprawiedliwienia dla jego decyzji, ale postanowiła nie dokręcać śruby.

– Co się stało później? – zapytała.

– Chyba straciłem przytomność – odparł drżącym głosem. – Ocknąłem się po prawie czterdziestu minutach. Gdy wyjrzałem z kryjówki, ciało kobiety zniknęło, a zajazd stał w płomieniach. Krótco później przyjechała straż pożarna, a następnie policja.

– Po takiej ulewie... Ktoś musiał wzniecić ogień umyślnie.

Szatan przytaknął.

– Gdy dostałem informację, że zrobili nalot na szwalnię, od razu tam pojechałem.

– Ale ta była pusta.

– Pierdoleni kozojebcy śmiali mi się prosto w ryj, jak ich wyprowadzaliśmy. Ktoś ich ewidentnie ostrzegł, a wiadomość wysłałem tylko do dwóch osób. Do pani i do... – zawahał się – naczelnika.

Luta przeanalizowała ostatnie słowa Szatana. Sytuacja wyglądała fatalnie, bo jeśli Ozalanowie mieli w kieszeni przygraniczne miejscowości i współpracowali z synem najbogatszego i najbardziej wpływowego biznesmena w województwie, trudno było nie domniemywać, że opłacają również naczelnika komendy w Zielonej Górze. A jeśli ich macki sięgały tak daleko, to w zasadzie znaleźli się w układzie zamkniętym. Czy istniało jakieś inne wytłumaczenie? Chwilowo postanowiła nie zagłębiać się w dalsze rozważania. Wystarczyło jej, że zna już wroga. Teraz musiała go tylko namierzyć i odszukać. Poczła gwałtowny przypływ adrenaliny.

– Gdzie znajdę tego Majskiego?

– I tu jest pewien problem...

– Jaki problem? – Ton Luty stwardniał.

– Można wyważyć drzwi i wystawić się na strzał albo zrobić to z głową i zgarnąć całą pulę.

– Ja chcę tylko odzyskać swoje dziecko.

Komisarz nachylił się nad stołem.

– Nawet przy założeniu, że pani córka wciąż jest w kraju, jeśli w szwalni Majski dobił targu, ona należy już do klanu Ozalanów. A proszę mi wierzyć, pani Karabina, że dobrze wiem, co to oznacza...

ROZDZIAŁ 28

Mustafa Ozalan wsiadł do limuzyny podstawionej przez swojego szofera, który chwilę później zamknął za nim drzwi. Na komisariacie przebywał prawie pięć godzin. Był wściekły. A wszystko przez tego zasranego Polaczka, który nie potrafił poradzić sobie z jakąś gówniarą. Obaj Majscy od dłuższego czasu działali mu na nerwy. Gdyby nie fakt, że ojciec kazał mu żyć z nimi w zgodzie, już dawno rozegrałby tę partię po swojemu.

– Cyryl Majski niedługo znajdzie się w parlamencie – tłumaczył mu Hakan Ozalan. – Od blisko czterech lat nad tym pracujemy. A gdy dostanie mandat, nasze interesy w tej części Europy rozkwitną jeszcze bardziej. Wiesz, że wielkimi krokami zbliża się wojna? Partnerzy ze Wschodu zawsze są dobrze poinformowani. To kwestia roku, może dwóch lat. Zdajesz sobie sprawę, co to oznacza dla naszego biznesu?

Wojna oznaczała pieniądze. Olbrzymie pieniądze. Niewyobrażalnie wielkie pieniądze, które mogli zarobić na handlu żywym towarem. Tysiące, a może nawet dziesiątki tysięcy kobiet i dzieci, które stałyby się ofiarami agresji, stałyby się również bardzo łatwym celem. Rosjanie od lat zarabiali w ten sposób, hurtowo wysyłając ofiary z podbitych terenów na Zachód. Od zawsze potrafili robić biznesy z Berlinem, wszak nie tylko o ludzi tu chodziło.

Kobiety i dzieci z postsowieckich republik albo na nowo podbitych terenów sprzedawali do Niemiec za grosze, tak jak diamenty, złoto, ropę czy gaz. I tak jak niemiecki rząd nabywał te ostatnie, aby następnie po kilkukrotnie wyższej cenie sprzedawać je partnerom w Europie, tak tacy ludzie jak Ozalanowie skupowali to, co przysyłano na Zachód w pakiecie. I czasem po nawet kilkunastokrotnej przebitce przesyłali towar do partnerów z innych europejskich stolic.

– To czysty biznes, synu – tłumaczył Mustafie ojciec. – Gdybyśmy nie byli potrzebni, rządzący tym krajem nigdy by nam nie pozwolili tak się rozwinąć. Pamiętasz, co powiedział nam przed laty El Chapo?

– Pamiętam.

– Co powiedział?

– „Daj ludziom u władzy uwierzyć, że mogą cię kontrolować, a dla świętego spokoju będą cię chronić. Zanim się obejrzą, twoje imperium będzie tak potężne, że będą ćpać twój koks, pieprzyć twoje dziwki i jeść ci z ręki. Wtedy będziesz miał ich w garści”.

Wielu nie rozumiało tej w sumie prostej zasady i walczyło z tymi, z którymi walka była z góry skazana na przegraną. W opozycji do El Chapo ojciec zawsze wspominał niegdysiejszego króla kokainy Pablo Escobara, który w imię nie do końca zrozumiałych ambicji wytoczył swojej ojczyźnie wojnę. I choć w pewnym momencie miał więcej pieniędzy, niż wynosiło roczne PKB Kolumbii, tę wojnę przegrał z kretesem. El Chapo, pomny tragicznej historii słynniejszego kolegi, z rządem Meksyku współpracował i pewnie współpracowałby jeszcze długo, gdyby nie uwierzył, że jest niepokonany, i nie zapomniał, że zawsze znajdzie się ktoś większy i silniejszy. Tym większym i silniejszym okazał się rząd Stanów Zjednoczonych Ameryki, który widząc jawną współpracę pomiędzy kierowanym przez niego kartelem Sinaloa i władzami Meksyku, wziął sprawy w swoje ręce. Dziś El Chapo siedział w więzieniu stanowym o zaostrzonym rygorze i zapewne nie opuści go aż do śmierci.

– Jaki z tego morał, synu? – dopytywał Hakan Ozalan.

– Jaki, ojczu?

– To może zapytam inaczej. Czy słyszałeś, aby ktokolwiek kiedykolwiek powiedział coś złego o Ozalanach?

– Niechby spróbował!

Ojciec pokiwał głową i nieco skorygował narrację:

– Czy widziałeś kiedyś w księgarni książki o Ozalanach?

– Chyba nie.

– A filmy albo seriale? Czy o Ozalanach rozpisują się w gazetach?

– No... nie.

– A wiesz dlaczego?

– Powiedz mi, ojczu.

– Bo wielkie interesy prowadzi się po cichu. Pieniądze nie lubią rozgłosu. – Hakan położył synowi dłoń na ramieniu. – Prowadź biznes tak, aby nie rzucać się w oczy. Opłacaj tych, którzy są ci potrzebni, i dbaj o tych, którzy są ci wierni. Przyjaciół i wrogów szanuj i trzymaj blisko, wrogów bliżej niż przyjaciół. Wtedy, jak Bóg da, z czasem zbudujesz imperium, przed którym będą drżeć rządy.

Mustafa nie znosił tych ojcowskich mądrości. Sam wyznawał dużo prostsze zasady. Jedną z nich było to, że jeśli ktoś nawalił, to musiał ponieść zasłużoną karę. A Majski spierdolił sprawę do imentu. Na samą myśl, że będzie musiał po nim posprzątać, robiło mu się niedobrze. Siedem godzin przestoju w firmie, z których pewnie zrobi się co najmniej drugie tyle, do tego kosztowne wycofanie

ładunku, przerwany łańcuch dostaw, generujący lawinę problemów – począwszy od ponownego procesu zabezpieczenia transportu od strony logistycznej, kończąc na trudnych do oszacowania spóźnieniach w dostawach, co z kolei zawsze wiązało się z niezadowoleniem wymagających klientów. Od tego wszystkiego bolała go głowa. Ale gdy tylko zamykał oczy, uderzała go wizja, jak na forum rodziny musi tłumaczyć się ojcu, a ten znów prawi mu te swoje zasrane mądrości. Nie znosił ich. Wręcz nienawidził. Dlatego Majski i ten pieprzony glina musieli za to odpowiedzieć.

– Do szwalni – rzucił w stronę szofera.

– Sugerowałbym udać się bezpośrednio do Berlina – rzekł moszczący się obok adwokat. – Pana ojciec chce poznać...

– Zamknij się, bo będziesz wracał taksówką – warknął w odpowiedzi młody Ozalan, po czym rozkazał kierowcy obrać drogę do swojej firmy.

Kolumna trzech lśniących limuzyn powoli ruszyła spod komisariatu. Zwolnieni z aresztu ludzie Mustafy zajęli miejsce w pierwszej i ostatniej, on sam z adwokatem w maybachu, w którym z Berlina do Słubic wysłał mecenasa ojciec.

Ta świadomość była dla Mustafy urągająca. Nie znosił tego pyszałkowego manipulanta. Bastian Graf von Krockow wkręcił się do organizacji, ale nie należał do rodziny. Był rodowitym Niemcem, wysokim i białym jak ściana, co podkreślał, nosząc jedynie czarne garnitury z jasną poszetką. Mustafa się dziwił, że ojciec zatrudnia takich ludzi, bo w jego ocenie nie byli godni zaufania. Zwykli najemnicy, ot co, bez żadnych zasad, gotowi zmienić front, gdy tylko po drugiej stronie posypie się więcej euro. Wydawał na nich grube miliony, a mimo to ten frajer musiał użerać się z Polaczkami przez prawie cztery godziny, zanim jego klient został wypuszczony, nawet pomimo tego, że policja nie miała przeciwko niemu żadnych dowodów.

W drodze do szwalni von Krockow nie odezwał się więcej ani słowem. Niczym zaprogramowany robot wpatrywał się w zagłówek przedniego fotela pasażera. Mustafa się zastanawiał, co ten naród ma w sobie tak niezwykłego, że nawet zmiażdżeni w dwóch wojnach światowych, zawsze odradzają się jako potęga. Czasem analizował podejście ojca, który – choć na co dzień prezentował postawę raczej mocno konserwatywną, a tradycja stanowiła dla niego fundament w postrzeganiu rodziny – na zewnątrz często flirtował z tak wzgardzaną nowoczesnością. Dla Mustafy Europejczycy już dawno przesiąkli zgnilizną, a ich odejście od religii i wspólnotowości na rzecz dekadentckiego uwielbienia jednostki było gwoździem do ich trumny. Te wszystkie narkotyki, rozpasanie seksualne, absurdalne próby udowodnienia, że człowieka z brodą i penisem oficjalnie można nazywać kobietą, jeśli tego sobie zażyczy, i odwrotnie, młodą atrakcyjną dziewczynę wołać mężczyzną, gdy ta doklei sobie do waginy członka

i usunie piersi – to wszystko wzbudzało w nim odrazę. Rodowici Niemcy byli obrzydliwi, czasem wręcz odrażający, ale to właśnie dzięki nim, ale także ich odpowiednikom w innych krajach Europy, biznes Ozalanów kręcił się tak prężnie. To właśnie dzięki tym wypacykowanym obrońcom wolności wszystkiego, co można nazwać i czego nazwać nie można, branża miała się tak doskonale. Bogate społeczeństwa ćpały i pieprzyły się na potęgę, udając przed samymi sobą, że to ta ich utopijna wolność. Tak naprawdę życie ludzkie dla zdecydowanej większości z nich było gównem. Doskonale wiedzieli, że gdy zamawiają kolejną porcję kokainy, przywozi ją Turek, Polak lub Albańczyk, a prostytutki, po które dzwonią, pochodzą ze Wschodu czy z Bałkanów. Tacy właśnie byli biali Europejczycy. Jebani hipokryci. I szczerze ich za to nienawidził.

Do szwalni dotarli po niecałym kwadransie. Adwokat nie zmienił pozycji nawet w momencie, gdy limuzyna się zatrzymała.

– Przekaż ojcu, że przyjadę go odwiedzić, jak wypełnię swoje obowiązki na miejscu – rzucił z pogardą w kierunku von Krockowa.

Dopiero teraz ten odwrócił głowę w kierunku rozmówcy.

– Oczywiście, panie Ozalan – odparł i skinął nieznacznie.

Chwilę później drzwi samochodu się otworzyły i Mustafa wysiadł. Jego kompani już na niego czekali. Jeden z nich, krępy i barczysty, którego nazywano Emre, zerwał policyjną taśmę przy bramie i wcisnął guzik na pilocie. Dało się słyszeć szcęk mechanizmu i wrota powoli zaczęły się rozsuwać. Mustafa cmoknął i omiół wzrokiem teren szwalni. Nie pamiętał, aby kiedykolwiek było tu tak pusto i cicho. Półmrok rozświetlały jedynie uliczne latarnie. Ich żółtawe światło odbijało się w rozsianych po nierównym gruncie kałużach, pomiędzy którymi człapało kilka gołębi. Główna hala tonęła w mroku.

– Burak, Orkun, rozejrzyjcie się po okolicy – rozkazał dwóm z czterech swoich ludzi, a gdy mężczyźni od razu rozeszli się w przeciwne strony, polecił pozostałym: – Wy sprawdźcie biura pod kątem podsłuchów i kamer. Nie ufam tym cholernym Polakom.

Światło przy drzwiach wejściowych działało na czujnik ruchu. Zapaliło się, wyłaniając z ciemności rozmokły grunt, na którym walało się mnóstwo niedopałków i śmieci. Pieprzone świnię, pomyślał Mustafa, gdy przypadkiem nadepnął na niedojedzonego hot doga. Zaklął, dostrzegłszy, że rozgniół butem wciśniętą do środka parówkę. Czym prędzej zanurzył podeszwę w jednej z kałuż, po czym splunął na ziemię.

– Jutro rano ma tego nie być, zrozumiano? – rozkazał.

– Jasne, szefie – odparli jak jeden mąż Emre i Cemil. Ten drugi nacisnął klamkę i drzwi ustąpiły. Wcisnął włącznik światła, ale żadna z lamp pod sufitem

nie rozbłysła. – Coś jest nie tak, szefie – powiedział, włączając latarkę w swoim smartfonie. – Przejdę się do rozdzielni. Może wywaliło korki.

– Oby szybko – mruknął Mustafa i wyciągnął z kieszeni marynarki paczkę papierosów.

Głęboko zaciągając się dymem, myślał, jak to wszystko odkręcić, by nie wzbudzić zbytniego szumu, a jednocześnie dostarczyć towar do celu tak szybko, jak to możliwe. Opóźnień nie uda się uniknąć, ale przy odrobinie szczęścia można było zminimalizować szkody. Nie mógł się jednak skupić, bo z tyłu głowy wciąż czaiła się wizja rozmowy z ojcem. Pomyślał, że nadszedł czas, aby to on zaczął podejmować decyzje. Jego ludzie muszą widzieć w nim lidera. Pewnego siebie, skutecznego i – jeśli trzeba – bezwzględnie egzekwującego klanowe prawo. Może wtedy ojciec go doceni. Może wtedy uzna, że to on, a nie bracia, zasługuje, aby stanąć na czele organizacji.

Gdy wreszcie zabłyśły światła w hali, Mustafa Ozalan uśmiechnął się pod nosem. Wyrzucił niedopałek do kałuży, po czym wspólnie z Cemilem ruszyli w kierunku strefy biurowej. Minęli toalety dla pracowników, pomieszczenie gospodarcze i szereg stojących na paletach kartonów z dzianinami, po czym skręcili na schody.

Wtedy światła znów zgasły, a na nich opadł czarny całun z ciemności.

* * *

– Emre, na Boga! Co z tym światłem? – Echo głosu Mustafy Ozalana poniosło się po pustej i ciemnej hali.

Emre nie był w stanie odpowiedzieć, bo leżał pomiędzy wieszakami w kałuży swojej krwi.

Luta wytarła ostrze. Nie miała wiele czasu. Przez godzinę zdążyła zrobić rozpoznanie, policzyła kroki, oznaczyła w głowie punkty, w których mogła zaatakować z zaskoczenia. Hala była ich pełna. Wiedziała, gdzie i na jak długo może włączyć latarkę, aby nie błądzić w ciemności, gdy będzie się przemieszczać z punktu A do punktu B.

Plan Szatana był śmiały i ryzykowny, ale perfekcyjnie zrealizowany rozwiązywał wszystkie piętujące się problemy. Za jednym zamachem Luta mogła odzyskać córkę, rozprawić się z Majskim i pozbyć obaw o zemstę Ozalanów. Z początku brzmiało to niedorzecznie, ale musiała przyznać, że Szatan ma łeb na karku.

– Pomogę ci, ale ty też musisz pomóc mnie – powiedział, gdy dała mu zielone światło, aby przedstawił swój pomysł.

Wysłuchiwała go z uwagą. Na bieżąco analizowała. Do tej pory była tak zaangażowana w walkę o odzyskanie córki, że nie wybiegała w przyszłość dalej niż do momentu, gdy znów będzie mogła chwycić ją w ramiona. A ta przyszłość, nawet zakładając najbardziej szczęśliwy scenariusz i odzyskanie Weroniki, rysowała się w dość ciemnych barwach. Po pierwsze – Ozalanowie. Turecki klan należał do jednej z największych organizacji przestępczych na Starym Kontynencie i na świecie w ogóle. Gdyby chciała odebrać ich własność – a jeśli Majski zdążył uzgodnić warunki umowy, to zapewne tak traktowali jej córkę i resztę kobiet – mogła narazić siebie i dzieci na olbrzymie niebezpieczeństwo. Przeszłość Szatana była dowodem, że zatarg z Turkami się nie opłacił, co dodatkowo potwierdzały słowa dziadka. Drugim problemem był Majski, który według wszelkich znaków na niebie i ziemi współpracował z klanem. Nawet zakładając, że Aleksander działał bez wiedzy ojca – co było raczej mało prawdopodobne – musiała przyjąć do wiadomości, że był człowiekiem bezwzględny. Jeśli chciała żyć w spokoju, jego również musiałaby się pozbyć, w dodatku tak, by nikt nie wiązał jej z jego zniknięciem. Biorąc pod uwagę, że Weronika stanowiła dla nich wspólny mianownik, byłoby to ekstremalnie trudne, jeśli nie niemożliwe. W końcu w szeregach policji prawie na pewno pracował jeden lub więcej funkcjonariuszy skorumpowanych przez Ozalanów bądź Majskiego – być może nawet ktoś na samej górze, bez wątpienia zaś w samych Słubicach. Cokolwiek by się wydarzyło, miałyby ich na głowie i wcześniej czy później znaleźliby – albo spreparowali – jakieś dowody, a ona wylądowałaby za kratkami.

Wszystko to mogło jednak nie mieć znaczenia, gdyby plan Szatana zadziałał. Luta zdawała sobie sprawę, że stary wyga chce upiec kilka pieczeni na jednym ogniu, ale jeśli pomysł miał wypalić, to miało to drugie, jeśli nie trzeciorzędne znaczenie. Dla niej liczyło się tylko to, aby odzyskać córkę – i zrobić to tak, by do końca życia na ulicy nie oglądać się za siebie. Tu cena nie grała roli.

Zatrzymała się przy drzwiach na korytarz. Zgasila latarkę i przywarła do ściany. Teoretycznie Mustafa Ozalan i jego ludzie nie powinni być uzbrojeni. Nie mogli wziąć ze sobą broni do aresztu, zatem logika wskazywała, że gdy z niego wychodzili, raczej również jej przy sobie nie mieli. Dlatego musiała działać szybko i wykorzystać przewagę.

Słyszała ich głosy. Przez szparę pomiędzy drzwiami i framugą widziała tańczące światło latarek z ich smartfonów. Większość ich rozmów rozumiała, dzięki czemu miała przewagę. Mustafa mógł się spodziewać najgorszego, ale nie tego, że intruz płynnie posługuje się językiem tureckim.

Usłyszała kroki. Bez wątpienia należały do masywnego mężczyzny, zatem korytarzem musiał zbliżać się Cemil. Co najmniej metr osiemdziesiąt pięć,

muskularny, na pewno silny. Musiała go zaskoczyć i dźgnąć celnie. Zaciśnęła palce na rękojeści noża i wyczekała jeszcze kilka sekund.

– Emre! – rzucił Turek, przekraczając próg hali. – Jesteś tam czy...

Nie dokończył, bo ostrze wbiło się głęboko w jego ciało, przebijając mięśnie od tarczowo-gnykowego po mostkowo-gnykowy, a następnie rozdzieliło tchawicę, odcinając dostęp tlenu. Wolną dłonią Luta zakryła usta ofiary i wyjęła nóż z gardła. Zanim rozbryzg krwi z tętnicy z pluskiem uderzył o betonową podłogę, zadała jeszcze trzy ciosy w okolice łędźwi, wieńcząc dzieło zniszczenia. Ciało Turka w jednej chwili stało się wiotkie i musiała je zaasekurować, aby nie runęło pod własnym ciężarem.

– Hej! Co tam się dzieje? Cemil, do kurwy nędzy!

Chwilę później usłyszała oddalające się kroki. Ruszyła biegiem, tym razem nie dbając już o to, by nie hałasować. Raz, dwa, trzy, siedem, dwanaście, szesnaście kroków. Choć jej wzrok zdążył przyzwyczać się do ciemności, mrok w korytarzu zdawał się gęsty jak smoła. Chwyciła się poręczy i pobiegła schodami za Mustafą. Widziała światło jego smartfona, w którym przemykała jego przerażona twarz. Miał przewagę trzech, może czterech sekund. To za mało, aby w biegu zdążył wybrać numer i wezwać pomoc. Już prawie go miała. Gdy chwycił za kłamkę drzwi do swojego biura, a telefon wypadł mu z dłoni, dopadła go i złapała za rękę, na którą założyła dźwignię i niemal natychmiast sprowadziła go do parteru. Zdążył tylko jęknąć, gdy przygniotła go swoim ciałem.

– Ćśśś... – syknęła, przytykając czubek noża do jego podbródka. Lekko docisnęła, aby ostrze przebiło skórę. – Jeśli odezwiesz się choćby słowem, stal zatrzyma się w twoim mózgu – ostrzegła po turecku.

– Nie... Błagam... – wyjąkał.

Gdy naparła odrobinę mocniej, poczuła na palcach jego ciepłą krew. Mustafa instynktownie wstrzymał oddech i zastygł w bezruchu. Wykorzystała moment i błyskawicznie wyciągnęła z kieszeni spodni trytytki oraz szarą taśmę klejącą. Najpierw skrepowała Turkowi ręce, a następnie zakleiła usta. Przyłgnęła do niego i przez chwilę nasłuchiwała, po czym dla pewności owinęła taśmę wokół skrepowanych już nadgarstków. Ponownie przywarła do niego ciałem i nadstawiła uszu. Z dołu poniósł się odgłos kroków.

– Nie wierzgaj, jeśli chcesz żyć – szepnęła mu do ucha, po czym bezgłośnie podniosła się do pozycji pionowej.

Uspokoila oddech, obróciła nóż w dłoni i zaciśnęła pięść na rękojeści. Adrenalina buzowała jej w żyłach, a na dole czekało na nią jeszcze dwóch. Wierzchem ręki wytarła z brody cudzą krew. Mimowolnie poczuła na języku jej metaliczny smak. Uśmiechnęła się pod nosem na myśl, że skoro już dopadła żywcem Mustafę Ozalana, reszta to dla niej bułka z masłem.

ROZDZIAŁ 29

Krystyna Karabina wyszła na palcach z pokoju, gdzie usypiała Franka. Zasnął, choć musiała drapać go po plecach niemal godzinę. Przymknęła drzwi i poszła do kuchni nastawić wodę na herbatę. Gdy już zalała susz z krwawnicy, usiadła w fotelu i włączyła telewizor. Długo nie mogła się zdecydować, co obejrzeć, i bezmyślnie skakała po kanałach. Jej głowę wciąż zajmowało wszystko to, co wydarzyło się w ostatnich dniach.

W końcu zatrzymała się na jednym z tych ogłupiających programów, w których aktorzy z ulicy próbują naśladować życiowe problemy. I choć robią to tak nienaturalnie, szary obywatel i tak nie może się oderwać od telewizora, ciekawy losów puszczającej się sąsiadki, oszukanego teścia czy molestowanej w pracy urzędniczki. Zastanawiała się, na ile jej historia zainteresowałaby widzów. Teraz, gdy jej najukochańsza wnuczka została porwana, a szkolona na zabójczynię córka postanowiła za wszelką cenę odzyskać swoje dziecko, pewnie można by zrobić z tego całkiem dobry film. Gdyby jeszcze do scenariusza dodać to, co wydarzyło się wcześniej...

Po policzku spłynęła jej słona łza. Wytarła ją palcem wskazującym. To, co wydarzyło się przed laty, było dla niej niekończącą się serią wyrzutów sumienia. Nieustannie obwiniła się o to, że nie miała odwagi, aby zmienić swoje życie. Była słaba. Może na zewnątrz sprawiała inne wrażenie, ale od momentu wypadku samochodowego, w którym śmierć poniósł ojciec Luty, psychicznie rozsypała się w drobny mak. Nie potrafiła się otrząsnąć po tej tragedii. Tak bardzo kochała Ogüna, że przez długi czas nachodziły ją myśli samobójcze. Gdyby nie Lutka, może zrobiłaby ten ostateczny krok. Ileż to razy zamykała się w toalecie i trzymając w palcach żyłkę, wyobrażała sobie, jak przesuwając ją wzdłuż przedramienia, jak żyły się otwierają, a krew powoli z niej wypływa. Kiedyś nawet nauczyła się wiązać węzeł stryczkowy. Pewnego dnia, gdy stare żelazko odmówiło posłuszeństwa, a ona nie miała Lucie jak wyprasować ubranka na apel z okazji rozpoczęcia drugiej klasy, w nerwach wyrwała kabel z urządzenia i przez ponad godzinę uczyła się wiązać stryczek. Udało się jej, nawet założyła go sobie na szyję i solidnie zacisnęła. Przez krótką chwilę czuła się wspaniale, zamarzyła,

że odejdzie w ciszy, a gdy otworzy oczy, obudzi się u boku Ogüna, gdzieś tam, nie wiadomo gdzie, w jakimś niebie czy raju. Na szczęście otrzeźwiała, gdy pod powiekami ujrzała twarz swojej przerażonej córki, która w pierwszy dzień szkoły znajduje matkę bladą, spuchniętą i zimną. Martwą.

Nigdy nie była zaradną, a praca na dwa kiepsko płatne etaty tylko pogłębiała jej depresję. Nie chciała się z nikim wiązać, choć dwa lata po śmierci męża spotkała się na kawie z mężczyzną, którego poznała na jednym z pierwszych portali randkowych. Lutka była już wtedy na tyle odpowiedzialna, że mogła zostać sama, więc Krystyna włożyła zwiewną sukienkę i poszła w umówione miejsce. Okazało się, że to całkiem sympatyczny i przystojny facet, a do tego podobno wzięty adwokat. Zaimponował jej, bo miał uroczy uśmiech, niezwykle poczucie humoru i cały czas prawił jej komplementy, a do tego nie zareagował negatywnie na wiadomość, że jest wdową z dorastającą córką.

– Cenię kobiety, które są silne i potrafią zadbać o siebie i rodzinę – wyjął tonem, jakiego się po nim nie spodziewała. – Bardzo mi się podobasz, Krystyno. Któregoś dnia chciałbym poznać twoją córkę.

Nie ufała mu do końca, choć tak naprawdę nie miała zbyt dużego doświadczenia w randkowaniu. Grzegorz miał jednak w sobie tyle charyzmy, że mógłby obdzielić nią przynajmniej kilku innych mężczyzn, a jego dźwięczny ton łagodził wszelkie wątpliwości. Na koniec zapłacił za kawę i ciasto, po czym zaproponował, że odwiezie ją do domu. Zgodziła się, bo czas w jego towarzystwie minął jej błyskawicznie. Poza tym już była spóźniona, a nie chciała dokładać córce zmartwień. Gdy zobaczyła lśniące nowością audi, o którym wcześniej nawet się nie zająknął, pomyślała, że może warto w końcu znów zacząć żyć pełnią życia.

Randka skończyła się inaczej, niż to sobie wyobrażała.

Obudził ją sygnał nadjeżdżającego pociągu. Gdy otworzyła oczy, na niebie wirowały gwiazdy, a na jej udach straszyły zastygłe strużki krwi. Najbardziej przerażające było to, że zgwałcił ją niecały kilometr od jej domu, a następnie porzucił w lesie przy torach jak zużytą zabawkę. Nie pamiętała, jak do tego doszło, nie pamiętała też samego gwałtu, ale ból w pochwie i odbycie przypominał jej o tym przez następne kilka dni.

Nie zgłosiła tego na policję. Zawsze była słaba, zawsze była ofiarą. Bała się. Bała się, że ją wyśmieją, bała się kolejnego upokorzenia, bała się, że gdy oprawca dowie się o donosie, wróci i znów ją skrzywdzi. Nigdy nie zapomni, jak weszła do domu w umorusanej i zakrwawionej sukience, próbując zachować resztki godności. Lutka jeszcze nie spała. Złościła się, bo zamiast dwóch godzin nie było jej prawie dziesięć, a ona była umówiona z koleżanką i ją wystawiła.

Krystyna przemknęła do łazienki w nadziei, że uda jej się ukryć dowody przeżytego koszmaru. Ale gdy córka szarpnęła za kłamkę, zamarła.

– Mamo...

– Potknęłam się tylko... Nic się nie stało, kochanie. Przepraszam, że się spóźniłam...

Luta miała wtedy trzynaście lat. I choć przez następne dni Krystyna upierała się przy swojej wersji, córka prawie na pewno nie uwierzyła. Akurat zaczynały się wakacje, więc nie mogąc znieść panującej w domu atmosfery, wysłała ją na dwa miesiące do dziadka. Z Turcji Luta wróciła odmieniona. Milcząca, skryta, niedostępna, a zarazem silniejsza niż kiedykolwiek, dojrzała i pewniejsza siebie. Gdy dwa lata później w ich życiu pojawił się Tadeusz, Luta miała już na koncie sześć medali mistrzostw Polski junierek w kick-boxingu, srebro mistrzostw Europy i świata. Krótco później wyprowadziła się z domu, a po roku zaciągnęła się do wojska.

Wcześniej nie miały przed sobą tajemnic. Od tamtego feralnego wieczoru tajemnice stały się sensem ich życia, a ich relacja w zasadzie przestała istnieć. Czy dlatego pozwoliła na to, co wydarzyło się później? Czy tak bardzo bała się samotności? A może po prostu była złą kobietą i jeszcze gorszą matką?

Gdy Luta miała piętnaście lat i bywała w domu rzadziej niż częściej, Krystyna poznała Tadeusza. Spotkali się w sklepie, zupełnie przypadkiem. Ona wybierała warzywa na obiad, a on podniósł główkę sałaty, która wypadła jej z ręki. Poszli na kawę, ale okazało się, że facet mieszka w Zielonej Górze, więc machnęła na to ręką. Wzięła jednak jego numer telefonu i po kilku tygodniach walki z samą sobą napisała. Spotkali się jeszcze parę razy. Tadeusz wydawał się dojrzałym i odpowiedzialnym mężczyzną, a Krystyna poczuła, że to jej ostatnia szansa na ułożenie sobie życia. Wszystko potoczyło się szybko, zbyt szybko, bo już cztery miesiące później Krystyna zaszła w ciążę. Luta nie mogła jej tego wybaczyć, bo od początku nie akceptowała Tadeusza, jakby podskórnie czuła, że to nie jest mężczyzna wart miłości matki. Wściekła się jeszcze bardziej, gdy rodzicielka poinformowała ją, że przeprowadzają się do miasta partnera, do jego domu. Ale miała tylko piętnaście lat i niewiele do gadania.

Skromny ślub wzięli, jeszcze zanim urodziła. A gdy na świecie pojawił się owoc ich nienachalnej miłości, któremu przekornie dali na imię Nikos, czar prysł jak bańka mydlana. Tadeusz okazał się uosobieniem wszystkich cech, których Krystyna nie tolerowała w mężczyznach. Skrzętnie do tej pory ukrywany pociąg do kieliszka szybko zmienił się w codzienne picie. I choć nie lał jej, bo zupa była za słona, nie potrafił zarobić na dom. Dlatego już niecały rok po urodzeniu Krystyna wróciła do pracy na dwa etaty, podczas gdy Tadeusz większość czasu spędzał na popijaniu, graniu na playstation i zbijaniu bąków.

Było już jednak za późno, a sporą część pieniędzy ze sprzedaży domu pod Poznaniem przejedli, zwłaszcza że na początku Krystyna zaufała mężowi i wpłaciła dużą kwotę na jakiś fundusz, który okazał się piramidą finansową. Wszystko wtedy stracili. Gdyby na świecie nie pojawił się Nikos, być może po roku czy dwóch odeszłaby od partnera, ale był synek, a ona nie miała siły, by znów zaczynać wszystko od początku.

Harowała za trzech. Tadeusz na bezrobotnym „wychowywał” syna, a Luta weszła w okres największego buntu i robiła wszystko, aby w domu przebywać jak najrzadziej, bo nie akceptowała ani ojczyma, ani przyrodniego brata. Wszystko się sypało, ale trwali w tym dziwnym układzie, jakby byli na siebie skazani. Kiedy Luta w końcu wyprowadziła się z domu, a krótko później zaciągnęła się do wojska, Krystyna została z tym wszystkim sama jak palec. Wtedy Tadeusz rozpił się jeszcze bardziej i choć nie był wobec niej agresywny, to zaczął przejawiać coraz to dziwniejsze zachowania, których z początku nie zauważała, bo każdego dnia przychodziła do domu z pracy skonana, a gdy się zorientowała, do czego to doprowadziło, było już zdecydowanie za późno.

Długo tłumiała w sobie wstyd, ale nie miała odwagi przyznać się córce, która w tym czasie była już porucznikiem w Jednostce Wojskowej Komandosów. Obawiała się – i raczej słusznie – że Luta może tego nie unieść i zrobić coś, co spowodowałoby kolejną tragedię. A że w domu pojawiała się raz na rok albo i rzadziej, łatwiej było utrzymać ponurą tajemnicę. Jednak po kilku latach znów zaczęły się schody. Musiała zmierzyć się z depresją, z której do tej pory tak naprawdę się nie wyleczyła. Jakżeby mogła się wyleczyć, skoro wyrzucała sobie, że to z powodu jej słabości Nikos stał się tym, kim się stał, że zniszczyła mu życie i to wszystko jej wina.

A teraz jeszcze to...

Czasem myślała, że jest przeklęta.

Czy gdyby nie wpadła na ten durny pomysł, aby godzić Lutę z Nikosem, nie doszłoby do porwania Werki? Oczywiście, że by nie doszło. Nie poszliby do tego cholernego parku rozrywki, a Luta nie wsiadłaby do tej cholernej kolejki. Jak mogła być taka głupia? Czy wszystko w życiu musiała robić źle? Czy była aż tak beznadziejna?

Najchętniej zamknęłaby teraz oczy i nigdy więcej ich nie otworzyła. Tak po prostu by odeszła. Umarła. Zniknęła. Może bez niej ten świat stałby się lepszy.

Wzdrygnęła się na dźwięk telefonu. Wydał się jej bardzo głośny i przestraszyła się, że zaraz obudzi Franka. Zrzuciła z nóg koc i sięgnęła po leżący na stole aparat.

– Mamo?

– Lutka? Czy udało się...

- Nie. Dzwonię, żeby zapytać, czy z Frankiem wszystko w porządku.
- Chyba tak. Śpi.
- A jaki był w ciągu dnia?
- Ospały. Ciągłe gra albo ogląda coś na tablecie.
- Zjadł coś?
- Talerz rosółu. Na drugie zrobiłam jego ulubione spaghetti, ale tylko poskubał.
- Aha...

Zapadła cisza. Niezręczna, jak zawsze między nimi. Krystyna miała wrażenie, że jest żałosna. Nawet w takim momencie nie potrafiła normalnie porozmawiać z córką. Tylko te proste, suche, niemal formalne komunikaty. Zjadł? Tak. Śpi? Nie. Dobrze się czuje? Dobrze. Chciała coś dodać, ale każde pytanie wydawało jej się w tej sytuacji sztuczne albo po prostu głupie.

– Dzwonił Szymon – rzekła w końcu, dziękując w duchu, że mogła przerwać tę koszmarną ciszę. – Jakies problemy z odwołanymi lotami. Utknął w Sztokholmie. Pytał o ciebie. Ponoć nie mógł się do ciebie dodzwonić...

- Nie odebrałam.
- Aha...
- Muszę kończyć, mamó.
- Dobrze, Lutka. Proszę, uważaj na siebie. Kocham was.
- Pa.

Połączenie zostało zerwane. Krystyna zamknęła oczy. Znów tego nie usłyszała. Gdy ponownie uniosła powieki, urwało się spod nich kilka łez. Przez chwilę bezmyślnie patrzyła w smartfon, aż odszukała numer Nikosa. Wcisnęła zieloną słuchawkę.

„Przepraszamy, wybrany abonent jest w tym momencie nieosiągalny. Prosimy spróbować ponownie”.

Westchnęła i wytarła oczy chusteczką. Pomyślała, że jeśli coś stanie się Werce, nie uniesie tego. W końcu naprawdę się zabije.

ROZDZIAŁ 30

Gdy otworzył oczy, powitała go nieprzenikniona czerń. Mustafa Ozalan gwałtownie nabrał powietrza w płuca. Smród, który wdarł się do jego nozdrzy, sprawił, że omal nie zwymiotował. Poruszył się. Przynajmniej na tyle, na ile mógł. Jęknął z przerażeniem, gdy zdał sobie sprawę, że został unieruchomiony, a jego głowa i dłonie są wciśnięte w dyby.

Wtedy, o zgrozo, usłyszał ten dźwięk.

Dochodził zza jego pleców, choć wydawało mu się, że niesie się z oddali. Mustafa pomyślał, że to niemożliwe, że musi śnić najbardziej upiorny sen w swoim życiu. Jak inaczej mógł to wytłumaczyć? Przecież to brzmiało jak totalny absurd. Istna aberracja. Czyste szaleństwo. Zupełnie spanikował, gdy to, co czaiło się w mroku, znów wydało z siebie nieludzki pomruk. Po jego nagich udach pociekł ciepły mocz.

Cały drżał. Miał wrażenie, że przestał kontrolować odruchy swojego organizmu. Jego uda się trzęsły, jakby dostał ataku epilepsji. Mrok znów o sobie przypominał. I znowu.

Pragnął krzyczeć, wołać o pomoc, ale był jak sparalizowany. Nie chciał drażnić ciemności. Nie chciał jej rozjuszać. Czuł, że gdy wyda z siebie jakiegokolwiek dźwięk, zdradzi jej swoje położenie. A wtedy ona po niego przyjdzie.

Jego serce waliło w szaleńczym rytmie. Każde uderzenie rezonowało w jego uszach, a on myślał tylko o tym, że ciemność też je słyszy. Słyszy jego strach. Słyszy i czuje. Bo strach też ma swój zapach. Specyficzny. Jedyny w swoim rodzaju. I nawet jeśli nie każdy jest w stanie go zwęszyć, to ciemność tak. Ciemność na pewno go wyczuje. Zwietrzy niczym ofiarę. I przyjdzie po niego.

Nie, to nie może być prawda, pomyślał. Rozczapierzył palce, ale usłyszał tylko trzask przeskakujących kostek śródręcza. Zaciśnął pięści. Smród był nie do wytrzymania. Nigdy w życiu nie czuł choćby ułamka tak intensywnego fetoru. Cofnęło go i zaczął się dławić, w końcu zwymiotował. Wtedy ciemność znów dała głos.

Łoskot, dudnienie, łomotanie. Seria trzasków. Głęboki pomruk.

Już wiedziała, że tam jest, i ryła w błocie. Ryła w błocie i niecierpliwie przebierała racicami.

Nie! Na Boga! To niemożliwe! To tylko pieprzony koszmar!

Gdy Mustafa Ozalan zaczął modlić się na głos do swojego Boga, ciemność zakwiczała ze szczęścia. Dwadzieścia lat czekania się opłaciło. W końcu nadszedł czas, aby potężny apetyt został zaspokojony.

ROZDZIAŁ 31

— **D**ajmy mu jeszcze pięć minut – zasugerował Szatan, wyciągając z kieszeni marynarki wymiętą paczkę papierosów. Przypalił jednego. Zaciągnął się mocno i spojrzał w niebo. – Władymir to stary wyga. Ponad czterysta kilogramów żywej wagi. Wie, co robić. – Puścił oko do Luty.

– Czas nie jest naszym sprzymierzeńcem – zaproponowała.

– Bez zgody Ozalana Majski nie kiwnie palcem.

– Oby...

Karabina odwróciła wzrok. Noc była ciepła i gwiaździsta, a w chaszczach obrastających stojący na uboczu dom nadkomisarza grały świerszcze. Poza tym panowała niemal głucha cisza, od czasu do czasu przerywana basowym chrumkaniem Władymira. Spojrzała na skryty w półmroku chlew. Plan był do cna popieprzony, ale w aktualnej sytuacji brzmiał lepiej niż wszystko, co – przynajmniej czysto teoretycznie – wydawało się bardziej racjonalne.

W szwalni Luta zostawiła po sobie cztery trupy. To było celowe działanie. Zrobiła wszystko, aby zatrzeć swoje ślady, a do tego upozorowała śmierć ochroniarzy tak, by nie kierować podejrzeń na siebie. Nie miała żadnych wyrzutów sumienia. To były gnidy, śmieci, zwyrodnialcy i sadyści. Takich należało tępić i to nie był jej pierwszy raz. Na misjach eliminowanie takich ludzkich ścierw należało do jej obowiązków, robiła to w pełni legalnie, niejako z licencją na zabijanie. Tu sprawa miała się nieco inaczej, ale przedstawiając się na tryb wojenny, znów poczuła ten potężny zastrzyk dopaminy. I jakkolwiek kiepsko to brzmiało, stęskniła się za tym. Potrzebowała tego. Potrzebowała poczuć, że żyje.

Chwilowo zakład był zamknięty, więc nie musieli się obawiać, że ktoś zacznie tam węszyć. Po wpakowaniu Mustafy Ozalana do bagażnika volvo Szatana z powrotem zabezpieczyli wszystko taśmą policyjną, a bez wyraźnego polecenia szefa nikt nie miał wstępu na teren szwalni. Założyli, że do rana się wyrobiją, choć na wszelki wypadek budynek podlali benzyną. Na razie, aby nie wzbudzać zamieszania, na tym poprzestali. Teraz wszystko zależało od tego, jak potoczy się sytuacja. A głównym rozgrywającym był Władymir.

– Chowam go od dwudziestu lat – wyznał Lucie Szatan. – Głównie na paszy i mięsnych odpadkach. Dawno temu wyobraziłem sobie, że gdy dopadnę skurwieli odpowiedzialnych za śmierć mojej żony i córki, rzucę ich świniom na pożarcie. Mieli zdychać w męczarniach, wiedząc, że nigdy nie trafią do tego swojego zasranego raju. Stąd pomysł na zainwestowanie we Władymira. Miałem kasę tylko na jednego, ale przynajmniej o niego dbałem. No i wyrósł z niego kawał żarłocznego knura.

Z początku Luta słuchała wynurzeń Szatana z rezerwą. Facet momentami brzmiał, jakby popadł w obłąd. Owszem, w Iraku czy Afganistanie widziała wiele okropieństw. Kamienowanie, dekapitacja, rżnięcie piłą łańcuchową, kastrowanie, wysadzanie granatami, rozjeżdżanie czołgami, palenie, zakopywanie żywcem – wyobrażenia psychopatów z Państwa Islamskiego nie znała granic. Ale rzucać żywych ludzi na pożarcie świniom? I to w centrum Europy? Rozumiała, że Szatan pragnie krwawej zemsty, przez co w jego głowie rodziły się najbardziej wynaturzone fantazje. Sama czasem wyobrażała sobie, co by zrobiła tym wszystkim barbarzyńcom, gdyby nie ograniczały jej zapisy konwencji genewskiej. Fantazje to jednak fantazje. Wprowadzanie ich w czyn to zupełnie inna para kaloszy.

– Jak śmierć Mustafy miałyby mi pomóc w odzyskaniu córki? – zapytała Szatana.

– Nikt tu nie mówi o zabijaniu...

Zaskoczył ją tym stwierdzeniem. Rzeczywiście, pomijając genezę sprowadzenia Władymira, ani razu nie zająknął się, że chce uśmiercić młodego Ozalana. Zresztą Mustafa był za młody, by odpowiadać za śmierć jego bliskich. Miał wtedy piętnaście, może szesnaście lat, więc co najwyżej mógł być biernym obserwatorem, ale dyspozycje bez wątpienia wydawał ktoś inny. W pewnym momencie chciała nawet się z tego wszystkiego wycofać, ale najzwyczajniej w świecie była ciekawa, co takiego wymyślił Szatan.

– Jeśli nie zamierzasz go zabić, to co chcesz z nim zrobić? – W całym tym szaleństwie nawet nie wiedzieli, kiedy przeszli na ty.

Górna warga policjanta uniosła się w grymasie pogardy.

– Władymir to knur. Ma... hmm... ma silny instynkt... – W jego źrenicach błysnęła iskra szaleństwa.

W pierwszej chwili Luta nie skojarzyła, jednak zaraz przyszło zrozumienie. Poczula się nieswojo, gdy Szatan świdrował ją wzrokiem. Ten facet naprawdę był obłąkany. Ale po gruntownej analizie musiała przyznać, że pomysł – choć oblesny i zakrawający na szaleństwo – brzmiał sensownie, a jego efekty mogły przebić wszystko, co do tej pory chodziło jej po głowie. Przelotna myśl o Weronice przechyliła szalę na korzyść scenariusza Szatana. W aktualnej sytuacji nie można

było bawić się w półśrodki. Gdy nadkomisarz wyjawiał jej wszystkie detale swojego planu, była już gotowa podpisać się pod nim własną krwią.

Na wspomnienie tej rozmowy skrzywiła się z niesmakiem. Spojrzała na oparty o ścianę chałupy trójnóg z przymocowaną doń kamerą. Najwyższy czas, żeby wprowadzić słowo w czyn.

– Skończyłeś? – zagadnęła, gdy dostrzegła, że wyrzucił niedopałek na ziemię.

– Tak. Chodźmy do naszego Ozalana – odparł Szatan, po czym chwycił sprzęt.

Przeszli przez zagracone podwórze. Po popołudniowej burzy w wielu miejscach wciąż stała woda, a podłoże było grząskie i błotniste. W kilku kałużach pływały kurze pióra, reszta odbijała światło gwiazd i księżyca, który zbliżał się do fazy pełni. Gdy dotarli do drewnianych drzwi, z wnętrza chlewu dobiegł głośny łoskot. Luta się wzdrygnęła, co nie umknęło uwadze komisarza.

– Niecierpliwi się – mruknął z niespotykaną wcześniej emfazą.

Chrumkanie rzeczywiście stało się bardziej donośne. Władimir rozbijał się w swoim boksie, jakby nie mógł już usiedzieć na miejscu. Szatan wyciągnął skobel i drewniane drzwi ustąpiły z posępnym skrzypnięciem. Karabina przełknęła ślinę i poczekała, aż wejdzie, po czym sama przekroczyła próg. Natychmiast uderzył ją odrażający smród, coś jak mieszanka stęchlizny, gnijącego mięsa i długo niesprzątanых odchodów.

– *Salam alejcum*, Mustafu Ozalanie – przywitał się Szatan, a w jego tonie pobrzmiwało szyderstwo. Wcisnął wiszący na kablu włącznik i chlew rozblysnął żółtawym światłem z luźno wiszącej pod sklepieniem żarówki. Następnie rozstawił trójnóg i ustawił kamerę, nie bacząc na wściekłe spojrzenie Turka. W końcu przykucnął przy zbiorniku na paszę i zerwał mu taśmę z ust.

– Zapłacisz za to, psie! – warknął po niemiecku Ozalan.

Szatan się uśmiechnął.

– To się jeszcze okaże – odparł w tym samym języku, po czym chwycił mężczyznę za włosy, a drugą rękę wsadził do zbiornika z paszą. Przytrzymał go, po czym zaczął wpychać mu do ust zawartość koryta. – Gardzicie schabowym, to teraz żryj to – dodał, na siłę wpychając w usta Mustafy obrzydliwą breję.

Stojąca z boku Luta przyglądała się temu nieludzkiemu procederowi. Rozumiała, co miał na celu, dlatego nie oponowała. Ozalan miał zostać upokorzony i złamany tak szybko, jak to było możliwe. I choć szarpał się i miotał, zakuty w dyby nie miał najmniejszych szans. Gdy w końcu Szatan puścił włosy Turka, ten od razu zwymiotował do zbiornika. Komisarz spojrzał wymownie na Lutę i zrobił jej miejsce. Odchrząknęła i przykucnęła naprzeciw Ozalana. Przez chwilę patrzyła, jak wypluwa ostatnie resztki rzygowin, po czym delikatnie wsunęła palec pod jego brodę i lekko napała, unosząc ją. Ich spojrzenia się spotkały.

– Jestem Lutosława Karabina, matka trzyletniej Weroniki Karabiny, która została porwana i jest przetrzymywana przez niejakiego Aleksandra Majskiego – oznajmiła po turecku tonem, który mógłby zmrozić samo piekło. – Jeśli chcesz żyć, Mustafu Ozalanie, zrobisz dokładnie to, co ci rozkażę. Czy rozumiesz...

– Zdechniesz, szmato! – przerwał jej. – Ale najpierw zobaczysz, jak moi ludzie gwałcą twoją córkę, a potem kroją na kawałki, by nakarmić nią psy. Tak to się zakończy, *fahişe!*

Luta zachowała spokój, choć nie zapanowała nad kilkoma drgnięciami mięśnia pod lewym okiem. Tak reagowała tylko w najbardziej stresujących sytuacjach. Jeszcze przez chwilę świdrowała wzrokiem ciemne źrenice Mustafy. Mruknęła, widząc na samym ich dnie strach. Wtedy zabrała palec i podniosła się z kucek.

– Zrób to – syknęła w stronę Szatana i pchnęła drzwi chlewu.

– Władymir! – ryknął gospodarz.

Jego głos jeszcze długo dźwięczał w uszach Luty. Gdy odchodziła, za jej plecami eksplodowała kakofonia pomruków, chrząknięć i kwików. Była w stanie znieść wiele, ale nie to. Tego nie chciała oglądać. To było ponad jej siły.

ROZDZIAŁ 32

— Ł obuziakuuuu, gdzie jesteeeeeś?
Siedział w szafie. Głos dochodzący z głębi domu niósł się złowieszczym echem niczym obietnica nieuchronnej i srogiej kary. Gdy ze strachu zamykał oczy, wyobrażał sobie, że głos rozpełza się po ścianach niczym niezliczona horda pajaków albo sunie po podłodze jak ohydna, tłusta larwa, centymetr po centymetrze, aby go dopaść. Podobnych iluzji było więcej, bo głos w młodym umyśle przyjmował różne oblicza, czasem jeszcze bardziej abstrakcyjne, jak chociażby rozlewająca się po pokoju czarna maź formująca się w szponiastą dłoń albo dym przyjmujący pokraczną postać bez twarzy. Wszystkie te okropne imaginacje łączyło jedno – pajaki, larwy czy szponiaste dłonie zawsze prędzej czy później wślizgiwały się pod łóżko albo w szparę w drzwiach szafy, aby wskazać prawdziwemu złu jego kryjówkę.

– Łobuziakuuu... chyba cię widzę...

Nie, proszę, nie chcę, myślał, zaciskając małe piąstki. Serce biło mu tak mocno, jakby chciało wyrwać się z piersi. Szybki, płytki oddech odbijał się echem w małej zamkniętej przestrzeni, która – jak wierzył – po raz kolejny miała stać się jego azylem. Zabawa w chowanego zawsze kończyła się jednak tak samo. On w końcu go znajdował. Zaglądał pod łóżko albo uchylał drzwi szafy, a jego lubieżne oczy wbijały się w jego ciało niczym dwa świeżo naostrzone sztylety. W końcu owłosiona dłoń chwyciła go za przedramię i nie bacząc na protesty, wyciągała z kryjówki.

– A kuuuuuuuuuu!

Od tego momentu zaczynał się prawdziwy horror.

Rzucił się na łóżku, próbując krzyknąć, ale z jego ust wydobyło się jedynie kilka ledwo słyszalnych burknięć. Halucynacja nie chciała odejść, a on wciąż ścisnął go za przedramię i nie puszczał. Wtedy ciemność zaczęła szarzeć, a wraz z nią jego kipiąca pożądaniem twarz, która chwilę później zupełnie rozmyła się w słonecznym blasku.

– Dzień dobry.

Klama uniósł powieki. Obraz wciąż lekko wirował, nie był w stanie złapać ostrości, ale gdy tylko zrozumiał, że znów śnił koszmary, wrócił do nie mniej ponurej rzeczywistości. Omiótł spojrzeniem zarys nachylającej się nad nim postaci. Szybko się zorientował, gdzie się znajduje. To nie był pierwszy raz, kiedy budził się na szpitalnym łóżku.

– Dzień... dobry... – jęknął w odpowiedzi.

Pochylona nad nim młoda pielęgniarka uśmiechała się szeroko, odsłaniając rząd równych białych zębów.

– Cieszę się, że pan do nas wrócił. Nazywam się Maja Żurek i na tej zmianie będzie pan pod moją opieką – powiedziała, nie przestając się uśmiechać. Przez chwilę uważnie przyglądała się twarzy pacjenta. – Ktoś mocno pana poobijał, ale wyliże się pan. Na szczęście nie ma żadnych złamań ani krwotoków wewnętrznych. Za dwa, góra trzy dni powinien pan opuścić szpital. Czy czuje pan teraz silny ból?

Kiwnął głową, bo nie był w stanie wyartykułować słowa więcej. I nie dlatego, że nie mógł. Klamie było po prostu potwornie wstyd.

Pielęgniarka na chwilę zniknęła, po czym wróciła i z niespotykaną gracją zawiesiła na stojaku kolejny pojemnik z kroplówką. Wodził za nią wzrokiem, a z każdą kolejną sekundą rzeczywistość przytłaczała go coraz bardziej. Dlaczego znów musiał tak nawywijać? Dlaczego był takim skończonym idiotą? Czy życie naprawdę niczego go nie nauczyło? W pewnym momencie, gdy na chwilę zamknął powieki, a przed oczami stanęła mu uśmiechnięta twarz małej Weroniki, cały gnój z ostatnich kilkudziesięciu godzin wylał się na niego niczym płynny beton z gruszki betoniarki. Nie był w stanie zatrzymać łez, które bezwiednie pociekły mu po policzkach. Pomyślał, że jest potworem i nie zasługuje, aby żyć, że nie powinien się budzić. Chwycił jedną z rurek, które dostarczały mu tlen, po czym w akcie desperacji zerwał ją, a następnie odrzucił. Kardiomonитор zareagował natychmiast.

– Spokojnie, panie... Albo nie, proszę nic nie mówić. – Pielęgniarka usiadła i chwyciła go za rękę. Przedramię było posiniaczone i drżało, jakby pacjent znajdował się w stanie delirium. Odczekała chwilę i z powrotem zatknęła na miejsce rurkę z tlenem. Chwilę później sięgnęła po kubeczek z wodą. Wsunęła dłoń pod głowę chorego i delikatnie ją uniosła, a następnie przytknęła mu do ust naczynie.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziała kojącym głosem. – Jestem pewna, że ten, kto pana tak urządził, poniesie konsekwencje. Ale teraz proszę obiecać, że drugi raz pan tego nie robi. – Klama ledwo zauważalnie skinął głową, a gdy z kącików jego oczu popłynęły kolejne łzy, pielęgniarka położyła mu dłoń na czole. – Zgłoszę doktorowi, że pan się obudził. Zaraz powinien do pana przyjść.

Ja tymczasem muszę się zająć innymi pacjentami. Wie pan, jak to jest na stażu. Roboty co niemiara.

Już miała podnieść się z łóżka, gdy Klama złapał ją za fartuch.

– T-telefon – wydukał.

Maja Żurek zmarszczyła brwi.

– Powinien pan odpoczywać. Może...

– Proszę...

Młoda blondynka lekko wydeła usta, po czym sięgnęła do szuflady przy łóżku. Wyciągnęła komórkę, która wyglądała, jakby ktoś przejechał po niej czołgiem. Chcąc ułatwić podopiecznemu zadanie, spróbowała ją włączyć, ale urządzenie nie zareagowało.

– Albo jest zepsuty, albo trzeba go naładować. – Zerknęła na gniazdo ładowania. – Ma pan szczęście, że korzystam z podobnego modelu. Jeśli pan chce, mogę przynieść ładowarkę i spróbujemy go podłączyć.

– D-dziękuję...

Pielęgniarka posłała mu szczery uśmiech i wyszła z sali. Po niecałej minucie wróciła i podłączyła ładowarkę do kontaktu, a następnie wsunęła kabel do gniazdka w telefonie. Telefon zabrzączał jej w dłoni, a ikonka baterijki wskazała, że proces ładowania właśnie się rozpoczął.

– Solidne te samsungi – stwierdziła i wsunęła smartfona w dłoń pacjenta. Klama poczuł się jeszcze bardziej przytłoczony jej delikatnym dotykiem. Ta piękna dziewczyna miała w sobie tyle ciepła i życzliwości, że można byłoby nimi obdarować pół miasta. – Dałabym sobie rękę uciąć, że nie będzie działać, a tu proszę – dodała, znów serdecznie się uśmiechając.

– Nie... nie chciałbym, że...by pani rę...kę straciła. – Klama też spróbował się uśmiechnąć, ale zaraz jęknął z bólu.

– Pan to niech lepiej nic nie mówi i odpoczywa. Jest pan pod dobrą opieką. Obieca mi pan, że nie będzie długo rozmawiał?

Klama przytaknął i spojrzął na wyświetlacz. Niemal cały pokryty był gęstą siatką pęknięć i słabo reagował na dotyk. Dopiero po kilku próbach udało mu się zwolnić blokadę. Maja Żurek odeszła w stronę umywalki, by umyć ręce i przy okazji dać mu trochę prywatności. Klama wciąż czekał z wybraniem numeru, a gdy w końcu kobieta zrozumiała, że chce zostać sam, posłała mu ostatni uśmiech i wyszła, zamykając za sobą drzwi.

Kolejne pięć minut minęło błyskawicznie. Klama wahał się, czy zadzwonić najpierw do matki, czy zachować się jak mężczyzna i w końcu zrobić to, co należy. Odszukał numer, który zapisał lata temu, i po chwili namysłu wcisnął ikonkę zielonej słuchawki.

ROZDZIAŁ 33

— **N**o, to teraz spierdalaj do swoich. Ino chyžo, Mustafa, ino chyžo! Na dworze było już prawie całkiem jasno. Promienie słońca nieśmiało przebijały się przez konary drzew, zalewając łagodnym światłem przyleśny parking na jednej z wylotówek z Zielonej Góry. Szatan z nieskrywaną satysfakcją odprowadził wzrokiem Mustafę Ozalana, który odszedł kilkadziesiąt kroków, po czym wyciągnął z kieszeni telefon. Czy dzwonił po swoich ludzi? A może po taksówkę? W sumie gównu go to obchodziło, bo i tak w każdej chwili mógł zadzierzgnąć smycz.

Odchodząc, Ozalan nie odezwał się ani słowem. Rzucił mu tylko nienawistne spojrzenie i podreptał w kierunku obskurnych toalet, nie oglądając się za siebie. Wyglądał, jakby dopiero co opuścił obóz koncentracyjny. Jakby bardziej wychudzony, zgarbiony, zniszczony psychicznie i fizycznie, przypominał mu trochę zaszczutego psiaka, który trafił do schroniska po tym, jak został odebrany regularnie katującemu go właścicielowi.

Tak to jest, jak się zadziera z samym Szatanem, pomyślał nadkomisarz i splunął na ziemię. Wyrzucił w błoto niedopałek, po czym wsiadł do samochodu i włączył radio. Z głośników poniosł się głos dziennikarki zapowiadającej poranne wiadomości. Szatan westchnął, usłyszawszy o kolejnej aferze, w którą wplątał się jakiś polityk partii rządzącej. W myślach przeklął całe to towarzystwo i rzucił ostatnie spojrzenie na nerwowo kręcącego się przy linii drzew Mustafę. Chwilę później popuścił sprzęgło i lekko docisnął gaz. Koła zabuksowały w błotnistej brei, zanim złapały przyczepność.

W drodze do komendy myślał o tym, co zaszło. Spodziewał się, że odsuną go od sprawy, ale w sumie miał to gdzieś. Wiedział już wystarczająco dużo, aby udupić pół wydziału, jednak chwilowo postanowił nie reagować. Zamierzał przyjąć od Kurowskiego opierdol i wysłuchać jego tyrady o tym, że jest nieodpowiedzialny i że powinien pomyśleć o przejściu na emeryturę, bo inaczej skończy się na dyscyplinarce, a może i kolejnej sprawie wytoczonej przez Ozalanów. O ile rozważania dotyczące spraw stricte zawodowych mogły ostatecznie przyjąć różny przebieg, o tyle jakiegokolwiek akcje ze strony tureckiego

klanu w tej sytuacji nie miały racji bytu. Już on o to zadbał. Przypomniawszy sobie ten jakże przyjemny moment triumfu.

– Zatem, Mustafu Ozalanie... – zaczął, gdy już posadził mężczyznę w swojej piwnicy. Nie przeszkadzał mu roztaczany przez Turka smród, choć był doprawdy wyjątkowo odstręczający. – Od dziś będziesz mówił, robił, a nawet myślał tak, jak sobie tego zażyczymy. Czy mój niemiecki jest wystarczająco dobry?

Ozalan nie odpowiedział. Trząsł się jak osika, wydawał się zupełnie oderwany od rzeczywistości. Wspólnie z Karabiną przeprowadzili jednak kilka testów i wszystko wskazywało na to, że facet doskonale słyszy i rejestruje każde ich słowo. Przez następną godzinę wyłuszczyli mu wszystko krok po kroku. Od czasu do czasu jedynie przytakiwał, choć bywało, że musieli na nim wymusić reakcję. Tak naprawdę jednak Ozalan nie miał wyjścia, bo od momentu pojawienia się w chlewie gospodarza tego przybytku jego życie zostało zasadniczo przemodelowane.

– Ten film trafił już na kilkadziesiąt serwerów na całym świecie. Zostały zabezpieczone hasłem, które znam tylko ja i obecna tu koleżanka – tłumaczył Szatan. – Przygotowywałem się do tego blisko dwadzieścia lat, więc uwierz mi, trochę się na tym znam, choć może nie wyglądam. Jeśli w odpowiednim momencie nie wklepię długiego i niemożliwego do zhakowania ciągu cyfr, liter i znaków specjalnych, film zostanie rozesłany do wszystkich możliwych redakcji, począwszy od niemieckich, a skończywszy na tych z Madagaskaru. A ponieważ przez te wszystkie lata zdążyłem wyśledzić większość waszych partnerów biznesowych, nagranie trafi również na ich skrzynki pocztowe. Gdybym był bardzo, ale to bardzo złośliwy, zapytałbym cię też, jakie w twojej ocenie miałyby to konsekwencje, ale nie zapytam, choćby dlatego, że liczę na długą i owocną współpracę. Nie wyprzedzajmy jednak faktów. Pani Karabina?

Luta siedziała wygodnie w fotelu na wprost Ozalana i popijała mocną jak sam diabeł czarną kawę. Z jej twarzy nie można było wyczytać absolutnie nic. Tylko cienie pod oczami zdradzały ogromne zmęczenie.

– Panie Ozalan... – zaczęła, gdy odstawiła kubek. – To, co zaszło pomiędzy panami, nie interesuje mnie ani trochę. Interesuje mnie wyłącznie odzyskanie Weroniki. A że sytuacja zaszła już za daleko i pan, niekoniecznie świadomie, zdecydował się potraktować moją córkę jak towar ze sklepowej półki, to cóż... musiałam zareagować. – Przeciągnęła językiem po zębach. – Jak pan zapewne się domyśla, w moich żyłach płynie turecka krew. W związku z tym rozumiem pewne zależności, w tym te związane z religią i szeroko pojętą kulturą islamu, a co za tym idzie, także z odbiorem społecznym pewnych zachowań dotyczących kontaktów z trzodą chlewną, zwłaszcza zaś ze świniowatymi. Nie ukrywam, że nie byłam entuzjastką tego pomysłu, ale wobec pana niepoahamowanej arogancji względem

mojej osoby i zupełnie niepotrzebnych gróźb skierowanych w moim kierunku ostatecznie musiałam go zaaprobować. – Zamilkła na chwilę, aby upić kolejny łyk kawy. Kątem oka wychwyciła, jak przez twarz Ozalana przemknął nerwowy grymas. Nie miała wątpliwości, że już do końca życia każde wspomnienie o schabowym albo golonce będzie go przyprawiać o dreszcze. – Ale jeśli wywiąże się pan z naszej umowy, postaram się zapomnieć o tym, co się tu wydarzyło – podjęła. – Tak naprawdę chciałabym o tym nie pamiętać już teraz, ale... cóż... życie to nie bajka, panie Ozalan. Ktoś, kto pracuje w pana branży, powinien o tym wiedzieć najlepiej, prawda? Zatem powtórzmy wszystko jeszcze raz...

Ozalan prawie się nie odzywał, głównie przytakiwał, a gdy trzeba było powtórzyć, posłusznie powtarzał. Był blady, jakby z twarzy odpłynęła mu cała krew, jego oczy zdawały się puste, a on sam otepiały niczym zombie czekający na kolejne polecenia tego, kto odkopał go spod ziemi i otworzył wieko trumny. Żywy trup. Dokładnie tak wyglądał i Szatan miał tylko nadzieję, że facet nie postradał rozumu i będzie w stanie się pozbierać, a następnie zrobić to, czego od niego wymagano.

Pod komendą zaparkował równo o wpół do siódmej. O tej godzinie na korytarzach było jeszcze w miarę spokojnie. Kurowski nie pojawiał się w pracy wcześniej niż o ósmej, więc Szatan miał jeszcze sporo czasu. Zajrzał do stołówki, gdzie zamówił jajecznicę na boczku i dwa tosty, a to wszystko podlał mocną czarną kawą. Zjadł, wracając myślami do tamtych dwóch wspaniałych godzin w chlewie. Wspomnienia nie odebrały mu apetytu, wręcz go zaostrzyły, dlatego po jajecznicy i tostach zamówił drugą porcję. W pewnym momencie złapał się na tym, że szczyrzy się do płatów boczku, i wybuchnął niekontrolowanym śmiechem.

– Widzę, że humor i apetyt dziś panu dopisują, nadkomisarzu – rzuciła w jego kierunku stojąca za ladą Barbara Fręch. Była chyba jedyną pracownicą komendy, która pamiętała czasy komuny, dlatego znała tu wszystkich i wszystko wiedziała.

– Podobno śmiech to zdrowie – odparł Szatan, karcąc się w myślach. Niepotrzebnie ściągał na siebie niewygodne pytania.

– Pracuję tu od czasu, gdy obsikiwał pan krawężniki na wylotówkach z miasta, i chyba jeszcze nigdy nie widziałam pana w takim nastroju. – Fręch nie odpuszczała, a nawet trochę wychyliła się zza lady. – Dopadł pan jakiegoś seryjniaka? A może się pan zakochał?

– Przypomniał mi się dowcip – odparł, tym razem już bardziej oschle.

– Pan i dowcipy to jak ja i taniec na rurze. – Kobieta przeczesła dłonią marnie ułożone włosy.

Szatan stłumił kolejne parsknięcie. Lubił tę babkę, bo miała do siebie dystans jak stąd do Nowego Jorku i jako jedna z niewielu w komendzie zawsze była mu

przychylna.

– Pani to jest niemożliwa, wie pani o tym, pani Fręch?

– Wiadomix! – odparła, zaciągając po młodzieżowemu, i posłała mu uroczy uśmiech, po czym przystąpiła do obsługi dwójki młodych mundurowych.

Szatan dokończył posiłek i wytarł usta chusteczką. Przez chwilę się zastanawiał, czy w ogóle powinien iść do naczelnika. Wczoraj krótko po akcji nasłuchał się wystarczająco, aby sądzić, że tym razem nie skończy się na groźbach. Ale wspomnienie sponiewieranego Mustafy sprawiło, że znów uśmiechnął się pod wąsem. Dziś nikt, nawet ten chujek Kurowski, nie mógł mu zepsuć humoru.

Z tą myślą wstał od stołu i odniósł talerz do okienka. Barbara Fręch na odchodne puściła do niego oko, a Szatan – zupełnie nie w swoim stylu – posłał jej buziaka.

Ta kobieta przeżyje wszystko i wszystkich, stwierdził w duchu. Zwłaszcza że nadciąga fala zmian. A on osobiście zadba o to, aby ta fala zamieniła się w prawdziwe tsunami.

ROZDZIAŁ 34

— **M**amo, znalazłaś Werkę? – To były pierwsze słowa, które wypowiedział Franek, gdy tylko otworzył oczy.

Luta leżała obok niego, próbując nie myśleć o tym, co wydarzyło się ubiegłej nocy.

– Jeszcze nie, synku – odparła zgodnie z prawdą. – Ale mama robi wszystko, co w jej mocy. Werka już niedługo do nas wróci. Obiecuję.

– A kiedy?

– Nie wiem. Ale wróci na pewno.

Luta z zasady unikała składania obietnic. Wyjątkiem były dzieci, ale w tym wypadku robiła to z ciężkim sercem. Wszak czym innym była obietnica pójścia do kina czy na lody, a czym innym przyrzeczenie, że wyrwie siostrę Franka z łap zorganizowanej grupy przestępczej zajmującej się na co dzień handlem żywym towarem na hurtową skalę. Nie była w stanie mu tego wyjaśnić. Wciąż był za mały. Rozumiał już, czym jest zło, zdawał sobie sprawę, że po ulicach chodzą bandyci, którzy krzywdzą innych, a na świecie toczą się wojny, na których umierają ludzie. Wciąż żył jednak w swojej bańce, w której nie było miejsca na tego typu historie. Jego bezpośredni kontakt z mroczną stroną ludzkiej egzystencji ograniczał się do tej pory do opowieści o Babie-Jadze czy kontaktu z maskotką Huggy Wuggy, która w bajkach atakowała i pożerała dzieci, ewentualnie programów informacyjnych. I nawet jeśli kojarzył coś ponad to, to na pewno nie miał pojęcia o tym, że ten najbliższy mu świat potrafi być po stokroć bardziej przerażający niż najokropniejsza bajka czy strasząca z półki sklepowej maskotka.

– Zastrzelisz tych złych ludzi, co chcą zrobić krzywdę Werce? – Franek się nie poddawał.

– Zrobię to, co będzie trzeba. – Luta żałowała, że kilka miesięcy temu opowiedziała synkowi o tym, czym zajmowała się przed jego narodzinami. – A teraz chodź, umyjemy zęby i zrobię nam śniadanie.

Zegarek wskazywał szóstą pięćdziesiąt cztery. Gdy przyszła dwie godziny temu do domu, drzwi otworzyła jej matka. Twierdziła, że nie przespała ani minuty, i trudno było jej nie wierzyć, bo wyglądała jak chodząca śmierć. Rozczochrane

włosy, blada cera, wory pod oczami, trzęsące się dłonie. Bardziej przypominała wampirzycę niż całkiem atrakcyjną kobietę w kwiecie wieku.

– Powiedz mi coś, Lutka. Powiedz, proszę, czy...

– Nie, mam – ucięła stanowczo. – Nie będziemy o tym rozmawiać. Powiedz mi tylko, jak Franek, bo chcę się położyć.

Matka nie naciskała, bo znała córkę wystarczająco dobrze, aby wiedzieć, że to bezcelowe. Zdała jej więc krótką relację z ostatniego dnia. W jej ocenie Franek znosił całą tę sytuację całkiem dobrze, choć wyraźnie zamknął się w sobie i prawie cały czas spędzał z tabletem w dłoni, a na jakiegokolwiek próby namówienia go do wyjścia na dwór albo zagrania w planszówkę reagował agresywnie albo w ogóle. Nie był to najlepszy znak, ale biorąc pod uwagę okoliczności, najwyraźniej rzeczywiście trzymał się dzielnie. Kładąc się obok niego, zastanawiała się, jak powinna postąpić i czy choć ogłędnie wytłumaczyć mu, co tak naprawdę się dzieje. W końcu uznała, że choć jest już na tyle duży, że pewne sprawy byłby w stanie zrozumieć, nie zrobi tego, choćby dlatego, aby samej się przy nim nie rozkleić. Bo nawet jeśli przestawiła się na tryb wojenny i bez mrugnięcia okiem mogła podrzynać gardła, w głębi duszy czuła, że sytuacja zaczyna ją przerastać.

Luta niespiesznie zrobiła jajecznicę na fuce. Tę recepturę zapożyczyła od Damiana, kilka lat młodszego kolegi z pracy, który najbardziej pomógł jej w pierwszych dniach na platformach wiertniczych. Franek i Werka też bardzo polubili hiszpański przysmak. Długa, ręcznie wyrabiana kiełbasa wywodziła się z Katalonii i miała niepowtarzalny smak – lekko pikantna, ale przy tym słodka, z dodatkiem czosnku, goździków i kolendry w jej ocenie była zdecydowanie smaczniejszym dodatkiem niż tak popularny w Polsce boczek.

Śniadanie zjedli ze smakiem, unikając tematu porwania Weroniki. Franek nawet wylizał talerz.

– Czy babcia cię tu głodzi? – zapytała, siląc się na uśmiech.

– Oj tam, zaraz głodzi – obruszyła się Krystyna. – Franek to po prostu niejadek. Gdybym wiedziała, że tak lubi tego całego fueta czy jak to się tam zowie, to też bym mu przyrządziła.

Mniej więcej na tyle starczyło im zapału do żartów, bo chwilę później Franek znów zmarkotniał. Spojrzawszy w ekran telewizora, Luta od razu zrozumiała, że przypomniał sobie o siostrze. Akurat zaczynała się ulubiona bajka Werki *Blue* – o rodzinie piesków. Córka zawsze odgrywała rolę mniejszego Bingo, Franek lubił się wcielać w tytułowego Blue. Nie była w stanie zliczyć, ile razy wspólnie z dziećmi oglądała przygody psiaków, a potem na prośbę Werki starali się przenosić pomysły twórców na swój własny grunt. Poczuła, że jej też oczy lekko wilgotnieją, dlatego chwyciła talerze i mimo protestów matki pospiesznie

zanosła je do kuchni. Miała ochotę trzasnąć nimi o zlew, ale odłożyła je i mocno chwyciła się blatu. Zaciśnęła powieki z całej siły, głośno przełykając ślinę.

– Musi się udać – wycodziła przez zęby do samej siebie.

– Co musi się udać? – Franek zmateriałizował się za jej plecami niczym duch. Nie była w stanie tego wyjaśnić, bo zwykle słyszała najdrobniejszy szmer.

Zaskoczona, nie odpowiedziała, tylko przytuliła synka do siebie, a wolną ręką dyskretnie wytarła łzę, która urwała się z kącika prawego oka.

– Dzisiaj też jedziesz ratować Wercię? – wymruczał Franek w jej brzuch.

– Tak – odparła. Nie miała siły na wymyślanie kolejnych wymijających odpowiedzi.

– A kiedy?

– Wkrótce, synku. Wkrótce pojedę i ją przywiozę.

– I zabijesz tego pana, który ją porwał? – Chłopiec podniósł wzrok, aby spojrzeć jej w oczy. – Bo ja bardzo bym chciał, żebyś go zabiła. Bo to jest chuj!

– Franek... – Luta w pierwszej chwili chciała podnieść głos, jednak zmieniła zdanie. Nigdy wcześniej nie słyszała, żeby syn używał wulgaryzmów, ale przecież dzieciom w jego wieku przekleństwa nie są obce. Pomyślała, że przynajmniej celnie trafił.

Pogłaskała go po głowie i przykucnęła, aby ich twarze znalazły się na tym samym poziomie. Westchnęła.

– Zrobię, co będzie trzeba, synku. A ty obiecaj, że nie będziesz więcej używał takich słów, okej?

– Ale przecież mówię prawdę. Ten facet to chuj. I to zbolały. Chuj zbolały.

W innych okolicznościach Luta pewnie parsknęłaby śmiechem. Skąd Franek znał takie zwroty? Pomyślała, że gdy to wszystko się skończy, będzie musiała skontrolować jego tablet. Wprawdzie ojciec chłopca już jakiś czas temu miał założyć odpowiednie blokady, ale nauczona doświadczeniem nie do końca mu ufała. Właśnie, Szymon, pomyślała. Musiała do niego zadzwonić. Od dłuższego czasu próbował się z nią skontaktować, jednak ona ignorowała niemal wszystkie połączenia przychodzące na numer, którym posługiwała się na co dzień.

– Masz rację. Ten facet to chuj zbolały – odparła w końcu, mierzwiąc palcami gęstą czarną czuprynę syna. – Ale obiecaj mi, że przy babci nigdy nie będziesz tak mówić.

– Już mówiłem. Mówiłem też...

– Dobra, wystarczy – przerwała, tym razem bardziej stanowczo. – Nie chcę tego słyszeć. Z babcią sama sobie porozmawiam. A teraz ubieraj się, zawiozę cię do taty. Ja muszę się z kimś zobaczyć.

Na wszelki wypadek zadzwoniła do Szymona. Odebrał po pierwszym sygnale. Umówili się za pół godziny w jego mieszkaniu. W drodze na osiedle Przyjaźni

Luty nie opuszczało wrażenie, że z babcią Franek był mniej bezpieczny. I nawet jeśli jego ojciec zwykle był nieznośny i nieodpowiedzialny, podskórnie czuła, że w tej sytuacji będzie lepiej, jeśli to on zajmie się chłopcem.

Po kilkunastominutowej przeprawie z byłym mężem, pełnej niepotrzebnych i wielkich słów, wsiadła z powrotem do samochodu i pojechała w miejsce, z którego wcześniej zabrała swój zestaw małego majsterkowicza. Tak się składało, że oprócz tegoż zestawu przez lata służby za namową kolegów z jednostki zbierała tam kilka innych mniej lub bardziej przydatnych zabawek. „Na wszelki wypadek”, mówili, a ona trochę z tego żartowała. „To nie amerykański film”, odpowiadała. Ale na urodziny czy po udanej akcji i tak dawali jej prezenty. Z czasem, gdy wysłużyła swoje i dotarło do niej, jak bardzo popieprzony jest ten świat, sama zaczęła zapełniać kolejne półki. „Tak na wszelki wypadek”, powtarzała słowa kolegów.

Dzisiejszego wieczoru wszystkie swoje zabawki wolała mieć przy sobie.

ROZDZIAŁ 35

Gdy Mustafa Ozalan dotarł do swojej firmy, słońce stało już wysoko na niebie, a jego promienie powoli osuszały kałuże po wczorajszej ulewie. Zapłacił taksówkarzowi i zamknął za sobą drzwi. Cuchnął jak wieprz. Wcześniej nie miał pojęcia, jak śmierdzi stary knur, choć czasem używał takiego sformułowania wobec tych, którzy najbardziej zaszli mu za skórę. Najgorszą obelgą, jaką można było skierować pod adresem drugiego muzułmanina, było właśnie porównanie do świni. Teraz już wiedział, co znaczą te słowa. Poczuł to bardzo dogłębnie.

Przez całą drogę marzył tylko o tym, aby się wypróżnić i wziąć prysznic. Dwukrotnie musiał się zatrzymać przy drodze, aby zwymiotować, przez co taksówkarz omal nie wyrzucił go z samochodu. Zgodził się dowieźć Ozalana do firmy tylko dlatego, że ten wcisnął mu w rękę trzysta euro. To było takie poniżające, żeby jakiś podstarzały brzuchaty Polaczek targował się z nim jak z parszywym bezdomnym, ba, gorzej! – jakby był jakimś odstręczającym, zarobaczonym zwierzęciem, brudnym, obleśnym i cuchnącym. Tylko czy nie taka była prawda? Czy po tym wszystkim nie stał się właśnie taką plugawą bestią? Czy w ogóle będzie w stanie zmyć z siebie ten brud? Czuł go całym sobą, niemal transcendentnie, jakby był nim oblepiony od stóp do głów, jakby ten wżarł się w jego ciało, zespolił się z nim i miał w nim pozostać już na zawsze. Ta świadomość sprawiła, że jego organizm zbuntował się po raz kolejny i Mustafa musiał ponownie opróżnić trzewia pod bramą. Wytarł ręką usta, rozglądając się dookoła. Na szczęście oddalona od reszty zabudowań działka, na której znajdowała się szwalnia, była zamknięta na cztery spusty i ogrodzona policyjną taśmą. Jedynymi świadkami okazały się skaczące w kałużach wróble i przechadzające się po dachu gołębie.

Zerwał taśmę i pchnął bramę, po czym, zaciskając uda, wszedł do budynku. W korytarzu nieco przyspieszył kroku. Kątem oka dostrzegł ciała swoich ludzi. Leżały w hali, pod ścianą, w kałuży krwi. Jeszcze nie cuchnęły, ale wokół nich już zaczęły się gromadzić muchy. Ten widok sprawił, że w jego żołądku znów niebezpiecznie zaburczało, dlatego przyspieszył jeszcze bardziej. Gdy w końcu

ostatkiem sił dobiegł do swojego biura, wpadł prosto do łazienki. Wypróżnił się, łkając, a gdy skończył, wszedł pod prysznic i przez blisko godzinę szorował każdy centymetr swojego ciała. Po wyjściu wytarł się, włożył majtki i nastawił kawę. Położył się na skórzanej sofie, lecz po chwili wahania wstał i podszedł do barku. Spośród szeregu butelek wysokogatunkowych alkoholi wybrał whisky. Nalał sobie pół szklanki i wypił duszkiem, czując, jak alkohol boleśnie odkaża drobne ranki w okolicy ust i podniebienia. Zakrztusił się i omal nie zwymiotował, mimo to nalał sobie kolejną porcję. Miał gdzieś religijne zakazy. Od kilku godzin już nie był godzin dostąpienia zbawienia. Cokolwiek by zrobił w ciągu reszty swojego życia, brama raju i tak była przed nim zatrzaśnięta.

Po wypiciu trzeciej kolejki roztrzaskał pustą szklankę o ścianę. Szkło rozprysnęło się w drobny mak, pozostawiając na białej powierzchni kilka bursztynowych kropli.

– Neeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeee! – wydarł się, czując, jak ból niemal rozrywa mu struny głosowe. – Nie! Nie! Neeeeeeeeee! – powtórzył jeszcze kilka razy, po czym opadł na kolana i skulił się do pozycji embrionalnej.

Gdy się obudził, zegarek wskazywał dziesiątą trzy. A ponieważ koszmarne wspomnienia uderzyły go z całą mocą, znów poszedł się wypróżnić, a następnie wziął gorący prysznic. Przed południem wmusił w siebie jogurt i wypalił kilka papierosów. Dłonie nie przestawały mu drżeć, myśli kotłowały się w głowie jak w bulgoczącym garze. Gdy tylko zamykał powieki, widział umorusany ryj Władymira.

W końcu sięgnął po telefon. Zawahał się i podszedł do okna. Na zewnątrz nie było żywej duszy, nie licząc przechadzającego się za płotem starszego mężczyzny z psem. W pewnym momencie facet zatrzymał się i przez dłuższą chwilę z zaciekawieniem obserwował teren szwalni, ale gdy pies po wysikaniu się na wąskim trawniku oddzielającym chodnik od ulicy podjął dalszą wędrówkę, jego właściciel dziarskim krokiem ruszył za nim.

Mustafa uniósł górną wargę w grymasie pogardy. Nienawidził go, nienawidził wszystkich, a teraz nienawidził nawet samego siebie. Przez moment czuł taki gniew, że miał ochotę roztrzaskać telefon tak jak szklankę po whisky, ale zdołał się opanować. Musiał zacząć myśleć pragmatycznie. Co się stało, już się nie odstanie. Nie mógł cofnąć czasu. Nie miał takiej mocy. Żadne pieniądze nie były w stanie zmienić tego, co zaszło w tym obskurnym chlewie. Miał dwa wyjścia: albo strzelić sobie w łeb, albo wykonać ten pierdolony telefon. Nagle ta pierwsza opcja stała się niezwykle kusząca. Tylko co wtedy? Nie był aż tak religijny jak ojciec, ale nie mógł też jednoznacznie stwierdzić, że Boga nie ma. Nigdy się nad tym specjalnie nie zastanawiał, bo też nigdy nie przeszło mu przez myśl, że znajdzie się w takiej sytuacji. Po prostu żył i robił swoje. Nie grzeszył, bo niby

czym? Allah przecież dopuszczał zniewolenie niewiernych, handel nimi, wykorzystywanie do wszelakich celów. Miały zaspokajać jego potrzeby, choćby te najbardziej wyuzdane. Nie były ludźmi, a jedynie rzeczami, które mógł kupić, sprzedać albo wyrzucić do kosza, jeśli uznał, że nie zasługują na więcej. Jedynym grzechem, jaki przychodził mu do głowy, były nieczyste myśli w stosunku do ojca. Ale to były tylko myśli, których nigdy nie wprowadził w czyn. Słuchał go, wypełniał jego polecenia, szanował klanową krew. Ale teraz? Jak by wyglądał, gdyby trafił przed oblicze Boga tak potwornie zbrukany?

Wyciągnął z sejfu pistolet. Nagle wydał mu się on nienaturalnie ciężki. Obrócił broń w dłoniach, włożył magazynek i przeładował. Wycelował w znikającego na horyzoncie mężczyznę z psem. Przeszło mu przez myśl, że może jeszcze ma szansę na odkupienie. Męczennicy zawsze trafiają prosto do raju. Ale czy gdyby zabił wystarczającą liczbę niewiernych, Bóg zapomniałby o tym, co wydarzyło się w chlewie? Dlaczego w ogóle na to pozwolił?

Nawet gdyby trafił do raju, wszyscy święci i tak śmialiby się z niego do rozpuku. Mógłby osobiście wyrznąć pół Europy, a oni rechotaliby dalej. Był splugawiony i zhańbiony po wsze czasy. Dlatego musiał żyć. Musiał udawać, że nic się nie stało. Musiał do końca swoich parszywych dni chodzić na smyczy tego polskiego gliniarza i półkrwi wiedźmy. Jak, kurwa jego mać, mógł do tego dopuścić?!

Odłożył broń, podszedł do barku i nalał sobie jeszcze jedną porcję whisky. Wypił do dna. Tym razem alkohol spłynął przez gardło łagodniej. Wytarł usta i zapalił papierosa, po czym usiadł na sofie i wyciągnął smartfon. Wybrał numer.

– Ojcie – pominął tradycyjne powitanie.

– Synu. Czy... – W tonie Hakana Ozalana dało się wyczuć nutę podejrzliwości. Tak jakby już wszystko wiedział. Jakby tylko czekał, aby go sponiewierać, a następnie ukarać za hańbę, jaką sprowadził na jego ród.

Mustafa zacisnął zęby. Jego wahanie trwało o ułamek sekundy za długo.

– Pojawił się problem, ojcie – rzucił z największą stanowczością, na jaką było go stać.

– Musi być duży, skoro dzwonisz do mnie. I przerywasz mi w pół słowa...

Głośno przełknął ślinę. Ojciec w stosunku do wszystkich swoich synów zawsze był wymagający i surowy, ale najmłodszy potomek miał wrażenie, że od niego wymaga najwięcej. Słowo „problem” też nie należało do ulubionych słów seniora rodu.

– Nasz kontrahent zrobił coś, za co musi odpowiedzieć.

– Cóż to takiego, synu?

– Wczoraj w nocy wysłał zabójców. Zasadzili się na nas, gdy wróciliśmy z komendy po nalocie na szwalnię. Czterech moich ludzi nie żyje. Leżą w hali z podezrniętymi gardłami. Ja jedyny zdołałem umknąć.

– Hmm...

– Przepraszam, ojcze...

Nastała długa, nieznośna cisza. Milczenie ojca nigdy nie zwiastowało niczego dobrego. Gdy nie mówił, myślał, a gdy myślał, prędzej czy później musiał powiedzieć coś, co zaboli. Dla Mustafy to była istna tortura.

– Czy miał ku temu jakiś powód?

– Nie, ojcze.

– Hmm...

Kolejne sekundy ciągnęły się, jakby ktoś wsypał piach w trybiki zegara. Mustafa najbardziej stresował się tym, że ojciec osobiście zadzwoni do Majskiego i wypyta go o powód tej niedorzecznej napaści. Miał jednak nadzieję, że tak się nie stanie. Wątpił w to, bo wielki Hakan Ozalan był na to zbyt dumny, ale nie mógł tego całkowicie wykluczyć. Poza tym to by oznaczało, że nie ufa własnemu synowi, a to właśnie na zaufaniu do rodziny zbudowana była potęga klanu.

– Dowiesz się tego osobiście, Mustafu – zarządził wreszcie senior tonem, który mógłby zmrozić samo piekło. Mustafa odetchnął. – Ilu potrzebujesz ludzi?

– Dziesięciu.

– Zatem jeszcze dziś wyślę ci dziesięciu moich ludzi. Umówisz się na spotkanie z Majskim i dowiesz, dlaczego dopuścił się tego barbarzyńskiego ataku.

– Dziękuję, ojcze. Nie zawiodę cię, ojcze.

– Akcję będzie koordynował Yusuf.

– Ale... – Mustafa poczuł, jak zalewa go zimny pot. Yusuf był jego przyrodnim bratem, drugim po pierworodnym, nieżyjącym już Keremie, synem Hakana. Powiedzieć, że wykonywał dla klanu czarną robotę, to nic nie powiedzieć. Jego okrucieństwo nie znało granic, a znakiem rozpoznawczym było torturowanie poprzez powolne mielenie w maszynie do mięsa. Kiedyś, gdy Mustafa był jeszcze podrostkiem, ojciec kazał mu na to patrzeć. To miało go zahartować, jak wszystkich pozostałych synów.

– Myślałem, że będę mógł osobiście dopil...

– Rzekłem. – To słowo wybrzmiało niczym grom. Potężny, gniewny, bezlitosny. Nie pozostawiało żadnych wątpliwości, że decyzja została podjęta, a rozmowa dobiegła końca.

– Tak jest, ojcze. Przepraszam, ojcze – pokajał się Mustafa. – Kiedy mogę się spodziewać przyjazdu Yusufa?

– Niedługo.

– Dziękuję, ojcze.

Chwilę później Hakan Ozalan się rozłączył. Mustafa odetchnął z ulgą, ale już po kilku sekundach ponura rzeczywistość przygniotła go niczym tona gruzu. Owszem, spodziewał się, że ojciec może być dla niego surowy, ale wierzył, że pozwoli mu dopilnować spraw osobiście. Obecność Yusufa poważnie komplikowała sprawę, bo było oczywiste, że wszystko, co się wydarzy albo się nie wydarzy, zostanie przekazane dalej, a następnie skrupulatnie przeanalizowane na forum rodziny. Starszy brat miał ogromne doświadczenie w wyciąganiu od ludzi prawdy i jeśli dostał od ojca rozkaz, aby przed wymierzeniem sprawiedliwości wyciągnąć ją od Aleksandra czy Cyryła Majskich, to wyciągnie ją na pewno. Co wtedy? Co jeśli się okaże, że Majscy nie mieli nic wspólnego z atakiem w szwalni? A to przecież jeszcze nic. Yusuf mógł zauważyć niespójność w zachowaniu brata. Efekty takiej traumy trudno będzie ukryć. Chwila zawahania, jeden błąd i zaczną się niewygodne pytania, jeszcze zanim opuszczą szwalnię.

Mustafa zaklął szpetnie. Prawda nie mogła wyjść na jaw. Nigdy, przenigdy. Spojrzał na zegarek, a potem jego wzrok spoczął na leżącym na ławie pistolecie. Ta opcja znów wydała mu się niezwykle kusząca. Przez chwilę wpatrywał się tępo w kawał żelastwa, po czym sięgnął po telefon i odszukał numer Aleksandra Majskiego.

Wtedy przez głowę przemknęła mu pewna myśl. Poczł nagły zastrzyk adrenaliny. Ta myśl była co najmniej równie kusząca, jak wyprawa w nieznane.

ROZDZIAŁ 36

Wprzestronnym gabinecie na najwyższym piętrze budynku MajskiCorp atmosferę można było kroić nożem. Cyryl krążył od ściany do ściany niczym dziki zwierz w klatce. Pomimo prężnie pracujących klimatyzatorów koszula kleiła mu się do pleców. Na szczęście zdążył się pozbyć marynarki i poluzować krawat. Trzy wypite duszkiem szklaneczki macallana też nie zdołały poprawić mu nastroju.

– I co ty chcesz teraz zrobić z tym bajzłem? – zwrócił się do syna.

Na twarzy Aleksandra nie widać było nerwowości. Mościł się w obitym skórą fotelu ze szklaneczką whisky w dłoni.

– To tylko drobne problemy z logistyką – odparł niemal beztróskim tonem. –

Towar dotrze do odbiorcy z lekkim opóźnieniem. Takie rzeczy się zdarzają. Uważam, że nie powinniśmy panikować, tylko odczekać kilka dni, aż kurz opadnie, a następnie wrócić do prowadzenia interesów. *Business as usual*, jak to mówią na Zachodzie.

– A jak ty sobie wyobrażasz ten *business as usual*? – Cyryl przystanął i zmierzył syna surowym spojrzeniem. – Te jebane pismaki już zaczęły węszyć. Widziałeś dzisiejsze gazety? Wszędzie pierdolą tylko o tym nalocie. I chuj, że nikogo nie znaleźli. Fama poszła i Ozalanowie się wkurwią. To pewne jak w banku. Tylko tego by brakowało, aby wysłali tutaj swojego człowieka. Chcesz mu się tłumaczyć? Z Szatana? Z tego debila Poziomy? Ozalanowie prędzej czy później się dowiedzą, bo niczego, kurwa, niczego nie zostawiają przypadkowi! A wiesz czemu?

– Nie mówisz mi tego...

– Bo mogą wszystko. Dlatego są tak potężni, bo kontrolują absolutnie wszystko, a najdrobniejsze problemy tłamszą w zarodku. I wiesz co? Teraz myślą, że to my staliśmy się problemem, bo dałeś się podejść temu zapijaczonemu łachmaniarzowi. Do tego jeszcze ta cała... jak ona ma?

– Karabina.

– No właśnie, Karabina. Do tego jeszcze półkwi Turczynka! To przez tę jej smarkulę wszystko się wysypało. Noż kurwa mać, Aleks! Pismaki będą miały

takie używanie, że... – Majski aż się zapowietrzył z nerwów. – No, kurwa, nie dadzą nam żyć. Jeśli któryś z nich zacznie łączyć kropki, to tak nam dopierdolą, że zdmuchną MajskiCorp jak domek z kart.

– Uważam, że wyolbrzymiasz i nadinterpretujesz fakty.

– Że co robię? – Majski spiorunował syna wzrokiem. – Pomyśl! Jak to będzie wyglądać, gdy przyjedzie tu taki Turas z obstawą, a jakiś pismak zrobi im zdjęcie pod MajskiCorp? No, kurwa, jak?!

– Nie pozwolimy na to. W ostateczności zrobimy to co zawsze. Zastraszymy albo...

– No co, kurwa?! Zabijemy? To chciałeś powiedzieć? Chcesz kolejnych trupów? Polska to nie Rosja, Aleks! Tu nie można bezkarnie zabijać dziennikarzy. Nie da się zamknąć ust każdemu.

– Już moja w tym głowa, aby takie materiały nigdy nie ujrzały światła dziennego.

– To utopia. A ja nie mogę mieć w mieście kolejnych trupów. MajskiCorp zawsze działał po cichu i tylko dzięki temu jestem tym, kim jestem. Przez to, co się stało, nie mam zamiaru tego zmieniać. Za niecały rok wybory, na dniach rusza kampania. Jak ja mam funkcjonować w takiej atmosferze? Pismaki rozszarpia mnie przy pierwszej okazji.

Sytuacja rzeczywiście była kiepska. Aleksander zdawał sobie sprawę, że nawalił. Szatan w jakiś sposób go wyśledził i jeśli wysłał wiadomość do Kurowskiego, to najprawdopodobniej był na miejscu i widział, co zaszło na terenie dziupli w Uradzie. Tylko dzięki temu, że naczelnik od lat brał w łapę, on zdążył zareagować i nie wysłał transportu do szwalni Ozalanów. Kurowski musiał jednak zareagować, bo nie mógł mieć pewności, że wiadomość od Szatana trafiła tylko do niego, stąd policyjny nalot. Policja oczywiście niczego w szwalni nie znalazła, a Ozalanowie po kilku godzinach zostali wypuszczeni na wolność. Smród jednak pozostał, zwłaszcza że od lat nikt nie przeszkadzał im w prowadzeniu biznesu, bo cała lokalna policja siedziała u nich w kieszeni. Jak zareagują na to, co się wydarzyło? Gdyby dopisało mu szczęście, mogliby podejść do tematu ze zrozumieniem, wszak ta branża jest obarczona większą niż przeciętna liczbą niespodziewanych wydarzeń. Mogli też trochę pomarudzić i zawalczyć o dodatkowe rabaty przy kolejnych dostawach, co w ocenie Aleksandra wydawało się najbardziej prawdopodobne. W najgorszym wypadku mogli się wkurwić i zablokować dostawy na jakiś czas, ale tak naprawdę nikomu na tym nie zależało, bo każdy chciał zarabiać pieniądze. Co w tej sytuacji było najbardziej niepokojące? Ano to, że do tej pory Ozalanowie nie odezwali się słowem. Niby od policyjnego nalotu na ich szwalnię nie minęły nawet dwie doby, mimo to ich milczenie wydawało się co najmniej dziwne.

– Czy Ozalanowie już się do ciebie odezwali? – zapytał Cyryl, jakby czytał synowi w myślach.

– Jeszcze nie.

– Uważam, że powinieneś zadzwonić do Mustafy. To muzułmanie. Inaczej patrzą na świat i jeszcze są w stanie odebrać nasze milczenie jako afront.

– Dostali cynk o nalocie. To chyba wystarczający dowód naszego uznania i szacunku.

– To żaden dowód. Trzeba zminimalizować straty. Ile wart jest ostatni transport?

– Osiemnaście kobiet i czwórka dzieci. Umówiłem się na dwieście pięćdziesiąt tysięcy euro.

– Zatem jeśli będzie trzeba, oddasz im towar za połowę ceny. Tak szybko, jak to możliwe.

– To nie brzmi najlepiej, tato. Nie możemy ich przyzwyczajać do...

– Bez dyskusji. Zrobisz, jak mówię.

– Uważam, że...

– Bez dyskusji, powiedziałem!

Cyryl Majski nalał sobie z karafki kolejną porcję macallana. Odetchnął, gdy alkohol spłynął mu do żołądka. Nie podobało mu się podejście syna. Aleksander zdawał się zuchwały, arogancki, a nawet bezczelny. Wydał na jego edukację nieprzebrane pieniądze, mimo to miał wrażenie, że chłopak nie nauczył się prawie niczego. Spojrzał na syna, który chwilowo zatopił się w swoim smartfonie. Może popełnił błąd? Pozwolił mu na zbyt wiele? Aleksander bez wątplenia miał wiele cech, które przydawały się w prowadzeniu takiego biznesu, ale ostatnie wydarzenia ujawniły też długą listę takich, które na tym poziomie były nieakceptowalne. Miał wrażenie, że ambicja momentami przysłańca mu prawdziwy obraz świata. Majscy może i na swoim podwórku byli mocni, ale w porównaniu z Ozalanami czy Tuchmanowami nie znaczyli nic albo prawie nic. Od jednych i drugich byli uzależnieni w takim stopniu, że strata zaufania partnera albo wejście z nim w konflikt mogło się dla nich skończyć fatalnie. Może gdyby w końcu trafił na Wiejską, ich pozycja by się wzmocniła, ale na razie musiał być ostrożny i czujny jak ważka. Jakikolwiek zatarg czy choćby drobne nieporozumienie z Ozalanami nie wchodziło w grę.

– Potrzebuję pomyśleć – oznajmił dyplomatycznie. – Ogarnij ten temat. Tylko tym razem zrób to, jak należy.

– Okej. – Aleksander wychylił resztkę whisky i podniósł się z fotela. Schował telefon do kieszeni marynarki.

– I jeszcze coś...

– Tak?

– Ten cały Pozioma. Pozbądź się tego idioty. To od niego i tych jego debilnych pomysłów wszystko się zaczęło.

– Mówiłeś, że nie chcesz więcej trupów.

– Dla niego możesz zrobić wyjątek. I zrób to tak, żeby pozbyć się ciała...

Ojciec nie musiał dodawać nic więcej. Od lat mieli swój sposób na pozbywanie się ludzkich zwłok. Może nie był zbyt finezyjny, ale skuteczny, wszak nikt nigdy nie zaglądał do żołądków tuczników, które kilka miesięcy później same trafiały pod nóż, a potem na sklepowe półki.

Aleksander opuścił gabinet Cyryla, skinął piersiastej sekretarce, kochance ojca, i skierował się do windy. Zjechał na parter. Równie atrakcyjną portierkę, też kochankę ojca, zignorował, podobnie jak dwóch pilnujących holu strażników, po czym wyszedł z klimatyzowanego budynku na nagrany słońcem parking.

Na zewnątrz panował straszny skwar. Niedawna burza przywiała antycyklon znad Afryki i w kraju zrobiło się potwornie gorąco. Na niebie żadnej chmury, tylko lejący się żar. Świetlne refleksy przemykające po karoseriach zaparkowanych samochodów raziły go i upewniały, że w jego własnym bez wątpienia panuje nieznośna temperatura. Nie mylił się. Majski wszedł do swojego auta, odpalił silnik i od razu włączył klimatyzację. Chłodny podmuch sprawił, że zrobiło się odrobinę przyjemniej. Odetchnął i zaczął się zastanawiać, dokąd powinien się udać, aby w jak najbardziej sprzyjających warunkach porozmawiać z Mustafą Ozalanem. Przeszło mu przez myśl, żeby po prostu pojechać do niego, ale szybko zrezygnował z tego pomysłu. Wolał nie ryzykować, że zostanie nakryty w jego towarzystwie, zwłaszcza że dziennikarze – a być może i policja – od kilku dni byli w trybie czuwania.

Ta myśl sprawiła, że rozejrzał się po parkingu. Teren był ogrodzony, a w budce przy bramie siedział odźwierny. Nic nie wzbudziło jego podejrzeń. Nagle poczuł głód. Od rana prawie nic nie jadł, a nie lubił prowadzić interesów z pustym żołądkiem. Przez chwilę rozpatrywał, czy nie wrócić do głównego budynku i nie zjeść czegoś w firmowej restauracji, ale ostatecznie postanowił, że pojedzie do domu i po drodze zamówi coś na wynos. Dziś nie potrzebował wymyślnych dań, wystarczyła dobra pizza, aby napchać żołądek. Gdy zje, zadzwoni do Mustafy.

Jego plan spalił na panewce.

Spojrzał na wyświetlacz smartfona, który nagle rozdzwonił się w kieszeni marynarki. Zaklął w myślach i po chwili wahania odebrał.

– *Salam alejkum*, panie Ozalan – przywitał się.

– *Alejkum salam*.

Majski nie znosił tego impertynenckiego tonu. Mustafa nigdy nie zwracał się do niego per „pan”, mimo że on robił to za każdym razem. Nastąpiła chwila nieznośnej ciszy.

– Właśnie miałem do pana dzwonić, panie Ozalan – przerwał ją w końcu Aleksander. – Uważam, że musimy się rozmówić i wyjaśnić pewne kwestie dotyczące naszej dalszej współpracy.

– Wspaniale to słyszeć, bo dzwonię właśnie w tej sprawie. Moi klienci bardzo się niecierpliwiają, dlatego chciałbym odebrać zamówienie.

Jeśli Majski spodziewał się nieprzyjemności, to miło się rozczarował. Słowa Turka brzmiały konkretnie i w zasadzie rozwiązywały wszystkie jego problemy.

– Oczywiście. Jestem gotów dostarczyć towar w każde miejsce na terenie kraju, choć chciałbym zauważyć, że w tym momencie ryzyko jest znaczne, a cała operacja może być bardziej skomplikowana logistycznie. W żadnym wypadku nie chciałbym narażać pana na niedogodności, jeśli jednak...

– Chciałbym przyjechać jeszcze dziś – wtrącił się Ozalan. – Proszę wskazać miejsce, gdzie mam się zjawić.

– Jeszcze dziś? – Majski nie był pewny, czy dobrze zrozumiał.

– Najlepiej o północy. Z dala od miasta. Lokalizacja ma być bezpieczna, blisko autostrady A2. Nie chcemy więcej kłopotów.

Aleksander uśmiechnął się pod nosem. W końcu Mustafa mówił do rzeczy.

– W takim razie jesteśmy umówieni. Wkrótce wyślę panu dokładne namiary, panie Ozalan.

– Czekam.

Połączenie zostało przerwane, a Majski jeszcze przez chwilę z niedowierzaniem wpatrywał się w wyświetlacz. Nagle poczuł przypływ niepokoju, a w jego głowie zapaliła się czerwona lampka. To nie było w stylu Ozalanów. Turcy nie prowadzili w ten sposób interesów. I ten ton głosu. Nie pasował do tego aroganta. Nie było w nim tej specyficznej mieszanki pogardy i lekceważenia, której tak nienawidził, choć musiał znosić. Tutaj grała inna nuta. Tylko jaka?

Kiedy Aleksander Majski się nad tym zastanawiał, Yusuf Ozalan na jednej z ulic berlińskiego Neukolln właśnie wsiadał do swojego błyszczącego SUV-a, Zygmunt Szatan – zawieszony w czynnościach służbowych – z uśmiechem na ustach opuszczał komendę, a Lutoslawa Karabina kończyła na działce przegląd swoich szpargałów. Jej uzbrojona kamizelka taktyczna wciąż pasowała jak ulał i choć dawno jej nie nosiła, a pęknięte lustro nieco burzyło efekt, w mig pojęła, jak bardzo się stęskniła za tym widokiem.

Wbiła spojrzenie w swoje zniekształcone odbicie.

Odbierając jej córkę, wypowiedzieli jej wojnę. Nie mieli pojęcia, że wojna to jej żywioł, a ona dopiero wtedy czuje się jak ryba w wodzie.

ROZDZIAŁ 37

Popołudniowy skwar zelżał. Wieczorem temperatura spadła do dwudziestu stopni, choć grające w zaroślach świerszcze zwiastowały przynajmniej jeszcze jedną ciepłą noc. Słońce zdążyło już schować się za linią lasu, a krwawa luna na horyzoncie zapowiadała posępną noc.

Zygmunt Szatan wytarł dłonie w nogawki, wyprostował się i podciągnął spodnie. Kręgosłup zaczynał doskwierać mu coraz bardziej, ale wciąż nie na tyle, aby zdecydował się na wizytę u lekarza. Zaciągnął się papierosem i chwycił stojące na ganku wiadro. Wypełniały je resztki z obiadu i kolacji, które chwilę wcześniej wymieszał z paszą dla świń, do tego dorzucił solidną porcję świeżych warzyw i owoców. W dyskoncie szarpnął się nawet na pół kilograma piersi z indyka, którą osobiście zmielił w maszynce do mięsa i dołożył na koniec niczym wisienkę na torcie. Dziś Władimir będzie miał ucztę, pomyślał. W jego ocenie stary knur zasłużył na porządny posiłek i Szatan nie miał zamiaru odmawiać mu tej przyjemności.

Podwórze było już prawie suche, tylko w największych zagłębieniach wciąż zalegały resztki brudnej wody. Kury jak zwykle nic sobie nie robiły z jego obecności i człapały w poszukiwaniu resztek ziarna, które rozsypał im kilka godzin wcześniej. W pewnym momencie jedną z nich pogonił kogut.

– Spokój, Wacek! – mruknął Szatan. – Jeszcze się nie nauczyłeś, że panie trzeba traktować z szacunkiem? – dodał z żarzącym się w kąciку ust papierosem.

W odpowiedzi Wacek pogonił kolejną kurę, a potem wskoczył na rant przewróconej taczki i głośno zapiał.

– Głupiś ty. – Szatan pokręcił głową i ruszył do chlewu. Gdy wyciągnął skobel, z wnętrza poniósł się zniecierpliwiony kwik. – Już, już, mój drogi. Nie zapomniałem o tobie. Gdybyś wiedział, że dzięki tobie trzymam za jaja cały klan Ozalanów... – Uśmiechnął się, przez co papieros wypadł mu z ust. Zaklął i przydepnął go podeszwą kalosza, po czym otworzył drewniane drzwi. – A może lepiej, żebyś tego nie wiedział. Pewnie ciągle chciałbyś nowe rarytasy, a z pensji gliniarza byłoby ciężko...

Władymir, który wyczekiwał swojego pana przy podłużnym korycie, wystawił do niego umorusany ryj. Szatan poklepał pupila po głowie. Prawie półtonowy knur zaczął radośnie chrumkać i chrząkać, ale gdy nadkomisarz przelał zawartość wiadra do koryta, od razu zanurzył ryj w karmie. Rył tak zawzięcie, jakby nie jadł od tygodnia. Szatan towarzyszył mu przez kilka minut. Obserwował w milczeniu, jak jego wielkie owłosione uszy rytmicznie podskakują, co zawsze go trochę bawiło, bo Władymir miał się czym pochwalić i pewnie gdyby kiedykolwiek gdziekolwiek robiono konkurs na najbardziej okazałe knurze uszy, z pewnością mógłby konkurować o złoty medal. W końcu postanowił dłużej mu nie przeszkadzać i opuścił chlew, po czym skierował się do domu. Pod zewnętrznym kranem opłukał jeszcze wiadro, odstawił je pod gankiem i dopiero wtedy wszedł do środka. Nastawił wodę i przygotował dwa kubki, do których wsypał po trzy kopiate łyżeczki taniej, ale mocnej jak diabeł kawy. Spojrzał na zegarek. Miał jeszcze kwadrans, więc postanowił się przebrać. Ale gdy zabrał się do ściągania koszulki, zmienił zdanie. Cuchnął nie gorzej niż Władymir, a chyba jednak nie wypadało wybierać się na bal, na który czekał prawie ćwierć wieku, śmierdząc jak knur.

Wszedł do wanny. Jęknął, gdy musiał schylić się po słuchawkę prysznicową. Miał już swoje lata, a i zdrowie nie to, co kiedyś. Wyszorował się gąbką natartą szarym mydłem w kostce, opłukał i wyszedł z wanny. Włożył szerokie džinsy i białą koszulkę na ramiączkach, po czym stanął przed lustrem i zaczesał resztki włosów nad uszami.

– Dwadzieścia pięć lat – mruknął, oparłszy się dłońmi o umywalkę. – Dwadzieścia pięć pierdolonych lat czekałem na ten moment. Nie spierdol tego, Szatan. Nie spierdol tego i zrób co trzeba.

Na golenie zabrakło czasu, bo krótko później rozległo się pukanie do drzwi. Krzyknął, żeby weszła i zalała przygotowane kubki z kawą. Dołączył do niej świeży i pachnący.

– Gotowy? – zapytała Luta, zupełnie ignorując fakt, że po raz pierwszy zamiast zdezelowanego pijaka widzi mężczyznę.

– Od dwudziestu pięciu lat jestem gotowy. Nie zawaham się – odparł, sięgając po kubek, który zalała wodą. Zamieszał łyżeczką, kątem oka lustrując Karabinę. Jeśli do tej pory miał jakieś wątpliwości co do niej, teraz zupełnie się ich wyżył. – Widzę, że nie zasypiałaś gruszek w popiele. To na wypadek wojny czy...

– Na wypadek taki jak ten – ucięła.

Z kawą w dłoni usiadła na starej kanapie. Miała na sobie wojskowe spodnie khaki i szary top, a na biodrach przytroczony pas taktyczny z pistoletem z prawej strony i długim nożem o czarnej jak smoła rękojeści z lewej. Na stole leżała w pełni uzbrojona kamizelka taktyczna z czterema magazynkami i przynajmniej

kilkunastoma poupychanymi w przegródki niewielkimi nożami, a obok podłużna walizka, w której krył się składany karabin snajperski.

– Rozmawiałas z Ozalanem? – zapytał, gdy upił łyk.

– Tak. Do spotkania ma dojść równo o północy w starym zakładzie przetwórstwa mięsnego Majskiego pod Świebodzinem. Od momentu, gdy wybudował nowy w specjalnej strefie ekonomicznej pod Zieloną Górą, tamten stracił na znaczeniu. Według tego, co zdołałam znaleźć w sieci, od blisko czterech lat pracuje na góra dziesięć procent uprzednich mocy przerobowych, a dwa bloki są praktycznie nieużywane.

– No tak... – Szatan się zasepił. – Raz, że znakomita przykrywka, a dwa idealne miejsce na dziuplę. Gdybym, kurwa, wiedział, że ten gnój...

– Skupmy się na zadaniu – ucięła. Na miejscu zjawimy się dwie godziny przed czasem. Zrobiłam rozeznanie. Z dużą dozą prawdopodobieństwa Weronika jest gdzieś na terenie tego zakładu.

– Po czym wnioskujesz?

– Na zewnątrz widziałam dwóch karków. To byli jedyni obecni tam ludzie i zdecydowanie nie wyglądali na chłopców pracujących na etacie za trzy koła. – Na to wspomnienie Luta niemal zazgrzytała zębami. Już wtedy mogła się z nimi rozprawić. Nawet jeśli w środku było kolejnych dwóch, nie stanowiliby dla niej większego wyzwania. Tylko co w przypadku, gdyby się pomyliła? Odkryłaby się, umowę z Ozalanem szlag by trafił, a do tego na własne życzenie wskoczyłaby pomiędzy dwa rywalizujące gangi. Nigdy już nie zobaczyłaby córki. Druga opcja też miała swoje wady, bo nawet jeśli by się jej udało odbić Weronikę z rąk tych zwyrodnialców, to również by się zdemaskowała, a do tego złamałaby słowo dane Mustafie. Skoro koła zębate całej operacji zaczęły się kręcić, a we wszystko został wmieszany rzeźnik pokroju Yusufa Ozalana, trudno byłoby to cofnąć i prędzej czy później ściągnęłaby na siebie gniew samego Hakana Ozalana. Czy chciała do końca swoich dni żyć w permanentnym strachu przed zemstą tego człowieka? Czy kiedyś chciałaby otrzymać paczkę z filmem i uchem albo okiem Weroniki lub Franka? Nie wyobrażała sobie takiego scenariusza. Musiała to rozegrać należycie.

Szatan też pewnie o tym myślał, bo przez dłuższą chwilę się nie odzywał. W końcu opadł na kanapę, która lekko jęknęła pod jego ciężarem.

– Jak chcesz się tam dostać?

– Wejdziemy od zachodu, od strony lasu.

– A konkretniej?

– Wytniemy dziurę w płocie. Tak naprawdę już to robiłam, wystarczy dokończyć w kilku miejscach i wyciągnąć cały fragment. Teren wokół zakładu jest

zaniedbany, pełno tam wysokich i gęstych chaszczy, więc podejmiemy niezauważeni.

– Ochrona?

– Ci dwaj nie wyglądali na typowych goryli, ale zapewne kogoś albo czegoś pilnują. Nad drzwiami wejściowymi w odległościach co pięćdziesiąt metrów są zamontowane kamery. Psów nie widziałam, choć nie możemy wykluczyć, że pojawią się podczas spotkania z Ozalanami. Generalnie obiekt nie jest szczególnie strzeżony z wyjątkiem bramy wjazdowej. Od północy i zachodu jest otoczony lasem, od wschodu nieużytkiem, a od południa na teren zakładu prowadzi dziurawa asfaltówka, która jakieś sto metrów za ogrodzeniem zamienia się w zwirową, a następnie w leśną drogę prowadzącą do Lubrzy. Poza tym gmach jest zaniedbany, mury usiane graffiti, w kilku blokach nie ma szyb albo są rozbite. Widać, że kiedyś pałętały się tam jakieś dzieciaki, ale najwyraźniej ktoś to ukrócił, bo brama jest nowa i otwierana na pilota. Najlepiej zachowana jest wyremontowana północna część, która do tej pory prawdopodobnie jest wykorzystywana, choć tak jak wspomniałam, w dużo mniejszym stopniu niż kiedyś. Przy głównej hali, a dokładnie przy części biurowej, stoi świeża rozdzielnia.

– Jestem pod wrażeniem. – Szatan zapalił papierosa. – Dlaczego nie powiedziałaś mi, że jedziesz zrobić rekonesans? Mógłbym ci pomóc...

Karabina rzuciła mu spojrzenie mówiące więcej niż tysiąc słów. Nadkomisarz machnął ręką, jakby chciał cofnąć pytanie.

– No więc wejdziemy od zachodu – podjęła. – W internecie znalazłam plany i zdjęcia głównej hali. Nie wiem, na ile zmienił się wystrój, ale pewnych elementów raczej nie dałoby się zdemontować, a przynajmniej byłoby to bezcelowe. Zaczaję się na jednym z gretingów i poczekam na rozwój wypadków. Ty będziesz mnie ubezpieczał, gdyby doszło do nieprzewidzianych komplikacji.

– Tylko tyle?

– Tylko tyle i aż tyle. Niestety bez problemów raczej się nie obejdzie, bo wraz z Mustafą przyjeżdża jego starszy brat, niejaki Yusuf Ozalan. Udało mi się dowiedzieć, że to...

– Yusuf Ozalan?! – Szatan szeroko otworzył oczy i poczerwieniał. Długi kikut tytoniu urwał się z papierosa i spadł na podłogę.

– Według moich informacji to bardzo wysoko postawiony członek klanu. Podobno bezwzględny i niezwykle brutalny. To...

– Wiem, kim jest Yusuf Ozalan! – Szatan wstał z fotela i zaczął nerwowo dreptać od ściany do ściany. – Yusuf Ozalan, Yusuf Ozalan, Yusuf Ozalan... – powtarzał jak mantrę.

Luta obserwowała go z niepokojem. Domyślała się, co mogło go tak zdenerwować, zwłaszcza że dziadek opisał jej tego człowieka bardzo szczegółowo. W Berlinie był drugim po Bogu i choć połowa mieszkańców metropolii, na pewno zaś większość populacji muzułmańskich imigrantów wiedziała, że ma na koncie przynajmniej kilkanaście ofiar, nie przesiedział w więzieniu nawet kilku godzin. „Nic nie widziałem, nic nie słyszałem”, ta fraza w przypadku Yusufa nabierała nowego znaczenia, bo nie dość, że panowała totalna zмова milczenia i nie było szans, aby ktoś go wsypał, to gdy policja zaczynała węszyć w danej sprawie, zawsze znajdował się ochotnik, który wyprzedzał fakty i brał winę na siebie. Taka zagrywka wytrącała prokuraturze z rąk wszelkie argumenty, przez co ta stawała się w walce z klanem bezradna.

– On to zrobił? – zapytała po dłuższej chwili milczenia.

Szatan zatrzymał się w pół kroku i odwrócił głowę w jej kierunku. Pomyślała, że gdyby jego wzrok mógł zabijać, na kanapie leżałby trup.

– To on – odparł i głośno przełknął ślinę. Widziała, jak zaciska szczęki, jak pod wpływem skoku ciśnienia nabrzmiewają mu żyły na prawie łysej czaszce. –

To Yusuf Ozalan zamordował moją córkę i ciężarną żonę. Moje... – Nie dokończył. Trzęsąc się, znów zaczął przemierzać pokój.

– Będziesz musiał stłumić emocje, Zygmunt – powiedziała Luta, wodząc za nim wzrokiem. – Najważniejszym celem tej operacji jest odzyskanie mojej córki.

– Ty naprawdę myślisz, że Yusuf ci na to pozwoli? – syknął. – Dogadaliśmy się z Mustafą, który w klanowej hierarchii znaczy tyle co nic. Jeśli na miejscu będzie Yusuf, o żadnej umowie nie może być mowy.

– Nie dałeś mi dokończyć...

Szatan przystanął. Na jego skroniach skrzyły się krople potu, a twarz była tak nabiegła krwią, jakby przez ostatnią godzinę wisiał głową w dół jak nietoperz.

– Co masz na myśli?

– Powiedzmy, że plan został nieco zmodyfikowany. Niechętnie na niego przystałam, ale w aktualnej sytuacji to chyba najrozsądniejsze wyjście.

– Jaki to plan?

Luta pochyliła się nad stołem, a kąciki jej ust uniosły się lekko.

– Zabiję ich wszystkich, panie Szatan.

– Ale...

– Nie ma żadnego „ale”. A teraz się tym wysmaruj. Dobry kamuflaż to połowa sukcesu.

Policjant złapał w garść dwie szare tubki o różnych odcieniach, które Luta rzuciła w jego kierunku. Okręcił je w palcach. Farb maskujących nie używał od czasów wojska, tym bardziej zaskoczyła go drobiazgowość, jaką wykazała się ta dziewczyna. Szara farba do szarych wnętrz masarni. Sprytne, pomyślał. Pomyślał

też, że ta kobieta jest dużo bardziej niebezpieczna niż cały oddział kontrterrorystów, a spotkanie jej na swojej drodze było najwspanialszym zrzędzeniem losu, o jakie mógłby prosić.

Chce zabić ich wszystkich? Dla jego uszu brzmiało to jak cholerna VII symfonia Beethovena. Poprzysiągł sobie, że nie sprawi zawodu Lucie Karabinie. Nie nawali, nie zawiedzie jej zaufania i nie zawaha się. Zrobi wszystko, aby pomóc tej kobiecie w odzyskaniu córki całej i zdrowej.

Nawet jeśli będzie musiał przypłacić to własnym życiem.

ROZDZIAŁ 38

— **N**ie powinien pan opuszczać szpitala. Zdaje pan sobie z tego sprawę, prawda? – zapytał lekarz prowadzący.

Klama momentami wciąż miał problemy ze złapaniem ostrości, ale na plakietce przypiętej do fartucha dostrzegł imię i nazwisko: Tomasz Fagot. Pomyślał, że facet pewnie dlatego jeszcze nie wyjechał na Zachód i wciąż pracuje w Polsce.

– Wychodzę – odparł oschle i podpisał dokument.

Gdy pacjent był w stanie poruszać się o własnych siłach, a jego życiu nie zagrażało bezpośrednie niebezpieczeństwo, lekarze mogli co najwyżej próbować przemówić takiemu delikwentowi do rozsądku. Jeśli jednak był uparty, nie mieli prawa zatrzymywać go w szpitalu. Gdy złożył podpis na wypisie, gdzie w kilku punktach było wyraźnie zaznaczone, że robi to na własną odpowiedzialność i za ewentualne powikłania nie będzie próbował oskarżać personelu, każdy doktor musiał na taką decyzję przystać. Fagot też nie próbował kopać się z koniem. Ostrzegł raz, potem drugi, w końcu podsunął papier i na odchodne dał stare kule, aby pacjent już na pierwszym schodku nie połamał sobie kości.

Klama podziękował, podparł się i poczłapał do windy. Zjechał na dół w towarzystwie dwóch starszych kobiet, które musiały wsiąść piętro wyżej. Trajkotały jak dwie kwoki na grzędzie, ale na jego widok zamilkły jak głaz. W sumie im się nie dziwił. Nawet jeśli cudem uniknął poważniejszych obrażeń wewnętrznych, to z zewnątrz przypominał rozkwaszoną dynię. A że do tego wyglądał na obdartusa, pewnie wołały nie kusić losu.

Na dole zaszedł do sklepiku, w którym za wygrzebane z kieszeni drobniaki kupił sobie butelkę coca-coli, jogurt jagodowy z rozkładaną plastikową łyżeczką oraz paczkę papierosów i środki przeciwbólowe. Na ławce przed szpitalem zjadł pospiesznie, a potem przełknął dwie tabletki i popił. Wyciągnął z kieszeni komórkę i nie bez trudności odczytał godzinę. Miał jeszcze dwa kwadransy.

Czas ciągnął się jak flaki z olejem. Zdążył spalić cztery papierosy. Denerwował się. Nigdy nie był zbyt lotny, ale zdawał sobie sprawę, że często popełnia ten sam błąd i zamiast najpierw pomyśleć i przeanalizować dany temat, wchodzi w sprawę jak w dym. Potem bywa różnie, zwykle kiepsko, a czasem

naprawdę źle. Teraz też zareagował emocjonalnie, ale pocieszał się, że jeśli nawet nie rozpatrzył wszystkich za i przeciw, to przynajmniej działał w dobrej wierze. Po raz pierwszy od miesięcy, a może nawet od lat.

Ta świadomość pozwalała mu trzymać się obranej drogi i choć nie wiedział, jak to się skończy, podjął już decyzję i nie mógł się z niej wycofać. Ci ludzie nie przyjmowali do wiadomości, że można zmienić zdanie. Raz wypowiedziana prośba, złożony wniosek czy zadeklarowana obietnica z automatu stawały się świętością. I trzeba było się wywiązać z danego słowa.

Gdy na wyświetlaczu pojawiła się dziewiąta pięćdziesiąt pięć, Klama podniósł się z ławki, wsunął kule pod pachy i ruszył w kierunku parkingu. Miał do przejścia niecałe sto metrów, ale że poruszał się jak ślimak, dotarł na miejsce akurat na czas. Czarny mercedes też zjawił się punktualnie. Przeszło mu przez myśl, że ktoś wysiadzie i otworzy mu drzwi, sam nie wiedział, czy dlatego, że wygląda na kalekę, czy dlatego, że zwykle ktoś pakował go do środka na siłę. Zmitygował się dość szybko i szarpnął klamkę. Drzwi ustąpiły.

Oparł się o dach i najpierw wsunął do środka kulę, a następnie stęknął i usiadł na tylnym siedzeniu. We wnętrzu panował przyjemny chłód. Kierowca, zupełnie mu obcy, nie wyglądał na kogoś pokroju Poziomy czy Cypisa, raczej podstarzałego marynarza, który na emeryturze postanowił dorobić sobie trochę grosza.

– Zapnij pas – rzucił, zerkając w tylne lusterko. Miał owalną twarz zdominowaną przez szeroki nos, na którym spoczywały prostokątne okulary korekcyjne. Jego szorstki głos brzmiał tak, jakby krtań mężczyzny zżerał nowotwór. Czaszka ogolona, tatuaż w kształcie łezki pod okiem, na szyi złoty łańcuch z grubymi ogniwoami, a na przedramionach wydzierane rękawy z motywami serc, węży i cycatyh panienek.

– Dokąd jedziemy? – zapytał Klama, zapinając pas.

Mężczyzna tylko prychnął i włączył kierunkowskaz. Klama rozważał, czy nie ponowić pytania, ale zrezygnował. Uznał, że nie ma to większego sensu, bo nawet jeśli facet poinformowałby go, że jadą do burdelu, gdzie zostanie brutalnie zgwałcony przez sześciu nasterydowanych recydywistów, to tak naprawdę niewiele mógłby w tej kwestii uczynić. Od momentu, gdy wsiadł do tego samochodu, był na łasce i niełasce swojego byłego szefa.

Przez miasto jechali niespiesznie. Pomimo że pod maską mercedesa kryło się przynajmniej pięćset koni mechanicznych, kierowca nie przekraczał dozwolonej prędkości i przepuszczał każdego pieszego, który choćby zbliżył się do pasów. Już na początku lekko pogłodził radio. Dziennikarze debatowali akurat na temat kondycji klubu żużlowego, który w ostatnim czasie spadł do niższej ligi. Najwyraźniej szofer był kibicem, a przynajmniej leżał mu na sercu los

zielonogórskiej drużyny, bo gdy pojawiały się sugestie na temat niegospodarności albo złej polityki transferowej, kręcił z niesmakiem głową albo burczał pod nosem przekleństwa.

Gdy wyjechali z miasta, Klama zaczął się niepokoić. Może tylko to sobie wyobraził, a może znów myślał życzeniowo, w każdym razie spodziewał się, że porozmawia z szefem w jego biurze, ewentualnie w knajpie lub choćby na parkingu. Teraz już wiedział, że to raczej nie wchodzi w rachubę. Mimo to milczał.

Gdy kierowca dotarł do zjazdu na Świebodzin, Klama był już pewien, że popełnił błąd.

ROZDZIAŁ 39

Zmierzchało.

Miriady migających gwiazd otaczały krwawy księżyc na niebie nad Świebodzinem. Szatan słyszał w radiu, że to właśnie dziś ma dojść do zaćmienia ziemskiego satelity, ale dopiero teraz, patrząc na jego wielką tarczę, poczuł, że bierze udział w czymś, na co czekał prawie ćwierć wieku. Pomyślał, że najwyraźniej tak miało być i dzisiejsze znaki na niebie są tego dowodem. To musiało wydarzyć się tej nocy.

Poczuł na policzku delikatne łaskotanie. Jedno ze źdźbeł trawy drażniło się z nim pod naporem wieczornej bryzy. Odsunął je palcem i spojrzał na siedzącą w kucki dwa metry dalej Karabinę. Dotąd bez większych problemów przedarli się przez kilkadziesiąt metrów gęstych zarośli porastających nieużytek, który przylegał do płotu ogradzającego teren starego zakładu przetwórstwa mięsnego. Dopiero teraz zaczynały się schody.

Luta od kwadransa nasłuchiwała i lustrowała otoczenie, ale nie dostrzegła niczego, co mogłoby ją zaniepokoić. Obiekt, przynajmniej od strony, z której chcieli się przekraść, wydawał się pusty i niestrzeżony, z wyjątkiem czterech kamer na zachodniej ścianie budynku. Sprzęt nie należał jednak do najnowszych i wątpliwe było, aby mógł cokolwiek nagrać, zwłaszcza po zmroku, gdyby jedno z nich nie pojawiło się dokładnie w oku kamery. Sprzyjało im też ukształtowanie terenu. Droga do ściany głównego budynku upstrzona była wieloma kryjówkami – począwszy od starych, rozpadających się baraków, przez śmietniki, hałdy przegniłych palet, kończąc na rdzewiejących wózkach widłowych. Ona zakradłaby się niezauważona, ale Szatan? Co do nadkomisarza wciąż nie miała pewności. Z jednej strony go potrzebowała, z drugiej, zamiast stanowić prawdziwe wsparcie, był raczej kulą u nogi. A jednak jego obecność mogła się okazać nieodzowna, zwłaszcza gdyby coś poszło nie tak. Jego zadanie było proste jak drut. Miał zająć pozycję w jednym z baraków z widokiem na bramę wjazdową i nie pozwolić, aby samochód z córką Luty – jeśli oczywiście wszystko pójdzie zgodnie z planem i Majski dostarczy Mustafie zamówienie – opuścił teren zakładu.

- Może się wywiązać strzelanina – rozważał kilka godzin wcześniej.
- Możesz też się jeszcze wycofać – odparła oschle, nakładając na czoło kolejną smugę pasty maskującej.

Szatan był pod wrażeniem jej stanowczości i pewności siebie. W czasie całego swojego życia szukał różnych sposobów na zmierzenie się z Ozalanami, w związku z czym miał okazję poznać kilku żołnierzy wojsk specjalnych, ale żaden z nich nie emanował taką charyzmą jak Lutosława Karabina. Tłumaczył to sobie na kilka sposobów, najczęściej jednak tym, że jest matką i sprawa dotknęła ją osobiście. Natura nie raz udowadniała, że matki są zdolne do dokonywania cudów, gdy tylko ich młode znajdzie się w niebezpieczeństwie. A matka wyposażona w szereg zabójczych umiejętności mogła się zmienić w ekstremalnie niebezpieczną maszynę do zabijania.

Obserwował jej sposób poruszania się, analizowania terenu, gestykulację, reakcje na każdy odgłos. Z pomalowanej farbami maskującymi twarzy trudno było wyczytać jakiegokolwiek emocje, a z oczu – jedynych jaśniejących punktów, które mogłyby zdradzić jej pozycję – szaloną determinację i maksymalne skupienie na obranym celu. Bez wątpienia była doświadczonym żołnierzem i znała się na tej robocie. Jakość przytroczonych do kamizelki noży z czarnym matowym ostrzem, które nie odbijało światła i pozwalało poruszać się niezauważonym, potwierdzała, że musiała specjalizować się w akcjach rozpoznania za linią wroga, a ich liczba nie pozostawiała wątpliwości, że lubiła działać z zaskoczenia i kolejnych przeciwników eliminować po cichu.

Skupił uwagę, gdy zabrała się do rozcinania ostatnich kilku fragmentów drucianej siatki. Chwilę później wyciągnęła cały jej płat i ostrożnie wsunęła pomiędzy krzaki. Wtedy odwróciła się w jego stronę.

– Za dwie minuty wchodzimy – rozkazała półszeptem. – Przy ostatniej stercie palet się zatrzymasz. Dopiero gdy dotrę do drzwi i je otworzę, na mój znak pobiegiesz w moją stronę. Zrozumiano?

– Tak – odparł, starając się, aby jego ton był przekonujący.

Trzy i pół minuty później Szatan kucnął już przy stercie palet. Kiedyś musiały być poukładane, ale przez lata deszcz, śnieg, słońce i wiatr sprawiły, że część z nich się przewróciła, inne przegniły i zawały się pod własnym ciężarem, a jeszcze inne padły ofiarą znudzonych pracowników zakładu albo lokalnych dzieciaków. Omióttł wzrokiem kilka wyrytych w drewnie napisów: „Marcin kocha Ewkę”, „Dagmara obciągara” czy „Jebać Stal Gorzów”. Pomyślał, że to najlepszy barometr potrzeb i nastrojów społecznych, ale szybko się zmytygował i skupił uwagę na Karabinie, która wspomagając się swoim ząbkowanym nożem, grzebała przy zamku jednego z tylnych wejść do głównego budynku. Musiała użyć go jako lewara albo zastosować jakąś sztuczkę, bo poszło jej błyskawicznie i już po kilku

sekundach drzwi stanęły otworem. Wsunęła się do środka, na chwilę znikając mu z oczu. Po mniej więcej dwóch minutach wychyliła się i rozejrzała, w końcu dała mu znać ręką, aby do niej przybiegł.

Zrobił, jak kazała. Na szczęście odcinek, który musiał przebyć, mierzył nie więcej niż czterdzieści metrów, więc wkrótce znalazł się we wnętrzu hali.

– To nieużywana część zakładu. Nikogo tu nie ma – szepnęła. – Pójdziemy tym korytarzem do samego końca. Tam powinny być drzwi, które wychodzą na południe naprzeciw baraków. W tym miejscu zajmiesz pozycję. Do tej pory ani słowa. Połóż rękę na moim ramieniu i uważaj, gdzie stawiasz stopy, bo echo się niesie.

Przytaknął i wykonał polecenie. Luta opuściła okular noktowizora i z dłonią na jednym z licznych noży przy pasie powoli ruszyła w głąb korytarza. Wałało się tu sporo śmieci, począwszy od wszędobylskich palet, skończywszy na pustych puszkach po coca-coli, dlatego posuwała się powoli, aby przypadkiem czegoś nie kopnąć i nie wzbudzić hałasu. Szatan szedł za nią. Trzymając dłoń na jej ramieniu, prawie w zupełnej ciemności ostrożnie stawiał kolejne kroki. W pewnym momencie dostrzegła jakiś ruch. Poczowała delikatny dreszcz, który szybko minął, gdy okazało się, że to tylko przemykający pod ścianą szczur. Gryzoń był okazałych rozmiarów, ale nie stanowił najmniejszego zagrożenia. Na ich widok stanął na dwóch łapkach i zaczął węszyć w powietrzu. Po chwili, uznawszy chyba, że nie ma się czego obawiać, czmychnął pomiędzy połamane palety.

Po blisko czterdziestu krokach dotarli do uchylonych drzwi. Luta wsunęła się do małego pomieszczenia, które musiało być czymś w rodzaju opuszczonego składziku albo pokoju gospodarczego. Panował w nim jednak taki nieład, że od razu się wycofała. Ruszyli dalej i już za chwilę znaleźli się na zakręcie, w miejscu, gdzie powinna kończyć się główna hala. Według obliczeń Karabiny po kolejnych trzydziestu krokach, obok wielkiej podnoszonej bramy, przez którą dostarczano i wywożono towar, musiały znajdować się następne drzwi. Nacisnęła na klamkę, a gdy ustąpiły, wyrzała przez nie. Do budynku dołączona była przybudówka z blachy falistej, w której pracownicy zapewne spędzali krótkie przerwy na pogaduchach albo puszczeniu dymka, bo stały tu siedziska z pustaków i palet oraz dwie słusznych rozmiarów popielnice. Luta zrobiła kilka kroków i wychyliła głowę na zewnątrz. Plac, który z tej perspektywy wyglądał na zupełnie pusty, tonął w jasnym blasku księżyca. Wokół panowała cisza, nie licząc cykania świerszczy i szumu ciężarówek sunących odległą o prawie kilometr drogą szybkiego ruchu numer dziewięćdziesiąt dwa, równoległą do autostrady A2 biegnącej aż do granicy w Słubicach.

Idealne miejsce na dziuplę, pomyślał Szatan. Zerknął na towarzyszkę, która ściągnęła okular noktowizora i skrupulatnie zlustrowała okolicę. Nakazała mu

poczekać, sama zaś podbiegła w kierunku ciągnących się baraków. Wybrała ten znajdujący się w miejscu, z którego najlepiej było widać bramę wjazdową, centralny plac i główne wejście do hali. Drzwi były zamknięte, ale stare drewno zdążyło tak spróchnieć, że wystarczyło wsunąć ostrze noża w okolice zamka i lekko podważyć, aby z cichym trzaskiem puściły. Raz jeszcze się upewniła, czy nic im nie grozi, po czym dała znak Szatanowi. Ten podbiegł i natychmiast schował się w baraku.

Stanął przy ścianie, lekko dysząc. Ku jego frustracji nawet najkrótsza przebieżka sprawiała, że gubił oddech.

– Sprawdźmy łączność. Słyszysz mnie? – wyszeptała.

Szatan poprawił wciśniętą w ucho słuchawkę.

– Słyszę, ale...

Luta posłała mu drażliwe spojrzenie.

– Nie masz wrażenia, że tu jest za spokojnie? – zapytał. – Może Mustafa zmienił zdanie albo coś się wysypało?

– W takich sprawach raczej nie zmienia się zdania. Do spotkania zostało jeszcze półtorej godziny. To wciąż dużo czasu.

– Skoro tak uważasz...

Pomyślała, że to słowo klucz. Owszem, Luta tak właśnie uważała, ale ręki uciąć by sobie za to nie dała. Sama zaczynała mieć wątpliwości, ale nie mówiła o tym na głos, aby nie mieszać sobie w głowie i nie wprowadzać nerwowej atmosfery. Jeśli jednak miałyby obstawiać, że coś poszło nie tak, to raczej nie dlatego, że Mustafa zapragnął ich wykiwać. Ściskali jego jaja w imadle i prędeż mógł się nieumyślnie zdradzić – wszak trauma, jaką przeżył w chlewie, musiała wypalić w nim piętno co najmniej równie głębokie jak to, które jego pobratymcy wyryli w umyśle Szatana, mordując jego rodzinę. Co zatem mogło pójść nie tak? Mustafa raczej też nie zdradziłby się przed swoimi ludźmi, bo ci byli karni jak wyszkolone psy i nigdy albo prawie nigdy nie podawali w wątpliwość rozkazów swoich szefów, ale starszy i bardziej doświadczony Yusuf to zupełnie inna para kaloszy. Doświadczony zabójca mógł zauważyć niepokojące sygnały w zachowaniu młodszego brata.

Skarciła się w duchu. Właśnie po to, by nie zamęczać się tego typu rozważaniami, starała się unikać gdybania. Postanowiła nie zaprzętać sobie tym głowy.

– Zatem tu się rozdzielimy – ucięła temat. – Tak jak się umawialiśmy. Zajmę pozycję w najwyższym punkcie, mniej więcej tam, gdzie te pobite okna. –

Wskazała palcem punkt znajdujący się na wysokości drugiego piętra. – Tam zamontowany jest greting, który służył do obsługi dźwigu. Będę miała dobry widok na to, co będzie się działo zarówno na zewnątrz, jak i wewnątrz hali.

– Ich w sumie będzie pewnie ze dwudziestu. Jesteś pewna, że sobie poradzisz? Szatan zaczynał ją irytować.

– Wiesz, jaki jest plan. Jeśli wszystko pójdzie gładko, to zostanie mi kilku niedobitków. Z nimi nie powinno być kłopotów.

– No dobra. – Policjant chrząknął. – W takim razie zrobmy to.

Wyciągnął z kabury broń. Przeładował ją i wyrzucił przez okno. Zmatowiało od brudu, więc chuchnął na szkło, a następnie przetarł je od wewnątrz ręką. Niezbyt pomogło, ale najważniejsze, że widział stąd każdy punkt, więc w razie potrzeby mógł szybko podjąć interwencję.

– Zygmunt...

Nadkomisarz spojrzał na Karabinę. W przenikającym przez brudną szybę blasku księżyca jej pomalowana farbami maskującymi twarz wyglądała niczym obietnica srogiej zemsty. Kamienna, niewzruszona, zastygła jak na jednym z tych słynnych zdjęć w podręcznikach opowiadających o bitwach drugiej wojny światowej. Tylko jej ciemne źrenice tak mocno odcinające się od bieli gałek ocznych lekko drżały.

– W tym wszystkim liczy się tylko Weronika. Nie zapominaj o tym.

Może tylko mu się wydawało, a może w jej słowach wybrzmiała zawołowana groźba. Nie miał o to do niej pretensji. Rozumiał, że chce mieć go na oku, bo traumatyczna przeszłość mogła odezwać się praktycznie w każdej chwili. Sam nie był pewny, czy nad sobą zapanuje, zwłaszcza jeśli na spotkaniu miał pojawić się sam Yusuf Ozalan, rzeźnik jego rodziny, człowiek, który tygodniami pastwił się nad jego ciężarną żoną i ośmioletnią córeczką, a potem wysyłał mu w paczkach filmy z tortur wraz z odciętymi częściami ich ciał. Od dwudziestu pięciu lat marzył, aby dorwać tego barbarzyńcę w swoje łapska. Świadomość, że może stracić jedyną okazję do zemsty, sprawiła, że czuł gigantyczną presję, a jego psychika w każdej chwili mogła rozsypać się w drobny mak. Nie mógł na to pozwolić. Musiał zaufać Lucie, tak jak ona zaufała jemu. I skupić się na odbiciu Weroniki.

– Nie zapomnę – odparł twardo i skinął głową, aby wypaść bardziej przekonująco.

– W takim razie powodzenia.

– I wzajemnie.

Gdy Luta wymknęła się przez uchylone drzwi, Szatan został sam. Jego ciałem wstrząsnął nieprzyjemny dreszcz. Zerknął przez okno. Krwawy księżyc wciąż wisiał na niebie.

ROZDZIAŁ 40

Rozkład pomieszczeń w głównym budynku nie był skomplikowany. Nauczyła się go, studiując znalezione w internecie plany. Dzięki noktowizorowi nie gubiła się w kolejnych korytarzach i poruszała się stosunkowo szybko. Wszystko wskazywało, że z głównej linii produkcyjnej nie zjechało choćby jedno opakowanie z paczką karkówki, udźca czy mielonego, ale taśmy i cały osprzęt nie zostały zdemontowane. Sama hala była natomiast podzielona na mniejsze, najwyraźniej bardziej wyspecjalizowane przestrzenie, które różniły się od siebie rodzajem maszyn do obróbki mięsa. Luta nie знаła się na tych wszystkich urządzeniach, ale oko laika mogło dostrzec wielkie piły tarczowe, tuby i ogromne pojemniki, rozdrabniarki do mięsa czy taśmy z hakami do przesyłania kolejnych tusz. Pozostawione same sobie, zapuszczone, w zielonkawym świetle noktowizora miejsce to wyglądało dość upiornie.

Zdjęła okular i rozejrzała się po hali. Bładoczerwona poświata krwawego księżycy muskała zapomniany, rdzewiejący sprzęt. Sceneria niczym z porzuconego planu horroru spod szyldu wszystkich tych tanich, głupkowatych slasherów. Wzdrygnęła się na tę myśl. Robiąc rozeznanie na temat tego typu miejsc, dowiedziała się, że w obecnych czasach produkcja na masową skalę odbywa się w zupełnie innych warunkach, bez światła słonecznego, w ściśle wyizolowanych, chronionych i regularnie kontrolowanych obiektach, gdzie kwestie sanitarne stawiane są na pierwszym miejscu. Tutaj bez wątplenia sanepid miałby używanie. Być może dlatego Majski podjął decyzję o zamknięciu zakładu w Świebodzinie i przeniesieniu prawie całej produkcji do ultranowoczesnego obiektu w specjalnej strefie ekonomicznej pod Zieloną Górą. Dlaczego jednak się stąd nie wyprowadził? Miała swoją teorię. W jej ocenie facet potraktował to miejsce jako przykrywkę dla swoich zbrodniczych działań. Czysto teoretycznie pozostawienie tu części produkcji było wyjściem naprzeciw oczekiwaniom mieszkańców miasta, którzy podczas procesu przenosin zakładu do Winnego Grodu mocno oprotestowali tę decyzję, żądając przywrócenia miejsc pracy. Majski postanowił więc upiec dwie pieczenie na jednym ogniu i zachowawszy posłuch i autorytet wśród mieszkańców Świebodzina, co bez wątplenia miałoby przełożenie podczas

kampanii wyborczej, przy minimalnej inwestycji zoptymalizował produkcję. Dzięki temu potężny obiekt mógł wykorzystywać nie tylko do przetwórstwa wieprzowiny, ale także jako punkt przerzutowy w handlu ludźmi.

A dziś to wszystko się skończy, pomyślała. Cyryl Majski już nigdy nikogo nie skrzywdzi. Z powrotem założyła okular noktowizora i ruszyła w kierunku przeciwległego krańca hali. To tam należało szukać przejścia do zmodernizowanej części zakładu, która według jej informacji wciąż utrzymywała produkcję. Luta założyła, że jeśli ma dojść do spotkania, to najprawdopodobniej właśnie tam.

Do celu dotarła po niecałej minucie. Korytarz oddzielający starą część od nowej był utrzymany w dużo lepszym stanie. Czysty, schludny, niemal sterylny. Z niepokojem zanotowała, że każde kolejne drzwi otwierane są nie na klucz, a na kartę magnetyczną, więc jeśli chciałaby je sforsować, musiałaby przestrzelić zamki. W tej chwili nie byłby to wielki problem, bo wszystko wskazywało, że wciąż są sami, a ona miała zamontowany tłumik. Sam wystrzał przypominałby zaledwie szept, trzask pękających zamków byłby donośniejszy, ale nawet jeśli nikt by go nie usłyszał, później mógłby dostrzec jego efekt. Uznała, że zaryzykuje tylko w ostateczności.

Wycofała się, namierzyła schody z gretingu i cicho jak kot wspięła się na górę. Z wysokości drugiego piętra widok był idealny zarówno na plac na zewnątrz budynku, jak i na starą halę produkcyjną. W zależności od potrzeby wystarczyło tylko obrócić głowę. Podeszła do budki operatora suwnicowego dźwigu. Tak jak podejrzewała, była wprost doskonałą kryjówką dla snajpera. Zerknęła na zegarek. Czas gonił, więc ściągnęła z ramienia torbę z pokrowcem, a następnie zabrała się do montowania broni. Po niecałych dwóch minutach jej niewielki, ale zabójczy Sig Sauer 550 był już gotowy do użycia.

Usiadła i odetchnęła. Przez mniej więcej pół godziny siedziała oparta o barierkę gretingu, analizując wszystkie możliwe scenariusze. Cokolwiek miało się wydarzyć, była na to gotowa.

Wtedy w słuchawce wybrzmiał znajomy, ochrypły głos:

– Jesteś?

– Jestem.

– Ktoś się zbliża.

Luta odetchnęła z ulgą.

– Ilu?

– Przynajmniej trzy pojazdy. Po reflektorach wnioskuję, że dwa SUV-y i jeden sedan.

– Gospodarze... – mruknęła bardziej do siebie niż do Szatana. – Jaki to sedan?

– Nie wiem, wciąż są daleko. Ale raczej górna półka.

– Cyryl... – mruknęła. To dobrze. To bardzo, bardzo dobrze...

Wstała i zrobiła krok w kierunku okien. Prawie wszystkie były brudne i matowe, ale w jednym znajdował się niewielki wyłupany otwór wielkości ekierki. Przyjrzała się nadciągającej kolumnie pojazdów. Trzy samochody, w każdym po czterech ludzi plus szef i kierowca limuzyny. Do przejścia, pomyślała. Niczego się nie spodziewali, zatem najwyraźniej Mustafa nie nawalił i wszystko szło zgodnie z planem.

Samochody przekroczyły bramę i podjechały pod główną halę. Wtedy Luta wyciągnęła podręczną lunetę i przyjrzała się przybyszom. Nawet w półmroku bez trudu rozpoznała obu Majskich. Jeden młody, energiczny, drugi z wyraźną nadwagą poruszał się niezgrabnie, jakby dopiero co wstał ze szpitalnego łóżka. Aleksander wdał się w jakąś rozmowę z jednym ze swoich ludzi, a ten czym prędzej ruszył w kierunku północnej części głównego budynku. Nie miała wątpliwości, że poszedł do tamtych dwóch. Już po kilku minutach wrócił w towarzystwie jednego z nich. Znowu nawiązała się dyskusja, ale choć słyszała dochodzące dźwięki, znajdowała się za daleko, aby rozróżnić poszczególne słowa, a tym bardziej sens wypowiedzi.

W pewnym momencie na horyzoncie mrok rozcięły światła kolejnych reflektorów. Karabina spojrzała w tamtą stronę. Do bramy zbliżał się kolejny sedan. Jej skrzydło się rozsunęło i kierowca wjechał na teren zakładu. Czyżby Mustafa przyjechał sam?

Przytknęła okular lunety do oczu i spróbowała dostrzec rejestrację, ale światła reflektorów uniemożliwiały odczytanie numerów. Kim był nieznajomy? Przeniosła wzrok na grupę mężczyzn przy hali. Młody Majski gestem ręki wskazał kierowcy, gdzie ma zaparkować, a facet zrobił to tak niefortunnie, że zatrzymał się tuż przy rozdzielni prądu, która zasłoniła Lucie cały widok.

Zakłęta pod nosem. Nie lubiła niespodzianek i miała nadzieję, że to ostatnia, jaką dla niej przygotowali. Nie wiedziała, jak bardzo się myli.

* * *

W powietrzu unosił się zapach trawy i igliwia drzew z nieodległego lasu. Lubił go, bo podczas kolejnych ucieczek z domu często obcował z naturą, a łąki i lasy zawsze kojarzyły mu się z azylem.

To miejsce nie wyglądało na azyl. I nigdy nim dla niego nie było.

Klama wyjął kule z samochodu i rozejrzał się wokół przerażony. Kiedyś już był w tym miejscu, a nawet w nim pracował. Nie wspominał jednak tego czasu dobrze. Dwanaście godzin harówki przy patroszeniu świńskich tusz, a potem kolejnych dwanaście spędzone na pilnowaniu towaru. Przynajmniej tak to sobie tłumaczył, bo tak naprawdę pilnował kto inny, a on był człowiekiem od brudnej

roboty, choć nie takiej, o jakiej mógłby pomyśleć przeciętny człowiek Zachodu. Jego brudna robota była naprawdę brudna i polegała na wynoszeniu wiader z fekaliami, praniu nasiąkniętych spermą i krwią materaców, czyszczeniu podłogi z wymiocin i innych płynów ustrojowych. Sam nie był pewny, czego bardziej nie znosił, ale wypełniał każde polecenie szefa, bo dług, jaki u niego zaciągnął, był ogromny i wydawał się niemożliwy do spłacenia.

– Przyjdzie czas, że go spłacisz. Ale teraz pokaż, że jesteś wart tego, aby w ciebie zainwestować – tłumaczył mu przełożony, a Klama dalej robił, co do niego należało.

Starął się, jednak wychodziło mu co najwyżej średnio. Funkcjonowanie bez narkotyków i playstation wydawało się nie do zniesienia. Miał osiemnaście lat i jedno życie, które spędzał w tej pierdolonej masarni. Albo na taśmie produkcyjnej, albo w piwnicy na „pilnowaniu” kurew. Kompani znajdujący się wyżej w hierarchii regularnie je gwałcili, często na polecenie szefa, który te najbardziej niepokorne nakazywał łamać psychicznie. Klamę traktowali niewiele lepiej, prawie jak śmiecia, dlatego spał gdzie popadnie, czasem na podłodze, czasem na obrzydliwym materacu, ale nigdy na łóżku.

– Cwele nie mają do tego prawa, rozumiesz? – ostrzegali go, gdy próbował im się postawić. – A teraz zapierdalaj wynieść gówna, bo kurwy od rana zdążyły już narznąć i wiadro jest pełne.

Czy był cwelem? Bardzo nie lubił tak o sobie myśleć, ale nie mógł udawać, że nie ma w tym ziarna prawdy. Przez bity rok próbował jakoś to znosić, ale w końcu nie wytrzymał i gdy jeden ze zbirów Majskiego, facet o ksywce Major, po raz kolejny nazwał go cwelem, odwarł mu prosto w twarz: „chyba ty”. Dla obu skończyło się to fatalnie. Major – chłopisko nafaszerowane sterydami jak koń wyścigowy – nie mogąc znieść takiej obrazy majestatu, spuścił mu straszliwy łomot, przez co Klama w stanie krytycznym wylądował w szpitalu. Jeszcze zanim trafił na stół, gdzie lekarze musieli go otworzyć, aby zatamować krwotok wewnętrzny, Major wylądował na dywaniku, gdzie pomimo historycznych prób wytłumaczenia się z tego napadu niepohamowanej agresji nie zdołał załagodzić sytuacji. Ostatecznie poszedł pod topór. Szef, który przez brak profesjonalizmu swoich ludzi akurat stracił dwie duże dostawy, a przez to kupę tak potrzebnej mu wtedy kasy, na wzór Ozalanów postanowił zrobić porządek w swoich szeregach, Major zaś miał stać się dla reszty przykładem pokazującym, co czeka tych, którzy nie przykładają się do powierzonych im zadań albo działają wbrew interesom organizacji.

Klama nigdy się nie dowiedział, co stało się z jego oprawcą, bo nigdy już nie wrócił pod skrzydła swojego patrona. Pół roku leżał w szpitalu, walcząc o dojście do jako takiej sprawności, a gdy wyszedł, nie nadawał się już

praktycznie do niczego, na pewno zaś nie do pracy w grupie przestępczej. Majski pozwolił mu odejść, pod warunkiem że będzie siedział cicho, więc Klama siedział cicho jak mysz pod miotłą, próbując jakoś przetrwać w tym kapitalistycznym grajdole zwanym Polską. Niestety szło mu jak po grudzie, a kolejne pomysły na zarobienie pieniędzy wydawały się przeczyć Kartezjuszowskiemu *Cogito, ergo sum*.

Wszystkie te traumy, absurdy i paranoje, które składały się na istnienie jednostki zwanej Klama, musiały kiedyś znaleźć swój tragiczny finał – i ten chyba właśnie nieuchronnie nadchodził.

– Rusz się! – warknął facet w czarnym garniturze, popychając go.

Klama omal się nie wywrócił. Pomyślał, że skończy dokładnie tak jak jego ojciec. Jako pasza dla świń.

ROZDZIAŁ 41

S tara hala rozbłysła ostrym światłem jarzeniówek. Luta dyskretnie przyglądała się wydarzeniom na dole, skryta w kanciapie dźwigowego. Liczyła na taki rozwój sytuacji, bo zajmwszy pozycję tuż pod sklepieniem, była w zasadzie niedostrzegalna. Ostre światło działało na tych na dole podobnie jak to w teatrze na aktorów, którzy występując na scenie, praktycznie nie widzą publiczności. Nawet gdyby opuściła boks i postanowiła pokręcić się po gretingu, z dużą dozą prawdopodobieństwa nie byłaby widoczna, dzięki czemu jej przewaga – gdyż ona miała ich wszystkich jak na talerzu – i tak byłaby znacząca.

Odczekała kilka chwil, po czym wysunęła się i włączyła przyczepioną do gretingu kamerkę GoPro. Z uwagi na to, jak to wszystko zaplanowała, wątpiła, aby nagranie kiedykolwiek się jej przydało, ale wyszła z założenia, że lepiej mieć jakiś dowód, niż go nie mieć. Mężczyźni powoli zaczęli się gromadzić. Słyszała ich głośno i wyraźnie. Echo głosów niesło się po pustej hali niczym przechwałki wędkarzy po tafli wody jeziora.

Naliczyła dziewięciu, w tym Cyryla i Aleksandra Majskich. Pierwszy nie wyglądał na ukontentowanego, kroki stawiał powoli, rozglądał się, jakby pretensjonalnie ignorując wszystkich obecnych. Jego syn starał się neutralizować ten kiepski efekt, ale szło mu co najwyżej średnio.

– Pomysł z tym gówniarzem powinien dostarczyć im dowodów, że jesteśmy poważnymi graczami, a problem z dostawą to tylko drobne niedogodności – mówił, oparłszy się o blat linii produkcyjnej. – Wypadniemy dobrze. Zwłaszcza w oczach Yusufa.

– Ten cały Truskawa też powinien się tu znaleźć. Jeśli znów coś nawywijał... – Cyryl pokręcił z niesmakiem głową, poprawił poły marynarki i strzepnął jakiś paproch.

Aleksander postanowił nie poprawiać ojca, bo ten i tak był dziś w wyjątkowo kiepskim humorze.

– Poniesie zasłużoną karę – powiedział.

– Zajmiesz się nim zaraz po tym, jak udobrujemy Ozalanów. Która godzina?

– Jedenasta czterdzieści siedem, szefie – odezwał się jeden z najbliższych stojących ochroniarzy.

– Czyli zaraz powinni być...

Cyryl po raz ostatni rozejrzał się po hali, a następnie poczłapał w kierunku wyjścia. Na zewnątrz zapalił. Spojrzał w niebo i zatrzymał spojrzenie na jaśniejącym szkarłatem ziemskim satelicie.

– Krwawy księżyc – mruknął jakby do siebie. – W starożytnych czasach zwiastował plagi i nieszczęścia.

– Przesady dla głupców – skostatował Aleksander, który pojawił się u boku ojca.

– Głupcem jest ten, który z założenia odrzuca to, czego nie rozumie. Nawet jeśli brzmi to kompletnie irracjonalnie.

Górna warga Aleksandra uniosła się w nerwowym grymasie. Ojciec łajał go, jakby był jakimś chłystkiem, a nie jego potencjalnym następcą. Zaciśnął jednak zęby i nie ciągnął tematu, zwłaszcza że na horyzoncie pojawił się właśnie sznur samochodów.

– To oni – mruknął, wodząc wzrokiem za migającymi pomiędzy drzewami reflektorami.

– Każ przygotować chłopaka – rozkazał Cyryl, a gdy syn chciał ruszyć z miejsca, chwycił go za rękaw i dodał: – Popełniłeś błąd, ściągając ich do masarni. I dziwię się, że w ogóle zgodzili się tu przyjechać. Dlatego ja to załatwię, zrozumiano?

– Jak sobie życzysz...

Majski senior był sfrustrowany. Cała ta sytuacja pokazała, że popełnił błąd, oddając większość spraw w ręce syna. Zrobił to za wcześnie. Aleksander jeszcze nie dojrzał, potrzebował czasu. A może w ogóle się nie nadawał? Może geny nie predestynowały go do prowadzenia interesów na najwyższym szczeblu? Miał wiele wątpliwości, ale najbardziej denerwowało go to, że w ciągu niecałych dwóch lat, gdy pozwolił Aleksandrowi na większą autonomię, znów stracił zaufanie do swoich ludzi. Nie byli karni i pozwalali sobie na zbyt wiele, a brak dyscypliny – zwłaszcza w tej specyficznej branży – zawsze kończył się fatalnie. Nie mógł sobie pozwolić, aby odczytali to jako jego słabość. Dwa lata temu też został niejako zmuszony, aby przypomnieć im, kto stoi u sterów i czego mogą się spodziewać, jeśli do głowy wpadnie im samowolka. Przykładna śmierć butnego i nieokrzesanego Majora stała się mocnym argumentem, a oni najwyraźniej zrozumieli przekaz, bo panował spokój. Do teraz.

Aleksander nie był w stanie nad tym zapanować. Dlatego to on, Cyryl, musiał wziąć sprawy w swoje ręce. Na rozliczenie przyjdzie czas. Gdy biznes wróci na właściwe tory.

W miejscu Aleksandra pojawiło się dwóch roślących ochroniarzy. Stanęli po obu stronach Majskego niczym niewzruszone posągi. Goście byli punktualni, więc szef dał znać, aby otwarto bramę. Chwilę później ciszę przerwał szcęk mechanizmu i kolumna pojazdów wjechała na plac.

Cztery potężne SUV-y i furgonetka wzbily tumany kurzu, który w świetle silnych reflektorów wydawał się gęsty niczym obłok nadciągającej burzy piaskowej. Zatrzymały się kolejno jeden obok drugiego i przez chwilę stały niewzruszone. W końcu, gdy Cyryl zaczął się już niepokoić, drzwi SUV-ów otworzyły się niemal jednocześnie i ze środka wysypało się – jak dobrze policzył – dwunastu mężczyzn.

Cyryl przyłożył dłoń do oczu, aby uchronić je przed rażącym blaskiem świateł. Nie mógł dostrzec twarzy postaci, a jedynie zarys ich sylwetek, ale nawet w tak niedogodnych warunkach był w stanie stwierdzić, że przynajmniej kilku nosiło przy sobie broń długą.

Przez kolejne kilkanaście sekund nic się nie wydarzyło. Mężczyźni stali, jakby ktoś przyspawał ich do podłoża, i Cyryl zaczął się niepokoić, że coś jest nie tak. Ewidentnie powiało chłodem. Gospodarz nie zamierzał jednak panikować. Ozalanowie mogli być wkurzeni na niego z kilku powodów, ale nie były one tak poważne, aby Hakan – który raczej należał do ludzi pragmatycznych i zdecydowanie wolących budować mosty, niż je burzyć – próbował dążyć do eskalacji niepotrzebnych emocji. Mimo to atmosfera zgęstniała jeszcze bardziej, a napięcie zdawało się silne jak w gnieździe na słupie przesyłowym. Nie był jednak przekonany, co powinien zrobić, bo nie miał nawet pewności, z kim ma do czynienia. Odczekał jeszcze kilka sekund i już miał reagować, gdy dwóch mężczyzn wystąpiło z szeregu i powolnym, choć pewnym krokiem ruszyło w jego kierunku. Z każdym pokonanym metrem ich sylwetki coraz bardziej przysłaniały światła reflektorów. W końcu czarne cienie przeobraziły się w żywych ludzi.

– *Salam alejkum* – przywitał się Majski.

– *Alejkum salam* – odparli Ozalanowie.

Majski wyciągnął rękę i uściskał się najpierw ze starszym Yusufem, a następnie z Mustafą. Na tyle, na ile musiał, znał muzułmańskie obyczaje i zasady etykiety, więc postarał się, aby uścisk był niewymuszony i szczery. Na tyle, na ile musiał, znał też podstawy psychologii, więc od razu wyczuł, że z ich strony przywitanie jest chłodniejsze niż zwykle. Niechętnie dostrzegł gest Yusefa, który nakazał swoim ludziom ruszyć za nim.

– Zanim przejdziemy do interesów... – zaczął po niemiecku Yusuf, przekraczając próg hali. – Nasz czcigodny ojciec, Hakan Ozalan, chciałby wyjaśnić pewną sprawę, która nie daje mu spokoju.

– Ależ oczywiście... – Cyryl odszukał wzrokiem syna. – Jestem jednak gospodarzem i choć warunki, jakie ustalił mój syn, odbiegają od tych, do których zapewne są panowie przyzwyczajeni, to jeśli panowie pozwolicie, najpierw chciałbym zaproponować wam odrobinę rozrywki.

– Przyjechaliśmy tu w interesach, panie Majski.

– Interesy należy robić wtedy, gdy obie strony są gotowe do ich sfinalizowania bez żalów i urazy. Zgodzi się pan ze mną, panie Ozalan?

– To akurat bardzo ciekawe, co pan mówi, panie Majski... – Ton Yusufa stał się odrobinę bardziej szorstki.

– Zatem proszę pozwolić mi zaspokoić pańską ciekawość. Synu...

Aleksander Majski poczuł na sobie kilkanaście par oczu. Chwycił Klamę za kark i popchnąwszy go do przodu, wyszedł z cienia.

– To ten smarkacz jest przyczyną wszystkich naszych niepowodzeń – wyjawiał Cyryl. – Niech jego śmierć stanie się dowodem, że naszą współpracę traktujemy absolutnie priorytetowo, a wszyscy, którzy zechcą nam przeszkodzić, podzielą jego marny los.

Klama zbladł. Jeśli do tej pory w jego umyśle tliła się jeszcze nadzieja, wraz z tymi słowami wyparowała jak szklanka wody w epicentrum detonacji nuklearnej.

Spojrzał na linię produkcyjną. Pracował tu wystarczająco długo, aby wiedzieć, dokąd prowadzi i gdzie się kończy.

Chwilę później zwymiotował.

* * *

Serce Lutosławy Karabiny najpierw zamarło, a potem zaczęło walić, jakby w jej klatce piersiowej zerwało się do galopu stado dzikich koni. Niemal fizycznie czuła i słyszała tętent ich kopyt, depczących i miażdżących kolejne narządy wewnętrzne.

Dlaczego? O co tu chodzi? Skąd on się tu wziął? I dlaczego chcą go zabić?

Z jej gardła niemal wyrwało się jego imię, ale tylko sobie znanym sposobem powstrzymała się przed wykrzyczeniem go na cały głos. Obserwowała, jak pokornie drepcze, podpierając się kulami, mizerny, nędzny, stłamszony, pogodzony z podłym losem.

Nikos! – krzyknęła w myślach. Nikos, do kurwy nędzy! Coś ty znowu nawywijał?!

Nie miała pojęcia, co robić. Plan był prosty jak drut, a teraz wszystko szlag trafił. Ozalanowie mieli się dogadać z Majskimi, odebrać Werkę i resztę kobiet, a następnie przerzucić je do furgonetki. Później zaś, po werbalnym oskarżeniu

o atak na szwalnię przez Mustafę, rozpieprzyć to miejsce w drobny mak. Młody Ozalan zapewniał ją, że takie rozkazy otrzymał od ojca. Odpowiedź na tak bezczelną agresję miała być dla Majskich druzgocąca. Tu nie było wymówek. W momencie wymiany ognia ona wykorzystaby zamieszanie i z góry zdjęła niedobitków. Należała do najlepszych snajperów w kraju, więc cztery do sześciu strzałów na odległość dwudziestu czy trzydziestu metrów w takim chaosie było dla niej bułką z masłem. Nikt nawet by się nie zorientował. Padaliby jak muchy, a gdyby jakimś cudem któryś zdołał umknąć, w pobliżu bramy wjazdowej czaił się Szatan. Dopadliby każdego – z wyjątkiem jednego. Tego, z którym weszli w ten brudny układ. Jedyne możliwe i gwarantujące im anonimowość. Po powrocie Mustafa zbudowałby legendę mafijnych porachunków, w których niemal wszyscy wzajemnie się wystrzelali. Policja by to przyklepała, bo nikt nie chciałby babrać się w takim gnoju. Posprzątaliby trupy, odesłali trumny do rodzin i zamknęli sprawę. A potem wszyscy żyliby długo i szczęśliwie.

Teraz cały plan posypał się jak domek z kart. Co powinna zrobić? Jak zareagować? Była przyzwyczajona do działania pod dużą presją, ale tym razem chodziło o coś więcej. To był jej brat! Co prawda przyrodni, a do tego głupi jak but, ale jednak urodziła ich ta sama matka. Kurwa mać!

Oparła się o ściankę boksu i zamknęła oczy. Zacisnęła palce na broni. Musiała coś wymyślić. Musiała jakoś z tego wybrnąć.

Po chwili z powrotem wysunęła się z klatki dźwigowego. Przykucnęła na gretingu, przyjmując pozycję strzelecką. Gdyby zrezygnowała z celowania, mogłaby posłać serię i położyć od razu kilku przeciwników, ale wtedy rozpętałoby się piekło. A że piekła nie dało się kontrolować, wołała tego unikać. Tylko czy w tej chwili miała jeszcze nad czymkolwiek kontrolę?

– Kładź się! – usłyszała głos Majskiego.

Aleksander wepchnął Nikosa na taśmę produkcyjną, a następnie wbił mu strzykawkę w ramię. Brat Luty nawet nie jęknął, bo naraz doskoczyło do niego dwóch ochroniarzy i zaczęło krępować mu nogi i ręce szarą taśmą. Miała go na celowniku. Jedno pociągnięcie spustu i mózg Aleksandra znalazłby się na drugim końcu hali. Korciło ją.

– Błagam, błagam pana, błaaa... – Jeden z goryli zakleił usta Nikosa. Zrobił to brutalnie, przytrzymując go za twarz, jakby był nie żywą istotą, a jedynie sklepowym manekinem. Gdy go puścił, Luta dostrzegła, że brat w panice wytrzeszcza oczy, z których ciekną potoki łez. Łkał, wręcz szlochał, ale nie próbował się wyrwać, jakby był pogodzony ze swym marnym losem. W pewnym momencie zaczął się nienaturalnie spinać, nastąpił przykurcz mięśni, wreszcie niemal zupełnie przestał walczyć, a jego ciało stało się wiotkie, niemal bezwolne.

– To kuraryna – wyjaśnił Cyryl. – Nie chcieliśmy, aby ten gnojek zepsuł nam widowisko. Wie pan, panie Ozalan, zwykle w ten sposób pozbywamy się zimnych trupów, które nie zeskokczą z taśmy, ale tym razem... cóż...

Kilku mężczyzn zarechotało.

– Hmm... – Yusuf uniósł brew, a po trwającym mgnienie oka kontakcie wzrokowym z Cyrylem z powrotem skupił uwagę na Klamie. – Kim jest ten młodzieniec? I dlaczego postanowił go pan tak przykładowo ukarać?

– Długo by opowiadać. W każdym razie to on jest odpowiedzialny za porwanie tej dziewczynki z parku rozrywki.

Luta poczuła, jakby jakiś olbrzym chwycił ją za gardło i zacisnął na nim palce. Niemal odebrało jej dech. Jeśli do tej pory wahała się, co zrobić, teraz w jej głowie rozpętał się sztorm. Czy dobrze usłyszała? To Nikos maczał palce w porwaniu jej córki?

– To pana pracownik? – mruknął Yusuf.

– Były – prychnął Majski. – W każdym razie działał na własną rękę i od tego momentu wszystko się skomplikowało. Wie pan, jak to jest. Media sprawę rozdmuchały, policja zaczęła węszyć, a jej upierdliwa matka, zresztą półkrwi Turczynka, postawiła na baczność całe miasto.

Na czoło i skronie Karabiny wystąpiły krople potu. Były zimne jak lód. Co miała teraz zrobić? Szkolono ją na wypadek najróżniejszych komplikacji, ale nigdy na coś tak popieprzonego. Nienawidziła Nikosa za to, co zrobił, ale przecież nie mogła pozwolić mu umrzeć. Jak spójrzałyby w oczy matce? Jak spójrzałyby w lustro?

Jej wzrok powędrował znad lunety na koniec linii produkcyjnej. Nie trzeba być specjalistą, aby się domyślić, jaki finał czeka wszystko, co trafi pomiędzy zębate walce. Poczowała, że ręce jej drżą, więc mocniej zacisnęła palce na broni. Poszukała Mustafy, który stał obok Yusufa. Nie wyglądał na człowieka mogącego decydować tu o czymkolwiek.

Cyryl, Aleksander, Yusuf.

Mogłyby ich zlikwidować w ciągu trzech sekund. Z tej odległości nie musiałyby nawet używać lunety. To mogłyby się udać. Ale co potem? Ściągnęłyby na siebie ogień przynajmniej kilkunastu ludzi. Nie miała zbyt wielu dróg ucieczki. Z gretingu prowadziły tylko dwie ścieżki i obie kończyły się na otwartych schodach. Gdyby chciała uciekać, znalazłyby się jak na widelcu i musiałyby się bronić w tej malutkiej klatce dźwigowej. Jeśli miałyby szczęście, trafiłyby jeszcze jednego czy dwóch, w najlepszym wypadku czterech, ale koniec końców i tak by ją dopadli. A może jednak zaczęliby strzelać do siebie nawzajem? Ta myśl na chwilę zajęła jej umysł. Gdyby dobrze to rozegrała i zaczęła od Yusufa...

Nie, zmitygowała się. Nie mogła ryzykować. Gdyby się pomyliła, już nigdy nie zobaczyłaby córki, a Weronikę czekałby straszliwy los, po stokroć gorszy od śmierci. Nie miała prawa decydować za nią. Nie mogła postawić wszystkiego na jedną kartę.

Mężczyźni wciąż dyskutowali, a Nikos leżał jak kłoda na zakurzonej linii produkcyjnej. Nawet nie był w stanie walczyć o życie. Spętany, zwiotczały, zupełnie bezbronny. Mógł tylko patrzeć i czekać na śmierć.

Wtedy hałą rozdarł zgrzyt wysłużonego mechanizmu taśmy produkcyjnej, a chwilę później metaliczny odgłos rozpędzających się walców do mielenia mięsa. Dla Nikosa te dźwięki brzmiały jak wyrok. Dla Luty były jak pchnięcie nożem prosto w serce.

* * *

– Wyłącz to! – ryknęła po niemiecku. – Wyłącz albo rozwalę Yusufa i Cyryla!

Wszystkie głowy obróciły się w jej kierunku. Kilku mężczyzn wycelowało w górę lufy karabinów. Oślepieni silnym światłem jarzeniówek, nie byli jednak w stanie dostrzec Luty na wysoko zawieszonym gretingu. Niektórzy przyłożyli dłonie do czoła, ale ze swojej perspektywy widzieli tylko gęstą czerń.

– Wyłącz to, do kurwy nędzy! – krzyknęła ponownie, widząc, że taśma produkcyjna wciąż powoli sunie w stronę okręcających się wokół własnej osi walców. Aleksander stał nieruchomo, kompletnie zdezorientowany, ze sterownikiem wielkości cegły w dłoni. – Naciśnij ten pierdolony czerwony guzik albo odstrzelę ci łeb! – wrzasnęła tym razem po polsku. – Liczę do trzech. Raz, dwa...

Nie powiedziała „trzy”, tylko nacisnęła spust. Powietrze przeciął ostry świst, a chwilę później Aleksander chwycił się za ucho.

– Kurwa mać! – Spojrzał na swoją zakrwawioną dłoń. – Ta suka chyba odstrzeliła mi ucho i...

– Kolejny trafi w oko – przerwała mu. – Raz, dwa...

Mechanizm jęknął smętnie, a zębate walce zwolniły, aż w końcu się zatrzymały. Posępny pogłos chwilę później wsiąkł w stare mury masarni. Aleksander odłożył sterownik i klnąc pod nosem, wyciągnął z kieszeni marynarki chusteczki, którymi pospiesznie zaczął okładać krwawiące ucho. Biel błyskawicznie zajęła się szkarłatem, ale rana nie była poważna. Luta tylko go drasnęła. Tak naprawdę improwizowała, bo nie miała pojęcia, jak wybrnąć z impasu. Na razie jednak to ona miała przewagę – i musiała utrzymać ją jak najdłużej.

– Kim jesteś? – zapytał Cyryl bez cienia emocji.

– Ściągnijcie go z tej taśmy i połóżcie pod ścianą! – rozkazała po polsku, a potem szybko powtórzyła te same słowa, używając tureckiego. – Tylko szybko, bo nie mam zamiaru powtarzać! Broń na ziemię, wszyscy na kolana i ręce za głowę!

Nikt nie zareagował, ale pomyślała, że to dobry zabieg. Wydawanie poleceń w dwóch językach, których naprzemiennie obie strony nie rozumieją, może wprowadzić w ich szeregi dodatkową niepewność i wywołać zamieszanie.

– Pani Karabina... – westchnął stary Majski. Nie mogła widzieć, jak zadrżał mu mięsień pod okiem. – Może mi pani powiedzieć, co pani tu robi i jak się pani tu dostała?

– Mów po niemiecku! – warknął rozdrażniony Yusuf.

Luta przyjęła to jako swoje małe zwycięstwo. Dała im chwilę, aby wymienili się oskarżeniami, po czym kontynuowała po polsku:

– Jeśli pana ludzie nie ściągną mojego brata z taśmy w ciągu pięciu sekund, najpierw zabiję pana syna, a potem pana. Znam się na tym i nie chybię.

– Kim pani jest? – zapytał po niemiecku.

– Kimś, kogo nie chciałby pan dalej drażnić. Dwie sekundy i strzelam.

Cyryl dał znak swoim ludziom, a ci podeszli do taśmy produkcyjnej i chwyciwszy Nikosa pod ręce i nogi, zanieśli go pod ścianę. Poczwała się silniejsza. Miała ich jak na widelcu, a oni byli ślepi niczym krety.

– A teraz broń. Wszyscy mają rzucić broń i na kolana. W przeciwnym razie zastrzelę pana, a później pańskiego tureckiego kolegę. – Chwilę później powtórzyła wszystko po turecku z tą różnicą, że jako pierwszego wymieniła Yusufa.

Przez chwilę nic się nie wydarzyło, ale gdy znów zaczęła liczyć, starszy z braci Ozalanów dał znak swoim ludziom, aby złożyli broń. To samo zrobiły zbiry Majskiego. Wiedziała, że większość z nich zapewne ma przy sobie jeszcze broń krótką, ale tego już nie była w stanie sprawdzić. Mimo to jej położenie znów uległo poprawie. Niestety czas nie działał na jej korzyść. Wiedziała, że pierwszy szok w końcu minie i zaczną myśleć trzeźwo. A wtedy spróbują się odgryźć.

– Chcę tylko odzyskać moją córkę – kontynuowała, kierując słowa w stronę Yusufa. – Ci idioci porwali ją i chcieli sprzedać. Wiedzieli, z kim zadarli, ale zamiast mi ją oddać, postanowili zmienić zasady gry.

Celowo wyrażała się nieprecyzyjnie, tak aby nie dawać jasnych deklaracji, a jednocześnie wkurzyć nic nierozumiejącego Majskiego. Miała nadzieję, że Mustafa pojmie aluzję i włączy się do rozmowy.

– Jak nazywa się pani córka? – zapytał Yusuf.

– Weronika. Oddajcie mi ją, a będzie mogli dokończyć swoją imprezkę beze mnie.

– Jak mniemam, jest pani profesjonalistką. Świadczy o tym pani obecność w tym miejscu i jak mi Bóg świadkiem, w uznaniu dla pani determinacji i odwagi byłbym skłonny zgodzić się na pani warunki. Zwłaszcza że w pani żyłach płynie turecka krew...

Luta cały czas starała się kontrolować sytuację, ale choć obszar, jaki miała w zasięgu wzroku, nie był duży, musiała obserwować aż dziewiętnastu ludzi. Potrafiła to robić, bo szkolili ją, aby widzieć więcej. Tylko co z tego, skoro zapanował pat. Mogli sobie gadać do usranej śmierci, ale nawet jeśliby uwolnili Weronikę i Nikosa, ona żywa by stąd nie wyszła. Bez wsparcia nie mogła jednak liczyć na sukces. Zastanawiała się, jak na całą tę sytuację zareaguje Szatan. Byli w stałym kontakcie, więc musiał słyszeć, że plan się wysypał. Mogła spróbować go dyskretnie ściągnąć, ale postanowiła nie ryzykować i nie odkrywać wszystkich kart w nadziei, że stary gliniarz będzie wiedział, co robić.

– Dlatego przysięgam rozważyć pani prośbę – ciągnął Yusuf. – Mam jednak jeden warunek, gdyż jak pani zapewne się orientuje, nasza rodzina...

– To nie pan tu stawia warunki, panie Ozalan – ucięła, gdy kątem oka dostrzegła cień postaci zakradającej się z podwórza. Tym razem postanowiła działać bez ostrzeżenia. Nacisnęła spust, nabój przeszył powietrze i facet padł na ziemię z przestrzeloną czaszką. – Następna kula trafi w pana, panie Majski – uprzedziła po polsku, próbując zasiać jeszcze większy zamęt. – Pana wspólnik właśnie zaoferował mi pomoc w odzyskaniu córki, jeśli zastrzelę pana i pańskich zbirów. Twierdzi, że zaatakował i zabił pan jego ludzi w szwalni – skłamała.

– To nieprawda! – Cyryl podniósł głos, przenosząc wzrok na Yusufa. – Co to za bzdury? O co tu chodzi? – zapytał nerwowo po niemiecku.

– O to, że chcesz przejąć nasz biznes – syknął Mustafa. – Myślałeś, że to przejdzie bez echa?

Luta poczuła przyływ ulgi. Rozmowa w końcu schodziła na właściwe tory. Od tego momentu spodziewała się wszystkiego, zwłaszcza że dwóch ludzi Majskiego wykonało nieznaczny ruch rękami w poszukiwaniu schowanych za paskami pistoletów.

– To jakaś pomyłka. – Cyryl zaczął nerwowo kręcić głową. – Towar nie mógł do was dotrzeć, bo pojawiły się problemy natury logistycznej. Musieliśmy wycofać transport i... – Majski odnalazł wzrokiem Aleksandra. – O co tu chodzi? Coś ty narobił, synu? – zapytał po polsku, wyraźnie zbity z pantałyku.

– Nic nie zrobiłem. Nie słuchaj jej. Nic, kurwa, nie zrobiłem!

– Mówcie po niemiecku! – ryknął Yusuf.

– Nie słuchajcie tej kobiety! – powtórzył Aleksander. Skończyły mu się chusteczki i teraz dociskał do ucha dłoń, ale choć próbował zatamować krwotok,

krew wciąż przeciekała mu przez palce. – To jakieś bzdury! Mustafa, co ty pierdolisz? Jakie przejęcie biznesu? Przecież wszystko ustaliliśmy i...

– I dlatego chcieliście nas upokorzyć, umawiając się z nami w jebanej masarni? W mieście, nad którym góruje największa na świecie figura Chrystusa?

– Ale przecież...

– Ucisz tego zakłamanego bękarta, Cyryl! – warknął Mustafa. – Fałszywa gnida. Od razu widać, że w jego żyłach płynie psia krew.

Napięcie sięgnęło zenitu. Luta stała w oczekiwaniu na to, co się zaraz wydarzy. Nawet jeśli nikogo nie przekonała, zasiała tyle wątpliwości, że w tej chwili już nikt nikomu nie ufał. Na szczęście Mustafa włączył się do dyskusji w odpowiednim momencie. I zrobił to celująco. Pozostawało pytanie, co dokładnie miał na myśli. Dlaczego nazwał Aleksandra bękartem i powiedział, że w jego żyłach płynie psia krew?

Wtedy z rogu hali poniósł się zachrypnięty głos:

– Odpowiedz, Cyryl...

Za ściany wyłoniła się przysadzista sylwetka Zygmunta Szatana. Szedł powoli, trzymając oburącz pistolet i celując w starego kompana. Wszystkie oczy skierowały się na niego.

Luta pomyślała, że jeśli jeszcze chwilę temu sytuację można było nazywać ekstremalnie zagmatwaną, to Szatan właśnie zawiązał węzeł gordyjski. Łapiąc chwilę oddechu, omiotła spojrzeniem okolicę w poszukiwaniu kolejnych skradających się delikwentów, ale najwyraźniej nikt nie zamierzał podzielić losu kolegi z mózgiem na wierzchu.

Z powrotem przeniosła wzrok na nadkomisarza. Nawet stąd była w stanie dostrzec, że jego oczy płoną niewyobrażalnym gniewem.

– O czym mówi ten Turek, Cyryl? – naciskał Szatan.

Młody Majski wciąż bezskutecznie próbował zatamować ciekącą z ucha krew, ale wyraz jego twarzy zmienił się diametralnie, tak jakby w jednej chwili stracił grunt pod nogami.

Gdy Luta zaczęła łączyć kolejne kropki, uznała, że to ostatni moment, aby się ewakuować. Nie miała wątpliwości, że za kilka chwil w hali rozpęta się piekło, a oni wszyscy wyrzną się w pień.

ROZDZIAŁ 42

Powietrze w hali było ciężkie i lepkie od emocji. Te kilka słów, które parę sekund wcześniej wyrzucił z siebie Mustafa, zupełnie zmieniło rozkład sił. Szatan skupiał uwagę wszystkich bez wyjątku. Luta postanowiła wykorzystać okazję i ostrożnie ruszyła po gretingu w kierunku metalowych schodów.

– Zapytam po raz ostatni – wychrypiął Szatan. – Co miał na myśli ten Turek, mówiąc, że twój syn to bękart i w jego żyłach płynie psia krew?

– Nie... nie wiem, o co mu chodzi. To...

– Dość tych kłamstw, Cyryl! Odpowiadaj!

Luta krok po kroku schodziła po schodach, nieustannie pilnując, aby mieć na celowniku Yusufa albo Cyryla. Stopy stawiała miękko jak kot, więc zaaferowani pojawieniem się dodatkowego gracza ludzie Ozalanów i Majskich nawet się nie zorientowali, gdy znalazła się w połowie drogi. Oddychała cicho i płytko. Czuła, jak krople zimnego potu spływają jej po skroniach, a serce wali niczym młot pneumatyczny. Jej sytuacja wciąż była jednak stosunkowo dobra.

– Mówcie po niemiecku albo za siebie nie ręczę! – włączył się do rozmowy Mustafa.

Jego starszy brat stał jak wryty, nie mogąc oderwać wzroku od Szatana.

– Powiedziałeś, że Aleksander Majski to bękart i w jego żyłach płynie psia krew. – Szatan szybkim ruchem zmienił cel i przeniósł lufę swojego pistoletu na Mustafę. – Co dokładnie miałeś na myśli? A może ty mi powiesz, Yusuf? – Lufa glocka tym razem powędrowała w kierunku starszego Turka.

Mężczyzna miał już swoje lata, pewnie zbliżał się do sześćdziesiątki, ale wielu dużo młodszych od niego mogłoby mu pozazdrościć sylwetki i krzepy. Nosił okazalszą brodę od Mustafy i w przeciwieństwie do młodszego brata był zupełnie łyсы, przez co krzaczaste brwi jeszcze bardziej dominowały w jego pooranej zmarszczkami twarzy. Tuż pod nimi, w głębi ciemnych oczodołów kryło się spojrzenie, które mogło wydawać się badawcze i przenikliwe, ale nade wszystko było srogie.

– Powiesz mi czy mam ci odstrzelić jaja? – Szatan opuścił broń, celując między nogi oprawcy swojej rodziny.

Yusuf zacisnął zęby. Przez dłuższą chwilę wytrzymał spojrzenie nadkomisarza, w końcu przeniósł wzrok na młodego Majskiego.

– To twój syn – powiedział. – Oszczędziliśmy go i w zamian za pomoc w zorganizowaniu porwania twojej żony i córki oddaliśmy go Cyrylowi Majskiemu.

Szatan poczuł, jak uginają się pod nim nogi. Przed jego oczami pojawiły się mroczki, a ręce zaczęły się trząść. Czy to mogła być prawda, czy tylko kolejna perfidna gra?

– Dlaczego? – zapytał słabo.

– Zapytaj swojego przyjaciela. Propozycja wyszła od niego.

Szatan szybkim ruchem wycelował w Cyryla. Kątem oka dostrzegł zdezorientowanego Aleksandra, który z na wpół otwartymi ustami wpatrywał się w swojego ojca błędnym wzrokiem. Czy to był jego syn? Jego krew?

– Dlaczego to zrobiłeś? – zapytał, próbując nie ulec emocjom. – I nie kłam więcej, bo przysięgam, że pociągnę za spust.

Cyryl Majski przełknął ślinę. Na policzkach wykwitły mu czerwone plamy, a czoło zrosił zimny pot.

– To nie tak... Aleks...

– Nie kłam, kurwa! – wydarł się Szatan. – Dlaczego to zrobiłeś? Dlaczego, Cyryl? Tyle pierdolonych lat mnie zwodziłeś, że ścigasz ze mną Ozalanów, a tymczasem kręciłeś z nimi lewe interesy i wychowywałeś mojego syna, którego codziennie opłakiwałem?

– Bo ty zabiłeś mi mojego! – odwarknął Majski, po czym zrobił krok w kierunku Szatana. – To była twoja wina! Byłeś za niego odpowiedzialny, ale zamiast puścić tego cholernego tira, musiałeś zgrywać bohatera. To był jeden z jego pierwszych patroli. Florian nie miał żadnego doświadczenia. A ty swoją głupią decyzją go naraziłeś.

– Miał świadomość, że gdy wkłada się mundur...

– To był, kurwa, mój transport, debilu! I to przez ciebie ludzie Hakana zamordowali mojego syna! Nienawidzę cię, Zygmunt! Zawsze cię nienawidziłem i z wielką satysfakcją przyglądałem się przez te wszystkie lata, jak cierpisz, jak się staczasz, jak chlejesz, jak, kurwa, snujesz te swoje irracjonalne plany o rozprawieniu się z Ozalanami! I tak, kurwa, dogadałem się z Hakanem odnośnie do twojego syna, bo i tak nie mieliby co z nim zrobić i pewnie wylądowałby na śmietniku. Edyta urodziła, zanim do końca ją pocięli. Hakan oddał mi dzieciaka jako rekompensatę za Floriana oraz dowód, że nie wini mnie za śmierć swojego Kerema, którego ty zastrześliłeś. I nawet nie wiesz... – Majski zacisnął palce w pięść. – Nawet nie wiesz, jaką rozkosz sprawiało mi codzienne oglądanie

twojej udręczonej gęby, podczas gdy sam mogłem każdego dnia sztorcować twojego gówniarza.

– Tato! – Krzyk Aleksandra wybrzmiał jak wołanie o pomoc. W jednej chwili z dystyngowanego i surowego w obyciu młodzieńca zmienił się w zagubionego, przerażonego dwudziestopięciolatka, który właśnie się dowiedział, że całe jego życie to jedno wielkie kłamstwo.

Luta nie miała wątpliwości, że dla niego i Szatana to potężny wstrząs, a dla nich wszystkich prawdziwy *gamechanger*, mimo to sama czuła się przytłoczona obrotem spraw. Najpierw rozszada z Nikosem, a następnie gambit z Aleksandrem totalnie i bezpowrotnie zmieniły zasady gry.

Musiała to wykorzystać na swoją korzyść.

Niestety nie tylko dlatego nie nacisnęła spustu, gdy młody Majski w eksplozji emocji wyciągnął spod pazuchy broń i wycelował ją w Yusufa. Jego ludzie odpowiedzieli tym samym i chwilę później wszyscy już celowali we wszystkich. W nią też.

– Nie jesteś aż taka dobra – usłyszała głos mężczyzny za plecami. Zrozumiała, że dała się podejść. Rozkojarzyła się, straciła czujność i koncentrację, a jeden z ludzi Ozalanów, który pierwotnie został na zewnątrz, zaszedł ją od tyłu. Lufa jego karabinu napierała na jej plecy, uświadamiając Lucie, że zasady gry znów uległy zmianie. Tym razem była to zmiana na gorsze. – A teraz grzecznie odłóż broń na ziemię.

Wykonała polecenie. Sig sauer z metalicznym echem uderzył o betonowe podłoże, a chwilę później na ziemi wylądowała jej beretta.

– Mam tę sukę! – krzyknął mężczyzna w swoim języku i napał lufą nieco mocniej. – Ruszaj się!

Zrobiła kilka kroków do przodu. Zerknęła na leżącego pod ścianą Nikosa. Ciężko oddychał przez nos, jakby zaczynało mu brakować tchu. Ich spojrzenia na chwilę się spotkały. W jego przekrwionych od łez oczach ujrzała ogromny ból, a także żal i skrucę. To jednak nie był czas na usprawiedliwianie się i rozdrapywanie ran. Miała nadzieję, że na wyjaśnienia przyjdzie jeszcze pora. Teraz musiała szybko coś wymyślić, bo sytuacja stała się kuriozalna i w każdej chwili groziła niekontrolowanym wybuchem. Wszyscy siedzieli na beczce prochu, a lont powoli zaczynał się dopalać. Miała jeszcze kilka, może kilkanaście sekund. Potem zaczniesz się rzeź.

Uspokoila oddech. Czas zwolnił, jakby ktoś włączył tryb *slow motion*. Właśnie do tego ją szkolono. Obserwowała, jak mężczyźni zaczynają się przekrzykiwać. Zdawało jej się, jakby ich głosy płynęły z odległych piwnic. Wpatrywała się w ich twarze, analizowała każdy ruch czy tik mięśnia pod okiem. Jeden, dwa, trzy, cztery...

Rozprostowała palce, po czym z powrotem zacisnęła je w pięść z taką siłą, że dało się słyszeć trzask ścięgien. Jeszcze chwila. Jedno, może dwa uderzenia serca.

– Pospiesz się, bo...

Błyskawicznie zeszła z linii strzału i zanim mężczyzna trzymający ją na muszce zdążył zareagować, okręciła się na jego lewym ramieniu i chwyciwszy jedną ręką jego półautomat, a drugą przedramię, najpierw wykręciła całą rękę, a następnie wsunęła się pod jego ramię i wynosząc bark, wyłamała przeciwnikowi staw łokciowy. Zaskoczony, zdążył nacisnąć spust tylko raz. I ten raz wystarczył.

Huk wystrzału był niczym detonacja ładunku skumulowanego testosteronu. Zbyt długo trzymane na postronkach nerwy eksplodowały.

Gdy kule zaczęły świstać w powietrzu, a hałą rozdarły wrzaski trafionych, Luta już była przy ścianie, patrząc, jak jej niedoszły oprawca z przerażeniem ściska w dłoni ociekające krwią ostrze. Z jego tętnicy w rytm uderzeń serca tryskała fontanna krwi. Miała takich jeszcze dziewięć, więc pogodziła się ze stratą i chwyciwszy Nikosa pod pachę, zaciągnęła go w przyległy do hali korytarz, po czym zerwała mu z ust taśmę.

– Wrócę po ciebie – rzuciła, gdy uznała, że tu nie dopadnie go żadna zbłąkana kula.

Następnie wychyliła się zza winkła, by ocenić sytuację w głównej hali. Turek, który chwilę wcześniej zdołał ją zaskoczyć, kilka metrów dalej skomlał w kałuży krwi, ostatkiem sił próbując zatamować krwawienie. Nie był już żadnym zagrożeniem, podobnie jak czterech ludzi Majskiego leżących bez ruchu na betonie i co najmniej trzech zbirów Ozalana, z których jeden się czołgał, trzymając za brzuch, a drugim wstrząsały pośmiertne drgawki.

Wymiana ognia trwała w najlepsze. Niestety z tej perspektywy Luta widziała tylko ludzi Majskiego. Kryli się za jakimiś metalowymi boksami i od czasu do czasu oddawali pojedyncze strzały, ale wyraźnie znajdowali się w defensywie. Turcy walili całymi seriami z automatów, dziurawiąc wszystko, co stało na ich drodze. Mieli przewagę i wyglądało na to, że wygrają to starcie.

– Szatan? Jesteś tam? Szatan? – zapytała, ale w odpowiedzi usłyszała tylko ciężkie dyszenie. – Szatan? Jesteś tam? Powiedz coś.

– Rób swoje, kobieto – rozległo się polecenie, a chwilę później połączenie zostało przerwane.

Zakłęta pod nosem i omiotła wzrokiem okolicę. Potrzebowała broni, ale jej snajperka i beretta, podobnie jak automat odebrany Turkowi, leżały na odkrytym terenie. Próbuąc się do nich dostać, ryzykowałyby życie. Znów rozległ się krzyk. Obróciła się. Dochodził zza blaszanego boksu, gdzie krył się Cyryl i jego dwóch ludzi. Jeden z nich trzymał się za bark, podobnie jak jego szef, który siedział

oparty o ścianę, ciężko dysząc. Nie mogła natomiast dostrzec Aleksandra i zbirów Ozalana, którzy okopali się po drugiej stronie. Gdy w końcu dwóch z nich, ośmielonych ustaniem ognia od strony Majskich, wyłoniło się zza linii produkcyjnej i z wycelowanymi automatami zaczęło zbliżać się do metalowych boksów, za którymi krył się Cyryl, wzrok Luty spoczął na skrzynce z czterema czarnymi przełącznikami. Uśmiechnęła się pod nosem, a gdy przestrzeń hali rozdarła kolejna seria strzałów, doskoczyła do ściany i przesunęła w dół jeden za drugim, po czym wbiła nóż pomiędzy odchodzące od skrzynki kable.

Zaiskrzyło, jarzeniówki zamigotały, a za moment światło zgasło.

Halę znów wypełnił bladoczerwony blask krwawego księżyca.

* * *

Pożałowała, że zostawiła na górze noktowizor. Przeszło jej przez myśl, aby po niego wrócić, ale ostatecznie wycofała się z tego pomysłu. Kolejna seria wystrzałów sprawiła, że hala na chwilę znów rozbłysła, a rozdzierający wrzask dowiódł, iż następna dusza pożegnała się z ziemskim padołem.

– Mamy go, panie Ozalan! – krzyknął jeden z ludzi Yusufa. – Jest ranny, ale żyje.

– A kobieta? Ją też macie?

– Nie, ale znajdziemy ją. Nie mogła uciec daleko.

– Kto wyłączył światło?

Odpowiedź nie padła, a Luta pomyślała, że ci głupcy trochę się zagalopowali. Kto tu mówił o uciekaniu? Wyszczерzyła zęby w grymasie zadowolenia.

– Przyprawdźcie mi Cyryla, kobiety nie zabijajcie. Chcę ją żywą.

Zapraszam, rzuciła w duchu i przemknęła pomiędzy stertą kartonów. Przykleiła się do ściany w niewielkiej wnęce na zewnętrzne orurowanie. Choć w hali panował półmrok, strumienie przenikającego przez drzwi i okna światła od czasu do czasu obnażały skradające się postaci. W sumie naliczyła siedmiu ludzi. Rozpierzchli się. Przygarbieni, skąpani w szkarłatnym blasku księżyca, z wycelowaną przed siebie bronią, wypatrywali jej w najbardziej zacienionych zakamarkach. Słyszała ich szepty i ostrożnie stawiane kroki. Jeden z nich, mniejszy i krępy, skierował się wprost na nią.

Czekała. W ciemnej wnęce, za dwoma pionowo schodzącymi rurami grubości ludzkiego uda, była niczym ukryta obietnica śmierci. Gdy mężczyzna znalazł się w jej zasięgu, wystrzeliła niczym kobra. Lewą dłonią nakryła jego usta, a prawą, uzbrojoną w nóż, wbiła ostrze tuż pod jabłko Adama. Wyszarpała je i kolejny cios zadała w dolną część pleców, oddzielając kręgi pomiędzy odcinkiem krzyżowym i lędźwiowym. Pod ofiarą natychmiast ugięły się nogi, a po hali poniosł się gulgot

i plusk krwi, która zbryzgała betonową posadzkę. Luta zaasekurowała osuwające się ciało, po czym cicho odłożyła je na ziemię. Spomiędzy wiotkich palców wyciągnęła pistolet. Schowała go do pustej kabury przy pasku, a ostrze wytarła o nogawkę.

Rozejrzała się wokół.

Dwóch kolejnych mężczyzn znajdowało się w odległości ośmiu i dwunastu metrów. Poruszali się zbyt blisko siebie, więc wycofała się w kierunku drzwi prowadzących na korytarz. Przyklejona do ściany przez chwilę czekała w nadziei, że nadarzy się okazja do ataku. Niestety, trzymali się blisko, dodatkowo wzajemnie się asekurując. Jakies dziesięć metrów za nimi skradał się kolejny, który kierował się w stronę wejścia. Zerknęła przez ramię. Zarys czwartego pojawił się po prawej. Zakłęła pod nosem, bo została jej tylko jedna droga. Aby opuścić halę, musiała jednak otworzyć drzwi. Obawiała się, że stare i zapewne od lat nienaoliwiane zawiasy zdradzą jej położenie.

Raz jeszcze oceniła swoje szanse. Szybka analiza utwierdziła ją w przekonaniu, że musi się ewakuować. Dwaj kroczący obok siebie mężczyźni byli jednak zbyt blisko.

Wtedy ciszę przeciął cichy świst, a ułamek sekundy później następny. Obaj instynktownie złapali się za gardła, jednak niewielkie matowe ostrza wbiły się głęboko aż po rękojeść, przecinając tkanki i tętnice bez żadnego oporu. Gulgot towarzyszący każdemu, kto zaczyna topić się we własnej krwi, upewnił Lutę, że wróg nie stanowi już zagrożenia.

Jeszcze czterech, pomyślała.

Wtedy halę rozdarł odgłos wystrzałów, a ściana tuż obok niej eksplodowała. Poczła silny ból w okolicy żuchwy. Odprysk trafił ją z taką siłą, że aż odrzuciło jej głowę. Instynktownie szarpnęła kłamkę i wybiegła na korytarz, zostawiając za sobą podziurawione drzwi.

– Tam jest! Dawać ją! Chyba ją trafiłem!

Głosy zbirów Ozalana niosły się za jej plecami, a ona biegła korytarzem, klnąc i trzymając się za szczękę. Mocno krwawiła. Skóra pod palcami była poszarpana, Luta czuła gołą kość. Przez moment pomyślała, że może rzeczywiście została trafiona, ale gdy się zorientowała, że język i podniebienie są nienaruszone, nieco jej ulżyło. Wciąż miała jednak na plecach czterech uzbrojonych bandytów, a do tego znajdowała się w wąskim i odsłoniętym korytarzu. Szarpnęła jedne drzwi, ale były zamknięte. Drugie również. Przy trzecich już się nie patyczkowała i przestrzeliła zamki. Wchodząc, dostrzegła tabliczkę z napisem „Chłodnia”.

Popchnęła ciężkie odrzwia i wpadła do środka. Owiało ją zimne powietrze, które przyniosło odrobinę wytchnienia. Poświeciła latarką i rozejrzała się. W strumieniu światła ukazał się nieskończony szereg świńskich tusz. Wisiały na

hakach zamontowanych na długiej linii produkcyjnej, która wiała się od ściany do ściany niczym kręta górską drogą. Wypatroszone, gotowe do trybowania, sięgały niemal do samej ziemi. Przecisnęła się między dwiema i zniknęła w gąszczu pozostałych. Przysiadła pod ścianą i nadstawiła uszu, wygrzebując z kieszeni kamizelki zestaw pierwszej pomocy. Oddychała ciężko, a krew plamiła jej spodnie i kapała na podłogę, zostawiając czytelne dla wroga ślady. Gdy nie usłyszała kroków, szybko oblała sobie prawą stronę twarzy wodą utlenioną. Zapiekło jak jasna cholera. Jęknęła. Dotknęła językiem rany od środka i zdała sobie sprawę, że w policzku ma dziurę o średnicy małego palca.

Miała może kilkanaście sekund. Przytknęła do rany gruby kawałek gazy, pospiesznie owinęła bandaż wokół głowy i zawiązała supeł. Trzymał się na słowo honoru, ale musiało wystarczyć. Wstała i raz jeszcze omiotła wzrokiem wiszące tusze. To dobre miejsce, pomyślała, po czym splunęła krwią, która zebrała się jej w ustach. Wyłączyła latarkę i wstrzymała oddech. Nasłuchiwała.

Raz, dwa, trzy, cztery... dziesięć... piętnaście.

Kroki.

Skrzypienie drzwi.

Chwilę później mrok przecięły dwie wiązki światła latarek.

– Na Boga! – rzucił jeden z mężczyzn. W jego głosie dało się wyczuć odrazę.

– Ona tu jest – odezwał się inny. – Popatrz na krew. Jest ranna.

– Pojebało cię? Chcesz tu wejść?

– Nie chcę, ale...

– Kurwa!

– Jak nam spierdoli, szef nas zajebie. Musimy tu wejść.

– To włącz.

– Arif...

– Co Arif? No włącz!

– Kurwa!

Mężczyzna puścił wiązaną przekleństw, przeładował broń i zaczął strzelać. Żadna z kul nie mogła jednak być dla Luty zagrożeniem. Wszystkie pociski utkwily w mięsie, jeśli nie w pierwszym rzędzie tusz, to w drugim, gdy przeszły na wylot.

Lewy kącik jej ust uniósł się nieco w szyderczym uśmiechu. Liczyła, że ten widok ich poruszy, tymczasem najwyraźniej wstrząsnął nimi do imentu. Że też w dzisiejszych czasach ludzie jeszcze wierzą w te wszystkie zabobony, pomyślała. Na jej szczęście ci głupi Turcy naprawdę byli przekonani, że kontakt ze świnią skutkuje niezmywalnym grzechem, za który Bóg ich ukarze. A może nie przyjmie do raju? Gównu ją to obchodziło. Ważne, że wierzyli.

Ustawiła się za jedną z najtłustszych tuszy. Ryj bestii niemal dotykał ziemi, więc mogła być spokojna, że nikt jej tu nie dostrzeże. Z zadowoleniem przyjęła

fakt, że prześladowcy wybrali okreśną drogę, zapewne w obawie, że przeciskając się pomiędzy świńskimi cielskami, niechcący się o nie otrą. Głupie fiuty, prychnęła w duchu i mocniej zacisnęła palce na rękojeści noża.

Czekała.

Znajdowała się za trzecim rzędem, a jeden ze śmiałków ostrożnie stąpał korytarzem pomiędzy pierwszym a drugim. Zgasił latarkę, ale jej oczy zdążyły przyzwyczać się do ciemności i widziała przemykający zarys sylwetki. Kilka metrów za nim kroczył jego kompan, próbując lufą rozgarniać tusze. Odczekała jeszcze kilka sekund, a gdy tylko mężczyzna znalazł się za cielskiem bestii, za którą się kryła, lekko odsunęła truchło i szybkim ruchem wbiła nóż pod brodę Turka. Poczowała, że ostrze przebiło kość i dotarło do mózgu, więc śmierć była natychmiastowa. Ciało bezwładnie runęło na podłogę. Drugi bandzior nie zdołał zareagować i zanim się zorientował, co się wydarzyło, w jego tchawicy tkwiło małe czarne ostrze. Odruchowo nacisnął spust, zaraz jednak przyklęknął i podpierając się o tusze, charczał i broczył krwią jeszcze przez kilka sekund, dopóki w tętnicy nie wylądowało drugie ostrze, które zwieńczyło dzieło.

– Arif? Okay? Jesteście tam? – zawołał trzeci kompan, który został przy wejściu.

– Arif i Okay właśnie stanęli u bram raju – syknęła w odpowiedzi Luta i zniknęła pomiędzy tuszami. – Będą mieli z nich niezły ubaw! – dodała kpiącym tonem już z innej części chłodni.

Pomieszczenie znów rozdarła seria z automatu. Było to jednak kompletnie bezproduktywne, bo kule, jedna po drugiej, lądowały w tłustych wieprzowych cielskach, nie stwarzając dla Luty najmniejszego zagrożenia.

– Poszukaj światła! – odezwał się kolejny głos.

Jeśli dobrze policzyła, zostało już tylko dwóch.

Trafione prosiaki bujały się na hakach, metalowe mocowania dzwoniły, a echo wystrzałów odbijało się od ścian. Bez zastanowienia Luta przecisnęła się pomiędzy martwymi cielskami i położyła pomiędzy pierwszym a drugim rzędem tusz. Odczekała chwilę, a gdy usłyszała dźwięk włącznika i pomieszczenie rozblęsnęło ostrym światłem jarzeniówek, kilkakrotnie nacisnęła spust.

Obaj mężczyźni padli z krzykiem, instynktownie chwytając się za strzaskane piszczele i rozerwane kostki, ale nie dała im szans na jakąkolwiek odpowiedź, bo gdy tylko osunęli się na posadzkę, kolejne kule trafiły w głowę każdego z nich. Odczekała do momentu, aż echo wystrzałów przestanie rezonować, i nie bez problemów podniosła się na nogi. Przecisnęła się pomiędzy tuszami i podeszła w okolice drzwi. W uszach wciąż dźwięczał jej metaliczny odgłos rozhuśtanych haków.

Przyjrzała się trupom. Stopa jednego wciąż jeszcze ruszała się w takt ostatnich impulsów nerwowych, ale dziura w czaszce nie pozostawiała złudzeń, że facet nie żyje. Odetchnęła i oparła się o ścianę, ale świadomość, że przed nią wciąż jeszcze daleka droga do odzyskania córki, sprawiła, że trwało to tylko chwilę. Sprawdziła magazynek. Zostały jej dwa naboje, więc odrzuciła pistolet i wyjęła z ręki martwego Turka drugi, którego magazynek okazał się prawie pełny. Jego kompan miał przy sobie karabin maszynowy. Podniosła go i zważyła w dłoniach. Haenel MK 556 to dobry sprzęt, który trafił na wyposażenie niemieckiej armii, i choć sama z tego modelu nigdy nie strzelała, czytała, że ostatnio robił za zachodnią granicą prawdziwą furorę.

– Sprawdźmy, czy mi się przydasz – mruknęła i zarzuciła karabin na ramię, po czym dyskretnie wyjrzała przez otwarte drzwi chłodni. Poświeciła na lewo i prawo. Była sama.

– Okay? Cinar? Omer? Arif? – poniosło się z głębi budynku.

Yusufowi odpowiedziała głucha cisza. Ponowił wołanie, ale tym razem w jego głosie dało się wyczuć nutę zwątpienia, a może nawet strachu. Tak, to na pewno był strach. Luta nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości, bo właśnie w tej chwili Yusuf Ozalan zaczął zdawać sobie sprawę, że nie ma więcej ludzi. A jeśli jeszcze kogoś miał, to może jednego bądź dwóch. Ona natomiast wciąż żyła i też potrafiła liczyć. A to tak, jakby został sam.

Luta pomyślała, że wiele roboty już nie zostało, po czym splunęła nadmiarem sączącej się z rany krwi i pewnym krokiem ruszyła korytarzem w kierunku głównej hali.

ROZDZIAŁ 43

— Już po tobie, Yusuf – jęknął Szatan.
Leżał oparty o linię produkcyjną, trzymając się za lewe ramię. Kula przeszła na wylot, a rana mocno krwawiła.

– Zamknij się! – warknął starszy z braci Ozalanów, zbliżając broń do jego głowy.

– Ta kobieta to bestia. Nie doceniłeś jej, co?

– Zamknij się, bo...

– Bo co?

Yusuf zacisnął zęby. Sam krwawił z szyi, chociaż zbłąkana kula ledwie go drasnęła. Wokół wałały się same trupy, z wyjątkiem jednego z jego ludzi, który wciąż walczył o życie. Gdzieś z mroku niósł się jego charczący oddech, świadczący, że z wolna topi się we własnej krwi.

– Bo mnie zabijesz? – ciągnął Szatan. – Proszę bardzo, strzelaj. Ty już nic nie możesz mi zrobić. Zabiłeś mnie dawno temu. Tak naprawdę wyświadczyłbyś mi przysługę.

Ozalan nie odpowiedział. Szukał wzrokiem jedyne go człowieka, który mu pozostał, a którego wysłał, aby przyprowadził Nikosa. Pistolet w jego dłoni trząsał się, jakby ważył nie kilogram, a przynajmniej pięć razy tyle.

– Żałowałbym tylko jednego. Że nie zobaczę, jak Luta cię wybebesza. Ta pukawka ci nie pomoże, a przecież wiesz, że ona wróci. Z tego, co słyhać, a raczej czego nie słyhać – Szatan szyderczo zarechotał – zaraz tu będzie. A może już jest? Wiesz, co ci wtedy zrobi?

Yusuf wytarł pot z czoła. Był bliski paniki. Ludzie, których wysłał w ślad za tą kobietą, nie odpowiadali. To mogło oznaczać tylko jedno. Wybiła ich do nogi. Kim była? Dla kogo pracowała? Gdzie posiadała takie umiejętności? Bez wątplenia musiała być profesjonalistką, jedną na milion. Nie mógł pojąć, jak do tego wszystkiego doszło, a fakt, że jego młodszy brat wyparował, zdecydowanie nie poprawiał mu samopoczucia. Przez głowę przemknęła mu nawet myśl, żeby po prostu wyjść, wsiąść w samochód i odjechać, ale szybko się zmytygował. To nie wchodziło w rachubę. Okryłby hańbą siebie, ojca i cały klan. Jak wytłumaczyłby

się z tego, co tu zaszło? Tego nie dałoby się ukryć. Ojciec prędzej czy później dowiedziałby się, że jego najstarszy syn, postrach Berlina, słynny i bezwzględny Yusuf Ozalan, wziął nogi za pas i umknął przed kobietą. Jedną jedyną kobietą, która dodatkowo wyróżnęła w pień całą czeredę jego najlepszych ludzi.

– Pewnie się zastanawiasz, jak stary zapijaczony glina i matka dwójki dzieci zdołali to wszystko zorganizować, mam rację? – dopytywał Szatan, jakby czytał w jego myślach. Miał w tym swój cel. Luta najwyraźniej zdołała posłać na tamten świat wszystkich jego ludzi i szykowała się do ostatecznego starcia. Warto było jej w tym pomóc, choćby wytrącając Ozalana z równowagi.

– Zorganizować? – zapytał szczerze zaciekawiony Turek, choć jego wzrok wciąż obsesyjnie błędził po skąpanej w krwawym blasku księżycy hali.

– A coś ty myślał? Tu wszystko zostało zaplanowane od początku do końca.

– Łiesz! – syknął przez zęby.

– Może tak, a może nie. Najlepiej zapytaj Mustafę.

– Co?

Szatan znów zarechotał, ale tym razem przez szyderczy śmiech przebijało coś jeszcze. Trudna do zdefiniowania mieszanka pogardy, cynizmu, bluźnierstwa i jedyne w swoim rodzaju triumfu.

– Gdyby nie uciekł, to pewnie by ci powiedział – ciągnął. – Myślę, że nie bardzo cię lubił. Wątpię nawet, aby cię szanował. Ale uczciwie muszę przyznać, że to nie dlatego zdecydował się cię wystawić. Tutaj swoją rolę odegrał niejaki Władimir. Chciałbyś kiedyś poznać Władymira?

– Władimir? Kim jest Władimir? – Yusuf dostrzegł swojego człowieka, który ciągnął po ziemi bezwładne ciało Nikosa.

– Kimś, kto bardzo, ale to bardzo chciałby cię poznać. Nawet nie wyobrażasz sobie, jak bardzo. I myślę, że to nie będzie nadinterpretacja, gdy przyznam, że czeka na to spotkanie całe swoje życie.

Ozalan nic z tego nie rozumiał, wobec czego skupił uwagę na Nikosie. Wsunął stopę pod ramię chłopaka i obrócił go na plecy. Wycelował w jego głowę, zastanawiając się, co robić. Nikos jęknął, ale nie próbował walczyć. Nie miał władzy nad własnym ciałem, a do tego był spętany jak pochwycone w pułapkę zwierzę.

– Kim jest ta kobieta? – Yusuf znów przeniósł wzrok na Szatana.

– Myślę, że jak tu przyjdzie, sama ci to zdradzi. Zanim jednak się pojawi, mogę opowiedzieć ci o Władimirze. To naprawdę miły gość, choć jebany ma temperament jak stąd do Berlina. No i lubi bliskość. Pieszczoty też. Naprawdę myślę, że mielibyście co ze sobą robić.

– Co ty pierdolisz?

– Twój brat miał okazję go poznać, i to bardzo blisko. Dogłębnie nawet. Jestem prawie pewny, że zostali przyjaciółmi na całe życie. Może nawet się w sobie zakochali? Myślę, że to dlatego cię wystawił.

– O co ci, kurwa, chodzi? Jaki przyjaciel? Jaki, kurwa, Władimir?

Szatan wybuchnął niekontrolowanym śmiechem, zupełnie zbijając z tropu zdezorientowanego Yusufa. Turek znów wycelował broń w nadkomisarza, ale nie nacisnął spustu. Facet był ranny i bezbronny. Nie mógł mu zagrozić, za to wydawał się mocną kartą przetargową. Co z tego, skoro przypomniał sobie te wszystkie dochodzące z mroku jęki swoich ludzi. Charczeli, rżęzili, niektórzy wzywali Boga, ale prędzej czy później każdy z nich milkł na wieki. Ta kobieta była jak *ghula*, wiedźma z przypowieści, które opowiadał mu przed laty ojciec, demonica czająca się w ciemności, mordująca i pożerająca swoje ofiary.

Zadrżał na myśl, że może kryć się w mroku. Jego ciało przeszył lodowaty dreszcz, gdy zdał sobie sprawę, że na pewno tak jest. Dotknął rany na szyi. Nie czuł bólu, jedynie ciepłą krew, która spływała za kołnierz jego koszuli, barwiąc go na brązowy w półmroku kolor. Nie mógł dłużej trwać w niewiedzy. Docisnął lufę do karku Nikosa.

– Pokaż się, kobieto! – ryknął. Ale zanim wybrzmiało ostatnie słowo, usłyszał cichy świst, a jego człowiek chwycił się za gardło. Zdziwiony wyciągnął z szyi ostrze. Z rany chlusnęła krew. Chwiejnym krokiem ruszył przed siebie, w końcu pistolet wypadł mu z dłoni, przykleknął, posłał pryncypałowi ostatnie zdumione spojrzenie, po czym padł twarzą na podłogę. – Na Boga! Kim jesteś, kobieto? Pokaż się i stań ze mną twarzą w twarz! – wydarł się Yusuf.

– Ona nie lubi, jak zwracasz się do niej w ten sposób – mruknął drwiąco Szatan.

– Milcz!

Tego dla Yusufa było już za wiele. Kocioł buzujących emocji wykypiał, a w jego umysł i ciało wstąpiła furia. Pragnął już tylko jednego. Aby Szatan zamknął gębę, zamilkł raz na zawsze. Wycelował w jego klatkę piersiową, ale zanim nacisnął spust, powietrze przeszył kolejny świst, a pistolet wypadł mu z ręki. Z początku nie rozumiał, co zaszło, ale gdy spojrzał na swoją dłoń, z której wystawało skrwawione czarne ostrze, zrozumiał, że przegrał.

W akcie desperacji wyszarpał z ciała niewielki nóż i dosiadł Nikosa, ale gdy tylko się zamachnął, poczuł dwa następujące po sobie uderzenia – w jeden, a następnie w drugi bark. Dopiero później usłyszał huk wystrzałów. Zrezygnowany oklapł niczym robot, któremu wyczerpała się bateria. Zamknął oczy i przez dłuższą chwilę się nie ruszał w oczekiwaniu na strzał, który zakończy jego cierpienia. Ten jednak nie nadszedł, a gdy otworzył oczy, zobaczył majaczący w mroku cień.

Uniósł głowę, aby spojrzeć w oczy śmierci. Skupił wzrok. *Ghula* sunęła w jego stronę niczym pustynny duch, niemal jakby nie dotykała ziemi. Z każdym kolejnym metrem wyłaniała się z ciemności, a gdy szkarłatny blask krwawego księżyca w końcu rozjaśnił jej twarz, Yusuf Ozalan stracił wszelką nadzieję.

– Nie zabiję cię – syknęła Luta, wcześniej chwytając go za brodę i unosząc jego głowę.

Spojrzał jej w twarz. Pomalowana w barwy wojenne skóra była zbryzgana krwią, a spod przesiąkniętego opatrunku co rusz urywały się szkarłatne krople.

– Kim ty jesteś, kobieto? – wyjęczał zrezygnowanym tonem.

– Matką.

– Matką... – prychnął Ozalan.

– Matką pięknej córeczki, która ma na imię Weronika i najbardziej na świecie lubi Blue, Świnkę Peppę i malowanie flamastrami. Lubi też Skye z *Psiego Patrolu* i gdy robię jej hopa-hopa i helikopter, a czasem, co zaczyna mnie odrobinę irytować, wciąż woła o smoczek.

– Po co mi to mówisz?

– Po to, byś zrozumiał, że chciałeś ją kupić jak worek ziemniaków, a następnie sprzedać z zyskiem do jakiegoś obscurnego burdelu, gdzie tacy zwyrodnialcy jak ty... – Luta zrobiła pauzę, bo pewne słowa nie chciały przejść jej przez usta. –

Dlatego właśnie nie zasługujesz na śmierć. Śmierć to nagroda dla takich śmieci jak ty. Nie zabiję cię, bo chcę, abyś poczuł to wszystko, co czują kobiety i dzieci, na których krzywdzie zbudowaliście swoje imperium. Chcę, żebyś poczuł upokorzenie, jakie one czują każdego dnia. Chcę, żebyś poczuł ból, którego doświadczają. W końcu chcę, żebyś sam błagał o śmierć, tak jak one błagają, spętane łańcuchami, gnijąc w zapylonych piwnicach, podczas gdy tacy jak ty bezkarnie taplają się w bogactwie.

Yusuf nie odpowiedział. Puściła jego brodę i zaszła go od tyłu, po czym skrępowwała dłonie trytytkami. Zacisnęła z taką siłą, że plastik werznął się w skórę, po czym kopniakiem zrzuciła mężczyznę z Nikosa i odciągnęła pod ścianę.

Przyjrzała się swojemu bratu. Żył, choć z wyraźnym trudem łapał powietrze. Chciał coś powiedzieć, ale częściowo sparaliżowane mięśnie uniemożliwiały mu swobodne wyartykułowanie myśli.

Luta podeszła do Szatana i wręczyła mu automat.

– Przypilnuj ich. Ja idę po córkę – rzekła.

Już miała odejść, gdy policjant chwycił ją za nogawkę spodni.

– Oszczędź go, jeśli... – Spuścił wzrok, jakby nagle się zawstydził. – Mówię o Aleksandrze. O moim... synu. Nie ma go tu. Widziałem, jak podczas wymiany ognia wycofał się i...

– Tego nie mogę ci obiecać – ucięła i nie czekając na odpowiedź, ruszyła w kierunku Cyryła.

Miał przestrzelone płuco i ledwo łapał powietrze, co rusz zapluwając się krwią. Jego koniec był bliski.

– Gdzie Weronika i reszta kobiet? – zapytała, wyciągając swój żołnierski majcher.

– Co ch-chcesz ze m-m-ną... zrobić? – wydukał.

– Odpowiedz na pytanie.

– W p-p-piwnicy na drugim k-k-końcu budynku.

– I nie można było tak od razu? – Kucnęła i spojrzała mu w oczy. – Masz szczęście, że rana jest śmiertelna. Inaczej cierpiałbyś tak samo jak Ozalan – dodała i odeszła.

Gdy tylko dotarła do drzwi, usłyszała huk wystrzałów. Niósł się z głębi budynku, sprawiając, że po kręgosłupie spłynął jej paraliżujący dreszcz.

Pobiegła przed siebie na złamanie karku.

ROZDZIAŁ 44

Droga zajęła jej niecałe dwie minuty. Pokonała ją sprintem, przez chłodnię i pomniejszą halę, odpowiednik starej, gdzie trybowano tusze. Gdy w pewnym momencie usłyszała kobiece krzyki, jej umysł zaczął kreślić najczarniejsze scenariusze, a strach przerodził się w czyste przerażenie. Miała już tylko jeden cel. Odnaleźć córkę i wziąć ją w ramiona.

Dobiegła do drzwi prowadzących na kolejny korytarz i szarpnęła za klamkę, ale otwierane za pomocą karty magnetycznej ani drgnęły. Bez zastanowienia oddała kilka strzałów na wysokości zamków, a następnie całym ciałem naparła na skrzydło. Trzasnęło z hukiem i niemal wypadła na drugą stronę razem z nim.

Rozejrzała się. Przestrzeń po obu stronach była pusta, ale jej uwagę wzbudził niewielki punkt na samym końcu korytarza. Jej serce znów zabiło mocniej, gdy puściła się w tamtym kierunku. Przeczucie jej nie zawiodło. Zza rogu wystawała dłoń leżącego na posadzce mężczyzny. Facet miał dwie dziury w klatce piersiowej, ale wydawało się, że jeszcze oddycha, bo w okolicy ust tworzyły mu się niewielkie bąbelki czerwonej śliny.

Luta nachyliła się nad nim.

– Gdzie jest moja córka? – zapytała, ale ten tylko szerzej otworzył oczy, a potem wydał z siebie ostatni jęk i zamilkł na zawsze.

Zakłęta pod nosem, podniosła się i rozejrzała wokół. Ktoś ewidentnie ją wyręczył, bo trup bez wątplenia należał do szajki Majskiego. Jej uwagę przykuło kilka krwawych śladów, które odcisnęły się podszwą na wypolerowanej posadzce. Prowadziły do kolejnych drzwi. Podeszła do nich i przez chwilę nasłuchiwała. W końcu nacisnęła klamkę i oceniła zagrożenie. Klatka schodowa była pusta, ale z dołu niosły się głosy. Ostrożnie zaczęła schodzić po kolejnych stopniach, gdzie natknęła się na następne zwłoki. Z czaszki mężczyzny wylewała się krew, swobodnie spływając aż pod drzwi do piwnicy. Tutaj Karabina się zatrzymała i wyciągnęła nóż.

Powoli nacisnęła klamkę i uchyliła skrzydło drzwi.

Jej oczom ukazał się skąpany w żółtawym świetle korytarz, który niewiele różnił się od tych w piwnicach bloków mieszkalnych. Obdrapane z tynku ściany,

wiszące pod sufitem rury, pomiędzy którymi panoszyły się słusznych rozmiarów pajęczyny. Po obu stronach znajdowały się drzwi, solidniejsze, niż można by się spodziewać po tego typu miejscu. Każde zaopatrzone w niewielkie okienko z zasuwą.

Dyskretnie przesunęła pierwszą z nich i zajrzała.

Dostrzegła tylko ciemność. Nacisnęła klamkę, ale drzwi były zamknięte. Sprawdziła kolejne, z wolna zbliżając się do źródła hałasu. We wszystkich pomieszczeniach panowała nieprzenikniona ciemność. Luta pomyślała, że przez to miejsce musiało przewinąć się mnóstwo kobiet i dzieci. Dziesiątki, setki, może tysiące? Ile żyć zostało zniszczonych, aby Majscy mogli się wzbogacić? To było odrażające. Dla tych zwyrodnialców nie można było mieć litości. Powinni być utylizowani...

Z zamyślenia wyrwał ją kobiecy krzyk. Dochodził zza kolejnych drzwi. Ale nie wybrzmiewał w nim strach, raczej determinacja i gniew. Luta przytknęła ucho do drewnianej powierzchni. W pomieszczeniu toczyła się zażarta dyskusja kilku kobiet. Część z nich mówiła po polsku, część po ukraińsku lub rosyjsku. Głosy zdradzały, że są młode albo bardzo młode, a ożywiona debata dotyczyła tego, co wydarzyło się na zewnątrz. Wiele z nich ewidentnie się bało, głównie huku wystrzałów, inne zachęcały do wzięcia sprawy w swoje ręce, sugerując, że przecież jakoś należy się bronić. Na myśl, że gdzieś wśród nich może się kryć Weronika, serce znów zabiło jej mocniej.

Powoli odciągnęła zasuwę, a głosy natychmiast umilkły. We wnętrzu panowała nieprzenikniona ciemność, ale wpuszczona z korytarza smuga żółtawego światła padła na kilka tłoczących się pod ścianą postaci. Dwie z nich przysłoniły oczy, inne przemieściły się w głębszy mrok. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że jej wygląd mógł wzbudzać lęk. Z pomalowaną i zbryzganą krwią twarzą, dodatkowo zalepioną przeciekającym opatrunkiem, zapewne nie wzbudzała zaufania.

Nacisnęła klamkę, jednak drzwi nie ustąpiły. Wytarła pot z czoła i powiodła wzrokiem wkoło. Dwa trupy po drodze nie mogły być dziełem przypadku. Ktoś tu był – i na nią czekał.

Nagle usłyszała skrzypnięcie. Od razu zwróciła się w tamtym kierunku. Drzwi na końcu korytarza uchyliły się nieznacznie.

I wtedy uderzyła ją potworna fala gorąca.

– Ja chcę do mamy... – Piskliwy głosik Weroniki niósł się z głębi korytarza. Nie szlochała, jak miała to w zwyczaju, gdy bardzo za nią tęskniła, raczej kwiliła, jakby straciła nadzieję.

Luta poczuła straszny ból w sercu na myśl, że musiała przez to wszystko przechodzić. Mocniej zacisnęła palce na rękojeści i ostrożnie zaczęła się skradać

w kierunku uchylonych drzwi. Przykleiła się plecami do obdrapanego zimnego muru. Naszła ją irracjonalna myśl, że nie może przestraszyć córki.

– Twoja mama zaraz tu przyjdzie.

Ten głos też знаła, choć ton wydawał się subtelniejszy i w ogóle nie korelował z tym, do kogo należał.

– A kiedy?

– Myślę, że twoja mama już tu jest. Idź do niej.

– Ale gdzie?

– Słyszałem ją. Jest tam. Na korytarzu. To już koniec zabawy w chowanego. No idź. Sama zobacz, że tam na ciebie czeka.

Luta nie wiedziała, co o tym myśleć. Tak bardzo chciała wziąć córkę w ramiona, ale jednocześnie spodziewała się najgorszego. Co ten człowiek planował? Dlaczego tak ją podpuszczał?

– To już koniec. – Tym razem ton głosu mężczyzny brzmiał tak, jak go zapamiętała. – Wyrzucam broń. Nie chcę dłużej z tobą walczyć. Wygrałeś.

Z ciemnej sutereny wypełził metaliczny odgłos metalu uderzającego o betonową posadzkę.

Luta milczała. Walczyła z potrzebą natychmiastowego pochwycenia córki w objęcia, ale nauczona wojennym doświadczeniem, obawiała się kolejnego podstępu.

– Twoja córka jest już bezpieczna. Idzie w twoim kierunku. Zaraz wyjdzie. Słyszysz jej kroki?

– Mama?

Lucie ścisnęło się serce, gdy w żółtawym blasku piwnicznego światła dostrzegła jej cień. Werka z wolna szła w jej stronę, tuląc jakiegoś pluszaka. Jeszcze dwa metry, metr, w końcu chwyciła małą w ramiona.

– Już dobrze, kochanie... – Przycisnęła ją do siebie. – Córeczko moja... Mama jest z tobą... Mamusia już jest z tobą...

– W końcu mnie znalazłaś...

– Tak, kochanie. Przepraszam, że tak długo. Przepraszam, Werciu...

– Nazywam się Bibi Kotek. Znowu zapomniałaś?

W tym momencie Luta przestała panować nad emocjami i z jej oczu trysnęły łzy. Schowała nóż do pochwy i czym prędzej wycofała się z córką w odnogę korytarza. Schowały się za rogiem.

– Co ci się stało, mamó? Dlaczego masz pomalowaną buzię i ałkę? Boli cię ałka? – dopytywała Werka.

Luta uśmiechnęła się przez łzy.

– Mama bawi się w podchody, wiesz?

– A co to podchody?

Wytarła z policzków kolejne strużki. Postawiła córkę na ziemi i omiotła ją wzrokiem. Oprócz małego siniaka w okolicy skroni i zadrapania na kolanku najwyraźniej nic jej nie dolegało. Tylko sukienka była pognieciona i brudna, ale Luta pomyślała, że jeszcze dziś ją upierze i jutro będzie jak nowa.

– Poczekaj tu, kochanie, dobrze? – poprosiła, gdy rzeczywistość się o nią upomniała. – Mama musi jeszcze porozmawiać z tamtym panem.

– Nie idź... – Werka wyciągnęła rączki w jej kierunku.

– Bibi Kotku, to zajmie tylko chwilę. Przecież Bibi Kotki są grzeczne i dzielne, prawda?

– Nooo...

– To zajmie chwilę. Mama będzie za rogiem i będziesz mnie słyszeć prawie cały czas.

– Nooo dobraaaa...

Luta pocałowała córkę w czółko, po czym podniosła się z kucek.

– Tylko nie za długo – napomniała ją dziewczynka.

– Rozkaz, Bibi Kotku.

Niemal przyklejona do ściany, zaczęła się przesuwac w kierunku pomieszczenia, z którego przed chwilą wyszła Weronika. Wyciągnęła nóż. Kostki jej palców zatrzeszczały w ciszy.

– Nie jestem uzbrojony. Chcę się poddać – poniósł się głos z piwnicy.

– Dlaczego mam w to uwierzyć?

– Skoro tu dotarłaś, to znaczy, że wybiłaś wszystkich do nogi. A to najlepsi ludzie Ozalanów. Mnie wystarczy.

– A mnie nie. – Luta wypluła nadmiar krwawej plwociny. – Dlaczego chcesz się poddać?

– Co mam ci powiedzieć? Że się zmieniłem? Że dostrzegłem swój błąd? I tak mi nie uwierzysz. Zresztą sam sobie nie wierzę, ale... – Aleksander odchrząknął i zawahał się, jakby szukał odpowiednich słów. – Kilka minut temu dowiedziałem się, że wszystko, co o sobie wiedziałem, to jedna wielka bzdura. Całe moje życie to jebana kpina, rozumiesz? – zapytał, ale Luta nie odpowiedziała. Zmarszczyła brwi, próbując wychwycić w jego tonie fałszywe nuty. – Człowiek, którego traktowałem jak ojca, przez cały czas mnie okłamywał, bo nigdy nim nie był. A może dlatego, że skazał moją prawdziwą matkę i siostrę na potworną śmierć z rąk człowieka, przed którym od lat musiałem się płaszczyć? Może w końcu dlatego, że chciałbym jeszcze mieć szansę, aby porozmawiać z prawdziwym ojcem?

– Obróć się tyłem, uklęknij i połóż dłonie na kark – rozkazała.

– Zrobię to, ale najpierw chciałbym wiedzieć...

– Co konkretnie?

– Czy mój prawdziwy ojciec żyje...

Luta obróciła się przez ramię. Werka wyglądała zza rogu, nie spuszczała jej z oczu. Czuła się kompletnie skołowana. Najpierw Szatan, potem Aleksander, a teraz jeszcze Werka. Zaciśnęła zęby. Nie mogła tego zrobić. Nie mogła zabić bezbronnego człowieka, który się poddał, a w dodatku zrobić tego na oczach córki. Może naprawdę gryzło go sumienie? Przecież go nie znała, bynajmniej nie na tyle, aby móc go oceniać. Ale czy tu było co oceniać? Ten skurwiel chciał sprzedać Werkę jak jakiś odkurzacz albo rower. Wczoraj z zimną krwią zamordował kobietę, wcześniej pozwalając, aby rottweiler niemal rozszarpał ją na strzępy. Nie mogła się nad nim litować. Nic go nie tłumaczyło. Powinien umrzeć.

– Mama... – Werka zaczynała się niecierpliwić.

Luta posłała jej wymuszony uśmiech. Musiała podjąć decyzję.

– Twój ojciec jest ranny, ale żyje – powiedziała. – Cyryl Majski żył, gdy wychodziłam z hali, ale długo nie pociągnie. Coś jeszcze?

– Wystarczy. Poddaję się.

Usłyszała odgłosy sugerujące, że rzeczywiście wykonuje polecenie. Zagryzła dolną wargę i zamknęła oczy. Jeśli to miało jakieś drugie dno, nie była w stanie go dostrzec. Wychyła zza rogu. Aleksander rzeczywiście klęczał obrócony w stronę ściany z rękami założonymi za szyję.

– Mama! Bibi Kotek chce do domu...

– Dobrze, już, kochanie. Mama zaraz zabierze Bibi Kotka do domu.

Gdy Luta w końcu zbliżyła się do Majskiego, a następnie wykręciła mu rękę i spięła nadgarstki trytytkami, w głównej hali trwało już gorączkowe sprzątanie. Mustafa Ozalan, który wymianę ognia przetrwał w ukryciu, pracował w pocie czoła. Kolejne zwłoki, jedno po drugim, lądowały na taśmie produkcyjnej. Dzielnie pomagał mu w tym Zygmunt Szatan, bo świadomość nagrody, jaka na niego czekała po robocie, pozwoliła mu zapomnieć o bólu i dostarczyła energii, o którą już dawno sam siebie nie podejrzewał.

Dla Luty nic z tych rzeczy nie miało żadnego znaczenia.

EPILOG

Siedem dni później

Poranek był chłodny i wietrzny.

Luta otworzyła okno w samochodzie i wzięła głęboki wdech. Spojrzała na siedzącą obok matkę.

– Wybacz, ale to jeszcze za wcześnie. Rany są zbyt świeże – oznajmiła i odwróciła się przez ramię. Jej dzieci grzecznie siedziały na tylnej kanapie, jakby czuły, że czeka je coś, co wymaga zachowania powagi. – Pójdziecie z babcią. Ja tu poczekam, dobrze?

Przytaknęły, a Weronika dodatkowo mruknęła. Krystyna otworzyła im drzwi i chwyciła wnuki za ręce. Jeszcze przez chwilę stała nieruchomo przed starym dwupiętrowym budynkiem ze skośnym czerwonym dachem. Luta w milczeniu przyglądała się temu obrazkowi, walcząc z własnymi demonami.

Długo się zastanawiała, czy pozwolić im odwiedzić Nikosa. Matka nie nalegała. To nie było miejsce dla nich, choć pobliskie jezioro i stary las prędeż przywodziły na myśl postpeerelowski ośrodek wypoczynkowy niż szpital psychiatryczny. Ostatecznie uznała jednak, że musi spróbować jakoś odbudować tę relację, choć sama jeszcze nie była w stanie stanąć oko w oko z przyrodnim bratem.

– To co? Idziemy? – zapytała Krystyna, gdy dzieci zaczęły się niecierpliwić.

– Taaak! – krzyknęła Werka.

Franek tylko w milczeniu pokiwał głową.

Krystyna weszła do budynku i przywitawszy się z dyżurną opiekunką, od razu skierowała się do pokoju numer dwanaście. Zapukała i uchyliła drzwi, po czym otworzyła je szerzej. Na dwóch łózkach leżeli młodzi mężczyźni. Jeden coś szkicował, a drugi czytał.

– Hej – odezwał się Nikos. Miał na sobie krótkie dżinsowe spodenki i czerwoną polówkę. – Wejdźcie. Miki właśnie wychodzi, prawda?

Miki wyszczerzył zaniedbane zęby i odłożył swoje dzieło na szafkę nocną. Przywitał się z dziećmi, ukłonił Krystynie, a potem schował paczkę

papierosów do kieszeni i opuścił pokój. Nikos też chwycił swoją paczkę i dyskretnie schował ją do szuflady.

– Widziałam! – zauważyła Werka. – Jak będziesz palił papierochy, to zjedzą cię robaki, wiesz?

– Ja nie...

Krystyna zmierzyła syna surowym spojrzeniem. Jedną z pierwszych zasad na oddziale było mówienie prawdy, choćby była najbardziej wstydliva i przykra. Kłamstwo było tu zakazane.

– Wiem, wujek jest niemądry – zmitygował się Nikos. – Obiecuj, że nigdy nie pójdziesz w moje ślady.

– Obiecuję.

– Jak się trzymasz? – zapytała Krystyna.

– Nie jest źle. Jedzenie może być. Miki też równy gość, choć wieczorami to, no wiesz...

Domyśliła się, ale nie chciała sobie tego wyobrazać. Pokręciła głową i przysiadła na krześle, po czym wygrzebała z torby oprawione zdjęcie. Dała je Werce, która następnie wręczyła je Nikosowi.

Jego oczy natychmiast się zaszklily. Pamiętał ten moment, jeden z nielicznych, gdy wspólnie spędzili dzień na plaży. Przyjechał wtedy z matką w odwiedzinach do Luty, która spędzała wakacje z dziećmi w niewielkiej wsi Sianożęty obok Krynicy Morskiej. I to właśnie on zrobił tę fotografię, tak trochę bez przygotowania, może nawet z ukrycia, na pewno zaś nie dlatego, że siostra go o to poprosiła, bo od początku unikała jego towarzystwa. Zdjęcie przedstawiało matkę z dwójką dzieci, odwróconych w kierunku morza, wypatrujących na horyzoncie nadciągającej burzy.

Luta nie zdecydowała się na widzenie. Krystyna to rozumiała. Wiedziała, że takie rany są bolesne i goją się długo. Pewne rzeczy wszyscy musieli przepracować, a któregoś dnia, jak Bóg da, znów będą rodziną. Zastanawiała się, jak Nikos odbierze ten gest, zwłaszcza że z tyłu zdjęcia Luta napisała mu coś od serca, bo choć to wciąż krwawiło, musieli jakoś zacząć, żeby nie pogрузić się w odmętach wzajemnych żalów, oskarżeń i pretensji.

– Czy to prawda? – zapytała go Luta, gdy po tym wszystkim, co wydarzyło się w masarni Majskiego, w końcu wróciła do domu i położyła Werkę spać. Posadziła go w fotelu jak kolejnego delikwenta do przesłuchania, a sama stanęła naprzeciwko, wciąż z resztkami farby maskującej na twarzy i nożem przy pasie. Był zdruzgotany i niemal bez ustanku szukał wzrokiem matki, która wydawała się dziwnie przygnębiona, niemal załamana, choć przecież chwilę wcześniej odzyskała wnuczkę.

– To prawda – odparł i ze wstydem spuścił głowę.

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Bo... – Nikos przytknął palce do oczu i pękl.

Luta cierpliwie czekała, raz po raz sprawdzając reakcję matki, która wyraźnie próbowała coś ukryć. Wciąż targały nią silne emocje, ale fakt, że córka była już przy niej, pozwolił jej przeprowadzić tę nieuniknioną rozmowę.

– Nikos był molestowany przez Tadeusza – rzuciła w końcu matka, która nie była w stanie dłużej kusić w sobie ponurej prawdy. – Gwałcił go. Pił i gwałcił moje dziecko, a ja nic o tym nie wiedziałam...

Po tych słowach Krystyna również runęła w przepaść.

Luta zamknęła powieki. Zawsze czuła, że coś jest nie tak. Samego Tadeusza nie trawiła od momentu, gdy pojawił się w życiu matki, ale gdy dowiedziała się o ciąży, poddała się, przestała walczyć, wycofała się z rodzinnych relacji i jeszcze przed uzyskaniem pełnoletności wyprowadziła do chłopaka, za którego krótko później wyszła za mąż, choć było to równie nieodpowiedzialne, co głupie.

Dlaczego przyjęła taką postawę? Nigdy się nad tym specjalnie nie zastanawiała. Czasem nachodziły ją różne myśli, niekiedy wątpliwości, ale zwykle automatycznie wypierała je z głowy. Postawiła na samorozwój, na sport, na karierę wojskową. I choć od zawsze miała zaniżoną samoocenę, przez co pomimo wysokich predyspozycji intelektualnych nigdy nie zdecydowała się na poważnie zająć nauką, skupiła się na treningach i karierze sportowej; z czasem jej zainteresowania, które kiedyś rozbudził w niej dziadek, emerytowany pułkownik Narodowej Agencji Wywiadu, zboczyły w kierunku wojskowości, gdzie swoje umiejętności walki wręcz mogła nie tylko wykorzystać w sposób bardziej efektywny, ale i doszlifować je do perfekcji. Gdy ona zdobywała medale i puchary w mistrzostwach Polski, Europy czy świata w kick-boxingu, a później biegała i strzelała na poligonach, jej mały braciszek przeżywał horror. Matka w tym czasie zaharowywała się na trzech etatach. Czy to ze strachu, czy ze wstydu, że znów dała się omamić mężczyźnie, który okazał się nierobem i życiowym niedorajdą, z początku nie dostrzegła – albo nie chciała dostrzegać – niepokojących symptomów. A gdy po kilkuletniej gehennie Nikosa prawda w końcu wyszła na jaw, nie miała odwagi przekazać jej dalej, zwłaszcza że córka, z której była taka dumna, jako pierwsza kobieta w Polsce zdała egzamin do Jednostki Wojskowej Komandosów.

– Bałam się – tłumaczyła, ściskając w drżącej dłoni rękę Nikosa. – Byłaś już taka silna, taka samodzielna, układałaś sobie życie bez niczyjej pomocy, tylko i wyłącznie dzięki samozaparciu i wierze we własne możliwości. Nie chciałam ci tego odbierać. Nie chciałam, abyś zrobiła coś głupiego i straciła to, co osiągnęłaś.

– I dalej na to przyzwalałaś?

Matka pokręciła głową.

– Zbuntowałam się i zagroziłam, że odejdę. Tadeusz też odpuścił, bo Nikos miał już jedenaście lat i zaczął się stawiać. Do tego zaczął mieć problemy w szkole, na osiedlu. Tadeusz się przestraszył, więc mu odpuścił. Ale zaczął pić jeszcze więcej, z czasem zrobił się bardziej agresywny, częściej się awanturował, w końcu wyżywał się na mnie. Raz było lepiej, raz gorzej, ale wstyd było mi się przyznać przed tobą, przed całym światem... Gdy jednak pewnej nocy wrócił pijany i pobił mnie do nieprzytomności, a kilka godzin później Nikos znalazł mnie leżącą w kałuży krwi, obiecał, że następnym razem go zabije. Miał już siedemnaście lat, był łobuzem, szlajał się z tymi wszystkimi oprychami, pojawiły się narkotyki i tak dalej...

– Poprosiłem o pomoc Łatę i Burego – włączył się do rozmowy Nikos, choć wciąż mówił nie bez trudu. – Wychowali się na osiedlu, ale byli kilka lat starsi i już wtedy pracowali dla Majskiego. Głównie zajmowali się pilnowaniem prostytutek, ale nie tylko. Mieli kasę, szacunek na ulicy, seks, kiedy tylko chcieli. Zazdrościłem im i przysiągłem, że zrobię wszystko, jeśli wciągną mnie do organizacji. Ostatecznie mieliśmy spuścić Tadeuszowi wpierdol, ale sprawy wymknęły się spod kontroli. Dopadliśmy go w tym skrócie przez las, koło uniwerku. Często wracał tamtędy sam, napruty jak ruski czołg. Wywieźliśmy go do lasu i tam chciałem mu wpierdolić, ale on mnie rozpoznał. I zaczął paplać o tym, co mi robił. Przy nich, słyszeli wszystko. Wtedy mnie poniosło, straciłem nad sobą kontrolę i ostatecznie zatłukłem go na śmierć.

– Co zrobiliście z ciałem? – Luta słuchała uważnie, starając się nie przerywać. Wbrew pozorom ten fragment historii przyswajała ze spokojem.

– Wrzuciliśmy je do samochodu i zawieźliśmy do masarni w Świebodzinie. Tam, w obecności samego Majskiego, zmieliliśmy je w rozdrabniarce do mięsa i wymieszaliśmy z paszą dla świń, która następnie trafiła do jednej z jego chlewni. I tak Tadeusz zniknął raz na zawsze.

Luta westchnęła. Cztery lata temu nawet ucieszyła się na wieść, że Tadeusz zniknął. W innej sytuacji pewnie bardziej zainteresowałaby się tematem, ale nie miała zamiaru wciskać nosa w nie swoje sprawy. Bo tak to traktowała – jako nie swoją sprawę. Nie śledziła też późniejszych poczynań Nikosa, o którym wiedziała tyle, że pije, ćpa i szlaja się z podobnymi sobie dresiarzami, szukając kłopotów, przez co regularnie ląduje na pogotowiu, w szpitalu albo na odwyku. Wypierała jednak zmartwienia. Sama zresztą miała ich pod dostatkiem, bo jej związek z Szymonem od dawna się sypał. W końcu musiała zacząć myśleć o rozstaniu i wszystkich tych okołorozwodowych sprawach. Nikos i jego problemy, na które w jej mniemaniu sam sobie zasłużył, nie interesowały jej, choć aby być wobec siebie uczciwą, na prośbę matki raz jeszcze spróbowała mu pomóc. Odtrącił ją jednak, więc odpuściła. Dziś wiedziała już dlaczego.

Nie musiała zadawać pytania o Weronikę. Zrozumiała. Tak jak ona nie znosiła Tadeusza i co najwyżej tolerowała przyrodniego brata, tak on ją z tego powodu znienawidził. Obwinił ją o krzywdy, jakich doznał, zwłaszcza że była, kim była, i na co dzień walczyła ze złem, nie dostrzegając potworności, które działały się w jej rodzinnym domu.

– Znalazłem się w pułapce – tłumaczył dalej. – Zalegałem ponad dwadzieścia tysięcy i nie wiedziałem, co robić. Wtedy pomyślałem o Weronice. Nie chciałem jej skrzywdzić, co najwyżej zrobić kilka zdjęć i spróbować sprzedać je w darknecie. Wiesz... tam jest pełno tych amatorów, no wiesz... co potrafią grubo zapłacić za nagie zdjęcia małych dziewczynek czy chłopców. Ale przysięgam, że nie chciałem jej skrzywdzić, co najwyżej ciebie, żebyś choć w minimalnym stopniu poczuła to, co ja czułem przez te wszystkie lata. Samotność, ból, cierpienie, niemoc, brak nadziei. Ale przysięgam, przysięgam na wszystko, że chciałem ją oddać. I... – Nikos znów zalał się łzami i chwilę trwało, zanim zdołał okiełznać emocje. – I nawet miałem cichą nadzieję, że gdy ją „odnajdę” i przyprowadzę do domu, to dzięki temu przestaniesz mną gardzić...

– Naprawdę myślałeś, że bym się w tym wszystkim nie połapała?

Nikos już nic więcej nie powiedział, ale odpowiedź wyczytała w jego oczach. Poczwała potworny wstyd. Ona, jeden z najlepszych komandosów w kraju, wybitny snajper, ekspert od działania za linią wroga, walki wręcz, przesłuchań i diabli wiedzą czego jeszcze, przez tyle lat się nie połapała, że w jej domu ojczym gwałci przyrodniego brata i bije matkę. A może po prostu nie chciała widzieć? Może wiedziała, ale podświadomie to wypierała i dlatego unikała spotkań z matką i bratem? Gdy Luta zdała sobie sprawę, że to świadczyłoby o niej jeszcze gorzej, poczuła się tak, jakby przyłożyła do tego rękę. Wyrzuty sumienia przygniotły ją niczym sterta głązów.

Gdy kilka godzin później obudziła się u boku córki, wycalowała ją i poszła do łazienki, aby zmienić opatrunek i zmyć z siebie resztki farby maskującej. Wiedziała, że powinna była pojechać do szpitala na szycie, ale wolała się nie wychylać, dlatego zagryzła zęby i zrobiła to sama przed lustrem. Jak każdy żołnierz wojsk specjalnych miała podstawową wiedzę w tym temacie. Zresztą to nie był jej pierwszy raz – dwukrotnie już szyła swoich kolegów z jednostki i raz siebie, gdy zahaczyła łydką o zdradliwie wystający pręt zbrojeniowy podczas misji w Kandaharze.

Po założeniu opatrunku i połknięciu końskiej dawki środków przeciwbólowych strzykawką ściągnęła jeszcze z ucha krew, poprosiła matkę, żeby zajęła się Werką, po czym pojechała do Szatana.

Zastała go karmiącego kury, zmęczonego, ale w świetnym humorze, pogwizdującego i trzeźwego jak niemowlę.

– Udało się? – zapytała.

– Chyba udało – zarechotał. – Dopiero wróciłem, a kury trzeba nakarmić, bo jajek nie dadzą, no nie?

Nie zdziwiła się, gdy wchodząc na ganek, usłyszała dziwne odgłosy z chlewu.

Szatan tylko machnął ręką.

– Na razie się oswaja – mruknął i otworzył jej drzwi domu, a potem zrobił dwie szatańskie kawy.

Posprzątanie po akcji zajęło nieco ponad dwie godziny. Z oczywistych względów Luta nie brała w nim udziału. Zabrała córkę i Nikosa i pojechała do domu, zostawiając resztę roboty Szatanowi. Nadkomisarz wspólnie z Mustafą pozbyli się większości ciał, korzystając z niezawodnego sprzętu Majskiego. Zostawili kilka, aby upozorować porachunki pomiędzy dwoma zwaśnionymi grupami przestępczymi, następnie Mustafa chłodno pożegnał starszego brata i wcześniej dziurawiąc kulami jeden ze swych SUV-ów, odjechał w kierunku Berlina, Szatan zaś zapakował Yusufa do bagażnika swojego volvo, oczywiście wcześniej zadbawszy o to, aby starszy z braci Ozalanów przypadkiem się nie obudził i nie narobił rabanu.

Gdy już wszystko było gotowe, wezwał wsparcie. Pierwsze radiowozy zjawily się po niecałym kwadransie, krótko później zwała się cała kawalkada.

– A Aleksander? – zapytała Luta. To był ich jedyny słaby punkt, który skomplikował sytuację, przynajmniej pod kątem dalszego postępowania.

Szatan zapalił papierosa i upił łyk kawy.

– Wziął to na siebie.

– Tak po prostu?

– Mieliśmy chwilę, aby porozmawiać. Nie tyle, ile bym chciał, zresztą... sama chyba rozumiesz, że to była dziwna rozmowa. W każdym razie wiedział, że nie ma innego wyjścia. Planu zmienić nie mogliśmy. Mustafa musiał przedstawić ojcu sytuację dokładnie tak, jak sobie to założyliśmy. Tu nie mogliśmy cofnąć się choćby o milimetr. Dlatego Aleksander znalazł się w potrzasku, bo gdyby próbował umknąć, Hakan Ozalan ścigałby go do końca świata i w końcu pewnie by go dopadł. Aleksander nie miałby gdzie się ukryć, nawet u Tuchmanowa, z którego synem był tak blisko, a którego ojciec nigdy by nie zaryzykował wojny z Ozalanami dla jakiegoś nic nieznaczącego Majskiego i jego rozsypującej się organizacji. Pozostała mu jedna opcja i szybko to pojął, dlatego tak jak ustaliliśmy przed twoim odjazdem, oddał się w ręce policji.

– Przesłuchali go już?

– Maglują go nawet teraz, ale wie, co mówić. To bystry chłopak.

– I morderca...

– Tego nie musisz mi przypominać. – Szatan posłał jej rozdrażnione spojrzenie. – Do więzienia trafi na długo, to pewne, a jeśli kiedyś miał wyjść, ja już pewnie tego nie dożyję. Ale za kratkami przynajmniej będzie bezpieczny i poza zasięgiem Ozalana. A i ja będę miał z nim jakiś kontakt. Może kiedyś... – Szatan się zamyślił. Trwał tak w bezruchu do momentu, gdy kapka popiołu nie spadła mu wprost do kubka z kawą. Wstrząsnął naczyniem, a potem się napił, jakby nic się nie stało. – To mój syn i muszę się z tym oswoić. On chyba też. Ale przysiągł mi, że będzie milczał jak grób, ewentualnie uwiarygadniał naszą wersję. To znaczy moją, bo ciebie tam przecież nie było...

Aleksander Majski został zatrzymany i osadzony w areszcie, gdzie po zebraniu dowodów prokuratura postawiła mu zarzut kierowania grupą przestępczą o charakterze zbrojnym oraz zabójstwa ze szczególnym okrucieństwem. Już następnego dnia wyspał Kurowskiego, który regularnie brał od niego w łapę, więc w komendzie zrobił się nieprawdopodobny gnój, co natomiast poskutkowało tym, że już dzień później sprawą zajęło się Biuro Spraw Wewnętrznych. Mówiła o tym cała Polska, a kolejne newsy pojawiały się z częstotliwością uderzeń skrzydeł kolibra. I choć pojawiły się plotki o kimś trzecim, kto mógł brać udział w gangsterskich porachunkach, ta hipoteza nie przebiła się do głównego nurtu, przykryta tytułami typu *Rzeź w masarni*, *Brutalne porachunki polsko-tureckich gangów* czy *W polskiej fabryce mielą ludzkie zwłoki*. Nikt też nie miał tyle odwagi, aby wysnuć domysł, że tym kimś mogła być samotna matka dwójki dzieci, nawet jeśli okazało się, że tego samego ranka porywacz zostawił poszukiwaną Weronikę pod drzwiami jej bloku, po czym ulotnił się jak kamfora. W kolejnych dniach, gdy afera nabrała jeszcze większego rozgłosu, a w komendzie zaczęło się polowanie na wiedźmy, sprawa zaginięcia i cudownego odnalezienia się małej Weroniki Karabiny nikogo już nie obchodziła, bo ludzie woleli czytać o tym, że mięso z rozdrabniarki, w której zmielono kilkunastu ludzi mafii, zwykle trafiało do paszy dla świń w chlewniach, gdzie karmiono tuczniaki przeznaczone na schabowe.

Sprawa Poziomy, Cypisa i Czeczena przy tym wszystkim wydała się drobnostką. Po wizycie w chałupie Szatana Luta pojechała prosto do starej fermi drobiu, gdzie wciąż na posterunku czuwali Krzysiek i Dominik. Czeczena puścili wolno – z zastrzeżeniem, że jeśli pojawi się w mieście, Luta się o niego upomni. A że media aż huczały na temat tego, co wydarzyło się w Świebodzinie, nietrudno było dodać dwa do dwóch. I choć nikt nie powiedział tego wprost, Czeczen zrozumiał, że nie ma sensu zadzierać z laską, która niemal w pojedynkę rozprawiła się z grupą przestępczą kierowaną przez Cyryla Majskiego i potężną organizacją mafijną Ozalanów. Nie było sensu drażnić tej kobiety, a interesy można było robić gdzie indziej. Dlatego słuch o Czeczenu niemal natychmiast

zaginał. Co innego Cypis i Pozioma. Ich nie można było puścić samopas, i to nie tylko ze względu na to, że bezpośrednio odpowiadali za krzywdy, jakich doznała Weronika. Ci bandyci z zimną krwią zamordowali młodego chłopaka, a że ich pryncypał zdążył zamienić się w papkę, zaś jego prawa ręka trafiła do aresztu z zarzutami niemal gwarantującymi dożywocie, bez żadnego wsparcia nie mieli najmniejszych szans. Jeszcze tej samej nocy dyżurny odebrał anonim od jednego z uczciwych obywateli, który precyzyjnie wskazał miejsce przebywania obu mężczyzn, przywiązanych do płotu na nieodległych od komendy działkach. Wysłany tam patrol rzeczywiście odkrył dwóch spętanych zbirów, więc funkcjonariusze zakuli ich w kajdanki i przywieźli do aresztu. Oczywiście uczciwy obywatel poinformował dyżurnego, że w kieszeni jednego ze wspomnianych delikwentów czeka na nich niespodzianka. Pozioma został przeszukany, a niewielki przenośny dysk z nagraniem nań filmem odtworzony. Widząc, jak obaj mężczyźni najpierw katują, a następnie duszą reklamówką młodego chłopaka, prokurator tylko pokiwał głową z uznaniem i wyszedł z pokoju, co mogło oznaczać jedno – los Poziomy i Cypisa został przypieczętowany. Co prawda istniało małe zagrożenie, że mogą opowiadać na przesłuchaniu niestworzone historie dotyczące tego, co ich spotkało, ale po pierwsze, nie mieli żadnych dowodów, a po drugie, w kręgach, do których bezsprzecznie przynależeli, panowała jedna podstawowa zasada: z psami się nie dyskutuje, chyba że chce się dostać łatkę konfidenta. Kapusie za kratkami natomiast lekko nie mieli i w hierarchii znajdowali się jedynie ciut wyżej od cweli, a że Pozioma i Cypis do więzienia trafią, było pewne jak amen w pacierzu.

Szatan zaś zadbał, aby im o tym przypomnieć.

* * *

Gdy Lutosława Karabina wraz z matką i dziećmi mijala Szczecin, obierając kurs nad morze, Zygmunt Szatan właśnie wybudzał się z popołudniowej drzemki. Miał pomysł na ten dzień i humor dopisywał mu od samego rana. Podniósł się z łóżka, zapalił papierosa i nastawił wodę na kawę.

Gdy się oporządził, przysiadł na ganku i zaczął wciągać na nogi stare, znoszone kalosze. Z kącika ust zwisał mu papieros, a on się zastanawiał, jakie to życie jest przewrotne i popieprzone.

Od akcji w masarni pod Świebodzinem minęło już siedem dni i choć temat w mediach wciąż wałkowano, wszystko to zaczynało przypominać aferę rodem z Pudelka. On sam zresztą trochę się do tego przyczynił, bo poza kilkoma wyjątkami na samym początku sprawy nie komentował, co najwyżej odpowiadał

krótko i zwięźle, trzymając się obranej wersji wydarzeń: przyjechał na miejsce, bo dostał cynk od swojego źródła, którego oczywiście nie może zdradzić.

– Czy brał pan udział w strzelaninie? – To pytanie z ust dziennikarzy padało najczęściej.

– Nie. Spóźniłem się. Gdy zobaczyłem te wszystkie samochody, a później Aleksandra Majskiego, który próbował zatrzeć ślady jatki, od razu wezwałem wsparcie. O resztę proszę pytać rzecznika komendy.

Rzecznik prasowy dwoił się i troił, aby zaspokoić ciekawość kolejnych redaktorów, ale wobec nieprzejednanej postawy Szatana nie był w stanie przekazać im żadnych dodatkowych informacji. Dlatego media posiłkowały się nie tylko faktami, ale również domysłami, a tych było tyle, że po kilku dniach nikt już nie wiedział, co jest prawdą, a co kaczką dziennikarską mającą podbić sprzedaż czy oglądalność. O to mu chodziło. Aby sprawę zaciemnić, rozmydlić, dopisać legendy. Wtedy nikt do końca nie będzie wiedział, o co w tym wszystkim mogło chodzić. Podobnie sprawa miała się z inspektorem Robertem Wargą z Centralnego Biura Śledczego, który piątego dnia po awanturze w masarni poprosił o spotkanie w cztery oczy.

– Co tam się naprawdę wydarzyło, nadkomisarzu Szatan? – zapytał, słusznie nie dowierzając oficjalnej wersji.

– A co by pan chciał usłyszeć, inspektorze?

– Prawdę.

– Prawda jest taka, że odnalazłem Martynę Piskorską i siedemnaście innych kobiet, a do tego udało się rozbić tę nową grupę, na którą się zasadzaliście. To chyba nawet więcej, niż ode mnie oczekiwano, mam rację?

Warga przesunął językiem po zębach i cmoknął z niesmakiem.

– Mam być szczery?

– Tylko tego oczekuję.

– Wiemy o pana bliskich kontaktach z Cyrylem Majskim.

– Nie ma w tym nic dziwnego. Wszystko jest w aktach.

– Dlatego jestem pewien, że pan coś ukrywa. Nie wiem co ani jak pan do tego doprowadził, ale... – Warga zaciągnął się głęboko papierosem i skrócił dystans. – W sumie gównu mnie to obchodzi. Tak więc krótko: dobra robota, nadkomisarzu Szatan. Zawnioskuje o nagrodę i awans.

– Myślałem raczej o emeryturze – prychnął Szatan. Za stary był na takie historie, ale uczciwie musiał przyznać, że poczuł się doceniony jak nigdy wcześniej. Poza tym właśnie zwolniło się miejsce po oskarżonym o korupcję Kurowskim i fotel naczelnika wydziału kryminalnego w zasadzie czekał na jego decyzję. Nie miał jednak przekonania, czy tego chce. Teraz pragnął tylko spokoju.

– Przesyłam też pozdrowienia od kolegów z Niemiec – rzucił na odchodne Warga, gdy już zgasił niedopałek i wstał od stołu. – Twierdzą, że na wieść o śmierci Yusufa, który wraz z resztą jego ludzi został zmielony w masarni, Hakan Ozalan dostał zawału. Przeżył, ale leży w śpiączce i według lekarzy ma niewielkie szanse na powrót do pełnej sprawności. Cała organizacja zapewne się rozpadnie, zwłaszcza że zastanawiamy się nad tym, aby zaproponować Majskiemu koronę. Jeśli zacznie mówić, to po Ozalanach zostanie tylko wspomnienie.

– Brzmi nieźle... – mruknął Szatan, który po cichu liczył na taki rozwój sytuacji. Instytucja świadka koronnego dawała szansę na wyciągnięcie Aleksandra z więzienia. I choć wciąż nie rozwiązywała wszystkich problemów, dawała nadzieję, a w tej chwili to mu wystarczało.

– Mistrzostwo świata. To kazali mi przekazać – dodał na odchodne Warga, po czym chwycił w palce kaszkiet i wyszedł z knajpy.

Szatan uśmiechnął się pod wąsem. Ani nie mógł, ani tym bardziej nie chciał z tym polemizować. Dwadzieścia pięć lat kombinował, jak dobrać się do skóry Ozalanom, i gdy nadarzyła się okazja, lekko modyfikując plan, po prostu wprowadził go w życie.

Gdy odprowadzał wzrokiem Wargę, myślał już o tym, że przecież trzeba nakarmić kury, bo po całym dniu bez jedzenia z pewnością są głodne. Coraz mocniej dręczyły go też wyrzuty sumienia w stosunku do Władymira. Bez wątplenia on też był głodny. Nie mogło być inaczej, skoro nie jadł już prawie dwa dni.

Dziś męki Władymira miały się skończyć.

Szatan zgasił niedopałek w wiadrze i klepnął się w uda. Wstał, przeciągnął się i wyszedł na podwórze. Słońce wisało na niebie wysoko, od czasu do czasu kryjąc się za białymi obłokami. Przytknął dłoń do czoła i spojrzał na przelatującego nad dachem zabudowań bociana. Znał go. Nazywał się Broniek i od dobrych kilku lat gniazdował na nieodległym słupie wysokiego napięcia. Ostatnio rodzina mu się powiększyła, bo gdy Szatan przejeżdżał obok, widział wystające z gniazda dwa małe dzioby. Pomyślał, że to dobrze, po czym wciągnął nasączone obornikiem powietrze i podreptał w kierunku chlewu.

Po drodze wziął garść ziarna i rzucił wałęsającym się po podwórzu kurom. Te natychmiast zaczęły dziobać jak opętane. Niewidoczny dotąd Wacek też wyskoczył z cienia i jak zwykle musiał narobić rabanu, a gdy Szatan go skarcił, wskoczył na uchwyt przewróconej taczki i zapiał, jakby jutro miał skończyć się świat. Gdzieś w oddali odezwał się inny król kurnika, a potem jeszcze poniosło się ujadanie psa sąsiada. Tym razem nie grały świerszcze, co jasno wskazywało na nadchodzący koniec ciepłych dni i nocy.

Gdy Szatan przekręcił klucz w kłódce i uniósł skobel, z głębi chlewu wydobył się złowrogi pomruk. Chwilę później Władimir zaczął się tarabanić, jakby chciał rozwalić swój boks.

– Już dobrze, stary przyjacielu. Jeszcze chwila – mruknął szczerze zatroskany Szatan, po czym, nie bacząc na gniewne pochrumkiwania prawie półtonowego knura, zerknął w wyświetlacz zamontowanej na trójnogu kamery. Uznawszy, że wszystko jest w porządku, wcisnął nagrywanie.

Przykucnął na wprost zakutego w dyby półprzytomnego Yusufa Ozalana. Ucieszył się, że ten wciąż oddycha, i wyciągnął z kieszeni portek małąkę wyborowej. Przez chwilę przypatrywał się umęczonej twarzy Turka w nadziei, że ten będzie miał na tyle odwagi, aby unieść głowę i spojrzeć mu w oczy. Nie doczekał się, więc zniecierpliwiony chwycił więźnia za brodę i wyrwawszy mu z ust knebel, wlał wódkę wprost do jego gardła.

Yusuf się szarpnął i zaczął krztusić.

– Nie wierzgaj – mruknął Szatan. – To za twoje zdrowie. Nasze zdrowie.

– Ja... ja...

– No co ja? Co chciałbyś mi powiedzieć?

– Ja... przep... ra... aszam. Błagam...

Szatan parsknął śmiechem, na co Władimir zakwiczał i znów zaczął tarabanić się w boksie.

– Edyta, moja ciężarna żona, i Ania, piękna, zawsze uśmiechnięta córeczka, też błagały, gdy wspólnie z bandą swoich zbirów je gwałciłeś, a potem odcinałeś kolejno palce, uszy, języki, gdy wydłubywałeś im na żywca oczy pierdoloną łyżeczką do herbaty. Wszystko to mi wysyłałeś, pamiętasz?

Pociągnął Yusufa za brodę tak mocno, że Turkowi strzeliło coś w karku.

– Ja...

– Zamknij się! – Przechylił butelkę i przełknął słuszny łyk wódki, po czym wolną ręką wygrzebał z kieszeni paczkę papierosów. Przypalił jednego i podjął: –

Na tym świecie nie istnieje kara, jaką mógłbym ci wymierzyć za to, co zrobiłeś moim bliskim, ale starałem się, aby choć w minimalnym stopniu zadośćuczyniła ich cierpieniu. – Ozalan się nie odezwał, straciwszy wszelką nadzieję. Szatan zaciągnął się kilka razy, po czym wyciągnął chusteczkę i przetarł czoło z potu. –

Spędziłeś siedem dni w towarzystwie Władymira. Wierzę, że to był dobry czas dla was obu, ale muszę cię uprzedzić: do tej pory twój partner był syty, więc mógł się skupić na przyjemnościach. Od czterech dni nie dostał jednak ani grama paszy, pewnie dlatego jest na mnie trochę zły i tak się ciska w boksie. Ja jednak, w przeciwieństwie do takich szumowin jak ty, nie jestem potworem i nie torturuję kogoś, kto sobie na to nie zasłużył.

Szatan wychylił wódkę do końca, po czym wcisnął w usta Yusufa kawał cuchnącej szmaty, wpychając ją aż do gardła. Wyciągnął z kieszeni rodzinne zdjęcie. On w policyjnym mundurze, trzymający dłoń na brzuchu ciężarnej żony, obok uśmiechnięta córka, w tle łąka usiana czerwonymi makami i przelatujące po niebie stado ptaków. Wcisnął je w szparę w drewnie.

– To żebyś pamiętał, dlaczego tu jesteś – rzekł, a potem podniósł się z kucek, wytarł usta i zaciągnął się po raz ostatni.

Wyrzucił niedopałek na ziemię. Przydepnął go kaloszem, odcharknął i splunął. W końcu położył dłoń na dźwigni otwierającej boks. W głębi chlewu aż się zagotowało. Z ciemności poniósł się długi gniewny pomruk.

Zygmunt Szatan przekręcił wajchę.

Gdy wychodził z chlewu, nie czuł nic. Pomyślał, że musi się napić.

KONIEC

Od Autora

Często pytacie mnie, skąd czerpię inspirację. Otóż *Prawo matki* jest idealnym przykładem, że ta może przyjść w każdym, nawet najmniej spodziewanym momencie. Nie wiem, czy pamiętacie, ale latem 2021 roku wrzuciłem na profilach społecznościowych fotkę, na której stoję z dziećmi i patrzę w morze. Dzień wcześniej o mało nie doszło do tragedii, bo w parku rozrywki zaginęła moja dwuletnia wówczas córka. Uwierzcie – to było najbardziej stresujące dziesięć minut mojego życia. Dosłownie na krótką chwilę puściła moją rękę i zaraz zniknęła w tłumie. Oczami wyobraźni – a jak zapewne zdołaliście zauważyć, wyobraźnię mam bujną – widziałem wszystko, co najgorsze. Latałem jak opętany, ale nigdzie nie mogłem jej dojrzeć. Szczęśliwie skończyło się na strachu i Lenka się odnalazła, ale emocje, jakie ta sytuacja we mnie wywołała, były tak potężne, że już kilka godzin później byłem pewien, że muszę to kiedyś opisać.

Pomysł na główną bohaterkę zrodził się pod wpływem kilku czynników, ale chyba tym najważniejszym jest to, że Luta istnieje naprawdę. Jest żołnierzem, trenuje sporty walki i zdobywała złote medale. Mało tego, jakiś czas temu w Turcji – na szczęście też na krótko – zaginęła jej córka. Ile jest Luty w prawdziwej postaci i odwrotnie? Jak to kobieta, zwłaszcza żołnierz, ma wiele tajemnic, ale mogę zapewnić o jednym: nikt z Was nie chciałby stanąć z nią oko w oko na macie.

Zatem Aga, dziękuję Ci bardzo. Tylko tak silna osoba jak Ty, tylko wojowniczką z krwi i kości mogła stać się pierwowzorem Luty Karabiny. Mam nadzieję, że czytelnicy i czytelniczki polubią tę postać, a jeśli tak się stanie, postaram się, aby ta historia nie skończyła się na *Prawie matki*.

Ta książka nie powstałaby też, gdyby nie moja ukochana rodzina i przyjaciele, którzy nie tylko byli inspiracją, ale także bardzo mi pomagali na każdym etapie tworzenia tej historii. Zacznę od rodziców i dzieci, bo oni są dla mnie motywacją na co dzień, a jak zapewne się domyślacie, część motywów książkowych związanych z Frankiem i Werką była inspirowana moimi szkrabami – Kubą i Lenką. Wielkie dzięki, dzieciaki!

Pragnę bardzo podziękować także trzem trenerom brazylijskiego jiu-jitsu z zielonogórskiego Octopusa: Krzyśkowi, Dominikowi i Łukaszowi, zwłaszcza zaś Krzyśkowi – mojemu wieloletniemu wiernemu przyjacielowi, na którym nigdy się nie zawiodłem, a który również bardzo mi pomógł pod względem merytorycznym i od czasu do czasu daje mi wycisk na macie. Jeśli chcecie ich poznać, wpadajcie do klubu. Drzwi są otwarte dla każdego chętnego, a wszyscy trzej to wybitni profesjonaliści i po prostu świetni ludzie. Na pewno zaopiekują się Wami najlepiej, jak tylko będą w stanie. Kto wie, może nawet natkniecie się na Lutę...

Tradycyjnie dziękuję również moim przyjaciołom i pierwszym recenzentom: Romanowi za cenne uwagi merytoryczne dotyczące pracy w policji i Andrzejowi, który nie szczędząc krytyki, potrafił docenić walory i motywować mnie do jeszcze bardziej wyężonej pracy.

Bardzo dziękuję również całej ekipie Wydawnictwa Czarna Owca, zwłaszcza Kasi, Ani, Adamowi i Markowi, którzy wciąż mocno we mnie wierzą i dają nieustanną szansę rozwoju. Dziękuję też wszystkim, których nie wymieniłem z imienia, a którzy przyczynili się do powstania *Prawa matki*.

Na koniec kłaniam się Wam, drodzy Czytelnicy i Czytelniczki. Mam nadzieję, że ta historia przypadła Wam do gustu i stała się chwilową odskocznią w trudnych czasach, w których przyszło nam żyć. Głęboko wierzę, że to nie koniec przygód Luty Karabiny i Zygmunta Szatana. Ale zanim wrócimy do Zielonej Góry, już wiosną ruszymy śladami najstraszniejszego seryjnego mordercy w historii światowej kryminalistyki – Kolumbijczyka Luisa Alfreda Garavita.

Do zobaczenia!

Pozdrawiam serdecznie
Przemysław Piotrowski